

Inga
Iwasiów
Bambino

nowa
proza
polska



Świat Książki

Inga
Iwasiów
Bambino




Świat Książki

MARIA, URODZONA 1940

Maria to w sobie nosi, zakładam. Obraz drogi, ale nie tylko. Coś, co stało się w trakcie. Coś pozostawionego daleko za sobą. Jak wszyscy inni, ma to coś w sobie, nitki zbiegają się, geny, przecinają, z kombinacji mogą wynikać różne rzeczy, a ja chcę się dowiedzieć, kim są oni, być może to właśnie moja historia, ale równie dobrze nie moja i niczyja. Pogrzebać w obrazkach, przebitkach, odpadkach. Nie ma się czego trzymać, żadnego albumu, żadnego dziennika. Żadnej idei przewodniej, poza potrzebą. Opowieści raczej niezborne. Co sobie kto na swój temat wymyśli. Na temat postaci, którą jest. I życie, ot po prostu, ich albo czyjekolwiek. Przeszłe i trwające. Nic więcej nie mamy na ten temat. Ruch odśrodkowy, zachodzenie od tyłu, to samo, jednak bez widoków na tak samo. Matka wszystkich takich straconych złudzeń, Maria.

Zaczynam od Marii, bo pociąga mnie jej imię. Wszystkie kobiety mają na imię Ewamaria. Ta tym bardziej. Jakby z imienia została postawiona na początku i od razu, bardziej niż Ewa, mniej, oczywiście, wyznaczona, wybrana z tłumu, a przecież nikt jej tego nie obiecywał. Nikt, nazywając dziewczynkę, a właśnie tego pragnie, naznaczenia.

Kusi i zaklina los, tak dając, bezmyślnie, dziewczynce na imię. To znaczy wyznaczona na pewno, jednak nie zapominajmy: Maria to w tej sytuacji pospolite imię. Tak zapewne ma na imię co trzecia bohaterka poczęta w interesujących mnie okolicznościach. Tych, które uważam za fragment obrazu drogi. Po prostu, nasze babki często tak miały na imię. Nie mam czym się chwalić, bo zobaczmy, co będzie z imionami i z nimi dalej.

Przywieźli ich dopiero w 1957 roku. Przywieźli. Wiózł ich pociąg, a najpierw ktoś pozwolił, wydał dokumenty, podstemplował im ich decyzję. Ich i tamtych wahanie, już, już podejmowaną decyzję, ale potem cofnięta ręka, odwrócone koło, stanie dalej przy tym samym płocie. Aż do tego, ostatniego momentu. I nie było wcale śmiesznie i bohaterko w tych – jasne, dziś mówimy „bydlęcych” – wagonach. Ale wszyscy nimi jeździli, czego się spodziewać, wciąż było po wojnie. Cały tabor zużyty, salonki zużyte na co innego. Na wożenie ważnych ludzi, którzy podejmowali ważne decyzje. I nawet wagony 4 klasy. Wagony każdej klasy. W końcu do czego mieli ludzi ze wszystkim upakować? I jakie – kto, gdzie – woził bydło? Co oznaczało „bydło” w czasie, gdy te wagony opuszczały niemieckie, zwykle niemieckie, fabryki? Rosyjskie, radzieckie fabryki, inny rozstaw szyn, więc i osi, co mogłoby, co służyło wielu sentymentalno-symbolicznym wywodom. Więc podkreślanie, powtarzanie tego, że w bydlęcych... Do miasta, dalej, do większego miasta każde z nich, każda i każdy, jakimś kiedyś pociągiem jeździło. Gdyby porównać, co innego zaczyna znaczyć „bydłęcy”. Oni też podjęli swoją decyzję. Decyzję, której nie można traktować jako w pełni suwerennej. Trudno w ogóle mówić o decyzji. Tak, niech od tego się zacznie – trudno mówić o decyzji. Ona zaczyna się potem, można ją dorobić do zdarzeń. Pałają ci dom, znów przyjdą po zboże, a nawet ziemniaków nie ma, od dawna nie ma też, jako takiej, pracy (może pracy, jako takiej, akurat nigdy nie było; praca, owszem, jako manifestacja tego, że jest, kiedyś nawet była), ogródek zryty do ostatniego ogórka, w szkole dzieci oduczają języka (przynajmniej tak o tym mówią, bo niedokładnie wiadomo, czy właśnie nie ucza, co też delikatne, języka, właściwego języka na przyszłość), sąsiadka z naprzeciwka coś musiała powiedzieć kochankowi enkawudzićie, ma złość za jakieś dawne sprawy, może za obmowę, sąsiad z lewej coraz głośniej mówi, że to dziwne. Może złość z młodości, wracają z tańców, ona nie z tym, na którego miała ochotę. Za to ta... owszem, z tym, na którego ona... Jakieś normalne, wiejsko-podmiejskie, sprawy, każdy je zna, każdy doznaje, nie wiedząc w chwilę potem, co znaczą, tylko z odpowiedniego oddalenia mają wagę.

Że ich nie wywieźli na wschód, to dziwne. Że nie zabrali się stąd, to dziwne. Że sami nie wiedzą, czego chcą, to dziwne. Że tak siedzą tu, to dziwne. Że... Nie wiadomo najlepiej co lepiej. Jakiego używać języka. Z jakiego mieliby wywozić powodu. Gdyby spodobała się komu ich zagroda. Powody są zawsze z jakiegoś powodu. Więc od lat czekają na decyzję i sami muszą zdecydować, kim są bardziej. Którego dziadka raczej ukryć, którego wyeksponować. Który dziadek mógłby dać alibi, okazać się kapitałem. Chociaż obaj, wstecz, pradziadkowie, rozgałęzieni aż po prawie mityczną przeszłość, wspomnijmy tu i o mitycznych pra-prababkach, jednak one zawsze umiały pożyczyć, mąki lub języka, czyli to dziadkowie zwykle okazują się decydujący, opoka epok badanych wstecz, nawet gdy legendarnie milczą, bo w milczeniu miałyby być namysł, a naprawdę był zwykły autyzm, normalna, najnormalniejsza głupota, co parę pokoleń, albo w bocznych liniach poprzetykana talentem do opowieści, które jak zły gen służą gorszemu przetrwaniu, bo kto mówi, sam się może skazać. Dla pamięci synów i wnuków bezsprzecznie najważniejsi ci autystyczni i ci wymowni dziadkowie, także u córek tata to ho, ho! Dopiero był gościu. Nie wiemy dlaczego, co takiego tata mianowicie robił, przyjmujemy tę wiedzę od przeszłych pokoleń. Kim był ojciec i kim była matka. I oni, niespecjalnie pielęgnowana w chłopskiej czy podmiejskiej okolicy przeszłość, nagle wydobyta na światło dzienne. Języka uczymy się od matek, tylko co one nam mogły opowiadać w tych chatach z niską powałą i pamiątkowym oleodrukiem z Matką Boską-skądś tam? Co mogły mówić? Wolę nie słyszeć tych opowieści.

Splowiałe zdjęcie prababci z pradziadkiem, sztywne pozy, a w tle, widoczna w zażółconej sepii, bieda. Przez tę zażółconą sepię biedę, a właściwie liszajowatość okolicy pokrytej bujną zielenią, jeszcze bardziej widać. Liszajowatość zyciorysu. Biedę okolicy i ludzi, ich uroda należy niewątpliwie do przeszłości, kiedy pozują do zdjęcia, lecz zakładać należy, że zawsze mogła być wątpliwa. Przez biedę, która nie dodaje niczego dobrego sylwetkom i rysom. Uroda może ujawniać się w dzieciach, dlatego tak często się mówi: „to cały tata”, „to mama jak była młoda”. W sprawie zasadniczej zaś nie ma co ukrywać, nie ma co mówić o tradycji. Poza tradycją miski kaszy W pewnym sensie wszystko by było jedno, kto z nich z jakiej jest rodziny, teraz okazuje się, że w zależności od przodków zwykle oranie, obrządek, punktualne chodzenie do kościoła... Zacierki, pomidory, jabłka, przybrudzone koszule, spanie pod pierzyną po babce, wietrzenie poduszek na kulawym płocie, wygodka postawiona nad płytkim dołem. Że to ma znaczenie i na jaw wychodzi, że różni się dziadek od dziadka, dzień powszedni od dnia powszedniego, Wigilia od Wigilii. Kościół od kościoła, że cerkiew to zupełnie inna sprawa, cerkiew jest prawie tak podejrzana jak bożnica.

O której w ogóle tu się nie mówi. Poza scenką ze zbieraczem szmat stojącym tak nisko, że o wiele niżej. Żyd chodził, Żyd szmaty zbierał. Ostrzył noże? Kto chciałby za dużo rozpamiętywać, ot, kwestia krajobrazu. Aż zdarzy się coś, w sąsiedniej wsi, ale i to nie musi dotrzeć. Poza tym stoimy zdecydowanie, póki ktoś jest poniżej, jesteśmy na powierzchni.

Kościół zaś (od cerkwi) mniej podejrzany. Był do czasu, oczywiście. Trzeba więc zdecydować, za jaką wiarą opowiadała się już babka, która miała nad łóżkiem oleodrukową pamiątkę z pielgrzymki, niezwykłą Matkę Bolesną, przypominającą, gdy się dziś na to patrzy, ikonę. Bo sama babcia, jej córka i córka córki nie myślały o tym. Przypominającą bolesnością, boleściwością ikonę. Przypominającą matce matki i matce jej własne – choć tak o tym przecież nigdy nie mówi i nie myśli – życie. Kojarzy co nieco, wzdycha, miesi ciasto dłonią wycieraną fartuchem. Popatruje nad łóżko, tam patrzy mateńka, tam jej pilnuje, mateczka matek, w godzinie porodu i odejścia. Tylko kwestia postaci w centrum pozwala te obrazki – ich relikwię rodzinną i ikony wiszące tymczasem spokojnie, jeszcze nikt ich nie wozi na szmugiel, w chacie sąsiadki – odróżniać. Bo poza tym równie są piękne. Kolory, jak prawdziwe, właściwie lepsze od prawdziwych, dużo, dużo lepsze. Lepsze od złota koszulek na tych z prawosławia, co dowodzi wyższości naszej wiary, nie tak skłonnej do przepychu, skromniejszej, podobnej do ludzi i dla ludzi. Niewynoszącej dziwnych świętych, pachnących

zabobonem, nad matkę matek. Prawdziwa, warta więzienia tysiące kilometrów stąd, sztuka. Warta więzienia. Jakby kto pytał o tradycję i kulturę. To jest właśnie ta najstarsza przechowywana sztuka. Mateczka boleściwie panująca nad godzinami rozwarcia i zakopywania trumienek. Każdy choć raz w życiu powinien pojechać na pielgrzymkę. Przywieźć ze świętego miejsca relikwię. To się między innymi nazywa tradycja.

A pra-pra i obrazek to dopiero początek pytań. Bo który język uznać za ojczysty, a który za chwilowo używany, wszak nikt nie powie, niby jakim sposobem, „gwarę”? Kto mówi po naszemu, jeśli to znaczy mówienie trochę tak i trochę tak, właściwie na przemian? Jak by to inaczej mogło być, skoro było tak zawsze? Że inaczej dzieciaki nad brudną rzeczką za domami, inaczej pani nauczycielka, ale już w domu wieczorem jakby się szło środkiem tego mówienia. Własnego i ojca (znaczy męża), który ma inną strużkę pieśni, pogaduszek, odzywek. Nie ma co, naser mater, trzeba podjąć takie decyzje. Jedyne możliwe, a potem czekać. Reszta zależy od innych. Także tych, którzy ich wiozą. Jak już im dadzą pieczętki, starannie ich rozwiozą. Po punktach repatriacyjnych, zdecydują, kto gdzie wysiądzie. Niekoniecznie wszyscy hurmem, na hurra! Tu trochę i tam trochę. Jest już późno, 1957, wieś, miasteczka i wille zajęte, trzeba dobrze się napracować, by jeszcze w ogóle gdzieś ich rozmieścić, dać szansę, żeby coś uprawili, gdzieś zebrali, gdzieś te swoje graty upchnęli, gdzieś wnieśli tę swoją wschodnią biedę, wschodniość, ruskość i ten niedawny lament po śmierci Stalina. O którym nic nie mówią, a zawdzięczają mu coś jednak. Że na czas umarł, choćby. I to, o czym wiedzą ze szkoły, co ze szkoły przyniosła Maria.

Więc teraz też trzeba im dać szansę, by mogli upchnąć tę lepszą od innych – tak im się wydaje, bo zawsze mieli skłonność do przesady – wschodnią rozlewność, biedę. Od razu mogliby zobaczyć, co znaczy gospodarować. Poustawiane równo, zakonserwowane narzędzia. Gdyby przyjechali wcześniej. Porządne zabudowania, nawet siano w stajniach, talerze w kredensach, pierzyny, wszystko było. Tak słyszą, tyle usłyszą. Na niewątpliwy pohybel, bo nie na pociechę. Gdyby jechali wcześniej, gdyby tak długo nie decydowali, jakim właściwie i o czym mówią językiem, i gdyby mieli pieczętki. Gdyby oni i za nich nie decydowali. Teraz to już raczej niczego się z samej konfrontacji nie wywnioskuje. Do resztek trzeba będzie dołożyć to, co stanowi skarb, a wygląda tak samo. Resztki murów, raczej niechciane, niezechciane przez innych, wyszczerbione cegły i rozdrapany dobytek. Ktoś tu może i był, ale się zmył, uciekł albo odjechał. Narzędzia, których ktoś nie wziął, bo miał lepsze. Albo miasteczko, może miasto. Przed wojną miało te swoje 100 tysięcy, dobije i więcej, teraz skruszone jakimś prawie od niechcienia ostrzałem, małym nalotem? Nawet niezburzone porządnie, jak przystało na poniemieckie – systematycznie. Dotknięte falą uderzeniową cofającego się frontu, zabałaganione wywózką, z pozmienianymi byle jak nazwami ulic, niemającymi szans się utrzymać, zarośnięte zielskiem, otoczone czerwonymi murami jeszcze czynnych fabryk, biednych fabryczek, wodę sodową chyba tylko jeszcze da się w nich produkować i słonawą maż na kanapki, marmit w wersji niemiecko-teraz-polskiej, skondensowana przyprawa maggi. Na resztkach surowca, jeśli mowa o czymś poza wodą, burawą, ale w sumie czystą, na resztkach ciągnących fabryczek, centrum z aleją lipową, teatr, w którym grano także w czasie wojny, niby dlaczego nie miano by grać? Ale lepsze to czy tamto lepsze? Tu teraz okolica też zapomniana przez Boga, tyle że inaczej. Nikt już tu nikogo nie przepędza, nie zamyka, nie przesłuchuje. Senna prowincja. Zielsko przy domach, wilgotna we bramy, koślawe ławeczki. Narzędzia zwalone w składziku na rdzewiejącą kupę. Ot, trochę na uboczu zmian. Kto wie, gdzie i co. Łatwo zapomnieć. Łatwo zaciągać się do pracy w PGR-ach, ale i uprawiać przy domu, co tam komu trzeba.

Nikt nie zapyta. Jadą, bardzo późno, robi się ciemno. I, prawdę mówiąc, te miasteczka może nie są tak jak Sambor czy Drohobycz piękne. Chociaż zielsko, wilgoć, kupy żelastwa nieuprzątnięte po wojnie... Chociaż są i cechy wspólne. A niektórzy widzieli i dalej, Lwów, młodszy nawet Moskwę, z czym to równać? Gdzie w Polsce jest, będzie, takie miejsce?

Wyjazdy pociągiem, wizyty jak pieśń chóru komsomołu. Te ledwie zburzone, zmiecione z wierzchniej obudowy miasteczka i wioski, a nadal takie (jeśli pominąć szczegóły) schludne, jakby nie im się należało, faszystom, rozwalić wszystko, rozwalić, potem zastanowić się nad ciągiem dalszym. Siedzieć ewentualnie w tym słusznie rozwalonym, planując co dalej raczej teoretycznie. A nie tak: schludne i natychmiast osuwające się w błoto. Należało się, ale może i ktoś już wcześniej wiedział, że oni tu, skoro nie mają gdzie, oni tu zechcą pomieszkać, bez entuzjazmu, bo nigdzie już nie będzie tak pięknie, ale dobrze przynajmniej, że mają chociaż do wyboru, czy oni mogą im wybrać, wpisać na kartę przesiedleńczą, te wsie i miasteczka? Jakies muszą, gdzieś ich wywalić muszą. Znamy to: kołdry, dzieci, inwentarz, bóle. Brzęczy nam z ekranów telewizorów, z książek, a czasem z pamięci.

No, na Szczecin to już nie było szansy. Jak się jechało spod Czerwieńska, raczej na Zieloną Górę była szansa. Zieloną Górę, która może i ładna z daleka, z nazwy, z bliska nie daj Boże, słodka Mario łaski pełna! Trudno o pomieszkowanie z kanalizacją. Gorzej niż na przedmieściu Sambora. Więcej ludzi na kupie, tak samo smrodliwie. I sąsiada nie znasz, a jak poznasz – lepiej nie mówić. Znów stwardniałymi pazurami trzeba brud ze ścian drapać.

Więc stoją przy rozwalonym płocie, uchylne skrzydło zamykane na drut prowadzi do sąsiadki, Nastii, malwy, marchewka, pietruszka. Stoją po obu stronach z haczkami w rękach – ale to się wtedy nie nazywa „haczka”, tak się nazwie daleko stąd, pod wpływem innych, którzy o robocie dużo mówią i mają ponazywane przedmioty, narzędzia na wzór mowy tych, którzy jeszcze pilniej pracę szanują – i mówią do siebie o próbie chóru w samborskiej szkole, bo na to ojcowie obu bezwzględnie muszą pozwolić, i robią to chętnie. Każdy tu muzykalny, każdy w jakimś chórze pośpiewał. Nikt nawet ojców by, zresztą, o komsomolski chór, zaszczyt taki, nie pytał. Pomysł podobny do pytania o legitymację komsomołu dane im obu za zasługi i postawę, chociaż też z rozdzielnika. Bo starają się, jasne, jednak może w sercu mają zdradę? Może matka-ojciec-dziadek-babcia sączą im w uszy za mało miękki akcent? Czy tak z nimi nie bywa? Czy ojciec, z drugiej strony, mógłby nie chcieć takiej czerwonej książeczki z Leninem na okładce u swojej córki w tornistrze? W karmanie? Taką legitymację trzymało się pod bielizną pościelową, na głównej półce w najgłośniejszej szafie stojącej w nieużywanej, najgłośniejszej izbie, gdzie jadło się świąteczne i gdzie czasem ktoś bardzo ważny sypiał. Ważny albo w mundurze. Wówczas tam jeszcze tej legitymacji nie było. Legitymacji przyniesionej w tornistrze, ale zaraz położonej w bielizniarce jak na ołtarzu. W czasach, gdy nikt nie przychodził przespać się w tym głównym pokoju. Pod poszewkami na poduszki różaniec. Pod prześcieradłami legitka.

I to jest jakiś trop, tego się można by trzymać. Samborskie gimnazjum i pieśni ku chwale armii i wodza. Komsomoł, legitymacja, odznaka i chusta. Chór, nie kościelny, prawdziwy, szkolny. Jeśli w 1957, a właściwie wcześniej, ktoś tę decyzję podejmował, powinien wiedzieć, że Nastia dostała imię na życzenie ojca, który chodził z partyzantką ukraińską i może nawet w innych wsiach robił to co oni, nawet to wszystko, co dla rodzin i sąsiadów nie było jasne lub nie stanowiło problemu. A tu dał się poznać jako tęgi śpiewak, żona, stojąc przy tym niższym niż do ramion płocie w kobiecym ogródku, nigdy o nim niczego złego matce Marii nie mówiła. Dzieci chrzcila na rosyjską modłę, ale też żadne z nich nigdy się nie spóźniało do domu, ona sama była wyjątkowo schludna i pracowita. Nastia nie mówiła nigdy inaczej niż „tatuś” na tego swojego ojca, niewątpliwie wiedziała. Maria dobrze to czuła. Wszyscy tu zdrobniale mówili o rodzicach, nawet o tych z raczej ciężką ręką. Taki szacunek. Ojcom się należy. Tak było i będzie. Będzie co było. Za komunisty jak za cara. Sprawa odwieczna. Tatuś, tata. Niektórzy wiedzą, z czym to się wiąże. Gadać nie należy na ten temat za dużo. Morda w kubek.

A próba chóru to było śpiewanie w języku najlepiej im jednak obu znanym. Plewiąc grządki, czasem sobie też przez płot te smętno-tęskno brzmiące pieśni, na zmianę z dumnymi radzieckimi, odśpiewywały. Gdyby je zapytać, tak gdzieś w 1950 roku, obie mają po dziesięć

lat, to już wtedy i trochę później, najlepiej jednak leży im na podniebieniu rosyjski. I książki w domu, te dziesięć, gdyby w obu domach zliczyć, mają po rosyjsku. Nastia nigdy nie mówi o ojcu inaczej niż „tatuś”. Na fotografii widać, że to wszystko nie oznacza pieszczot, spracowane ręce babki schowane za siebie, więc na pewno spracowane. Dziadek niczego nie chowa, tu tak jak w rzeczywistości nawet nie musi nikomu nic mówić. Wiedzą, jak się ustawić do zdjęcia. To znaczy, na tym jest tylko on i żona, czyli prababcia. Tylko ona dba o ukrywanie spracowanych dłoni, bo to wiadomo, kto obejrzy zdjęcie. Prababcia jeszcze nie, nawet nie babcia, natomiast matka już będzie chodziła do szkoły.

Więc odruch delikatności, jakiś rys przyszłej kultury, dziedziczony oleodruk, sznur koralu, rozparcelowany potem niczym sznur pereł, wszystko razem, na szczęście, zmieści się choćby do karmana... Dobrze mieć takie małe coś na godzinę, gdy trzeba uciekać. Małe, mieszczące się przy sobie. To znaczy przy nas, przy boku, przy tyłku, przy ręce. Właśnie, przy ręce. Co mam w ręce. Ważne pytanie, co kto ma w ręce. Bogate, każdy widzi jakie. Lepsze oczywiście niż perły. Żywy kolor jak sukienki pasterzy na oleodruku. Prawie taki, sztuka to jednak sztuka, coś więcej, nie da się podrobić, do tego trzeba artysty.

Więc jedźcie, mówią ci, którzy zostaną. Jak ukochana ciocia, siostra mamusi. Która nie pojedzie, bo nie wie, gdzie jej przepadli. Bo wie, że tu (a niby dokąd?) wrócą. Nie honor zostawiać krewną, lecz tym razem trzeba. Ona im sama mówi, prawie wdowa i prawie osierocona matka – muszą, muszą spróbować. I obiecać, że przynajmniej Maryjkę jej przyślą, najstarszą, która wszystko o świecie jej opowie. Jeśli sami nie dadzą rady. Wrócić. Opowiadać. Maryjka młoda, da radę. Maryjka ma to zapamiętać, że ktoś zechce posłuchać. Więc Maryjka ma się uczyć, uczyć, poznać świat, czytać. Bo nie kto inny, kobiety teraz chodzą do szkoły wszędzie, na pewno żaden z braci, zaczynają pić młodo, trudno jechać taki świat drogi pociągiem po wódce. Poza tym, kto by jechał do kobiety? Kto by jej opowiadał? Wiadomo, nie mężczyzna.

Maria stoi na peronie i pilnuje walizki oraz osób, które powinna mieć pod opieką. Zakłada się, że siedemnastolatka powinna umieć zadbać o walizkę i młodsze rodzeństwo. Sama by już mogła mieć dzieci. W końcu w jej wieku niejedna bywa matką, jej własna już była. Lepiej nadaje się do roli strażniczki i opiekunki od matki, która urodziła te wszystkie dzieci, więc ma prawo być zmęczona. Urodziła dzieci, zamykała drzwi za ich ojcem, gotowała strawę w wielkich garach na ledwie rozpalonym, bo wojna, palenisku, i nie wiadomo z czego uciekała z innymi kobietami, kiedy zbliżali się do wsi tamci, zmienni w byciu „tamtymi” jak pogoda. W lepsze dni robiła zasmażkę, a o uboju zwierząt musiała raczej, wobec niemożności praktykowania, dobrze i na zapas pamiętać. Kiszka, salceson, smalec, kiełbasa, szynka. Zasmażka perkoczająca cały dzień na skraju fajerki, zawieszisty sos z tłustej, swojskiej śmietany. Coś trzeba było wywieźć, jako pamięć życia, jako niezaprzeczalny kapitał. Żeby potem, za czterdzieści lat, też (jeśli dożyją) wszyscy mogli wspominać, zawsze porównując do tego – ja tego do ust, kochany ty mój, serdeńko, nie biorę – czego pełno w sklepach. – Wszystko to, mój miły, śmierdzi rybą. A u nas nawet Świnia je schabowego. Ja jej wszystko, kochaneńka, daję. My rosół, ona rosół. My schabowe. Ona też, co zostanie. – Przynajmniej przed świętami, wówczas też nie ma o czym gadać, z czym równać. Nigdzie się już nie dostanie takiej kiszki, jaką matka musi pamiętać. Nie ma mowy, żeby komuś od krwi kaszy jelit uboju ryku zarzynanej chlupiąca krew serce wątroba w misce do mycia nóg żółc na butach – robiło się słabo. Człowiek w innych okolicznościach mógłby się z tego wyrzygać, ale w pamięci, mocno zaryglowanej, strzeżonej przez czujną strażniczkę domowych specjalów, to jest poezja, ta kiszka. Dla sentymentu dobrze pilnuje uboju i obróbki kobieta-strażniczka. Domowej spiżarni i tych innych rzeczy też. Teorii mieszania i zabijania. Chociaż od bajania jest tata, to znaczy od beczynnego leżenia, jak już mu zainstalują łóżko w kuchni, od gadania o lepszych czasach, przygodach, przewadze nad innymi, szczególnie nad tymi tutaj. Kto z nich widział tyle świata? Za kim oglądało się tyle kobiet? Matka, choć ma w

pamięci jak co zrobić, za dużo nie będzie gadać. Matka to kobieta. Puszczą mimo uszu. Nie zwraca uwagi na to, że wtedy też była.

Matka musiała się dobrze orientować, kim są tamci, rozpoznawać moment, gdy sąsiedzi, nasi, armia zmieniają się w tamtych. Co o tyle trudniejsze, że nie wiadomo do końca, czym się kierować. Wyglądem, językiem. Ojciec Nastii wcale nie wyglądał, a językiem mówił także ojciec Marii. Więc krwawa kiszka i rozpoznanie. Ryglowanie zapachów, smaków, znaków to ciężka robota. Rozpalanie w piecu i wynoszenie wiadra.

Matka miała dość zmartwień, z racji samego bycia matką kobieta robi się silna i słaba, nawet i słabo-silna, nosi te dzieci na plecach tak długo, aż najstarsza córka może wziąć tłumoczek i polecieć z nim do lasu, szybko, szybko, nawet jeśli sama jest mała, przebiera krzywicznymi nóżkami bardzo szybko, żeby na pewno dobiec tam i wynieść braciszka spod ognia, bo przecież matka nie dałaby rady pędzić tak szybko. Matka jest silna, z dzieckiem w brzuchu niesie worek ziemniaków, a potem ma spuchnięte nogi i od najstarszej córki oczekuje wsparcia. Matka słyszy w nocy rozmowy ojca, a potem jeszcze jest z nim i ma kolejne dziecko. Nie każde może żyć, Bóg dał i zabrał, trzeba więc umieć też pochować. Małe trumienki, pierwszej nie ma nawet na fotografii. Druga już tak, owszem. Fotograf z miasteczka. W pierwszej byłyby, gdyby je sfotografować w godzinie śmierci, kilogramowe bliźniaki. Takie kiedyś będą mogły przeżyć, jednak na razie nie, nie ma nawet fotografa, żeby przeżyły choć tak utrwalone. Jest, też wydatek, trumienka. Czy masz dzieci, czy masz trupki, to kosztuje zawsze. A ubranka przydadzą się kolejnym, nie ma co chować strojnje. I wykręcać się od obowiązku, Bóg dał, Bóg weźmie jeszcze, nie daj Boże, kto wie ile. Więc matka Marii nie jest zbyt, to nie od niej zależy, wstrzemięźliwa.

Może ona sama wolałaby nie chodzić ciągle w ciąży, na szczęście nie każde dziecko przeżyje, co jest wielkim nieszczęściem na całe życie – wspomnianie przy świętach, przy innej okazji, kiwanie głowami – a z drugiej strony, to w końcu normalne. Tylko sąsiadka ze skraju wsi, ta wysoka Rosjanka, czarnobrewa (jak oni wszyscy, chociaż nie matka Marii) nie ma dzieci. Odwiedza znachorki, jeździła gdzieś, chodziła na pielgrzymkę. Nic, dalej dziecka nie ma. Mówią, że w młodości nie była od tego. Jej mąż nie stąd, nie wiedział. Teraz tak, musieli mu powiedzieć życzliwi, przy wódce: – No, Iwan, niejedyn miał tę twoją... – albo w tajemnicy. Tylko on tak mocno bijał, że nawet pop tam chodził, żeby przestał, bo co się stanie, jak zabije. Hospodi pomiłuj, co jak babę zabije na śmierć, zabije. Potem pop, nie wiadomo kiedy, pojechał. Tyle śmierci i tak Pan wokół rozsiał. Bez dziecka tak jest, wojna nie wojna, trzeba dziękować za kolejne. Z drugiej strony, zwykle bili i ci, którzy mieli dzieci. I babę w ciąży niejedyn szturchnął. Uczuciowe ludzie, bardzo, więc jak się który wzruszył i napił, napity za mocno... Jednak dzieci mówią o nich, o rodzicach, a zwłaszcza ojcach, tatusiach, zawsze z sentymentem. Takiego gościa, jak każdy z nich, świat nie widział. Tyłu tych gości, każdy w swoim domu. Każdy pan na swoim, na swoich babach i dzieciach. Niech to cholera, jaki naród, same pany, pan w pana. A najgorzej nie mieć dzieci, być taką popsutą. Lepiej mieć po kim płakać.

Rano prosi najstarszą córkę, żeby zlitowała się, odłożyła książkę, małe chcą jeść, trzeba im zrobić klusek, zając się nimi jakoś, żeby chociaż przez chwilę było cicho. Po tym wszystkim, po wojnie i tym co nastąpiło – strzelanie, palenie, odbieranie, krzyki. To po wojnie. Matka jest słaba, dość długo była silna, więc ojciec surowo mówi do Marii: teraz musisz zadbać o rodzeństwo. Dostałaś od nas dość, teraz ty się wszystkimi zajmiesz. Taka rola córki. Chociaż Maria nie miała zamiaru nigdzie odbiec, nie miała żadnych planów na inną przyszłość. Przyjmuje od ojca napomnienie. Rozumie, że musi pilnować walizki, rodzeństwa i matki. Ojciec w tym czasie dba o pryncypia. Ojciec wyznacza im drogę, wyrąbuje ją siekierą, a potem śpiewa. Ojciec wychodzi rano do pracy, kiedy ma pracę. Nigdy za bardzo, za bardzo to już nigdy, głowy nie pochyla. Ojciec tak tego nie nazywa. Wie, co znaczy być tatą i panem u siebie. Idzie do urzędu. Kiedy już wie, że nie ma pracy w lesie, na

kolei, w fabryczce, kiedy był wszędzie i niczego nie przyniósł, mówi: pojedziem my już, maleńka, pojedziem, serce. Taki czuły potrafi być, patrzącej z boku Marii wydaje się kimś, kogo nie zna, kim bywa pod pierzyną, kim bywał, kiedy zachodził po matkę do chałupy jej rodziców.

Co z matką, czy na pewno kiedyś była silna? Kiedyś, kiedy ją brał do domu, kiedy pierwszy raz rodziła? Potem, ale już potem Maria słyszy, że przedtem, przedtem teraz to ona właśnie ma być silna. Zanim sama, a ma siedemnaście lat, inne, jej matka też, w tym wieku... Jeśli w '45 pierwszy raz pobiegła z tłumoczką pod las, do lasu. A w nim matki dziecko. Spłodzone na zapas, bo zawsze któreś może odejść. Jeśli już w '45 Maria biegnie z dzieckiem, to kiedy właściwie matka, kiedy kobieta w ogóle bywa słaba, a kiedy silna? Kiedy przestaje być dziewczynką, bo zanim przestanie, a jest najstarszą córką, wiadomo, że właśnie ona musi być dzielna. Nie wiadomo dokładnie, czy dzielna to to samo co silna. Przecież Maria biegnie wcale nie tak szybko, jak jej każą, i ma nawet wrażenie, że upadnie, dziecko w tłumoku ciąży jej i wrzeszczy, osuwa się do kolan, ona wlecze je właściwie bardziej, niż trzyma, wlecze samą siebie wlepioną w to okutane ciało, ale potem już przyciska mocno i wie, że była dzielna, chociaż jej tego nie powiedzą, matka jej wyrwie braciszka i każe zająć się obieraniem kartofli, zostało jeszcze trochę w kopcach. Nie ma co gadać, to normalne. Maria, chociaż wyniosła i ochroniła coś, co waży połowę jej samej po każdym większym posiłku, coś, co krzyczy głośniej i nie pobiegnie samo, jest po prostu córką. Dzielna przedtem, potem decyduje się z nimi nie jechać. Nie chce z nimi zasiedlić zabudowań we wsi, gdzie mieszkają inni ze Wschodu, nawet i z Sambora, i spod Drohobycza. Stawia się, nawet mniej niż sądziła, nawet bardzo nie musi. Bo jest argument: w mieście wykształci się i pomoże, zawsze córka ma ten obowiązek, rodzeństwu, rodzinie. A w domu zostaje, do pomocy, całkiem duża, młodsza siostra. Oraz bracia, których przeznaczenie jest całkiem inne.

JANEK, URODZONY 1940

Janek to nie było najpierw serialowe imię. Kto słyszał o serialach? Janek, Jan (Johann?), tak można dać chłopcu na imię. Bardzo dobre dla chłopca jest takie proste imię. Lepsze może byłoby Józef, jednak już zajęte. Może w tym przypadku imię to nadano na wyrost. Nie wiadomo, czy wypada tak nazwać bękartą, może nawet gorzej, bo kto wie, czyim on jest naprawdę synem? Tylko że to obchodzi ludzi raz w tygodniu, przy wyjściu z kościoła. Dobre miejsce do zadawania pytań. Chrześcijański obowiązek. Kiedy tam jest ona, czysta i robotna, a obok ten, czysty i posłuszny, dzieciak, ktoś sobie o tym, że nie wiadomo czyj, czasem przypomina. Takie imię przyszło matce do głowy pierwsze i ksiądz proboszcz ani nie protestował. Surowo zapytał o chrzestnych, ale był dobry człowiek, znał od dawna rodzinę, szczególnie bożego człowieka, kobietę babcie. Wiedział, że wojna. Spowiedzi młodej matki wysłuchał. Co trzeba wziąć. Nie gadał za dużo. Pokutę, jak trzeba, zadał. I nie gadać więcej o tym. Milczeć i robić. Tak trzeba.

Chociaż w 1940 to była tylko jakby z nazwy tu u nich wojna. Raczej przelatowały samoloty, jechały pociągi z wojskiem. Oczywiście, wszędzie też jakiś Niemiec kwaterował. Co nie tak bardzo zmieniało sytuację, bo każdy i tak pracował jakby na swoim. Chyba że kogoś wykwaterowali do bocznych zabudowań, wtedy miał gorzej. Ale nowy w majątku był i tak zawsze panem. Część wsi umiała się z nim po niemiecku dogadać. Bo część wsi, jak babcia i dziadek, pracowała jeszcze przed pierwszą wojną w Niemczech, czyli też u Niemca. Przed i po pierwszej wojnie. Na dobrą, a może się okazać na nie najlepszą sprawę, mogliby ubiegać się na folksdojczka (albo i więcej), czego nikt nie zrobił wówczas w tej rodzinie. Zrobią to w swoim czasie, za kilkadziesiąt lat, ich wnuki, wyciągając pracę u Niemca w tym 1940 i jeszcze w 1945, ale też, że ktoś z wujków urodził się pod Lubeką, to się nazywa „Lübeck”. Na to nawet bardziej niż na wojenną krzywdę się powołując, nie ma co wciąż, kurde, krzywda i krzywda krzycheć. Honor się ma, dziadek nawet czytał po niemiecku gazetę bardzo płynnie. Jasne, babcia też. Książkę miała. Modliła się na niemieckiej książce. Bo jej dobrze było u Niemca. W wielkim świecie. Przywiozła stamtąd bieliznę, filiżanki, obrusy. Ozdoby na choinkę, piękniejsze, niż mogło się przyśnić dzieciom na wsi. Całe scenki na bombce, kolory jak ze snu. Podświetlone świeczkami wciągały w sam środek stajenki, pod choinkę, pod płatki śniegu otulające bałwanka. Takie prawdziwe, a nieprawdziwe. Bajkowe. Jak kwiatuszki na fajansowej misce, lepsza wersja łąki za domem. Dziadek za Niemca w urzędzie przy majątku robił, wcale go nie zwolnili. Zatrudnili, prawie za urzędnika. Dobrym był pracownikiem i znał język. Czemu miałby nie robić? To wiedziały starsze dzieci i matka-babcia. Jego żona, zwana przez niego matką. A jak miałyby być nazywana? Bycie matką to stanowisko w sam raz na całe życie kobiety.

Janek to dobre imię dla chłopca na wsi. Dla wnuka urzędnika. Bo wnuk to wnuk, nawet jeśli skarcić najpierw za brzuch trzeba było córkę. Dobrze, że chłopiec, zawsze sobie poradzi. Wyjdzie na ludzi. Tymczasem, zanim na tych ludzi będzie wychodził, prawie go pod tym imieniem nie widać. Jak pod czapką po wujku, który gdzieś całą wojnę się podziewa. Czapka zakrywa uszy, wpada na nos, ukrywa miny Janka. Chłopiec robi miny, jak nikt nie widzi albo jak widzi babcia. Babci nie szkodzą miny. Babcia się na miny uśmiecha. Mały chłopiec może zawsze się gdzieś schować, w czyichś rzeczach, w fartuchu babci, w minach. Ktoś zawsze coś ma do pożyczenia albo i dania małym chłopcom. No, masz, zjedz se, mówią, dając mu co lepsze, co się starszym, najbardziej najstarszemu w rodzinie należy. Czyli to zawsze jest ten, kto zarabia najwięcej. Ojciec. Tak nazywają dziadka. A dają kęsy małemu. I nawet jeśli trochę go poszturchują, bo wiadomo, że nie ma ojca, nikt im szturchańca mocniejszą pięścią nie odda. Ma tego dziadka, który dla wszystkich jest taki ważny jak ten Pan Bóg nad

ołtarzem, o którym babcia często mówi. Tyle że dziadek jest zadowolony, a Bóg ukrzyżowany. Tyle tylko że dziadek tak od razu mordy za wnuka nie obije. Nie zawsze starcza mu czasu. I zna kolej rzeczy. Bękart i mały, musi swoje odebrać.

A matki nie będą za to szturchać, bo na razie jest wojna, a po wojnie to matka sama pojedzie szukać miejsca, do Poznania, bo trzeba zarabiać i nie wstydzić się więcej chodzić do spowiedzi. Więc pytać o ojca, o poczęcie, będzie można tylko chłopca. Matka była pobożna, robotna. Młoda, wiadomo jak te młode. Każdy wiedział. Więc skąd jej się ten brzuch...? Tego nikt dokładnie nie wiedział. Wszyscy wiedzą, że wojna. I nie wszystko można tak dokładnie policzyć, przypilnować. I zabrała się, żyje w świecie, podobno ma rodzinę, więc nikt nie będzie tego pamiętał. Wyszła bardzo, bardzo na ludzi, poza tym jak jej nie ma, to kto ją sięgnie. Co innego dzieciak. Nikt nic do niego nie ma. Tylko tak, szturchnąć, bez złości. Nie takie rzeczy były. Dać co lepsze w łapę, żeby się nie mazał. Jak się powiedziało, tak się zrobi. Nie da się zmarnować dzieciaka. Będzie się tu uczył przy dziadku. Potem, bo teraz wszyscy muszą przeżyć, jest wojna. Kto nie przeżyje, pod płótem zgnije.

Kiedy trafia do szpitala w Pleszewie, jest chyba najmniejszy. W rodzinie, na wsi, na sali, wygląda, jakby był najmniejszy. Mieści się w nogach babcinego łóżka. Babcia nie śpi z dziadkiem, potrzebuje spokoju, jest chora. I to się praktykuje w świecie, takie rzeczy widzieli u Niemców. Nie ma potrzeby spać z chłopem w jednym łóżku, jak się już nie jest bardzo młoda. Każdy może pod swoją pierzyną, pod makatką „Dobra żona tym się chlubi, że gotuje, co mąż lubi” albo i inną. No i dzieci też trzeba mieć nie więcej niż pięcioro, pięcioro to jest bardzo porządna rodzina, trzeba pracować, wszyscy muszą pracować, jeśli mieliby więcej bachorów, kto by pracował? Sam tylko ojciec by pracował? A jak by podzielili ojcowiznę? Czym by zapchali gęby? Trzeba by się potem, między rodzeństwem, prawować. Babcia też chce i musi, nie wszystko jednak. Mieć dzieci, wyrękę, szacunek, razem do kościoła. Pracować, już nie w świecie, ale na swoim, drapać co dzień tę żyzną, przyszlą, dla dzieci ojcowiznę. To się od ojców, a ojcowie to też matka, tak nazywa. Nie są ciemnotą. Praca za marki to więcej niż tylko oranie zagonu po rodzicach. Można dokupić, dobudować, zadbać.

W łóżku babci jest miejsce dla dzieciaków. W łóżku babci babcia nie rodzi od dawna. Bóg wie, ile dzieci ma przypaść na morgę, ale trzeba mu pomóc, trzymać chłopca na odpowiednią odległość. Nic o tym, oczywiście, nie gadać. Trzymając miejsce w łóżku dla dzieci. Jak są dzieci, chłop nie przyjdzie. Honor ma i rozumie. Zgodliwy. Niejeden raz się zdarza, że stara baba rodzi, co nie bardzo wygląda, szczerze mówiąc. Rzuca światło na małżeńskie łóżko. A dziadek nie. Boga się boi. Dla Janka też jest w tym miejscu miejsce, dla niego nawet dłużej niż dla innych. Bo wnuk to też zwolnienie. Jak kobieta ma wnuka, jest babcią. Wnuk śpi wcale nie zawsze w nogach, na poduszce babci też, ale teraz babcia i on są chorzy. Lepiej oddychać w inną stronę. Każdy niech w swoją oddycha.

Janek nie ma żadnej zakaźnej choroby. Janka boli. Ślepa kiszka, znaczy wyrostek. Obie nazwy dziwne, dziwnie brzmią, babcia musi wytłumaczyć. Jaka to kiszka, do czego? Janek mało pyta, ale babcia czuje, że trzeba dzieciakowi coś mówić. Najpierw myśleli, że jakaś cholera. A to wyrostek albo przepuklina? – dziwią się cioście. Nie tak źle wobec tego. Jest najmniejszy też w sali szpitalnej, wśród innych dzieci. Nikt takiego małego dziecka bez potrzeby do szpitala by teraz, przedtem zresztą też, nie tylko za Niemca, nie targał. Małe wychoruje się w domu. Bycie tu małym dzieckiem jest tak samo dobre jak bycie skrzatami babci w nogach łóżka. Siostry się uśmiechają, lekarz się uśmiecha, chorzy mężczyźni mówią: co ci, kozoczek? I dzieliliby się zaraz wszystkim, ale przecież nie wolno niczego wziąć, babcia prosiła. Bebeszek trzeba rozciąć i nic w nim tam być nie powinno. Jasne, zobaczyliby wszystko w środku, co tam jadł Janek, na przykład gruszki z sadu sąsiada. I ten kawałek z omastą, który mu babcia oddała. Masz, podjedz. Zresztą jak boli, to się już nawet jeść nie chce i nikt nie ugotuje tak dobrze jak babcia, więc warto poczekać. Tak sobie myśli w małej głowinie, pewnie tak se myśli.

Nie zawsze najlepiej być małym. Bo chociaż prawie go nie widać, kiedy idzie z młodszym rodzeństwem mamy (które jest od niego, oczywiście, starsze) przez wieś, zawsze ktoś go zobaczy i oceni, że jak taki mały, to można. Zakląć, popchnąć, wyśmiać. Póki co, to i tak nic takiego. Najgorsze zacznie się po wojnie. W szkole, najgorsze zacznie się pod dyktando nauczyciela. Najgorsze miejsce dla dziecka to szkoła. Specjalnie tak zrobiona, żeby była krzywda. Nauczyciel, z tej wsi, wróci tu i będzie musiał zawsze powiedzieć swoje. Przy każdej okazji. Okazji będzie mnóstwo. Co robi mama? A tata? Kim jest, Jasiu, twój tata? Nie, on mówi ojciec. Kim jest, Jan, twój ojciec? Przestał nagle, choć nie bardzo urósł, być Jasiem. Nie wiesz kim, może koledzy ci podpowiedzą? Śmiech, proszę śmiać się głośniej. Każdy wie. Ojciec Marysi jest na przykład produującym rolnikiem. Ojciec Hanki pracuje na kolei. Robi na kolei, tak nawet, w zdenerwowaniu już, krew mnie zaleje, nauczyciel powie. A ten tłumok stoi i nic nie mówi. Widzicie dzieci, może ktoś mu pomoże, żeby bardziej godał? A matka nie może przyjść? Znów przyjdzie babka? No to niech o jajkach nie zapomni babka, bo ma niegrzeczного wnuka, który nie odpowiada na najprostsze pytania, zagiął róg zeszytu, nie umie przeczytać. Babcia musi w tej sytuacji znów nazbierać dla pana nauczyciela jajek. Niech ino leci do kurnika. Pan nauczyciel jest tu teraz panem, od kiedy pana w majątku my przegnali: – Pamiętaj, ja tu teraz ważniejszy od księdza. Pamiętaj. Jakby nie pamiętał?

A z wojny Janek pamięta w tym szpitalu dobrą Niemkę.

O nią nauczyciel mógłby spytać. Tego mu chyba nie wolno, jest coś, czego nie wolno. Przyniosła chorym placki. Rozdawała placki, przy Janku zatrzymała się na dłużej, bo był najmniejszy. Bardzo dobra Niemka, nie wiadomo, kim była. Gdzie był jej ojciec? Brat? Mąż? Syn? Nikt jej o to teraz nie pytał. Może potem, może... Może też bez pytania ktoś jej pokaże, co myśli o tych bliskich członkach rodziny, których w czasie wojny na pewno tu z nią nie ma. Na razie idzie przez sale i rozdaje jałowe placki biednym Polakom. Pracuje na to, żeby nikt nie pytał, chociaż może i ma co opowiedzieć i wcale nie chodzi jej o to, żeby nie pytać. Przeciwnie, ona się tu pokazuje i prosi, ale nikt nie ma odwagi na pytanie. Biedni Polacy nawet jakby czekali na te placki. Bez pytań. Teraz ona ma może i co opowiedzieć, może ma na zwycięskim froncie męża ojca wuja stryja brata syna. Bo potem nic nie będzie chciała powiedzieć, kiedy ją ruski zapyta. Nie będzie wyglądała tak dostojnie miło nijako. Koścista wredna miła niemra. Zupełnie inaczej, inaczej, w chwili, gdy ruski zapyta, będzie niemra wyglądała. Myśląc o plackach, które z dobrego serca piekła i roznosiła. Z wody, mąki i niczego w środku plackach. Bo ona naprawdę dobra była, co straci ślad znaczenia, kiedy ruski o to wreszcie zapyta. Trzeba było zeżreć w domu te placki, a nie z nimi po szpitalach z polaczkami chodzić. Widać Matka Boska tego akurat nie widziała, bo nie pomaga dobrej niemrze w godzinie ruskiej odpłaty. Matka Boska miała swoją robotę, w innej okolicy.

Janek chodzi jednak do tej szkoły, bo przecież w pobliżu nie ma innej. Mało tego, Janek nigdy nie skarży się na nauczyciela. Jako mały, co prawda z czasem wcale nie najmniejszy, nie będzie się skarżył. Pan nauczyciel jest nieomylny, tak jak ksiądz, dziedzic, którego już nie ma, a wciąż się mówi o jego byłym majątku majątek (majontek), chociaż tam teraz jest sierociniec. Dzieci w tym sierocińcu są małe, mniejsze od Janka, i nie znają żadnej odpowiedzi na pytania, których im się nie zadaje. Dużo milczą. Pytane, dużo krzyczą. Nie wiadomo, na jaki temat. Tak w ogóle. Milczą albo krzyczą. Mówić, drodzy państwo, nie umiom.

Oto pytanie, które stawia, dość regularnie, nauczyciel: kim są wasi rodzice? Co robią, to musi mieć tu taką formę, wasi ojcowie? Ale nauczyciel się zmienia, zabierają go ze szkoły, bo pytanie jest jednak niedzisiejsze. Nie w sensie gramatycznym, ono wówczas staje się niepoprawne politycznie, czego nikt, rzecz jasna, tak nie nazywa. O co mu z tymi ojcami (ojciec + matka, ale ojciec na pierwszym miejscu zawsze, tak jak najpierw całujemy rękę dziadka) chodzi? Niektórzy ojcowie są naprawdę słabo uchwytni, jeszcze nie wrócili z wojny, więc może trzeba by przestać zadawać głupie pytania i nie witać się już tym wiejskim:

„pochwalony”, „w imię ojca i syna”, i nie czekać od dzieci na „wiki wików”. W zamian dzieci dostaną, nie lepszą, nauczycielkę. Ale będą bardziej w sprawie „pochwalony” świadome. Pochwalony to będzie w szkole kto inny niż w kościele, do którego co niedziela, nikt im tego nie zabierze, na rano chodzą. Kogo obchodzi czas wolny wiejskiego robotnika? Szczerze mówiąc, nikogo za bardzo. Mimo że nie ma Niemca, dziedzica i przedwojennego chleba. Jest za to sprawiedliwość. Którą trzeba docenić i odpłacić.

A jak front już był bliżej. Najpierw jechały specjalne pociągi. Sąsiadka mówiła do sąsiadki: Żydów wiozą. Najpierw żydy, potem my. Odpowiadała druga sąsiadka. Ta, której rozstrzelali brata. Za partyzantów. Potem jakby zrobiło się ciszej, Niemców już nie było. Jeszcze czasem któryś zabłąkany zajrzał do domu, nawet niczego nie chciał, może wody i chleba. I Janek przez całą wojnę, co niedokładnie pamięta, śpiąc w łóżku babci, nigdy śmierci nie widział. Może mu oczy zakrywali? Nawet w szpitalu nie. Tylko chorych. O sąsiadach, o rozstrzelanym bracie sąsiadki, długo po wojnie, jak już można było mówić, ale jak wyjechał, to długo nie wracał, nie odwiedzał. Najpierw ludzie nie mówili, trzeba to komu kłopotów. Praca, owszem, zaraz właściwie była, na kolei, w Kotlinie, w zakładach. Wszyscy jedli słoiki. W dawnych majątkach. I na swoim, każdy miał na swoim całkiem niezłe fajne morgi. Więc co tu gadać. W wojnę front było słycać, ale z daleka. I wieźli Żydów. Żydów z daleka, tu nie było wielu. Paru się znało. Naszych, to znaczy Polaków, nie zdążyli wywieźć. Dopiero potem, jak Janek już nie będzie wracać, okaże się, komu kogo Niemce zabili. I kto w tych wagonach, w wojnę i po, jechał. Jak babcia wychodziła dać im wody. Stała tam wyprostowana, ładna. Ładna była. Z trwałą ondulacją, nauczyła się ondulować włosy w tych Niemczech, płyn firmy Szwarzkopf, to znaczy czarne włosy, i w wojnę też to robiła. Wolał taką wyprostowaną babcie nawet od babci wieczorem, przytulonej. Od babci w letniej kuchni, zagniatanej ciasto. Babci śmiejącej się przez ułamek sekundy, kiedy zobaczyła go w za dużej czapce. Najbardziej wolał od tej babci, którą była, kiedy przychodził ksiądz proboszcz. Nachylała się szybko do ręki dobrodzieja, długo całowała, ksiądz był z tego zadowolony, nie patrzył na Janka. Siadał i jadł. – Chce ksiądz dobrodzieju zjeść co? – zawsze pytała. Taką miał ciężką robotę. Nie odmawiał. Jankowi nie chodziło o spyrkę. Jankowi chodziło o za szybko schylające się plecy babci. Bidulka już wtedy, mówią po latach z ciotkami, chora była. Ciotki mówią o samej wojnie, nie o wizytach księdza. A Jankowi nie podoba się, bo co będzie, jeśli babcie bardziej krzyż rozboli od tego szybkiego ruchu? Więc woli babcie wyprostowaną, kiedy idzie na tory, gdzie ksiądz, Boże broń, nigdy nie ma. Janka zawsze zostawia: – Nie liź za mną. – On i tak, z tyłu lizie, babcia musi to czuć.

Ale dopiero front, wojna to byli ruscy. Najpierw szła armia, prawdziwa. Poubierani, z bronią. A potem to już taka zbieranina, bele jaka. Karabiny na sznurkach i buty. Richtig dziady, nie żołnierze. I to właśnie oni przynieśli wojnę do domu dziadków Janka, to znaczy do domu Janka. Wszystko brali, co wpadło w ręce. Kazali sobie dać jeść, pić, na zapas. I ganiali kobiety. Dziadek młodym kobietom, córkom – to znaczy ciotkom, którym Janek mówił po imieniu – i babci kazał się chować. Janek chował się z nimi, z babcią, widocznie dziecko nie jest mężczyzną. Mieli przejście w stogu, bardzo tam było przyjemnie, pachniało sianem i do babci blisko. Taka prawie zabawa, gdyby nie strach tych kobiet, który Janek czuje, chociaż jest dzieckiem. Zapach strachu i miękkie kobiece piersi. Wtedy coś prawie zobaczył. Tak, jednak chyba śmierć widział.

Raz, wtedy, dziadek Janka poskarżył się oficerowi. Za kobiety od sąsiada, mówili, a bardziej Janek widział, za garnek smalcu. – Bo też trzeba, panie oficerze, coś jeść. Długa zima. – Dziadek umiał powiedzieć. Więc oficer, ruski, w ładnym mundurze, wyprowadził za dom tego młodego, który zjadł im smalec. I jeszcze coś chyba zrobił u sąsiadów. Tylko czy dziadek się do tego wtrącał? Janek widział to, bo wyprowadził żołnierzyka, wydawał się mały, na drugą stronę. Tam, gdzie siedzieli, za ścianą stodoły, z siostrami mamy i babcią. Nawet mu nie zakryły oczu, bo nikt nie pomyślał. Oficer kazał temu żołnierzowi stanąć, wyjął

pistolet, podniósł i strzelił. Janek zobaczył, ale jakby nie widział. Jak ten chłopak upadł, Janek i tego nie widział. Babcia mocno zakryła mu oczy, potem. Więc właściwie śmierci nie widział bezpośrednio, chociaż w patrzeniu uczestniczył, tam w stodole. Co zobaczył, tego i tak nie widział. Widział wewnętrzną stronę babcinej dłoni. Śmierć minęła go bokiem, a była tak blisko. I znał tę opowieść bardziej w wersji powtarzanej przez ciotki. Oni idą, zabierają. One się chowają (Janek nie wie, dlaczego właściwie, przed czym się chowają). Czasem ktoś, dziewczyna, płacze. Jak pójdą, podniesie się i będzie spokojna. Potem będzie tego za dużo. – My uciekali – mówią ciotki. Nawet jak już mieszkają w mieście, dalej „my uciekali”, mówią. Może „uciekały”? A może liczą do tej ucieczki Janka? Bo mieli rozkaz, tu akurat tak się nie zachowywać, ruscy żołnierze. Ale puszczały im nerwy, Berlin pachniał krwią, byli blisko. Jak mieli odróżnić? Kogo od kogo powinni odróżnić? Dlaczego mieliby tych poodróżnianych oszczędzić? I wygłodzeni byli, jasne. Bardzo spragnieni. I wódkę cały czas pili. Więc dziadkowi tego garnka smalcu było już za dużo. A umiał rozmawiać z oficerami. Ruskiego nie znał, tylko że ruski język bardzo podobny.

Tak było. Taką opowieść znał: – Nie było litości. Wyprowadził, zastrzelił, a my go musieli zakopać. – W końcu może dziadek trochę żałował, że się skarżył? Kto chciałby u siebie za stodołą ruskowi grób kopać? Dziadek kazał swoim synom ruskiego zakopać. Bez śladu, bez kopczyka. Bo kto wie, kto jeszcze tędy przejdzie? I co może się okazać, co zagrozić za ruskiego żołnierza? – Biedni oni byli, armia z giwerami na sznurku. Bez butów. Nie to, co Niemcy, takie eleganckie żołnierze – mówią i mówią. Tyle widzieli. Gadaniu nie ma końca. Ruski i ruski. Palce przykładane do twarzy pachną zawsze czymś, przysłaniają obrazy, ale przede wszystkim pachną.

Więc kiedy Janek ma te siedemnaście lat, wie już niejedno. Gdzie leży żołnierz, jak z nim było, zna jego ostatnią drogę, w której, w pewnym sensie, asystował zza kobiecych palców. Nie wie dokładnie, gdzie Niemcy zabili wujka. Nie wie też, czemu w szkole, na szczęście już nie jego, on skończył na czas, uczy kolejny nauczyciel, chociaż poprzedni tacy dobrzy byli. Nie wie, dlaczego miałby całować w rękę proboszcza, odkąd babcia nie żyje. Co miałby robić na wsi, chociaż dziadziś od śmierci babci złagodniał, zrobił nawet dla niego mały zapis. Jednego nie wie najbardziej i mocno: czyim jest synem. Bo matka też przyjeżdża rzadko, na groby. Czyli podwójnie: wie czyim jest wnukiem, a nie czyim synem. Zawsze pod ręką starca, który obiecał, że nie da wnuka zmarnować. Więc postanawia jednak pojechać tam, gdzie to pytanie pojawi się tylko w ankietach. Odpowiedź „nieznany” będzie w tych ankietach może nie całkiem dobra, ale lepsza od „urzędnik”. Szczególnie przy zawodzie matki. Powiedzmy, pochodzenie będzie się liczyć prawie tak, jakby był chłopsko-robotniczym synem, chociaż nieznany ojciec może się okazać jakimś ojcem do ukrycia. Janek niczego nie chce ukrywać. Chce przestać całować proboszcza, dziadka, wujków w rękę i odpowiadać śmiechem na śmiech. Kiedy mu już dawno nie do śmiechu, bo przestał, gdzieś po wojnie, zniecka dla samego siebie, być małym Jankiem. I zapis może okazać się za bardzo niesprawiedliwy. Dla kogo? Odkąd babci nie ma, a dziadka może zabraknąć, wujkowie i ciotki byłego małego niezbyt lubią. Zawsze żartują, a jemu nie jest tak do końca do śmiechu, to wszystko. Lepiej na czas zasłonić oczy dłonią.

ULA, URODZONA 1930

Ula to oczywiście spolszczone imię. Ulrike, tak miała w papierach, zanim je głęboko schowała. Ojciec nigdy tak do niej, na przepustkach, które się dawno skończyły, i wcześniej, ojciec, którego prawie nie było, inaczej nie mówił. Nie lubił zdrobnień. Jako inżynier zatrudniony w stoczni, spec od budowy pięknych statków, też ich nie używał, chyba że w niedzielne popołudnie, po powrocie z wycieczki do mamy. Dla mamy miał sporo zdrobnień. Czułości. Prezentów. Pomysłów na przyszłość. Wiary w plany narodowych socjalistów. Że będzie dobrze i sprawiedliwie. Niewiary? Planów, planów na dobrą przyszłość, tylko trzeba się włączyć, nie stać z boku.

A tak to nie. Mało zdrobnień. Czasy są ciężkie, poważne, wkrótce oczywiście będzie lepiej, ale dzieci nie należy rozpieszczać. Nawet dziewczynek. Kupowanie zabawek, wyjazdy nad morze, kanapki przygotowane w domu i zabierane, żeby jeść w wiosenny, letni, jesienny czas podczas podmiejskich spacerów – tego było podobno, mówiła mama, dużo. Ula dostała tego od ojca, jako najmłodsza, dużo. Szczególnie na samym początku, przed '33, jasne, potem też. Aż po '39. Nawet kiedy oni byli mali, ona jednak młodsza. Najmłodsza w rodzinie, gdzie dwaj – starszy i od niego młodszy – bracia. Jednak to się jakoś szybko chyba skończyło, kanapki, lalki, wyprawy, rozluźniona twarz ojca, szczęśliwy śmiech matki, bo dziewczyna tego właściwie nie pamięta. Pamięta, żeby nie przeszkadzać tacie. Cóż, kiedy ten jest pod Stalingradem, nie trzeba uważać, żeby się nie denerwował. Daleko. Szkoda, że mama tak tego nie czuje. W dodatku ma się okazać, że nawet jak jest Bóg wie gdzie, na swój sposób teraz to on im przeszkadza.

I na nic karcenie, na nic mówienie w pustym pokoju, w zimnym łóżku, co robi mama.

Jej bracia też są prawie dziećmi, kiedy dostają karty mobilizacyjne. Niby przez te różne świetne organizacje kształtujące ciało i ducha przygotowani. Matka nie stara się nawet starać nie płakać. Matka łka głośno albo patrzy przed siebie. Układa poduszki na łóżku, dużym, drewnianym, małżeńskim. Inne, haftowane bogato, układa na białym parapecie, wygląda, cały dzień mogłaby tak wyglądać, gdyby nie sąsiadki. Wygląda i dla nich, licząc się jednocześnie z ich o tym zdaniem. Normalnie wygląda się z sąsiadkami, tak się robiło przed wojną. Jak już było sprzątnięte, uprane, ugotowane, dzieci, zostały przecież w domu, dziewczynki i mali chłopcy, schludnie odprowadzone gdzie trzeba. Nie wszystkie miały szczęście i jeszcze, podczas wojny, miały co robić. Niektórych wszyscy synowie byli na tej zmiennej jak pogoda wojnie. Zwycięskiej, skłaniającej do dumy, niepewnej, przedłużającej się, my na pewno, kompletnej klęsce, której nie zapowiadały żadne znaki na ziemi i niebie. Na świeckim, pełnym niemieckiej chwały niebie. Bóg, podobny do żołnierza Wehrmahtu i do pana Stoffa z kawiarni w parku, miał czuwać nad dystrybucją chwały i szczęścia, polegającego między innymi na oddaniu czego trzeba komu trzeba, ale chyba to była propaganda. Nie ma o tym z kim, choćby przez okno, porozmawiać. Inne kobiety są o wiele bardziej łatwowierne. Za to w pewnych kwestiach nierozmowne. W innych tak. Przepisy i nowa sukienka tej spod dziesiątego. Prowadzenie się tej spod piętnastego i plony z jabłoni rosnących w podwórzu. Tematów pod dostatkiem.

Poduszki w oknie i sąsiadka z przeciwka mogła widzieć, że u niej wszystko na czas zrobione. Machała czasem, z przeciwka, sąsiadka. Ulica była w tym miejscu szeroka, kamienica od kamienicy daleko, porozmawiać można było co najwyżej, zaglądając na balkon z prawej albo z lewej, nie z tą z drugiej strony. Ale widziało się fryzurę i bluzkę, a przede wszystkim było jasne, że tam, u niej, krzesła przystawione do stołu równo, w kuchni pełna mobilizacja, kurz starty, w szafie poukładane też równiutko. I można sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Bez narzekania, tego się nie praktykuje, na kartkowe reżimy i na to, że

listy z frontu docierają ostatnio, führer chwali kobiety za ich wierność i siłę, rzadko. Można było odetchnąć przed zakupami (po wczorajszych?) i gotowaniem. Więc bez przesady, nie za długo. Nie pozostawiając pustej kuchni. Tak mija czas kobiet między oknem a kuchnią. Dopiero dostaną swoje karty mobilizacyjne.

Ale nie wiadomo gdzie jest ojciec, matka też tego nie wie. Nie zawsze wie, gdzie są Uli bracia. W końcu nikt nie wie, gdzie kto jest i jak się to skończy. Kto kogo gdzie i kiedy odszuka. To można niewątpliwie nazwać damską mobilizacją. Trochę statyczną, póki co, mobilizacją. Nie pierwszą zresztą mobilizacją. Kobiety w tym państwie wypełniały ważne zadania. Tym razem muszą nauczyć się pokory. Nagle samo czekanie na mężczyzn, na to, przestaje wystarczać. Nie ma natomiast pomysłu na inne czynności, na cokolwiek innego. Brak jakichkolwiek możliwości.

Aż matka podejmuje pracę. Dostaje przydział. Ileż można oglądać naszych żołnierzy w Ufa Palast, w kinie? Jakież to w końcu odruchowe. Każda kobieta, będąc kobietą, kobieta. Do pracy chodzi pieszo, ma naprawdę blisko. Pierwszego dnia wstaje o wiele za wcześnie, układa za długo kromki chleba na talerzykach, za szybko stukają jej obcasy na schodach. I za dużo mówi, żeby po paru dniach nie usłyszeć w jej głosie zmiany. I zmiany w tym, że najpierw przynosi rzeczy, prawie nowe, a potem przestaje je przynosić. I w tym, że Ulrike nie ma już obowiązku czekać na nią na rogu, odprowadzać jej do domu, i trudno doprosić się o pozwolenie odwiedzenia jej wreszcie w pracy, w biurowym, niedużym pokoju, gdzie zajmuje biurko z ładnym widokiem na ulicę.

Ulrike, oczywiście, tam ją odwiedza. Pomaga liczyć coś, nie wie co. Podliczać rzędy cyfr. I dopiero rozmowa mamy z sąsiadką co nieco wyjaśnia. Charakter tych cyfr, ich, można powiedzieć, odniesienia. To miejsce pracy jest zapleczem sklepu-magazynu, w którym kupują więźniarki z półotwartego obozu, mają prawo do kompletu odzieży zgodnie z porą roku, raz na pół roku, ewentualnie mogą dokupić coś więcej po normalnej cenie. Państwo dba nawet o nie. Poza tym mogą i chętnie kupują tu Niemki. Ot, grzebią w stosach, przebierają między wieszakami. Dziwne, dziwne, demokratyczne podejście. Owszem, sklep jest duży, ma oddzielone regałami dwie strony. Z jednej te wystraszone, w chustkach na głowie i chodakach na stopach, z opaskami na ramionach. Z drugiej, chętnie w parach, rozgadane, patrzące na tamte pobłażliwie, a czasem nawet. Czasem się zdarza, że jakiś łaszek, kupiony na te inne, dobre kartki, albo za te inne, łatwiej przychodzące marki, jakiś tam łaszek, któregoś tam odstępujące. A na zapleczu, za sklepem, z boku i w piwnicy – jakieś inne kobiety, też z opaskami na rękawach, zaangażowane w jakieś szycie-prucie, sortowanie. Więc to są te wszystkie liczby, składowe buchalterii, do której skierowano mamę. Sztuki bielizny, palce zaangażowane w prucie, marki, kartki. Jednostki przeliczeniowe. Kilogramy i sztuki worków. Miejsca, z których to się przywozi. W końcu list ojca o lalce i semickich rysach. Zdanie wypowiedziane do sąsiadki, półgłosem: – Ja jednak nie chcę tego nosić, wie pani, higiena. – Ależ może być pani spokojna, to wszystko po dezynfekcji – też szeptem udzielona rada. I matka myjąca potem filiżanki z Miśni tak długo, tak długo, jakby chciała z nich zmyć kwiatowy wzorek.

Przywykła, mama przywykła, praca bardzo dobra, w służbie ojczyzny, nie miało się wrażenia, że podczas gdy mąż i synowie starają się jak mogą, ona tylko o siebie i poduszki się stara. Nie na darmo kończyła przed wojną, przed ślubem, w innej epoce, szkołę. Jednak ciuchów raczej nie przynosi, raczej. Czasem zostaje po godzinach, potoki futer, sukienek, swetrów. Odkładanie na bok, dla kierowniczkę, dla innych, lepszych klientek. Wszystko spisane, domniemana wartość. Czasem robi się pustawo, prawie pusto. Czasem zarządzenie specjalnej akcji, dziewczyny w wieku Ulrike przychodzą do bocznego pokoju drzeć pościel na bandażę, z którymi niekoniecznie wiadomo co robić, trzeba je pakować, opisywać, organizować wysyłkę. Czasem cyfr jest tyle, ciuchy zalewają magazyny, a potem szefowa

nakazuje inwentaryzację. Resztki, w oczekiwaniu na spóźniający się, w końcu nienadchodzący transport. Mama coraz lepiej, automatycznie, liczy i kaligrafuje wynik.

Najpierw sama mówi do niej „Ulrike”, żeby było poważniej, jest w końcu też już poważna jako czekająca nadaremnie żona i matka, gospodyni i pracownica. Potem tym bardziej, nie chce wyjeżdżać, czeka, wszystkie sąsiadki, nawet ta z przeciwka, mówią, żeby jechać albo, nie, żeby czekać. Zmieniają zdanie często, chyba że mają rodzinę w znanym miejscu przebywania i tam, oczekiwane przez tę rodzinę, mogą się udać. Nie ma mowy, w tym zamieszaniu, o przesiadywaniu w oknie: – Ulrike, chodź tu. Zamknij okno. Chodź. Mama czeka. – Nie pracuje, nie chodzi do zamkniętego magazynu, tylko odbiera kartki, potem nie ma ich gdzie odebrać, czekać, tylko czekać.

Wszędzie wokół gruzy, gruzy, nie wiadomo, czy sąsiadka zdążyła uciec, kiedy rąbnęło w tę kamienicę. Ich dom, w samym centrum, pozostał prawie nietknięty. Tak wygląda od frontu. Jakby lotnicy mieli naprawdę dokładne mapy z adresami dobrych Niemców, którzy o niczym złym nie wiedzieli. Dobrych matek czekających na wychowanych jak się patrzy synów. Matek pracujących przy cyfrach. Ula idzie, po jednym z nalotów, w głąb mieszkania, do części zajmowanej przez doktora Krause, który nagle zniknął i widocznie nie był dobry. Jako człowiek, bo lekarz i owszem. Za zakrętem korytarza wejście frontowe, nienaruszony gabinet. Fotel dentystyczny, Ula siada w nim, zawsze chciała spróbować. Siedzenia na sucho, bez bolącego zęba. Wizyta umówiona była wobec tej wymyślonej erzacem. Nawet kiedy doktor borował jej zęby, myślała o zabawie w tym miejscu, o dotykaniu chłodnych narzędzi i w ogóle się nie bała. Teraz są tu, pokryte warstwą pyłu, niesterylne i niezabezpieczone. Zostały narzędzia. Pocisk trafił w tylną ścianę budynku. Gabinet ma teraz coś jakby dodatkowe okno, nieprzysłonięte papierem do zaciemniania. Wyrwę, aż boli. Zabiera narzędzia, zawija w szmatkę, chowa, zaciera ślady. Ma coś, kapitał.

Ula nie ma ochoty na zabawę. Siada w fotelu i myśli, że wolałaby wyjechać. Tu jej nie znajdują, może przemyśleć spokojnie tę sprawę. Ale matka zaczyna mówić do niej zdrobniale, żeby nie dać się zastraszyć, nie poddać się do tego stopnia. Ma dziecko. Znow decyzja. Ula-Ulrike-Ula. Dziewczynka, dziewczyna, młoda kobieta myśli, że matka tak mówi, żeby znow mieć kogoś naprawdę. Tak to czuje. Matka ma ją teraz bardziej niż wtedy, kiedy starszy brat zaginął. Najpierw nie było wiadomości, przejściowa trudność kontaktów z frontem, potem były pewne, a potem je upewniono: to coś więcej niż przejściowa trudność. „Uznany za zaginionego” dawało nadzieję, ale matka wydawała się tego tak nie traktować. Coś się jej w nadziei zatkało. Nie miała zamiaru więcej słuchać. Nie było dość szybko już kogo słuchać. Nikt nie przemawiał, nie zachęcał, nie strofował. Ojciec chciał mieć dzielne kobiety, porządną rodzinę. Żadnych zdrobnień. Może usłyszysz? Gdziekolwiek jest, będzie interweniował. Trzeba spróbować takiej niesubordynacji. Jak już zawiodło wszystko inne. Robią mu, robi żona, zdrada, z córki beużyteczną lalkę. Tymczasem lalki są zabawkami dla dzieci, nie dziećmi. Ojciec taką swojej córce obiecał, miał dla niej bardzo ładną. Obiecał, chociaż dawno porzuciła własne. Chociaż mówił bez zdrobnień. Pisał do żony o lalkach, co nie miało bezspornego sensu. Miał lalkę? Ale musiał zostawić ją w getcie. Okazała się za mało aryjska. Tak napisał do mamy tata, kiedy jeszcze dochodziły listy. Mama zrozumiała tę uwagę, ale nie powiedziała, czy to znaczy, że nie będzie, czy że będzie wolno mieć czas dla lalek. Czemu lalka miała być aryjska? Co tata próbował napisać mamie? Czemu mama, co za przeczucie, list podarła? Po co tacie była potrzebna Ula? Lalka dla niej? Świat oszalał, skoro ten poważny ojciec, inżynier i oficer, pisał głupstwa o aryjskich lalkach. A matka na to płakała. A matka nagle przypomniała sobie, że też nie do końca jest taka znow aryjska. Że miała kiedyś jakąś rodzinę, w Polsce, ale dawno zdecydowała zapomnieć.

Ula jest znow po prostu dziewczynką, chociaż nie chce się bawić w dentystę. Jednak matka decyduje, żeby mieć mniejsze niż naprawdę dziecko, bo wojna odebrała jej pozostałe. Jednak matka nie wie jeszcze (w '45), że będzie gorzej. Że przyjdzie zapłacić także za te

dzieci, które prawdopodobnie nie żyją. Za synów, którzy okazały się zbrodniarzami, chociaż miała być dumna z ich służby w legalnej, wielkiej armii. Za męża, który był najgorszym zbrodniarzem, a odnajdzie się razem z inną rodziną dopiero po latach w Berlinie, potem zachodnim Berlinie, Berlin-West, też pięknie jak na zbrodniarza. Matce Uli nie bardzo pomaga Ula, dziecko, które trzeba wychowywać. Zanim pozwoli się jej kontynuować decyzję, że dziewczynka ma prawo być dziewczynką, nie musi od razu dorosnąć, kiedy nie ma już Ojczyzny, kiedy nie trzeba natychmiast służyć, zastępować, głośno popierać. Dzieciństwo to na przykład zdrobniła forma imienia, brzmiąca trochę też jednak po polsku, skoro czekają tu, jest tymczasem już '46, trochę są zapóźnione, na powrót mężczyźni i nie bardzo wiedzą, gdzie mieszka aktualnie zastęp kuzynów, ciotek, innych krewnych, przedwojenne silne więzy, tymczasem coś się często mówi po polsku i słyszy o Polakach. Polacy mogliby się przydać do życiorysu, ale kto wie, gdzie mogą teraz przebywać? Nie chcą jechać, bo matka lubi czekać i zna tu... Jasne, to bez sensu. Wszyscy czekają tylko na specjalne pociągi. Matce Uli nie pomaga milcząca i patrząca przenikliwie Ula. Ani brak z jej strony jakiegokolwiek pytania. Choćby zadanego po polsku. Nawet na takie postara się odpowiedzieć dziecku. Przypomniała sobie język, słuchając kobiet sortujących szmaty do jej buchalterii.

Kobiety starają się iść dużą grupą. Pozostali mężczyźni, chłopcy, kaleki, starcy, otaczają kobiety małymi kordonami, łatwymi do przejścia. Kobiety mają spakowane walizki, żadnego pożydowskiego mienia. No, może futro na lewą stronę i kolczyki schowane w bieliźnie. Teraz tego nikt nie pokazuje. Nikt nie będzie spacerował przed frontem sąsiadek w żadnych przysłanych za dobrych czasów (czyli czasów zbrodniczych, jak się okazuje) przez męża łachach. Raczej trzeba schować, sprzedać, zamienić, co się uda. Zostawić tym, którzy zostają. Mieć nadzieję, że to przejściowa ewakuacja. Za dużo nie gadać, nie myśleć, nie gadać. Iść, iść razem. Trzymać się razem, trzymać w rękach walizki, los, dziewczynki.

Matka nie chce jechać, nie zabiera Uli na żaden podmiejski dworzec. Dziewczynka, już dziewczyna, widzi z daleka, jak ludzie tam idą. Chowa narzędzia doktora Krause, jeszcze w '45 wierzy, że doktor wróci. Może pozwoli jej pracować w swoim gabinecie? Bawić się już nikt nie ma zamiaru. Piętnastoletnia dziewczyna nie bawi się na niby. Ula jest dorosła, wie, że ona też, chociaż nagle matka nie nazywa jej Ulrike, musi się, jak dorosłe kobiety, chować. Zdrobniłe imię niczego teraz nie załatwia. Nikt nie pominie dziewczyny dlatego, że jej matka uważa ją za dziewczynkę. Kto wpadnie w ręce, musi zostać zagospodarowany jako kobieta. Matka i córka. Obie chowają się, ale nie ma gdzie się chować. Nagle wszędzie mamy rosyjskich żołnierzy. Rozsądniej byłoby jechać, ale matka nie umie podjąć decyzji. Matka nie wiadomo na co czeka. Więc za nią podejmą, jasne, decyzję. I przy okazji za Ulę. Bo matka żona ciotka córka jest też jakby zbrodniarką. Kobiety biorą w tym udział. Dostają paczki i listy. Słuchają opowieści o zwycięstwach. Wychodzą na ulicę podczas defilady. Machają rękami z podwyższenia korkowej podeszwy obuwia. Przygotowują lepsze posiłki na powrót syna. Gotują tym potworom zwyrodniałcom małym chłopcom. Poznanym w 1923 Johannom i Klausom. Johannom, z którymi mają synów Klausów, w sam raz na żołnierzy dla führera. Rodzą tych bandytów ludobójców nadzorców obozów. Przechodzą razem z nimi na inną wiarę. Na wiarę w potęgę. Przestają chodzić do kościoła, mają kościół w domach. W tych schludnych, wypucowanych, pełnych dobra domach. Zapisują się do różnych sił, pomocniczych i głównych. Pilnują, żeby u żyda nie kupować. Pocieszają tych morderców zdobywców. Idą z nimi do łóżka, do piekła, na ich urlopach. Więc niedobrze, jeśli potem mają córki, które mogą być odpowiednio potraktowane. Zapomniały o córkach, a teraz muszą podzielić się z nimi swoją winą. Za bardzo nie rozumieją istoty tej winy, jednak dobrze wiedzą, że tak się dzieje. Córkom ojcowie przywozili lalki, chyba że nie zdążyli albo nie chcieli tych (dlaczego? skąd nagle ta delikatność?) z getta. Parchy miały ładne lalki dla córek,

sprawa higieny jest tu nieco dziwnie poniechana. Bycie córką jest też obciążone. Trzeba próbować się zamykać i chować.

Nie próbować oporu. Tak się mówi, chociaż w ogóle wiele się o tym nie mówi. Wiadomo, lepiej nie próbować oporu. Jeśli nie są bardzo pijani i w nie za dużej grupie, można to przetrzymać. Tylko schować dziecko, żeby dali spokój dziecku. Zawsze mówią, że mają córkę w takim wieku w domu, co nie znaczy, że z tą cudzą nie mogliby się bawić w zwycięzcę i poddaną, w pana i lalkę. Więc matka ten raz i drugi Ulę chowa. Stara się nawet być miła. Faktycznie: poza tym, co robią, innej krzywdy nie robią. Można przetrzymać. W szpitalach są kobiety, które miały mniej szczęścia. Na pewno już nie zdążą wyjechać. A najważniejsze, teraz i po latach, o tym nie mówić. Margines wojny. Kobiety. Potem wszystko jeszcze inaczej się zmienia. Kiedy tyle się wytrzymało, nie ma po co uciekać. Trzeba milczeć i przeczekać.

Matkę Uli wywożą do obozu pod miasteczkiem niedaleko Szczecina, którego to obozu nie ma na mapach. Się nie nazywa. Do tego stopnia, że dziewczyna nigdy nie powie głośno jego nazwy. Tej nazwy nie chce znać i nie ma się czym chwalić, że się tam, choćby w odwiedzinach u matki, do których nie doszło, było. Zabiorą ją tam, żeby dowiedzieć się, gdzie przebywają mężczyźni z tej rodziny. Kobiety nigdy potem o tym nie mówią. Nie mają wielu okazji.

Nagle nic się urywa. Ktoś, kto chciał przerwać zależność, zostaje oderwany od wszelkiej zależności przez innych. Ula nie ma okazji do buntu. Matka jej nie denerwuje swoją staranną zaborczością, bo... W obozie jest strasznie, ale to nie obóz śmierci, przynajmniej nie dla wszystkich stamtąd, i tak się na pewno nie nazywa. Ona stamtąd przecież, jednak, wychodzi. I jak pies, niemiecka suka, na stare śmieci wraca do Szczecina, który tak się już na pewno teraz nazywa. Matka wraca do Uli, którą przygarnia sąsiadka, swoją drogą dawno nie jest dzieckiem. Może to przygarnięcie po to, żeby zajmowanie się kimś dało tego kogoś do zajmowania. Ula głaszcze sąsiadkę po głowie, śpiewa jej cichutko, poruszając lekko wargami. Kochana sąsiadko, przy dziecku nie będę opowiadać. I lepiej, żeby tam nie wrócić. Tak, trzeba było jechać na czas. Tak, ale adresu nie miałam. Martwi się, kaszle. Nie układa poduszek. Wkrótce ląduje w szpitalu z gruźlicą. Dziewczyna nie lubi tego szpitala.

Szpital jest pełen ciężko chorych ludzi, a brak lekarstw. Wkrótce umiera chyba na gruźlicę. Jak wiele innych kobiet, mężczyzn, dzieci. Nie mówi niczego, co by można nazwać przesłaniem. Nie ma czego zapamiętać. Wąskie łóżko w wąskim przejściu, lizol. Smród i jęki. Ula nie widzi jej śmierci. Zastaje puste łóżko. Przystaje tam na chwilę. Mutti. Ostatni raz. Mutti, mama. Zabiera do domu książkę, ręcznik, przepoconą koszulę. Gdyby ją ktoś zapytał, nie widziała tej śmierci inaczej niż tego, czego nie było. Po prostu, została sama, gdy miała być Ulą. Przedłużanie dzieciństwa okazało się grą, ale karty były przez kogoś znaczone.

Jeszcze trochę pytają ją o ojca i o braci, ale w końcu dają spokój. Jasne, hitlerówka, ale może nie wie. Za mała. One się szkoliły na hitlerówki od małego, ale może matka nie wszystko jej mówiła. Bo stara na pewno wiedziała. Ula, już teraz, chociaż dorosła, zawsze Ula lub nawet Urszula, postanawia zostać. Nie zna adresu krewnych w Niemczech. Krewnych, domniemanych, w Polsce. Nie zna prawdopodobnie żadnego innego adresu. Układa poduszki, jest staranna jak matka, tyle że po wierzchu. W środku chce być zupełnie, zupełnie inna. Nie miałyby pomysłu, dokąd się udać, gdyby sąsiadka z dołu nie potwierdziła, że są spokrewnione. Układa dla niej poduszki jak matka dla siebie. Nie musi korzystać z opieki nowego państwa w Państwowym Domu Dziecka, chociaż prawie pełnoletnia. Jest, naprawdę, zupełnie dorosła. Postanawia sama za siebie zostać.

ANNA, URODZONA 1930

Własność to własność. Taką mądrość zawsze słyszała. Dom wydawał się trochę za mały do podziału między nią i brata, nawet gdyby tak z prawa wynikało. Odkąd mamusia została sama, tatuś na pewno zginął, ludzie widzieli, w egzekucji za Włoszczową, ale nie miała na to papierów, pasierb okazał się bardzo dorosły. Miał argumenty za szybkim podziałem. To nic, że dopiero co wygasła wojna. Nieważne, gdzie ją spędził. Nikt nie miał dowodów. Chodziło o to, że Anna nie miała żadnego prawa, a nikt nie zamierzał nikogo krzywdzić, trzeba poważnie rozmawiać. Pomożemy, mówili krewni tamtej rodziny, bliskiej bratu. Warsztat introligatorski był jego ojca. Zawód jemu ojciec przekazał. On miał papiery. Na niego był testament jeszcze sprzed wojny. Ojciec był... jej także, nikt nie mówi niczego innego. Pokazywał Armie, jak używać noża do skóry, żeby nie pozacinać. Lubił ją mieć przy sobie, na poddaszu, w tym mniejszym warsztaciku, gdzie wykonywał specjalne zlecenia. Między czeladnikami nie miałyby, nawet jako dziecko, czego szukać. Ale on był tu pierwszy. Jego matka była tu pierwsza. W kredensie stała zastawa w różowe kwiatki, wniesiona przez jego matkę. Bielizna pościelowa, koronkowe wstawki, była kupiona w Krakowie przez matkę jego matki, nie jej. Wazony. Obrazy. Sztućce. Kto tu teraz z tego korzystał?

On nie zamierzał nikogo wygnać. On kochał nawet i siostrę, nawet czuł szacunek do macochy. Ale matka to matka, do macochy nikt by mamusia nie mówił. Mówienie: mamusia, jest zarezerwowane. Chyba że nie ma innego wyjścia. Więc kiedy trzeba odbudować, jak najszybciej, życie, byłoby dobrze, gdyby mama, mamó, znalazła sobie z moją pomocą jakieś wyjście. Ja uważam, że pamięć ojca, tatusia, jest ważna, ale ważniejsze miejsce dla mamy, kiedy nie łączą nas żadne poza testamentem więzy. To znaczy miejsce dla macochy, o której dla zażegnania niedobrej atmosfery tu mówimy teraz, nawet jak nikt nie każe, nie pilnuje, nie słyszy, „mama”. Więc aptekarz to po ojcu, introligatorze sławnym na okręg gorlicki, niezła partia. Na pewno nie zszarga to opinii ojca, który robił tylko pod przymusem okładki na niemieckie, faszystowskie książki, będąc fachowcem nieczytającym, na miłość boską, tych książek! Opinii po ojcu, którego, nie wiadomo dokładnie kto i za co, zabili – Mama musi się postarać, ja się postaram, o papiery, że tata nie żyje. To ułatwi sprawy. Potem mama się przeniesie do nowego domu, kobieta jak i mężczyzna powinna mieć partnera, trzeba żyć, rano wstawać, gotować, tu ludzie długo żyją w zdrowiu, obowiązki małżeńskie są do wytrzymania: – Warto o siebie zadbać. Woda z Wysowej i małżeńskie, zdrowe życie. – Mama dostanie swój dział, posag, za lata. – Synowi już się należy własność po ojcu. Kamienica czy ziemia. Syn wchodzi w narzędzia, mury, kontynuuje pracę. Nawet jeśli ma inny zawód, podtrzymuje tradycje. A syn, który szuka papieru z egzekucji, ma podwójne prawo. Schodzi głęboko, do piekła, w mogiłę, nabywając prawo. Poza tym syn powinien się ożenić, a dwie kobiety w domu takim jak ten to o jedną za dużo.

Jak się jest młodszą siostrą, córką młodszej żony, która wniosła w posagu urodę, pracowitość, niewielkie, bardzo niewielkie pieniądze do zasobnego domu i od razu zrobiona była intercyza, nie należy mieć za złe. Pieniądze, najmniejsze, się liczą. Można je przełożyć na każdą miarę, na metry, sztuki, na lata: – Dziadówką młodsza żona, mamó mama, to wiemy, nie była. – Nikt nigdy nikogo nie krzywdzi w takich sprawach. Nie wypomina. – Nie ma co, prostactwo tak robi, my mamy ważną, spisaną u notariusza, intercyzę. Własność jest własność. – Wszystko jest zapisane i jasne.

W '43, jak likwidowali getto, słysząc było przez trzy noce krzyki. Niby małe to getto, Żydów, owszem, trochę tu było, mieli też przed wojną najbogatsze domy w centrum, sklepy, mykwa i synagoga też tu stała, każdy ich znał. Mamusia do szkoły z Żydóweczkami chodziła, sama o tym chętnie mówi. Kto wie, podobno tatuś nawet blisko znał niektóre. W małym

miasteczku takie rzeczy są powszechnie wiadome. Nie wolno, one mają zakaz, się zadawać, ale nic nie smakuje jak żydowskie usta. Jak obmyta w mykwie dziewczyna. One też lubiły spróbować czystego goja. Mamusia, mamusia Anny, jego mama, tego nigdy nie słuchała, kiedy tatuś, w tę noc, już trzecią, pełną krzyków, wspominał, też nie chciała słuchać. Miała swoje historyjki. Leżały z mamusią razem, tatuś gdzieś chodził, przytulone do siebie, bo w powietrzu unosił się smród, palili im łachy i słycać było lamenty, zawodzenia, jakby zwierzęta wyły. Im też o własność chodziło, jak ich wyrzucali bez niczego prawie z domów. Pechowo, ci Żydzi mieli wszystkie wokół kamienice, a getto było też niedaleko, za rzeką, takie miniaturowe miasto w niewielkim mieście, niczym wesołe miasteczko (stało też za rzeką, na tamtym miejscu, obok) przed wojną. Więc potem wydawało się, że wszędzie są ślady, a przede wszystkim w tych lepszych domach mieszkali oficerowie niemieccy. Ich żony i córki nosiły ubrania, które Anna pamiętała. Tak się jej wydawało. Mamusia mówiła: – Nie myśl o tym, nie trzeba. Trzeba iść na targ, kupić sera, śmietany, jak się da, to i cielęciny. – Codziennie trzeba jeść o stałej porze, potem drzemka. Po południu tatuś lubi spacerować po parku, Niemcy nie mają nic do tego, niekiedy który pozdrowi z daleka, cenią dobrego rzemieślnika. Takie regularne życie dobrze wpływa na wypróżnienie. Spotyka oficera, uchyla kapelusza. Ich tryb życia nie sprzeciwia się niemieckim planom, tylko jest oczywiście ciężko. Zawsze zabór, jak nie taki to inny. Warto coś umieć, na przykład garbować skórę. O cielęcinę, jedzenie, regularne i zdrowe, to najważniejsze, jest ciężej, ale w ogóle wojny już się tak znów bardzo nie czuje. Bardziej się pamięta o pierwszej, Niemcy też eleganccy wówczas byli, a Rosjanie, a Rosjanie też do rzeczy... Tatuś lubił o tym opowiadać. Spacer na wzgórze, cmentarz z nazwiskami z tamtej wojny, ulubiona przechadzka tatusia. I zamykana na zamek pracownia, kiedy miał zlecenie na delikatną okładkę do specjalnej książki.

Tylko ta sprawa Żydów. Niemcy za to są eleganccy. Doceniają dobrą, fachową robotę. Cenią rzemiosło. Przynoszą tatusiowi książki, czasem zabytkowe, do oprawienia. Tatuś potrafi to i opowiadać także. Nie ma co myśleć, w mieście jest pod niemieckim zarządem czystiej. Nawet niż za pierwszej wojny było. Taki był tatuś, szkoda, że go z nami nie ma. A teraz już trzeba sprawy pozafatwiać, nie wolno zaszargać własności, zmarnować, trzeba się iść i poustalać. Anna umie szyć okładki jak ojciec, ale nie jest do tego przeznaczona. Raczej powinna się skupić na reperacjach ubrania. Mama do aptekarza, ma niezłą kamienicę, jego dzieci się zgodzą, tylko trzeba znów robić zapis: – Ja mamę splecę – mówi pasierb, poprawiając włosy opadające na czoło jak ojcu w młodości – do wysokości wkładu w małżeństwo z tatą i życie. Mama popatrzy na mnie, mamó, nie trzeba tak bez przerwy zajmować rąk robotą, cerować sztukować haftować, kiedy rozstrzyga się mamy udział w życiu. Anna pojedzie się uczyć, ma przedwojenne gimnazjum, maturę szybko dokończy. Zdolna, powinna iść na studia. Brat, przyrodni do pewnego stopnia, jednak starszy i rodzina jest ważna jak cielęcina na obiad, której nie wolno spać, będzie wspierał. Żeby nie umarła z głodu. Żeby nie musiała zarabiać szyciem na życie. Żeby kimś była. Jeśli wróci, to też żeby od razu tu kimś, nie popychadłem, nie tłumokiem była.

Więc Anna jedzie do Szczecina, gdzie ma być łatwiej, bo to ziemia obiecana także tym, którzy chcą skończyć szkołę, zaczynając od trochę innego miejsca, niż przerwali. Bo papiery to jedno, a Anna więcej, o wiele więcej, umie. Przedwojenne gimnazjum, prawie skończone, skoro zaczęte, komplety w domach, deklinacje może cytować w kilku językach. Szkoda czasu. Chce też być daleko od brata, który wszedł tak dobrze w rolę ojca. Anna myśli, że może tam (tak niektórzy mówią) można coś zaczynać od nowa. Bez ciotek, które zawsze patrzą na przyzwoitość, chociaż mogą nie być formalnie spokrewnione. Ciotek z Krakowa, zasłuchanych we własne organizmy i plotki. Ciotek, oferujących dziewczynie miejsce na wybrzuszonych kanapach, które wybierał wujek, żeby dać na czym spać dochodzącej, a potem na stałe dziewczynie. Jasne, kanapy były solidne i nie takie tanie, dobra jakość, ale i taka kiedyś się wybrzusza. Bo na wieczność to się nie kupuje tak, myśląc, że na całe życie.

Ma być porządne, ale za rozsądne pieniądze. Lepiej nie zająć jej, dziewczyny, miejsca, chociaż wujek stary, wkrótce umrze. Wszystkie ciotki zostaną same na łasce dziewczyn, lepiej nie być taką dającą łaskę dziewczyną, która się postarzała na posadzie w domu i w biurze. Mamusia wszystko to mówi szczerze Annie, chociaż nigdy nie rozmawia z nią o małżeństwie. A tu nagle mówi jej jakby o życiu i seksie. Jaką rolę odgrywa w życiu to, co jest seksem w domu z żoną i w domu nie z żoną w służbówce.

Mamusia tylko raz coś wspomina i pewno na wyrost, ale woli, żeby Anna na razie pojechała się uczyć. Mamusia natomiast przeniesie się do aptekarza i będzie z nim żyła w grzechu, bo po prawdzie cywilnego ślubu nie uznaje. Nie ma jednak kościelnego potwierdzenia zgonu męża, co uzyska w końcu od biskupa aptekarz, który nie lubi mieć skrzywionej kobiety w małżeńskim łóżku. I dla kobiety, w sile wieku będąc, wiele jest w stanie zrobić. Nawet z panem biskupem, jak trzeba, jak równy z równym, mężczyzna z mężczyzną, pogada. Jest niewierzący, bo niewiara jest teraz aktualna, ale pogada, zresztą był niewierzący i przedtem, zaktualizował się tymczasem, co bywa. Mamusia mogłaby (w sumie) być z aptekarzem, oboje mają portrety małżonków na honorowych miejscach, szczęśliwa. Jak wdowa z wdowcem mogłaby być szczęśliwa, ale nie do końca. To znaczy właśnie do końca. Niestety, dość szybko, zwalnając Annę na szczęście z obowiązku wizyt i zostawiając na zawsze osieroconą, umiera. Stając się niedoścignionym wzorem w dziedzinie mostka cielecego, którego jej córka nie umie ani tak kupić, ani przyrządzać.

O życiu nie wspominając, bo mamusia naprawdę dobrze, mądrze żyła. I nie przestawała, do samego końca. Zabili jej męża i nawet papieru na to nie było. Ale o papier powinien się wystarać mężczyzna. Sam miał sobie potwierdzić? Sam własną śmierć podstemplować? W końcu znał się na papierze. Ale aptekarz zastąpił go przy żonie i z papierem. Poradził sobie i z papierem, i z biskupem, i z pobożnością wdowy, która jednak w zdrowym w końcu, z aptekarzem, fachowcem, związku długo nie pożyła.

Więc Anna postanawia jechać do Szczecina, bo nieznanne wydaje się lepsze, od kiedy dowiedziała się tyle od Niemców, mamusi i brata. Nie spodziewa się tego, co tam zastaje. Nie widziała z bliska tylu ruin. Widziała tylko ruiny po drodze: dajcie spokój, przecież nie wysiadała, żeby zwiedzać. Wysiadała, jak pociąg przestawał jechać, a potem szybko wsiadała. Mamusia mówiła, nie być za ciekawą. Patrzeć swego. Oto dobra maksyma. W Szczecinie ma okazję ruiny obejrzeć z bliska. Na każdego przychodzi czas. I musi znaleźć miejsce, gdzie da się zamieszkać. Za ten dział, który brat jej obiecał przesyłać. Przyrodni, jednak własność to własność, a rodzina to rodzina.

POWINNOŚĆ

Kto wie, jakie listy pisałaby matka. Jakie pisała. Zamknięte w zamykanej szufladzie, wracają wraz z zawiadomieniem, te do syna. A do męża? Czy to może zostać tajemnicą? Niemieckie kobiety są dobrze zagospodarowane. Mają swoje organizacje, bez przymusu, wyprężona pod koszulową bluzką dobra wola, akurata jak biusthalter triumfa. Matka mówi Ulrike: – Powinnaś. – Ulrike to rozumie. Należy. Lepsza ta BDM, lepsze dziewczęta, do których tymczasem dorasta, od kobiet. Niemiecka Liga Kobiet, organizacja mamy, w każdej chwili może być czymś więcej. Mama wie, czyta, słyszy. *Nasz naród niemiecki potrzebuje sugestywnej sity, wytworzonej przez pewność siebie. Ta pewność siebie musi być wykształcona w młodszych członkach narodu, począwszy od dzieciństwa. Cała edukacja i ćwiczenia muszą być skierowane tak, aby wpoić im przekonanie, że przewyższają innych. Przez siłę cielesną i zręczność młodzież musi odzyskać wiarę w niezwyciężoność swego narodu.* Nawet dość sprawna na ciele i duchu kobieta musi – muszę, musisz, musi, muszą – dołożyć dodatkowych starań w celu sprostania takiemu dictum. Mama się nie na to pisała, nie tak wyobrażała sobie życie – koncerty, spacer, serwetki. Na szczęście można pozostawać w lekkim półcieniu, szczególnie gdy ma się dobre dzieci. Idą na wojnę, idą tam, gdzie je widać w dobrym świetle, jeśli są dziewczynkami. Podtrzymują konstrukcję dobrej niemieckości wówczas, gdy w matce nastąpi miękkie zawahanie. Dziewczynki nie mają za czym tak bardzo tęsknić i są hartowane od urodzenia. Ich matki, matki, nie zawsze potrafią sprostać temu, co pojawiło się zniecierliwa, zastało je w domach urządzonych na starych, nie dość dobrych zasadach. Na przestarzałych, przednarodowosocjalistycznych zasadach, za to niektórych spotyka zasłużona kara, chyba że mają dzieci biorące na siebie ten najnowszy kawałek sztafety.

Zadanie dla matki niemieckiej, dla kobiet. Nadażyć. Więc lepiej byłoby zostawić mamę w domu, wziąć z góry udział w akcjach, chociaż tata tego nie pochwała, zbiórki pieniędzy, metalowa puszcza odmraża koniuszki palców, na żołnierzy marznących na froncie wschodnim. Czy rękawiczki bez palców to zdegradowane rękawiczki? Czy rękawiczki to rozpustne mitenki? Czy odmarzające palce to symulacja wschodniofrontowych odmrożeń? Tak, mama nie chce kierować się do dodatkowej instytucji, żeby potwierdzić odpowiedzialnie spoistość rozrodczej siły narodu, którą niepostrzeżenie stała się jej rodzina. – Mamo, ja pójdę – mówi Ulrike zupełnie niepiskliwym głosem. – Bo ktoś musi wziąć na siebie pisanie odpowiedzialnych listów, podtrzymujących w komórce rozrodczej ducha. Żadne tam sentymentalne bzdury, do jakich mogłaby się uciec sentymentalnie stęskniona matka, która zakładała rodzinę dla siebie i swego skromnego inżyniera, bez wiedzy o planach wodza, który zamierzał tę jej decyzję wziąć na siebie. Kriegsgefangenenpost, jednym słowem. Celnym.

Więc w osiedlowej siedzibie BDM, chociaż jeszcze nie jest członkinią, pod kierunkiem starszych siostr, Ulrike uczy się pisać. To pisać. Tak pisać. List ma być jak wezwanie do boju i jak potwierdzenie niezłomnego ducha kobiet, dziewczynka jest w tym wypadku kobietą, co mogłoby ją przygotować do tego bycia kobietą, które niebawem się przydarzy każdej, będącej mieszkanką tego terytorium. Terytorium jest ważne, przechodzą przez nie granice i ludzie. Tymczasem Ulrike mieszka na zapleczu, w prowincjonalnym dość mieście Trzeciej Rzeszy i cieszy się z wyznaczonego przez starsze siostry zadania. Ma ładny charakter pisma, kiedy pisze o dumie i wypełnianiu obowiązków.

O mamie, która codziennie rozmawia z nią o ważnych... niedobrze, nie tak wieloznacznie. Mama rozmawia z nią o tym, co ojciec robi dla przyszłości. Mama pracuje. Przeszłość też jest w tych listach. Dziewczynka ma prawo do sentymentów, ma prawo pamiętać. Wycieczki z ojcem (nieważne, ile ich było, mogłaby być jedna) do miejsc związanych szczególnie z

hartem ducha i ciała. Tak, to dziewczynka pamięta, na szczęście. Spacerów po plaży i lesie nadają się jako wspomnienie do listów, tło rodzajowe, służyły zawsze budowie mięśni łydek. W sprawie idei, ojciec musiał przekazywać jakieś idee, pisząca się waha. Ale starsze siostry wskażą drogę, wyjaśnią, co jest ideą w sensie narodowosocjalistycznym, a co nią nie jest. Wystarczy trochę sobie pożyczyć od starszych. Wystarczy uważnie słuchać.

Jest jeszcze jeden problem. Z pocztą. Z miejscem pobytu. Nikt nie jest pewien miejsca pobytu teraz. Jednak najstarsza z dziewcząt, właściwie już w wieku Frauen, nie ma wątpliwości. Powinny pisać regularnie, może nawet codziennie. Jak codziennie ich ojcowie i bracia walczą, odnoszą zwycięstwa, tak, tak, cierpią, chociaż to niedobre słowo. Ulrike widzi swój list w kieszeni ojca. Ojciec wyjmuje z kieszeni list przed przeładowaniem broni. Ojciec maszeruje z listami od córki, przekazującej także pozdrowienia i słowa podziękowania od matki. Trudno brać pod uwagę, że w kieszeni to się chyba już nie zmieści. W każdym razie kiedyś te listy każdy dostanie. Poczta narodowosocjalistyczna jest skuteczna. Wojenna poczta jest nierychliwa, ale skuteczna.

W rzadkich listach z frontu dziwne niedopowiedzenia, których matka nie tłumaczy. Coś o niespełnionych obietnicach i nieprzywiezionych prezentach. Instruktorzy intymnego pisania w zbiorowym wysiłku radzą unikać takich szyfrów. Szyfry są zawsze podejrzane. Mama pisze do ojca o miłości. Niemieckiej kobiecie wolno kochać niemieckiego ojca rodziny, jasne. Jednak listy córki, gdyby je naprawdę dostał, są bardziej optymistyczne. Nie ma co, prywatne listy powinny być starannie przemyślane. Bez tych ochów i westchnień. Ulrike zapomina smaku, dotyku, wyglądu ojca. Kiedyś te rzeczy znała. Zdrowie, piwo, tytoń. Wąsy, gruby materiał marynarki, silne ramiona. Ojciec, najbliższy mężczyzna. O tym pisze też, bardziej bezpośrednio, od siebie, mama. Droga córko, cieszę się, że robisz postępy w szkole. Odpowiada ojciec, jakby nie rozumiał, o czym ona do niego pisze. Po trzech miesiącach, krótko. Można się zniechęcić. Mimo zapewnień w BDM, że to im pomaga.

I napominań, że powinny się wstydzić. Sylwetki żołnierzy w czasie wolnym, z listami w garści, w kinie. Godzina dziennie poświęcona na kaligrafię to doprawdy niewiele. Ulrike będzie miała piękny charakter pisma do końca życia.

Marysia nie lubi tych wypracowań w formie listów do wodza, bo doprawdy, ile można. Wołałaby jakąś analizę utworu literackiego, byłaby w tym dobra. Jako wzorowa uczennica pokonuje każdą poprzeczkę, jednak list do wodza nie jest specjalnie trudny, więc poprzeczkę widzi dość nisko. Wódz jest tak wszechogarniający, tyle go tutaj, że wcale się nie czuje. Widzi tak, na portretach i w budujących się domach. W łąkach zbóż i tętnie tysięcy. Właśnie, w tętnie i śpiewie, budowa w ich okolicy właściwie zaledwie jedna. Stodoły w sowchozie. Czy i tam jest Wódz Narodu? Owszem, jak wszędzie. Jak wiatr i oddech, czyli oczywistość, więc żaden kłopot. Z pisaniem żaden kłopot. Owszem, można dostać nagrodę w konkursie. Nagrodę stanowi wyróżnienie ustne lub pisemne. Ustne przed całą szkołą, podczas akademii, pisemne można oprawić w ramkę, przełożyć do ramki po mniej ważnym świętym patronie podróży, bo w podróż nikt się tymczasem nie wybiera. Marysia z wdzięcznością przyjmuje wyzwanie wyższego rzędu – poemat o wodzu. Bo listy są już nudne. Opisywanie codziennych zdarzeń, owszem. Jednak pewną przeszkodę widać w objętości. I schemat, fabularny schemat. Marysia rozumie, że do wodza nie wypada o wszystkim. Wódz nie ma czasu na słuchanie tych spływających z połowy świata optymistycznych opowieści o szczęściu. Tych wyprężonych, prostych słów, zlewających się w najszerze koryto świata wódz nie ma już siły słuchać. Zatraskany, próbuje. Więc żeby w ogóle dał radę, nie można mu zakłócać odbioru jakimiś głupstwami. Trzeba wzmocnić wzmocnienie tkwiące w chórze. W chórze siła, a dziewczyna chce zabrznieć solo.

Marysia lubi pisać. Kłopot właściwie w tym tylko, żeby mieć nowe wyzwania. Chciałaby spróbować miłostnego listu, ale wódz się jej jakoś przed oczami jednak rozmywa.

I nie przez miłosną mgiełkę. Trochę też, przyznaje się sama przed sobą, przez nudę. Więc go sobie wymazuje z głowy i pisze jakby do kogoś innego, wyobraża go sobie jako wysokiego blondyna, jako dandysa, jako kosiarza w białej koszuli, jako Rudolfa Valentino. Jako, jako... Może lepiej sobie nikogo nie wyobrażać? Nauczycielka ją upomina. List do wodza w formie poematu, owszem. Uwielbienie jak trzeba. Ale, moja droga, to nie kino. Poemat tym razem na jakimś dalekim miejscu, bez spodziewanej nagrody. Tak, prosta nauka. Kto inny otrzyma dyplom. Jak się pisze do wodza, trzeba mieć przed oczami jego piękną, męską twarz, nie jakąś inną. Taka jest zasada. Trzeba znać hierarchię. Oddać, komu trzeba, wszystko. Trudno dyskutować, jednak Marysia czuje się pokrzywdzona. Nie ma ochoty mówić zbyt otwarcie, ale prosty list dawno nie jest dla niej wyzwaniem. Takie listy każdy umie, najlepiej powinna to wiedzieć pani nauczycielka. Bądź co bądź, towarzyszka. Starsza i dojrzała. Skoro woli, żeby znów tak samo pisać... Marysia chowa do kieszeni urazę, przełyka gorzką pigułkę rozczarowania, postanawia znów spróbować. Wyrazić uwielbienie uwielbianemu bez sztuczek. Co się komu i jak należy. Pisze ładnym, okrągłym pismem. Dyplom mama schowa pod bieliznę, do szafy. W razie czego zawsze można będzie pokazać.

Dobrze jest zrobić rachunek sumienia na piśmie, mówi mamusia. Nie chce tego wysłuchać, nie chce tego czytać. Każdy ze swoim rachunkiem sumienia jest sam, potwierdza przed spowiedzią wielkanocną, dając córce i w tym przykład. Nie oglądać się na innych, inni noszą własne grzechy. Każdy niech nosi własne. Spisać je to jakby postawić przed sobą. W prostym zeszycie w kratkę. Jest ważne, żeby był prosty. Anna od razu to akurat rozumie. Ma pokusę, żeby był na przykład w kolorowej okładce, ale zwalcza tę głupią pokusę. Okładka świadczy o człowieku, mogłaby powiedzieć jak mamusia.

Listów do ojca się nie pisze, nie ma adresu. Zresztą listy do ojca to rzecz mamusi. To jej mąż, jej sprawy. Gdyby Anna wyjechała gdzieś się uczyć – zupełnie inna sytuacja. Wówczas tak, koniecznie, listy ze sprawozdaniem. Nieodmiennie wyrazy szacunku. Obowiązkowe rozliczenie kwot przeznaczonych na wykształcenie i utrzymanie przy zdrowym życiu. Rozliczenie cnót dnia codziennego, bo ojciec oczekuje cnoty. Tymczasem nie ma czego i komu sprawozdawać, poza Panem Bogiem. Jemu tak, zawsze należy. Co, tak naprawdę, pamiętaj, potwierdza mamusia, jest okazją do rozmowy z sobą. Trochę szkoda, że tej rozmowy nie można prowadzić z mamusią. W zimny wieczór, kiedy krzyki cichną, Anna pisze. Boże, nie rozumiem, wyznaje, ale zaraz sama siebie skreśla. Bo przecież nikt jej nie powiedział, że ma Boga o coś w liście pytać. W końcu adres jest nieco niekonkretny, w końcu zeszyt zostaje w biurku, więc chyba nie ma sensu wypisywanie pytań. Lepiej wyznać coś, i też bez przesady. To jednak zostaje w biurku. Anna boi się, że mamusia przeczyta. Nikt nie obiecywał, że nie otworzy szuflady. Tajemnice nie są najlepszym znakiem dobrego wychowania. Więc Anna pisze o niedociągnięciach w nauce i woli. Starannym, wypracowanym pismem. Jakby mówiła mamusi to, co sama od niej słyszy. Oddaje to, co dostaje, starannym, nieniekpokojącym pismem. Zagłusza krzyki na zewnątrz, zagłusza ciszę po tych krzykach. Zagłusza własne niezadane pytania i nieudzielone przez mamusię odpowiedzi. Zagłusza milczącą nieobecność ojca, w której jeszcze lepiej widać pracowity ścieg, którym należy reperować jego ubranie. Żeby miał gotowe, gdyby wrócił. Skąd, tego nie ośmiela się dowiadywać. Dokąd? Tu, gdzie było jego miejsce, które dość szybko, życie jest życiem, zostaje załatane. Więc trochę do ojca, chociaż najskryciej, także trzeba pisać, tragicznym, pełnym grymasów atramentem, zatartym od razu kształtnymi literami.

Janek czyta babci stare listy. Z dawnych czasów. Niestety, tylko tę część, która jest po polsku. Pozostałe leżą na dnie pudełka. Babcia obiecuje nauczyć Janka tego fantastycznego języka, ale czy to kiedy kto ma czas na naukę? Jak trzeba, samo przychodzi do głowy, jak człowiek musi. Janek więc czyta listy dziadka do babci, jej siostry do niej, jakiejś Heli do tej samej adresatki. Wodząc palcem po podniszczonych, białawych kartkach. Od „niech będzie pochwalony” do „ostańcie z Bogiem”. Myśli, że mogłby też coś napisać. Do mamy. Mama

ma jakiś adres, z którego czasem idzie przesyłka. Janek w zeszycie brzydko maże, to prawda. Nie ma dość ładnego charakteru pisma. Jednak babcia, tak, pochwała ten pomysł. Mógłby, taki duży chłopak, do rodzicielki napisać. Na kartce wyrwanej z zeszytu, wujek przywiezie z miasta niebieską kopertę i znaczek. Niechże chłopiec ładnie opisze, jak tu się im wiedzie tego lata. Trzeba zacząć, to wie, od Boga. Skończyć Bogiem. Tylko środek problematyczny. W listach czytanych babci coś o krowach i materiałach na suknie, i że niedługo się zobaczą. Co wybrać? Suknie raczej odrzuca, raczej. Bo może mamę interesują materiały na suknie? Co by mógł o tym chłopiec? Krowy... Mają dwie, starczą na jedno zdanie. Zdanie zachodzi na zdanie, początek na koniec. U nas i u was pochwalony, zdrowi, dobrze. Więc o czym jeszcze? O spotkaniu. Janek nie jest tego pewien, chciałby bardzo mamę... czy chciałby tak bardzo, bo trochę zapomniał już mamę. Zapewne, tak, chciałby, może. Nazywa się to: zawsze pamiętać. Szacunek. Natężyć rękę i pamięć. Jakoś mu się szybko, po trzech zdaniach, wątek urywa, ale kartka i tak jest już prawie pełna, więc pozostaje dopisać długie pozdrowienia i można zakleić kopertę. Tak, uznaje chłopak, lizanie brzeżka koperty jest w tym całym pisaniu najprzyjemniejsze. Najwyraźniej przyjemniejsze będzie dostawanie listów, skoro babcia chce swoje czytać po latach. Trzeba czekać, żeby się przekonać.

– Babciu, napiszesz kiedyś do mnie? – pyta.

– Tak synku, jeśli gdzieś pojedziesz, ale ty tu teraz ze mną. Pisze się z daleka. Jak się tęskni.

– Czy mama tęskni do nas? – pyta odważnie, nie wiedząc, skąd nagle ma na języku takie pytanie.

Babcia przygarnia go mocno i mówi coś, co jest tylko dla niego.

PAMIĘĆ, 1949

Zetknął się z tym ponownie w 1949. Czyli jeszcze w dzieciństwie. To w pewnym sensie dokładniej pozwoliło zakopać, czy raczej pogłębić, czy może... W '49 zabrali im ich kawałek wojny zza stodoły. Ten ciężki, przesiąknięty ich żywną glebą kawałek. Tym razem Janek widział to już nie w prześwicie, widział prawie wszystko. Szedł za tym nawet jako delegacja ich gospodarstwa, jako odświętnie ubrany wnuk swego dziadka potwierdzającego tym samym prawidłowe wychowanie wnuka.

Najpierw przychodzili do dziadka z gminy, co mogłoby wywołać lęk, w dorosłych, nie w Janku. On myślał o kolejnym dniu w szkole. I potem właśnie w szkole, nauczyciel, miał z nimi dłuższą pogadankę na temat bohaterstwa. Mówił o wyzwolicielach, nie pierwszy raz, tym razem o wyzwolicielach bliższych, bliskich, o tych, którym należy się szczególny szacunek. Jankowi nie przyszło do głowy, że to się może wiązać, myślał w tym czasie o obiecanej wyprawie na ryby, o wędcie zmajstrowanej przez dziadka, rzadka rzecz, dziadek miał dla niego więcej czasu. Surowy jak zwykle, częściej siadał z wnukiem; ręce czymś zajęte i więcej milczenia niż rozmowy. Niekiedy rozmowa. Obu im brakowało babci.

Dziadek milczał milczeniem bardziej zaciętym niż zwykle, w końcu powiedział do ciotki: – Niechta bierom, bedziem mieć spokój. – Trudno było się domyślać, jaki spokój, od czego. Ciotka nie musiała pytać.

Janek dostał zadanie domowe, jedyny taki przypadek, kiedy nauczyciel kazał mu coś przygotować dla całej klasy. Opowieść o dzielnych, radzieckich żołnierzach, którzy bronili naszej wsi i tu polegli. I – mówił – są pochowani w ogrodzie u twojej rodziny, bo do tej pory nasze państwo i my musieliśmy zalecać rany, ale czas, nadszedł czas oddania honorów, radzieccy żołnierze nie będą leżeć w ogrodzie, trzeba nareszcie zrobić im honorowy pogrzeb. – Janek jeszcze nie rozumiał do końca, ale biegł skrótem do domu, powiedzieć jak najszybciej dziadkowi, jaki ważny jest ten ich zakopany w dole żołnierz, ten, tak, omijali to miejsce, tę niby-mogiłę, dość szerokim łukiem, prawdę mówiąc, zbliżała się w jej stronę przyma nawozu. Tak, właściwie to nie była jakaś porządna mogiła, brak krzyża, imienia, nazwiska, ledwie zaznaczona wypukłość gleby i wbity w ziemię gruby patyk. Dziadek chciał od razu po wojnie, rozmawiał z księdzem, bo nie godzi się, bo co Bóg by na to. Od tego jest cmentarz. Ksiądz nie chciał ruskiego na swoim cmentarzu, radził zostawić, ruski pewnie nie był, na pewno nie, katolikiem, kto wie, czy to w ogóle chrześcijanin. Ich wiara, ich wiara, psia wiara. W czerwonej książeczce, pogańska. Do sierpa i młota się modlą, w mauzoleum jak faraonowi cześć składają... Ksiądz wpadał w swój żywioł, przed jednym słuchaczem mówił lepiej niż z ambony. W końcu rady nie dał. Lepiej głośno nie mówić, nie wspominać, niech to już tak zostanie, za stodołą. Więc dziadek udawał, że nie widzi, jak się przechyla na tamtą stronę coraz bardziej przyma nawozu, jednak przed pierwszym listopada stał tam dłużej, wyrwał jakieś chwasty, poprawił patyk. W końcu wyrzył na tabliczce napis, skoro nikt inny nie chciał: niech poczyna w pokoju. Tak było po chrześcijańsku.

I nagle coś takiego. Gdzieś o tym zdecydowali. Miasteczko chciało mieć, każdy by się bał, że ktoś to odkryje. Ważne, żeby mieć swojego bohatera. Front tędy nie szedł, cofał się, liznął obrzeże obecnej gminy, ale taki pomnik w centrum. Jasne, zawsze można go było postawić. Jednak zwłoki, to znaczy szczątki, szacowne szczątki Wani, na pewno Wani. Młodego, dzielnego żołnierza, który musiał umieć grać na harmonijce ustnej, na pewno. Bardzo młodego żołnierza, mającego dużo, dużo marzeń. Nie jakiegoś Kałmuka czy Kazacha. Najlepszy byłby martwy jasnowłosy, romantyczny żołdacz, którego matka czeka i płacze, oczy wypłakuje, a on tu dzielnie, z okrzykiem „urra”, oderwany od piersi ojczyzny, od matki-ojczyzny, przychodzi do nas na pomoc, wyzwala miasteczko, wieś, potem patrzy jasnym

wzrokiem na zagrodę, w której mieszka chłopiec, Janek, z dziadkiem, babunią, ciociami i wujkami, i tę zagrodę pragnie natychmiast wyzwolić. Bo matka, jego własna matka i Stalin, jego własny Stalin, chcą w nim widzieć gieroja, maładca. No i zobaczą.

Nauczyciel galopuje tą opowieścią jakby na koniu, jakby siedząc na lufie czołgu wyjeżdżającego zza wału na odkrytą przestrzeń – wróg pierzcha, w tle etiuda rewolucyjna, drzewa się chylą – całkiem zasłania Jankowi ten jakiś prześwit, w który nie zdążył zajrzeć, kiedy babcia przytuliła go do piersi. I w gminie też pędzą za swoją wizją, bo skoro nie ma dokładnych danych, trzeba rzecz całą zrekonstruować należycie, żeby rusek zamienił się w żołnierza i mógł spocząć obok dwóch innych pozbieranych po zagrodach, i dać temu miejscu jakąś przyzwoitą historię.

– No właśnie, do cholery, towarzysze, musimy tu mieć wiarygodną historię, inaczej nie ruszymy do przodu. Za dużo mamy tu tych niemiecko brzmiących nazwisk, tych krewnych po tamtej stronie, tego chlamu z podejrzanych fabryk i fabryczek, tych napisów gotykami. Iść do przodu, trzeba iść do przodu. Z bohaterami. – Tak, ten ich pierwszy sekretarz, przybysz i neofita, miał zapal.

Więc dziadek musiał poczuć ulgę. Tak. Porządny pochówek, mniejsza z tym, że też niechrześcijański, na tyle zasługuje każdy człowiek. W ziemi, niekoniecznie święconej, skoro poganin, ale jakoś uświęconej. Trudno, trzeba dać im wykopać, ale nie, dziadek się nie zgadza iść w kondukcje. Najpierw.

– Nie musicie przemawiać, chociaż wskazane byłoby wspomnieć, że jesteście temu tu maładcowi wdzięczni. Nie trzeba się wdawać. Szczegóły nikogo nie interesują. Ja bym jednak na waszym miejscu przyznał. W końcu ten oddział was wyzwalał. A my docenimy. Przyjdą żniwa, przydadzą się maszyny, macie w pierwszej kolejności. Chcecie się rozbudować? Będzie przydział. – Dziadek nie ulega perswazji tego z gminy, w garniturze, dogląającego ekshumacji na dzień przed główną uroczystością, z nadzieją jeszcze na urobienie czynnika lokalnego. Dobra, pójdzie w kondukcje, ale gadał nie będzie, nie umie. Urzędnik stara się w to uwierzyć, z całych sił się stara, bo nikomu nie jest potrzebna jakaś zasadnicza niewiara, odwrotnie – teraz trzeba starannie podtrzymać wiarę, żeby to świeckie nabożeństwo się udało. W interesie wszystkich. A prosty chłop, który miał zaszczyt mieć za stodołą zwłoki bohatera, wystarczy, że za nimi pójdzie, przemowy, tak, zostawmy ludziom do przemawiania stworzonym. I całe szczęście. Dobra. Niech tak będzie. Co tam dużo gadać.

Szacowne szczątki, o świcie, wyprowadzono z przyszpitalnej kostnicy. Bo przecież nie z przykościelnej, chociaż to nie było od razu oczywiste. W końcu miejsce u księdza najbardziej reprezentacyjne.

– Nie pierdolicie mi tu, towarzysko! – skwitował tę uwagę pani Lucynki, całkiem niedorzeczną, baby jednak mają słabe wyczucie polityczne, naczelnik gminy. Porządne, dębowe, proste, bo żołnierski los jest bohaterski, wzniosły, lecz prosty, porządne trzy trumny otulone wstęgami.

I wieńce, te mogą być nawet z fantazją, czerwone z jednej strony, z drugiej, lewej, niech będzie, że od serca, więc z lewej strony tego, co w środku trumny, a na wierzchu wieniec, biało-czerwone. Czerwone jak puchar wina, białe jak śnieżna lawina, chociaż żołnierz wołał, każdy z tych trzech poległych w walce wołał biały samogon, biały chleb i biały smalec, czyli symbolika im bliższa to by musiały być goździki białe, krew, czerwień, skojarzenie z ich ranami, a może też z tym, co mogło dziewczuchom spomiędzy nóg wypływać, kiedy oni, przynajmniej ten jeden na pewno, chcieli po prostu zbliżyć się do miejscowej ludności, co bywa niezwykle, jak się okazuje, niezwykle na linii frontu niebezpieczne. Jak się jest młodym żołnierzem, jak się jest prawiczkim, jak się cierpi od wszy i z głodu, jak się nie zna niczego poza własną wioską. Jak się opije krwią, smrodem i śmiercią, nie znając Boga, a tylko Wodza, który osobiście nie bywa obecny w tych okolicznościach. Jak się już wodza ani dowódcy, ani ojca nie ma jak bać, a nie ma się na ich miejsce zawsze obecnego Boga.

– Białe i biało-czerwone, bo takie są symbole narodowe, chociaż ja uważam, że w tym przypadku powinniśmy dać pierwszeństwo czerwieni, oddajemy hołd ludziom radzieckim, bohaterskim przedstawicielom tego narodu, któremu zawdzięczamy wszystko i nawet takie pędraki jak wy – Jankowi wydawało się, że nauczyciel patrzy wyłącznie na niego – powinny nosić tę czerwień, tę mocną, robotniczą i międzynarodową czerwień na sztandarze. Do jasnej cholery, durniu, słuchaj uważnie, taka czerwień i taki sztandar jest honorem – z tym, że do kogo on to mówi właściwie?

Więc wyszli z przyozdobionej na tę okazję kostnicy aleją w dół, w kondukcje przez całe miasteczko. W kondukcje powiększającym się zaraz, właściwie szedł w nim prawie każdy plus ci ze wsi, u których odnaleziono bohaterów. W ciszy, bo trudno było zdecydować, jaką pieśń zaśpiewać towarzyszący bohaterom, czym ich upieścić, ugościć. Pod ratusz na miniaturowym rynku, w którego centrum odwalono kamienne bloki, zachowane sprzed wojny, żeby tam wkopać nową tablicę z informacją, że te ziemie wyzwoliła bratnia armia i w tej ziemi, na cmentarzu nieopodal, leżą wojny tej bratni bohaterowie. Pierwszorzędni, powiedzmy sobie szczerze, bo gdzie, no gdzie w tym czasie byli miejscowi? Nawet jak któryś chodził z partyzantką, nie umiał wybrać ideologicznie słusznej. Tacy tu ludzie. Na cmentarzu wykopano zawczasu trzy miejsca, trzy w jednym grobie połączonym ideą, trumna przy trumnie, dotykające się bokami. Mała Aleja Zasłużonych. To logiczne. Tam już zresztą były jakieś groby bez nazwisk, z wojny. Kto wie, ruskich czy naszych partyzantów. Może i Niemca.

Przy tej, zrobionej przez miejscowego artystę, tablicy i nad grobami przemówienia, wojskowe honory, wystrzały, strażacka orkiestra. Ludzie, kobiety w chustkach i mężczyźni w czarnych garniturach. Tak, warto mieć bohaterów. A święto, zwłaszcza tak podniosłe, tak piękna liturgia, to świętość. Sam ksiądz proboszcz ludziom powiedział. Pochówek zostanie pochówkiem.

Janek nie wie, potem jeszcze mniej pamięta, czy to ten sam, który leżał u nich, prawie przykryty odchodami krów, świń i konia, tylko lekko odgarnianymi, żeby zachować szacunek dla śmierci, czy ten sam żołnierz jest teraz ich bohaterem. Bo jeśli tak, pisząc dla niego wypracowanie, list do matki poległego, z okazji rocznicy rewolucji, chciałby dodać, że z tłustszym jedzeniem to w wojnę u nich kiepsko było, więc prosi, żeby pani mama żołnierza to zrozumiała. Nie mieli się czym podzielić. A te inne sprawy, tych innych to on, mały, nie rozumiał. I babcia, ciocie też, pilnowały, żeby nie patrzył. A jego mama jest daleko, więc on rozumie, jak ciężko musi być mamie bohatera.

WĘZELKI

Tacy mogliby być. W wielkim, wcale nie panoramicznym, skrócie. Raczej w notatce do postaci, wyłuskani z niepamięci, zaszczerpieni na twarzach, ciałach, słowach jakichś ludzi, których podsuwa spustoszona wyobraźnia, mająca do powiedzenia tylko tyle, że na początku jest bezsensowny bełkot przypadków i z tego rodzi się życie, które podejmujemy, chociaż lepiej byłoby się na czas wycofać. Niech to szlak, tak się właśnie zaczyna.

Gdzie się spotkali? Każde z nich jedzie z innej strony, pokonuje inną drogę. Troje pociągami. Jedno z nich, jedna, Ulrike-Ula jest na miejscu. Jej droga to rezygnacja z drogi, niewykupienie biletu, niezdecydowanie na trasę i środek lokomocji. Jej droga jest tekstem, zapisem, słowem. Bo z Ulrike... Jakiejś, staje się Ulą... jakąś. Po prostu, jej droga to przypadek udratyzowany Historią, której na co dzień nikt nie widzi. Ula przechodzi transformację na papierze. Wybiera drogę przez słowa. Wygrzebuje niedopowiedzenia, z których wynika, że ma odpowiednią domieszkę odpowiedniej krwi. Że mogłaby się nazywać niemal Kowalska. Ktoś jej w tym pomaga, coś załatwia, podstawia odpowiedni wehikuł. Ona zostaje, stopniowo przestaje „zostawać”, „nie jechać”, zaczyna jeszcze intensywniej „być”, bo nie widzi innego wyjścia. Nikt się o nią o upomina, nie wzywa, nie prowadzi. Żaden odzew na przez całą wojnę formułowane, listowe, opieczetowane urzędowo hasło. Ulrike jako Ulrike nie ma zwrotnego adresu, ma tylko miejsce stałego pobytu w tym miejscu. Jest jeszcze coś: ona nie nadąża z myśleniem o tym wszystkim. To ją wielkim krokiem przekracza i omija, to wszystko. Zostaje instynktowna decyzja nie-decyzja: życie. Ona nie podejmuje decyzji, decyzja podejmuje ją, tak to nazwijmy.

Chociaż mogłaby kiedyś opowiedzieć to jako decyzję, nie dajmy się zwieść. Decyzja podejmuje ją po drodze, żeby robić jeszcze inne, nie zawsze godne pochwały rzeczy.

Janek chce być sobą bez tłumaczenia innym. Chce pracy i garnituru. Nie jedzie do matki, która mu taki wariant niezobowiązująco proponuje, zaznaczając potrzeby męża i córki. Przyjeżdża pracować i się uczyć. Zakłady Wytwórcze Aparatury Przemysłowej. Oto miejsce, które staje się Janka matecznikiem. Tego nowego Janka, nie-bękarta. Tymczasem po podstawówce, niedługo fachowca. Matecznik z dala od matki. Matecznik bez kobiecej ręki, bez babci, która nadal śni mu się w nocy i mówi rzeczy tylko dla niego. Tak, oczywiście, bez zbędnego gadania. Kiedy przychodzi czas, chłopiec pakuje niewielką walizkę. Zegna swoich, zamyka furtkę, a zza zabudowań wsi wychodzi już jako mężczyzna. Normalna sprawa, zwykła droga. Wyjście zza węgła jest pasowaniem na dorosłego. Widzę to jak na filmie. Ciąg dalszy nie powinien nastąpić, ale nastąpi. Ciąg dalszy z życia mężczyzny.

Anna musi zdobyć wykształcenie. Obietnica, że na Ziemiach Odzyskanych istnieje szybka ścieżka, okazuje się pusta, ale ona i tak zdobędzie, co zechce. Potrwa to dłużej. Więcej godzin, więcej książek, mniej dobrego światła. Deklinacje zbędne, francuskie słówka rozsypane, szkolne budynki zimne. Dużo zieleni wśród ruin, dużo ludzi, od których lepiej trzymać się z daleka. Mamusia nie pochwalałaby tych kontaktów. Skoro nie ma innych, trzeba je podtrzymywać. W drodze do biblioteki przydaje się towarzystwo. Ruiny i wielkie drzewa w parkach. Głęboka woda. Naprawdę, ciemna, mętna, głęboka woda. Trzeba gdzieś przynależeć, gdzie się zapisać, dopisać. I pamiętać o świeckich przykazaniach.

Najpóźniej przyjedzie Maria, Marysia. Prawie na gotowe. W ostatniej chwili. Bez ostrzeżenia. Podjąwszy decyzję w punkcie repatriacyjnym. Tu szkoła zamiast obowiązków córki. Żeby je lepiej wypełnić potem. Marysia jest mi bliska, deleguję ją do odbycia stażu na protoplastkę. Zapowiadam ten fakt, bo może się nie udać utrzymać jej fasonu.

Lata pięćdziesiąte będą jeszcze trwałe, jednak zaraz przyjdzie czas na rozluźnienie. Poluzowanie nie obejmie ciasnych w pasie sukienek i spódnic. Poluzowanie dla każdego z

nich okaże się obietnicą na wyrost. Ledwie pudrem przykrywającym rany, których nie oglądają przed lustrami w swoich mało komfortowych łazienkach pociągniętych pierwszy raz po wojnie olejnicą, bez zdrapywania warstw. Ale czasem poluzowanie jest czymś więcej. Naprawdę, francuskim szampanem.

W takim mieście ludzie spotykają się przypadkiem, w nowych konstelacjach. Ludzie wymyśleni przez przypadek. Powiedzmy, najczęściej w pracy. Dla Anny i Uli miejscem pracy jest bar „Bambino”, gdzie trafiają po zaliczeniu kilku innych barów. Bambino, bambino, bambino. Janek, też słodki na pierwszy rzut oka, ale i mężczyzna, jest ich konsumentem, Marysia lokatorką Uli. Bambini, bambino. Oto przypadkowy układ. Komplet poszerzy się później.

O niezbędny element. Do życia. Mają z sobą coś wspólnego: nie mają tu, w mieście, rodzin. Uklepują swoje życie, stykając się naskórkami z ludźmi stąd, zawierają przymierza, składają przysięgi.

Są jednym z węzełków, które można próbować rozsypać. Każde z nich wewnątrz, w sobie. Oni pomiędzy sobą. Oni z innymi ludźmi. Oni i ci, których pozostawili. Ludzie są jak węzłki: nie wiadomo, co się w nie zabierze i czy dadzą się rozplątać. Kto myśli, że można z tego zrobić mit lub sagę, jest w błędzie. Węzłki są węzełkami. Ni mniej, ni więcej. Węzłki. Talerze raz pełne pierogów, raz umyte.

Supły. Węzły. Węzłki. Ze względu na morski klimat miejsca – powiedzmy jeszcze: liny i spojłery.

ŚNIADANIE W BARZE „BAMBINO”, 1959

Dzień w barze „Bambino” zaczyna się przed świtem. Panna Ula poprawia i tak gładko ulizane włosy, kołnierzyk bawełnianego fartucha, patrzy w lusterko. Brwi w łuk, pociągnięte kredką. Ma czas, tylko parę sekund, a wygląda się zupełnie inaczej, zawsze warto poświęcić chwilę. Zresztą to się rozumie samo przez się i robi raczej mimowolnie. Żaden wysiłek. Inaczej od razu człowiek się czuje. Zadbana kobieta nie dopuszcza innych do myślenia. Nie daje innym myśleć, że coś jest z nią nie tak. Jej samotność nie oznacza samotności. Jej życie wydaje się gładkie jak twarz bez zmarszczek. Jej twarz jest gładka, bo dba o to. – Nie należy ludziom dawać pretekstów – mówiła mama. Ula im nie daje. Nikt się nie będzie nad zadbana kobietą litował. Jest panią swojej twarzy. – Twoje emocje nie są interesujące dla ludzi – dodawała mama, siadając na krześle dokładnie, nogi ustawione równo, sylwetka wyprostowana. Wszystko ma swój ideał. Także siadanie. Nie zawsze można dochować wierności ideałom. Ula, potem, potem, będzie czasem mamę, bez złych intencji, w tym mówieniu o emocjach, cytując, parodiować. Na koniec podnosząc w górę brwi, mimika raczej bliższa ojcu, o którym nic nie mówi. Ale to się będzie zdarzało rzadko, po dobrej kolacji i słodkim winie.

Poranne wstawanie nigdy nie jest dobre. Co dopiero, kiedy poranne oznacza nocne? Właściwie. Dla większości ludzi w tym mieście, nawet dla tych, którzy pracują w zakładach produkcyjnych, w hucie, papierni, stoczni. Dojazdy na Stołczyn, dojazdy do Skolwina. Nie takie bliskie. Tramwaje jeszcze jadą po brukowanych jezdniach szlakami wytyczonymi przed wojną. Oblegane w porannych godzinach, czerwone tramwaje. Ludzie chętnie chodzą pieszo. Do pracy szybko. Po pracy, w wolne dni, z przystankami na ławkach w alejkach. Szarzy na twarzach, w podobnych prochowcach, beretach, pilotkach ludzie. Ci, którzy się spieszą, tak wyglądają. Kiedyś tego w jej rodzinie nie było. Właściwie: jak było, nie może i nie umie pamiętać. Po co jej to? Od momentu, który łatwiej odtworzyć, oni nie chodzili, ich, mężczyzn z ich rodziny, już nie było. Wymaszerowali gdzieś tam, w nieznaną przestrzeń. Nie odpowiedzieli na listy.

Ula nigdy nie była nigdzie poza Berlinem, jedną wizytą w Monachium, mglisty obraz miasta. Wujowie, ciotki, prawdziwi i przyszywani. Nic, właściwie trudno to nazwać wspomnieniem. Cień śladu, ślad cienia. Raczej piesze wędrówki wokół rodzinnego miasta. Teraz, owszem, jeździła do Międzyzdrojów. I pod miasto, nadal, trochę przemodelowane, na piknik. To praktykowane przed wojną, w czasie i teraz. Wszyscy. Z ojcem. Tylko ona z matką. Z przyjacielem. Panna Ula, tak na nią mówi tylko pan kierownik. Nie wygląda specjalnie na pannę. Cóż, jeśli tak wygląda dla niego panna... Bardzo proszę, panie kierowniku, bardzo proszę. Pan tu rozdaje karty, do pewnego stopnia. Ula zna swoją wartość i wyznacza mężczyznom granice. Grają jej kartami. Ula jest kobietą samodzielną z wyboru. Tyle.

Spać chodzi na ogół wcześniej, jak mama, która zawsze mówiła, że rano robota czeka, zaczynała dzień od podlewania kwiatków i odkurzania fotografii w ramkach. Bo kwiatki i fotografie, jak mężczyźni i dzieci, potrzebują uwagi już od samego rana. Ona miała i znała obowiązki.

Obowiązki, kochana sąsiadko, obowiązki. Kiedy wyjdą z domu, mężczyźni i dzieci, można będzie przysiąc na chwilę, patrząc na czyste. Wymieniając z sąsiadką uwagę o obowiązkach. Dopóki to nie brzmiało zbyt dwuznacznie. Potem, mawiała mama, będę długo spała. Będę sobie leżała na piernatach. Skąd mogła wiedzieć, wzdycha Ula, że to się nie uda? Trzeba wiedzieć, nie ma żadnego potem, jeśli na to właśnie się czeka. Mama wstawała przez całą wojnę tak wcześniej, musiała wiedzieć, gdzie są, ale czy na pewno wiedziała? Ula czasem

to analizuje. Może gdyby wiedziała, gdyby podała jakiś adres, ostatnią pocztę... Może wyszłoby na jaw, że oni wszyscy byli po prostu żołnierzami. Może płuca nie wysiadłyby mamie tak szybko... Gdyby została w swoim widnym, nie mając nic do ukrycia, mieszkaniu... Gdyby pojechała, choćby do powojennego, zniszczonego Berlina z kartkami na żywność i strefami okupacyjnymi. Wówczas po prostu w nieznaną, być ze swoimi, blisko. Uciec. Prawie każdy tak myślał. Uciec stąd, bo tu byli pamiętliwi. I po prostu zranieni. I wściekli. Tu nie było lżej, ale wydawało się, że przynajmniej „na swoim”. Dla mamy tak było i dla niewielu więcej osób. Brak praktycznego zmysłu mimo praktykowania życia codziennego według rygorystycznych zasad.

Lepiej wspominać to wczesne wstawanie, powtarzać je jak rytuał, niż to, co stało się potem. – Straciłam mamusię w '47 – mówi kierownikowi i innym. Kiwają głowami. Każdy kogoś stracił, w '39, '41, '44, '47. Po prawdzie, nie wiadomo, czy to koniec. Nie dla wszystkich. Ula zamyka drzwi od pokoju wcześniej, jeśli jest w nim sama. Wstać trzeba po czwartej. Ale nie usypia od razu. Pali i czyta. Czyta i pali. Żeby usypiać w takim momencie, kiedy głowę wypełnią cudze losy. Nie pozostawiając miejsca na obrazy z jej własnego życia. Pod tym względem, zachowań w sypialni, nie naśladuje mamy. Kto wie, o czym myślała mama w ciemnościach, zanim usnęła? Nie czytała i nie paliła w łóżku.

Ula ma w genach wczesne wstawanie, chociaż jej rodzina po linii żeńskiej, patrząc wstecz nawet bardzo głęboko, pochodzi spod tego miasta, a po męskiej z samego Stettina, nie potrzebowała spieszyć się do, dajmy na to, obrządku. Dobrze, powiedzmy. Po żeńskiej tak, wstawały, ale nie zna szczegółów. Kobiety i tak zawsze szykowały śniadanie dla rodzin, więc nie mogły się wylegiwać długo. Na wsi czy w mieście kobietom wszystko jedno w sprawie wczesnego opuszczania łóżka. Ula też się specjalnie chętnie rano nie wyleguje. Nawet jeśli ma gościa, któremu nie będzie dla zasady, z zasady usługiwać. Śniadanie podaje mężczyźnie żona lub kochanka. Ona nie chce być jedną ani drugą. Czasem z kimś się kocha. Ma, inaczej niż matka, zasłony w oknach. Lniane, szczelne zasłony. Pasujące do mebli sprzed wojny. Matka takich nie miała. Zanim nastał czas zaciemnienia, nie wypadało dawać do myślenia ludziom. Że ma się co ukrywać. Ula może tak nie myśleć. Inne czasy, inne obyczaje. Wszyscy mają zasłony. Kupione w pierwszym sklepie Polskiego Lnu. Len Polski. To dobra marka. Z polskich marek ta jest bardzo dobra, prawie tak dobra jak niemiecka marka. Albo jak przedwojenna polska. Te nowe z polskiego lnu zastąpiły tapicerski materiał, z którego uszyła te pierwsze, niedługo po wojnie. Niemiecki, tapicerski samodział. Ledwo go przyniosła, taki ciężki, a ona miała wówczas wątłe ramiona. Po wojennym głodzie. Uniestwiony nakaz kultury fizycznej. Nie układał się najlepiej, za to świetnie zaciemniał. Ula nie wyleguje się z mężczyznami. Czasem tylko sama z sobą, kiedy długo czyta. Rano i tak wstaje od razu, rześka i gotowa. Robi staranny makijaż. Dobiera do spódnic bluzki. Nieważne, że w pracy się przebiera i ma do niej blisko. Lubi się przebierać. Lubi się sobie przyglądać. Lubi być gotowa. Lubi, bo tak. Nikomu nic do niej.

Te zasłony. Na początku wydawało się, że wszyscy ją widzą. I chcą wiedzieć, czy nie myśli o ojcu i braciach.

O czym myśli, mieszając niemiecki z polskim, wchodzącym tak szybko, z dnia na dzień, na ulice, na szyldy, do jej głowy. Tapicerski materiał wyszperany gdzieś na Niebuszewie, w małym składziku meblowym, dobrze się nadał, ale był brzydki i trudny do uprania. Len w naturalnym kolorze z rzutem w magnolie od razu rozweselił pokój, jak go tylko przyniosła. Zanim jeszcze uszyła i powiesiła. Leżąc na oparciu kanapy, dodawał pokojowi uroku. Mogłaby go tak trzymać na oparciu kanapy, gdyby z tyłu głowy nie słyszała mamy mówiącej: – Niczego lepiej nie odkładaj. – Sama odkładała tylko odpoczynek. Ula kroi materiał dużymi, przedwojennymi nożycami Sollingen. Umie to, całkiem dobrze wykrawa także proste ubrania. W szkole miały i takie zajęcia. Szyje, korzystając z maszyny sąsiadki, z pięknego, czarnego singera. Ćwiczy cierpliwość i łydki. W każdym razie nic nikomu do tego, z kim spała. Co

robiła, kiedy wychodził, jeśli nawet wychodził do żony. Naciska mocniej na pedał maszyny, ma mocne łydki, mogłaby tak długo. Jak sąsiadka, szyjąca w fabryce pościeli i jeszcze w domu, na zarobek. Niech ona, żona jednego z drugim, jeśliby tak było, jeśli istnieje, odsłania okna. Prawowita żona. Ula zakrywa przede wszystkim godziny spędzane z samą sobą. Nic nie wymaga tak szczelnych zasłon jak życie wewnętrzne.

Kobiety były zazdrosne. W tych powojennych latach o wiele bardziej niż przedtem. Trzymały się męskich mankietów, nogawek, jak tylko której udało się takiego przywiązać. Kochały te znerwicowane, cherlawe egzemplarze.

Ten dorodniejszy, wsiowy desant. Było ich mało i nie wiadomo, czy nie chcieli znów odejść. To zawsze mogło być znowu. Sąsiadka, u której Ula mieszkała po wojnie, żeby mieć prawną opiekunkę (ale na szczęście, cudem lub przypadkiem, udało się zatrzymać część dawnego mieszkania), podpaliła któregoś dnia stół w kuchni na tle podejrzenia, że mąż siedział przy nim z obcą kobietą. Siedział. Po tym incydencie pojechali przez zieloną granicę. Niejedyni znajomi, którzy tak pojechali. Po co? Lepiej tak się nie przywiązywać. Do myśli o zmianie i do mężczyzny. Lepiej dawać sobie radę. Samej wszystko wykroić i pozszywać.

Więc dla Uli poranek przed świtem, przygotowywanie śniadania to pestka. Walter, pan kierownik, kuśtyka tu jeszcze przed nią. Czasem mówi do siebie po niemiecku. Tylko do siebie, po większej dawce z piersiówki. Podobno. Nie do niej, o język nawet jej nie pytał. W papierach ma ...ski, nie wiadomo czemu Walter. Po prostu przecież Waldek, ale niech tam, jakoś nikogo nie dziwi. Ma przedwojenne doświadczenie restauratora. Gdyby spojrzeć na pocztówki z miasta, znaleźć by można restauracje, w których awansował. Aż do kierownika, jak teraz. Sznycle cielące i wielkie kufle piwa. Kielbaski z rusztu i smażona kiszka. Tort Sachera i apfelstrudel daleko od Wiednia, lecz nie tak daleko jak teraz do Berlina. Waldek, Walter, za często tego nie wspomina. Ma pamięć o tym przedzieloną przez kartki. Marmolada, margaryna, marmolada. Przedzielone też zapewne stratą. Nierówny przedziałek na głowie z warstewką łupieżu. Zagaduje dziarsko, a potem wchodzi na zaplecze, jakby mu się wyładował akumulator, oczywiście jakaś przedwojenna marka. Pilnuje podziałów w magazynie, barze, własnej głowie.

Teraz cieszy się codziennie i o tym zawsze z Ulą, dla niego panną, mówi, że bułki są świeże, z piekarni przy Krzywoustego, kajzerki najlepsze w mieście. Ula woli bułkę poznańską, większą, jakby potrzebowała więcej jedzenia, później przestała być głodna, była dłużej na krawędzi, kiedy już nie możesz nawet stać w sklepie po cokolwiek. Na nic nie czekasz. Przyjmujesz miskę zupy od dobrych ludzi. Szczupła została na zawsze mimo pracy przy jedzeniu. A może tylko widzi, woli poznańskie, takie lepiej schodzą? Z państwowej piekarni na Pomorzanach. I lepiej je przygotowywać – rozkroić, posmarować, przełożyć. Twarożkiem, żółtym serem. Do kajzerki najlepiej pasuje szynka. Szynki dostają mniej niż sera. Waldek lubi też mleko z kanek, przywożonych jeszcze zanim przyjdą, jeszcze bardziej po stronie nocy, przed nad ranem. Nie ma wcale metalicznego smaku, jak mówi Ula, dziecko higienicznej doktryny. Waldek czerpie chochelką porcję wprost do kubka, lubi rano, może ma lekkiego kaca, zanim zamknie się w kantorku i zacznie liczyć, tak wypić. Może mieć kaca, mieszka sam, wieczory są w tym czasie, w tym mieście długie. Prawie nie ma dokąd pójść, chyba że do knajpy, samotny mężczyzna. Pije mleko, zanim Ula przyniesie mu prawdziwą kawę w szklance z napisem takim jak na kubkach: WSS „Społem”. Może przystania palcem część napisu? Od pewnego czasu mają taką opisaną zastawę. Znosi mu kawę. Zanim przestanie intensywnie pachnieć robiona z proszku jajecznicą. Zanim skończą wydawać zupę mleczną. I w kuchni zacznie się robienie ruskich, leniwych, naleśników, pomidorowej, gryczanej i czego tam jeszcze. Kawa kierownika należy do śniadania. Jest jego końcowym akcentem. Przełamuje mleczno-jajeczne zapachy. Kawa ożywia jego nadszarpnięty organizm.

Anna przychodzi trochę później, siedzi na kasie, tak się teraz tu mówi. Umie liczyć. Nie poprawia tak często włosów, nie nosi białego fartucha. Granatowa sukienka z kołnierzykiem

w groszki. Skromna, czysta elegancja. Nie musi mieć fartucha, tak jest ładniej na kasie. Raczej poprawia czerwoną szminkę na ustach. Kupioną z paczki od Żyda, bo gdzie można by taką czerwoną, w tej jakości? Jeszcze takich nie ma w drogeriach, dopiero nastąpi epoka Celi. Bardzo ją cienko kładzie, oszczędnie. Raz, dwa dziennie. Kładzie pod ręką drożdżówkę, do kubka leje z żeliwnego czajnika wodę na dwie łyżeczki neski. Czasem woli rano herbatę. Je, ściśle rzecz biorąc, podczas pracy, czego nie wolno. Mają po to, dwa razy dziennie, przerwy śniadaniowe. Anna robi tak i myśli, co by powiedziała mama. Kto się szanuje, tak nie robi? Kto się szanuje, nie nosi trwałej od byle jakiego fryzjera, mistrza niby, ale byle jakiego. Kobięciarza z przefarbowaną grzywką. Znow jej spalił końcówki. Lepiej robi dzieci kolejnym kochankom niż fryzury. O tym się w tej części miasta mówi. Kochanki lecą na zakład. Ula ma rację, następnym razem zrobi jej ondulację sama, w jej małym, kolejnym mieszkanku przy Wieniawskiego, z widokiem na drzewa. Będzie sobie mogła patrzeć na zieleń w parku, popijając kawkę ze skondensowanym mleczkiem, w czasie kiedy płyn będzie robił swoje. Niekradziony, nieoszukany, z paczek. Z paczek trafiających na czarny rynek. Anna sama się do siebie uśmiecha. Paczki. Z Unry, ze wsi, z zagranicy, żydowskie, od brata. Ciągłe zaprzatają jej myśli. Tak, trzeba się szanować. Niewiele by się miało bez paczek. Odwrotną pocztą listy z podziękowaniami albo nic. W rozliczeniu pieniądze. Anna zresztą woli odkładać niż kupować. A tu ma – kanapki i leniwe. Te są prawie zupełnie miejscowe. Jeśli nie liczyć koncentratów. Pieniądze będą potrzebne na co innego. Sukienka, kołnierzyki. Coś swobodniejszego w dni wolne. Najęść się w pracy. Oszczędzać, oszczędzać.

O szóstej, jako jeden z pierwszych klientów, przychodzi Janek. Ma po drodze, jest już w drodze do pracy. Bierze dwie bułki z żółtym i kakao. Chciałby czasem jajecznicę, ale nie ma czasu. Jako stały klient mógłby liczyć na wbicie na patelnię prawdziwych jajek. Zaczyna o 6.30, a trzeba jeszcze dojść. Co prawda niedaleko, zakład mieści się przy Turzynie, produkuje łożyska. Wszyscy wiedzą bez pytania. Oficjalna wersja profilu produkcji. Janek ma zgrabne, małe dłonie, w sam raz do pracy przy precyzyjnej obróbce. To też kobiety widzą. Je ładnie i ma ładne dłonie. Mieszka przy Piastów, na rogu. Nosi teczkę bez rączki, jak inżynier. Zabiera do niej jedną kanapkę na drugie śniadanie, sznytkę, która jest bułką. Zagaduje Annę, siada blisko kasy. O tej porze chce mu się gadać z kasjerką, która jest w wieku jego ciotek. Która wydaje się znajoma, bo siedzi tu zawsze, kiedy on przechodzi. Jest znajoma, bardziej niż niektórzy w kamienicy i inni w pracy. Kojarzy się z przyjemnością porannego jedzenia. Inni kojarzą się różnie, ale na ogół dobrze. Zapamiętał tu korzenie. Nie ma żadnych kłopotów. Nawet mówi jak wszyscy. Zapomniał od razu gwary. Wysiadł z pociągu i od razu mówił ogólnopolską polszczyzną. Językiem babci. Przeszczepił się bezboleśnie.

O 7.30 zagląda Maria, teraz Marysia. Nie lubi sama sobie szykować, mówi Ula, trochę podłapanym od kucharki zwrotem do tej nowej kucharki. Żeby też wiedziała. O stałych klientach warto wiedzieć. O specjalnych specjalnie, tak mówi Marysia. Lubi mówić. Obraca słowa w ustach, przesuwa je językiem, żeby brzmiały czysto. Zestawia je. Czyta po drodze szyldy i plakaty, przedstawiając też słowa. Sylaby. Czyta od tyłu. Bar. Rab. Ynczelm. Mleczny. Dziecinna. Nie jest, nie dzieckiem. Matka mówi do niej zawsze, „dziecko”. Nie jest dziecinna od czasu, gdy... Jest tych węzłowych momentów utraty dzieciństwa kilka. Na pewno jest dorosła, od kiedy tu mieszka. Jednak czytanie od tyłu ją bawi. Kiedyś przekaze tę zabawę, jak dziedzictwo, dziecku. Jedyne bezpieczne dziedzictwo. Już, już chce je przekazywać. Rozgląda się po świecie, sama nie wiedząc, skąd taka intensywność tego rozglądania.

Mieszka u Uli od jakiegoś czasu, od kiedy skończyła szkołę pielęgniarską, musiała wyprowadzić się z internatu. Służbowe mieszkanie dla siostr, dzielenie pokoju z innymi siostrzyczkami. Znowu. Woli więc wynająć. Nie musi koniecznie pracować w szpitalu. Zdjęcie z praktyk. Mężczyźni w piżamach. Park przyszpitalny. Ona, w czepku bez paska. Ten

przystojny obejmował ją w pasie. Siostrzyczka. Ten przystojny nie żyje. Wiozła go wózkiem przez całe piętro, windą w dół, przez park. Kostnica na końcu. Wołałaby jednak pracować z żywymi. Jakoś nie czuje się do pracy przy śmierci gotowa. Może idzie o obrazy? O jakieś obrazy stamtąd, z drogi? O wynoszenie dziecka, braciszka? O małe trumny? O mężczyzn?

Mogłaby zjeść po prostu kanapkę w domu, ale ma po drodze. Właśnie w barze obok szpitala na Gocławiu zapytała o pokój przy rodzinie. Tam ktoś wiedział: Ula, z „Bambina”, ma taki pokój. Przy pannie, jeszcze lepiej. Spodziewa się starszej. Młoda. Przystojna. Jeszcze, jeszcze lepiej. Świetnie. Jedzie tramwajem, tu wysiada. Pracuje, na razie, w żłobku na drugim rogu. Ma naprawdę po drodze. W żłobku robią jakąś zupę dla dzieci na południe, ale nie śniadanie. Dziewczyna powinna koniecznie jeść coś pożywne, Anna kręci głową, jedzenie jest bardzo, bardzo ważne, jak się kto szanuje. Śniadanie to podstawa, zgadza się Ula, w co, patrząc na nią, kiedy wyjmuje z kieszeni fartucha paczkę papierosów i fifkę, trudno wierzyć bez gadania. Jednak w drodze powrotnej powinna do niej koniecznie przyjść na leniwe. Nałożą jej większą porcję. Półtorej porcji to w sam raz miarka. Woli z sosem pomidorowym od tych z cukrem? Czasem nie może się zdecydować. Posypać te leniwe grubą warstwą kryształ, połać bułeczką tartą, śmietanką? Jedno i drugie? – Panie kierowniku, to porcja dla naszej pięknej dziewczyny, niech tam kucharka dobrze wyda. – Kierownik się uśmiecha, na zapleczu ma coś do kawy, wychodzi stamtąd w jeszcze lepszym humorze. Dogląda, próbuje, pomaga. Czasem go kobiety wyganiają, niepotrzebnie się kręci. Zawsze weselej z mężczyzną, kierownikiem, niech jednak nie przeszkadza. Ma ważniejsze sprawy. Owszem, on powinien decydować, czy doprawiać dalej bigos. Owszem, teraz niech idzie do biura.

Śniadanie jest najważniejsze, ważniejsze od zupy i drugiego w południe. Ważniejsze od popołudniowych kasz i kanapek. Od sety i galarety, schabowego z kapustą w restauracji na rogu to na pewno ważniejsze. Pracuje się do siódmej, Ula i Anna wolą ranną zmianę. Potem nie ma takiego chrupiącego pieczywa, ludzie nie cieszą się tak ze świeżych bułek. Przeciwnie, potrafią się awanturować. Czerstwe, czerstwe. A jakie ma być po całym dniu, jak nie czerstwe? Dobrze, że nieużywane. Ludzie nie wiadomo co myślą. Kierownik pamięta marmoladę na kartki i o tym proponuje deliberować. Nie o sznyclach, których jeden z drugim na swojej wsi nigdy nie widział, chyba powalane gnojem na pastwisku. Pan słyszał, panie kierowniku? Kożuch się nie robi, pewnie chrzcimy mleko. Tak jeden z drugim tam gada. Kożuch to na wsi u mamy. My tu handlujemy mlekiem z mleczami, czystym, odciągany mlekiem.

Tego dnia jest jak co dzień. Dzień zaczyna się przed świtem. Kanki stukają o piątą, budząc ludzi z tej narożnej kamienicy. Anna sama nie chciałaby mieszkać przy barze, ale też i nie przy sklepie mleczarskim. To mogło denerwować. W ciszy, zanim zaczęły jechać ranne tramwaje, stukające kanki i butelki w skrzynkach. Od paru lat były i butelki. Przywozili im śmietanę i mleko, jeszcze zanim kierownik otworzył kłódki, zdjął kratę. Butelek i pojemników nikt nie kradł. Były tylko na wymianę. Latem przywozili czasem dodatkowo lody w kance obłożonej kostkami lodu. Śmietankowe i owocowe. Smakujące mlekiem lody. Schodziły od razu. Kosze z pieczywem trochę później. Ceraty jeszcze raz przetarte. Poustawiane równo kubki i talerze. Białe fartuchy i płaskie obuwie, którego kobiety nie lubią. Anna w kasie też takie nosi. Nogi w nim wyglądają brzydko, ale za to nie boją. Dzień jest długi. Anna poprawia usta, kierownik u siebie, Ula smaruje ostatnią bułkę. Coś może się zdarzyć tu co dzień. Taki bar to centrum poranka.

I pewnego dnia to jest centrum. Jak w bardzo romansowym romansie. Janek wchodzi o kwadrans później niż zwykle. Ona, Marysia, ma dzień wolny. Nie wiadomo po co, ale przychodzi. Zamiast wyleżeć się, mówi to Ula, przychodzi do nas, żyć nie może bez baru „Bambino”, uśmiech, uśmiech. Janek spóźnia się dzisiaj, przekracza własny plan, bo ma zebranie podstawowej organizacji. Nie idzie na produkcję. Wszyscy mają się spotkać w celu ustalenia przebiegu, mówi do nich, do pracujących tu kobiet, jakby z gazety czytał, mówią

one między sobą. Ustalenie nieważne czego. Jest wcześniej, jak zwykle kobiety zaczęły tu pracę przed świtem, ale nie tak wcześniej dla stałych konsumentów, którzy przychodzą nieco później z powodu tak zwanego zbiegu okoliczności. Kobietom wczesne wstawanie nie przeszkadza. Praca im nie ciąży, bo mieć pracę, być między ludźmi to ważne. Każdy musi mieć pracę. Każda kobieta potrzebuje ludzkiego słowa. I kierownika. Nie każdy trafia na takiego dobrego kierownika. Poza tym przy jedzeniu zawsze dobrze. Jak się ma i jak się nie ma męża.

Więc tak było: Anna i Ula pracują tu od jakiegoś czasu razem. Ula podnajmuje pokój Marysi. Janka znają jako stałego klienta i sąsiada baru „Bambino”. Wiedzą, co kto lubi na śniadanie. Janek bierze sznytkę do pracy. Nie ma mu kto przygotować. Jeszcze pracuje w zakładach. Jeszcze. Dobrze się zapowiada, teczka i dłonie urzędnika. Trzeba dnia jak ten poranek, już widno, w 1959, żeby się spotkali. Marysia i Janek.

Siedzą przy stoliku pod oknem, z widokiem na plac Kościuszki. Znają się przez Annę, której zapłacili za śniadanie w tej nowej, już z polskiej fabryki, kasie. Poznają się z sobą jak należy w tym mieście. Ona ze Wschodu, on z poznańskiego. Poznają się na szlaku, nie całkiem przypadkiem. Przez znajomych. Przy bułkach. Marysia gryzie mocnymi zębami swoją. Janek patrzy, podnosi do ust swoją kanapkę. Mocne zęby, jeszcze bez skutków wojennej awitaminozy. Dziewczyna ma ciemne włosy do ramion. Kiedy przełyka, mówi – wypływają jej na szyję żyły. Kiedy się śmieje, zmarszczki podtrzymują jej oczy. Wszystko się w niej co chwilę ożywia. Janek odstawia kubek. Marysia widzi. Ma mocne, drobne dłonie. Jasne włosy, które poprawia gestem... nie wiadomo po kim, prawda, nie wiadomo po kim dziedziczy dłonie. – Musimy kiedyś zjeść tu razem leniwe – mówi on. A ona myśli, że tak, że jak najbardziej, że chce z nim jeść leniwe. Nieplanowana okoliczność. Chcą tu zjeść jeszcze coś razem. Mogłaby tu też opowiadać o domowych potrawach. O szpitalu. Pracy. Mamie i tacie. O braciszku wynoszonym do lasu.

Jeszcze nie wiem co dalej. O czym chciałyby opowiadać. Co on chce odpowiedzieć. Podnoszą do ust te nowo dostarczone kubki z firmowym napisem. Przesławiam krzesło, żeby sobie ich jakoś ustawić.

Śniadanie zjedzone, wychodzą, idą przez chwilę w tę samą stronę. Zaraz się rozchodzą, do swoich zadań, sporo nitek ma już teraz to miasto. Kobiety patrzą na siebie, ruch największy, nie mają czasu obgadać. Byłoby nieźle, gdyby tych młodych spiknąć. Młodzi powinni dostać szansę i się kochać. Ula i Anna nie chcą mówić za wiele o swojej szansie. Może potem, teraz warto pomyśleć o młodszych. Poprawiają, jedna włosy, druga – wyjątkowo w ciągu dnia – usta. Jasne, o swoim szczęściu też trzeba pamiętać. Ula jednak nie lubi obcych na dłużej. Annie wydaje się, że ma czas. Kogoś pozna. Ula woli, gdy wychodzą nad ranem. Nie widzą jej śpiącej. Trafia na żonaty, może sama ich szuka. Wychodzą, jeszcze zanim nastawi budzik na rano. Anna nie wie, czy nie zrobią jej krzywdy. Jak mówiła mamusia. Anna nie chce się przekonać przed ślubem. Nie wie, czy iść z tym do kościoła. Ma medalik z Matką Boską od mamusi, ale go nie nosi. Jest studentką. Liczy na karierę. Czy dziś można zrobić karierę, klęcząc co niedziela w kruchcie? Mamusia zaleciłaby ostrożność. Ula nie chodzi do kościoła, chociaż wie, że nikogo to nie obchodzi. Anna nie chodzi, bo myśli, że lepiej się nie narażać.

Młodzi mogliby się przekonać, czy mają szansę. Korzystając lub nie z usług księdza. Teraz jest inaczej. Anna kończy studia wieczorowe, ale tu nadal pracuje, i jeszcze popracuje. Tak jest lepiej. Mieć swoje pieniądze jest lepiej. Trochę to, edukacja i zdobywanie miejsca, trwa długo. Jednak w barze „Bambino”, w barach, od paru lat, i nie bywa, nigdy, nigdy, głodna. Ula nadal nie ma (jeszcze nadal) żadnego adresu za granicą. Myśli o równym układaniu.

O czymś tam, co przychodzi w wolne wieczory. Na co trzeba znaleźć lekarstwo. Na co niczego się nie szuka. Pilnując rytmu, nastawiając budzik, wkładając stopy w eleganckie

pantofle. Obie patrzą na stolik, przy którym siedzieli Janek i Marysia. Wyobrażając sobie coś, co jeszcze nie ma wzorów w telewizyjnych serialach. Ale lęgnie się w wyobraźni kobiet. Tak, nieraz jeszcze tu coś pożywnego zjedzą. Bar jest ważny. Jedzenie to życie.

URZĄDZANIE ŻYCIA, 1957, PÓŹNIEJ I WCZEŚNIEJ

Całe to znoszenie gratów, te przykazania od matek, ojców, braci. Marysia nie lubi do nich jeździć. Wieś przyzwoita, zasobna, z jeziorem nieopodal. Można chodzić na ryby, ojciec od razu mówi o tym braciom. Będziem łowić, kawalerowie. Już coś ma, punkt zaczepienia. Zmajstruje na początek wędkę. Męska, honorowa sprawa. Wieczorne, całonocne łowy. U nas można było ryby siecią, ryby w rękę... Wchodziłeś po pas, same ci lały w rękę. Ale z zabudowaniami bieda. Najpierw mieszkają pospół z sąsiadem, który z tej samej repatriacji. Taki dostają przydział. Co lepsze, dawno zajęte. Lepiej zacząć z sąsiadem. Dom, owszem, duży, ale jak podzielić kuchnię? Obiecali materiały, dalej nie chcą jechać. Niedaleko do miasteczka. Na kuchni garnki, parnik z paszą dla świnki, już widzą to oczami duszy, bo tymczasem świnki nie mają. A to jedyne zwierzę, jakim mogliby się od razu zaopiekować. Świnkę trzymało się przy domu zawsze, nawet podczas wojny. Bo w sprawie innego inwentarza, a szczególnie w sprawie uprawiania ziemi, kwalifikacje rodziny nie są jasne. Przedmieście Sambora, na którym mieszkali, nie było bynajmniej rolnicze. Ogród, sad, kurki. Owszem. Mieli ogród, sad, kurki, warzywnik, kwiatki w doniczkach i przed domem. Nie żyli z ziemi, raczej ziemia im życie urozmaicała. Swoje buraczki, ziemniaczki. Nie mieli pola i nie pracowali w kołchozie, ściśle mówiąc. Teraz nie mają wyjścia. Zapisali się na wyjazd jako rolnicy. W dodatku jest późno, co lepsze zajęte, pola, owszem, wydzielą im spory kawał i dostaną kilka sztuk inwentarza. Gorzej na razie z zabudowaniami. Na szczęście ojciec niejedno umie.

Dzielenie domu z sąsiadami nie może się udać. Ich dzieci i nasze dzieci. Ich sznury na bieliznę i bielizna nasza. Nasze pranie na kuchni i ich zupa. Wszystko się miesza, dobrze bywa wieczorem, kiedy kobiety siadają na ławce przed domem i tropią krajobraz. Chcą zobaczyć podobieństwa i różnice. U nas tak... A u nas... To wchodzi na stałe do repertuaru. Będą tak mówić przez... Zależy od długości życia. Bo będą tak mówić o każdej porze roku. A widok mają na ceglane domy, dość szeroką, ubitą drogę, neogotycki, niemiecki dwudziestowieczny neogotyk z cegły, kościółek z cmentarzem, gdzie leżą już i nasi, pola. Pola, pola, rzepak i pszenica. Żyzna gleba, powiedzą chłopcy, biorąc grudki w dłoń niepewnie, bo nie znają takiej konsystencji i co innego u siebie macali. Zaprawy, tynki, cegły, melasę, nawet papiery na biurku. Ziemię rzadziej. Z czasem na widoku staną im szopki i szopy, przybudówki, zielsko, składnice pordzewiałego żelastwa. Wszystko się przyda. Jeszcze z tego i tego to i to się nada. Za płotem kółko rolnicze. Przedzielone siatką na ich koszt zabudowania. Dzierżawa, stały grosz i dodatkowy zarobek, ale hałas, którego nie znoszą. Smród ropy. Za to zawsze im pierwszym maszyny wypożyczą. Tymczasem mają krajobraz dostatni i porządny, który się im wcale nie podoba. Wołałyby, jak i chłopcy, swoją rzeczku-smrodkę i sąsiedzką wygodkę chyłką się od nowego ku upadkowi. Kobiety mają lepiej, nikt im nie każe robić rzeczy, których nie znają. Ich gospodarowanie tam i tu podobne.

Mężczyźni zgodliwi bywają też przed wieczorem. Siadają przy stole, przez okno widzą drogę, którą raczej nikt nie idzie. W tę stronę nie ma dokąd, już tylko księżę pole. Nie wiadomo, kto powinien zająć lepsze miejsce, przodem do (raczej pustej) drogi. Bo gdyby ktoś nadchodził, można wysłać baby do furki, żeby nie wpuściły. Można też wyjść do gościa. Można statecznie poczekać. Tego akurat nie można, bo jest ich dwóch. Się nie da. Nie wiadomo, który siedzi twarzą do kierunku jazdy, który jest tu gospodarzem. Niby sąsiad był pierwszy, jednak ojciec ma honor, chociaż ma też fantazję. Nie będzie się użerał. Kto głośniej krzyknie? Kto pięścią w stół? Kto zaśpiewa? Lepiej byłoby bez tego, żeby się samo przez się rozumiało.

Ojciec dom im wyszykuje. Z części zabudowań, z letniej kuchni i obory, przylegających tu do siebie. Zrobią z sąsiadem sprawiedliwy podział, skoro nowe państwo nie ma dla nich lepszej propozycji. Skoro nowe państwo ich traktuje jak dziadów, cichaj, nie tak głośno, ojciec. Najmłodsze dziecko płacze, matka gotuje nadal z niczego, pierwsza zima głodna. Ojciec ma narzędzia, umie posługiwać się kielnią. Tynk kładzie tylko na części wejściowej, dobudowanej. Reszta zostaje czerwona, ceglana. Mają teraz dom. Nieskończona inwestycja. Wieczna inwestycja. Ojciec zapala się jak płomień z katuszy. Ma wizje i fantazje. Okna będzie poszerzał, dach podniesie. Trzeba powiedzieć sprawiedliwie. Stawia im sam ten zastępczy dom na zawsze, zanim zrobi się już drugi raz, druga zima tu, bardzo zimno. Piec szykuje fachowiec z miasteczka. Za pieniądze na zagospodarowanie.

Marysia jedzie tam po wszystkim, po budowie, na zimową przerwę w szkole medycznej. Pierwszego razu, tej zimy, potem nieudanego pierwszego lata, woli nie pamiętać. Swojego pierwszego roku w szkole. Wie, jak im ciężko, córuchno, jak ciężko, było przedtem. Jej nikt nie pyta. Grzali się oddechami, bo już siedzieć u sąsiadów się nie dało. Kiedy zdecydowali o podziale, na każdym kroku tamci mówili „jesteśmy u siebie”. Przysiada na taborecie, patrzy przez okno. Krajobraz jest inny, mama miała rację. Tak napisała w krótkim liście. I zaraz o tym, że młodsza siostra nie jest tak do roboty bystra, jak wszyscy się spodziewali. I że ojciec liczy na Marysię. Ona ma kończyć szkołę, bo zanim dorosną bracia, ktoś musi ciągnąć naprzód rodzinę.

Ojciec zabiera ją na wieś. Idziemy na wieś, mówi. Idą główną drogą, przystają niekiedy, do płotów podchodzą sąsiedzi. Ojciec się wita i każe jej się witać. Moja córka, uczy się w mieście, w Szczecinie. Jest dumny, kto ma taką mądrą i ładną córkę? Który może się równać? Matka zabiera ją do kościoła. Każe siadać koło siebie. Wszystkie dzieci uczesane. Marysia idzie przodem. To moja córka, sąsiadko, proszę księdza proboszcza. Przyjechała z miasta, ze Szczecina. Tam się uczy w szkole. Jeszcze nie wiadomo, kim może zostać.

Ojciec pije. Inaczej niż w domu pije. Matka płacze, wyciera oczy fartuchem. Będzie dobrze, mówi, posiejemy, przyjedziesz na żniwa. Będzie dobrze. Ojciec ma plany. Wyjedziemy konikiem w pole, mówi, ja powożę, przy mnie córka. Najstarsza, wykształcona córka. Zwozimy taką jak smok pszenicę, ty, kochana, ze mną młócisz, ja ci damę cep w rękę, ty silna, odpasiona na mleku matki, po nauce. Bo my mamy i krowy. Wszystko jest u twojego ojca. Samo rośnie, dobra polniecka ziemia. Ty baba silna, wcale nie delikatna, kształcona. Tylko tak wyglądasz. Moja córka musi być silna.

Teraz tylko rodzina musi przetrwać. Marysia oddaje im swoje grosze. Nie wie, za co kupi coś do ubrania, jakieś jedzenie ponad to, co w stołówce. Nie boi się głodu. Nie może patrzeć na matkę. Ma nagle matkę-staruszkę. Która w dodatku jest znów w ciąży. Nie wiadomo kiedy. Ojciec się uśmiecha, śpiewa matce do ucha, tak że wszyscy słyszą. Ho, ho, jaki z taty chojrak! Po matki brzuchu widać! Matka się opędza, ale i uśmiecha. Dobrego ma chłopca. Zbudował im dom z niczego, ze starych zabudowań. Meble pozbiali na razie po sąsiadach, coś się jeszcze znalazło w tych graciarniach, czego nikt nie brał. Dobry kredens. Stół kuchenny. Drewniane łóżko. A z pierwszych, no z drugich plonów kupi się nowe szafy i toaletkę dla matki. Matka będzie miała, mówi ojciec, najlepsze lustro we wsi. Niech się obejrzy rano, zanim do udoju pójdzie. Jak jej już kupię nowe, tutejsze sukienki, a kto wie – potem dywany i futro – nikt, naser mater, lepszego nie ma we wsi. Matka potakuje. Wierzy. Zawsze mu wierzy. Tymczasem nie ma dość jedzenia dla małych. Sama błada i słaba. Wierzy ojcu, wierzy Matce Boskiej i modli się do świętego Józefa. Też chłop, cieśla, zrozumie i wesprze. Jej chłopca. Teraz im robotnego chłopca, sama nie poradzi, synowie małe, trzeba. Ojciec nerwowy, ale mógłby mniej pić. Córku, widzisz sama, jak tu nam ciężko. Ojciec się stara, ale co ma robić? Co więcej może zrobić? Więc jak to chłop. Pije.

Marysia się dziwi, bo ojciec nigdy tak nie pił. W domu, u nich, na Ukrainie nigdy nie pił. Przyrzekł to matce, jak ją prosił o rękę. Matka tego się bała. Była taka młodziutka, on

mężczyzna w sile wieku. Chciała kończyć szkołę. Taka opowieść. Ojciec przychodził, piękny, wesoły, śmiały. Więc mu powiedziała:

– Ja bym nie była od tego. Tylko mam warunek. Ja się boję, mężczyźni po ślubie chodzą pijani, biją, co z życia ma taka młoda, która dostanie takiego na całe życie?

Klękał przy rodzicach i ślubował:

– Nie dam zrobić nic złego i kropli wódki nie wezmę! Bo ją szanuję i Kocham.

Matka, i słusznie, uwierzyła. Pił tylko na okazję, od święta. Wypity tylko trochę bywał. Tu jednak było inaczej. Czy tu w ogóle obowiązywała jakaś obietnica? A gdyby obowiązywała, już nikt matki teraz nie pytał. Była żoną. Ojciec był nerwowy, co miał zrobić? Widział siebie powożącego wozem pełnym dobra, chciałby wiedzieć, jak się do tego zbliżyć. Sieje się, a potem samo rośnie. O tak, jasne. Opowiadali sobie o tym wieczorami przy płotach. A gdy zimno, w kuchniach. Kobiety nie miały tego pierwszego roku dla nich ani ogórków, ani smalcu, ani zupy. Podkładu pod samogon. O zacier było tego pierwszego roku trudno. Z czego zrobić, jak w spiżarni, w piwniczce nic nie ma? Mogły tylko potakiwać. Tak, tak, będzie dobrze.

Marysia pojechała tam pierwszego i drugiego lata. Pomagała przy zniwach. Toaletkę i suknie ojciec kupił, owszem. I buty najstarszej. Wieczorami chodził pijany jak w zimie. Matka karmiła piersią. Ojca denerwował upał, hałas i muchy. Inne niż u nas. Ranne wstawanie. Deszcz. Lepsze plony sąsiada. Ojca coraz więcej miało denerwować. Dom wciąż wymagał przeróbek, jednak już się na nie nie doczekał. Zawsze coś było do zrobienia, w kolejce. Ojciec sporo mówił o planach na przyszłość. Co kupi za następną kontraktację. Matka dźwigała gary żarcia dla świń. Potrzebowała jedzenia do życia. Ojciec często wychodził, patrzył na swoje pole. Marysia nie mogła znów im oddać swoich groszy stypendium. Nie chciała znów zostać bez butów na zimę. Czuli istnienie rodziny jako zobowiązanie, z którego mogła być zwolniona. Nie wiadomo, kiedy tak poczuła.

Może w Czerwieńsku, kiedy matka tak łatwo się zgodziła, żeby jechać, jak stoi, do Szczecina? A może wtedy, kiedy ojciec jej powiedział, że nie ma dla niej nic, ale tam jej dadzą przydział. Tak mówią. Przy szkole internat, dostanie książki i jedzenie. Musi zrozumieć, ojciec miał łzy w oczach, oni zostają kupą z małymi dziećmi. Muszą mieć coś na początek. Może wtedy, kiedy przeczytała pierwszy list. Że jest im ciężko. A jej na pewno w mieście dobrze. Tylko niech się szanuje. Niech o rodzinie pamięta. Może kiedy indziej. Nie wie.

Pierwsze miesiące w Szczecinie były dziwne. Pochłonęła ją szkoła. Najbardziej pochłonął ją własny język. Niektórzy mówili tak miękko jak ona. Nie o to więc chodziło z językiem. Nie o akcent. Zresztą za wiele nie mówiła. Miała sporo do nadrobienia. Inny system. Więcej innych przedmiotów. Chodziło o książki. O litery. Przystawiać się z cyrylicy na łaciński alfabet. To było dziwne i trudne. Żeby dotrzeć do brakującej wiedzy, porównać zasoby zgromadzone tam, wcześniej, z tym, czego teraz się po niej spodziewają nauczyciele, trzeba czytać. Marysia duka jak dziecko. Składa polskie litery. Nikt nie ma tego bardzo za złe. Nie ona jedna. Wśród innych dziewcząt (szkoła medyczna, praktycznie żeńska) jest kilka takich, które czytają gorzej. W klasie to ujdzie. Marysia najgorzej czuje się po lekcjach, w pokoju do nauki w internacie. Próbuje po cichu czytać. Litery układają się jakby pod prąd temu, na co podświadomie czeka. Zgrzytają i brzęczą, zahaczając o siebie, kalekie, prymitywne znaczki. Wzrok ślizga się po nich, nie znajdując zaczepu, spodziewając się dalszego ciągu. Kartka wydaje się w połowie pusta. Powinno na niej być znacznie więcej.

Kiedy próbuje pisać, dłoń bierze zamach, palce przygotowują precyzyjne ruchy. Są gotowe do stawiania okrągłych znaczków i zamaszystych kresek. Trzeba je powstrzymać w połowie. Wstrzymać oddech przy każdym. Skończyć, zanim się skończą. Stawiać te kikuty, szukając dla nich połączeń, żeby się nie rozsypały jak w wierszu dla dzieci (też coś całkiem nowego, niepoznane w dzieciństwie wiersze). Trzeba przeglądać bezustannie te swoje zasoby,

żeby się upewnić, że to pismo, które ma być najważniejsze, może układać się w wiersze, powieści, wiedzę o odległych lądach, budowę krętka bladego, procedurę wydobywania na świat przy pomocy cesarskiego cięcia. Marysia uczy się podwójnie. Docierania do wiedzy w obcym alfabecie i samej wiedzy. Marysia jest z tym sama. Matka pisze do niej łacińskim alfabetem, to oczywiste, matka ledwo zna pisany rosyjski, tyle żeby przeczytać szyldy, tytuły, urzędowe pisma. Ale jej ręka jest niepewna jak wzrok córki, prześlizgujący się po kolejnych kartkach podręcznika. Matka nie pamięta pisania, wszyscy w domu, nie miała do kogo pisać. Marysia czasem płacze, wszystko dociera do niej z opóźnieniem, jak echo. Ale to mija. Jest młoda. Może być sama w obcym mieście, mieszkać z siedmioma dziewczynami w pokoju w internacie. Może jeść to, co dają, bo nie ma na więcej. Może chodzić w sukience przerobionej z matki wyjściowej. Może uczyć się pielęgnować chorych od razu na żywych chorych. Może nauczyć się czytać. Znów, jak dziecko.

Z dyplomem szkoły medycznej ma otwartą drogę do pacy. Nie chce pracy w szpitalu. Nie wie czemu, ojciec mówi, że to dobra praca, prawie doktora, ale nie chce. Pokonywać jeszcze jednej przeszkody. Nauczyć się dotykania chorych po tym, jak nauczyła się dotykania książek. Myśli o dalszej nauce, ale nie da rady. Wie, że nie zda na studia. Wciąż walczy o myślenie tym nowym alfabetem. Chce pracować z dziećmi. To umie, nie z książek. Pomagała przy rodzeństwie. Ma spore, nieksiążkowe, doświadczenie.

Szuka pokoju przy rodzinie, gdzieś blisko żłobka. Znajduje pokój przy Uli, pannie. Lepiej, lepiej przy samotnej kobiecie, myśli. Pokój jest urządony, Uli udało się skompletowanie czegoś z rodzinnych gratów. Kuchnia jak przed wojną. Chciałoby się mieć coś swojego. Z drugiej strony – ta zbieranina u rodziców... lepiej niczego nie znosić, nie kombinować. Wejść w sublokatorski pokój z jedną, małą walizką. Marysia wciąż ma niewiele ubrań. Wciąż pomaga matce. Oddaje jej pierwszą część pierwszej pensji, wiezie tam, na wieś. Matka płacze, ojciec pije już teraz niezależnie od pory dnia i roku. A dzieci małe. Chłopcy nie chcą się uczyć. Marysia nie rozumie. Poznają przecież zupełnie od nowa alfabet. Nauka nie powinna im wydawać się trudna. Tak, ale to chłopaczyska, mówi matka. Do roboty mają być pierwsi, ojciec teraz najczęściej krzyczy. Chyba, że śpiewa.

Co innego córka. Znów kogoś wynosi z ognia. Więc nie lubi tam jeździć, ale zawozi pieniądze matce. Pokój sublokatorski jest ładny, ustawny. Marysia kładzie drobne przedmioty na stoliczku pod oknem. Po pracy czyta książki. Pani Ula ma dużo książek. Klasyka polska. Klasyka rosyjska po polsku. Klasyka niemiecka po niemiecku i Anna Seghers po polsku (też ją czyta), z dedykacją od Rady Zakładowej. Książki nie stawiają oporu. Marysia jest bardzo porządna, Ula to widzi. Lubi ją i dokarmia. Każe jej przychodzić na śniadania. W wolne dni woła do kuchni, coś gotuje. Marysia myśli o przyszłości. O tym, żeby coś sobie kupić. Cieszy się z tego, że ma co czytać. W pracy jest zawsze uśmiechnięta. Lubi dzieci, których nie trzeba wynosić z ognia. Cudze dzieci, do trzeciego roku życia w tetrowych, rarytas, pieluszkach.

Ula nie pamięta żadnego przykazania, adresu, wskazania. Matka umarła, nic nie mówiąc. Matka umarła, kiedy jej przy tym nie było. Jeśli z jej życia płynie jakaś nauka, zawiera się w układaniu poduszek. I w tym, że nie warto tak bardzo stawiać na mężczyzn. Czekać. Odbierać listów. Mężczyźni w końcu znikają i nawet jeśli nie znasz ich adresu, nadal jesteś odpowiedzialna. Ula nie myśli o tym, kim jest. Nie ukrywa tego, że jest Niemką, niemrą. Raczej bywa jej za Niemców przykro, chociaż nie wie, czemu sama miałaby komukolwiek i czymkolwiek za to zapłacić. Czasem myśli, że więcej się nie da płacić. Ale nieczęsto. Częściej bierze życie po prostu. Daje się podrywać mężczyznom. Pozwala im przychodzić wieczorem, kiedy śpi sublokatorka. Nie chce jej gorszyć. Wychodzą rano. Ula dba o siebie. Kupuje sobie nowe bluzki, buty, sukienki. Zbiera książki. Na toaletce ma komplet oprawionych w masę perłową szczotek. Francuskie perfumy. Lubi jeść herbatniki i pić herbatę z porcelany. Dbą o dom, ale nie przesadnie. Wychodzi na miasto i wciąż porównuje.

Wciąż widzi na dawnych miejscach ruiny. Czas by uprzątnąć, myśli za nich. Powinni już sprzątnąć, myśli. Czemu nie sprzątaję, myśli w sobie.

W soboty chodzi do operetki przy Potulickiej. Lubi historie miłości, zdrady, przebaczenia, chytre fortele odgrywane na scenie. A jeszcze bardziej lubi pluszowe fotele, do których tak świetnie pasują jej spódnice i sukienki. Kupowane z żydowskich paczek. Tak czy inaczej żydowskie paczki. W czasie wojny i teraz. Od ojca albo od sąsiadki. Lubi jeść podczas spektaklu cukierki.

Janek kończy szkołę przy zakładzie. Jest pełen dobrych myśli. Wszystko tu się dobrze układa. Nikt nie zadaje mu pytań o ojca. Nie jest żadnym bękartem. Uczy się zawodu (toczenie) szybko, dostaje piękne świadectwo. Nie jedzie do siebie, do dziadka na wieś. Pisze mu tylko. Dostaje list: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jak zwykle dziadziuś zaczyna. Żeby pamiętał o modlitwie i dobrze pracował. Żeby nie trwonił pensji na głupstwa. Janek kupuje sobie płaszcz, garnitur, teczkę. Bardzo trwoni. Co może, trwoni. Przeznacza na siebie, nareszcie. Żadnych łachów po wujkach. Janek uwielbia się ubrać. Dziadek jednak by go pochwalił. Mężczyzna musi mieć porządne ubranie. Ale dość, potem już trzeba na rodzinę odkładać.

Anna uczy się po nocach. Trzeba być twardą. Szkoda na co innego życia. Wszystko i tak trwa bardzo długo. Musiała zrobić po kolei wszystkie klasy. Brat mało przysyłał. Zachorowała na pierwszym roku studiów. Długie leczenie, dziury w płucach. Nie mogła od razu wrócić. Pusty pokój, niedograny, zaledwie to, co najpotrzebniejsze. Niezaznawana wcześniej niewygoda życia. Żadnej cieleciny, żadnego serwisu z fajansu w kwiatki. Anna jest pełna oczekiwań. Po chorobie znajduje pracę w barze. Ciężko, przejściowo, za to jedzenie ciepłe, świeże, pod dostatkiem.

I obowiązkowa opieka lekarska. Nie zapomni, nie zapanuje. Bo choroba podstępna. Wraca na studia, ale wieczorowo. Przerzywa, znów wraca. Czyta po nocach grube książki, chce być urzędniczką. Elegancko. W sukience, na obcasach. Porządny mąż na stanowisku. Obiad domowy. To się liczy. Anna na to czeka. Nie kupuje nic do domu, niewiele sobie. Składa pieniądze. Na posag. Wie, że w życiu liczy się posag. Nikogo odpowiedniego nie poznała, jednak zawsze jest, będzie gotowa. Z posagiem lepiej się czeka.

Janek ma wielu kolegów. Po pracy można iść na piwo. Umiarkowanie w picciu. Jak równy z równymi siada przy kontuarze. Pani Krysia, Wiesia, Kasia podaje im po setce. Janek jest bardzo miejski. Ani śladu wiejskiego chłopaka. Czyta gazetę. Glansuje buty. Raz w miesiącu idzie na dansing. Nikt go o rodzinę, poza – a twój skąd? – nie pyta. Twój to kategoria ogólna, bezpieczna. Można odpowiadać albo i nie odpowiadać. Janek szyje sobie dodatkową parę spodni u krawca w jednej z bud przy Krzywoustego. Janek zapuszcza wąsa. Jest prawdziwym panem miejskiego życia.

Anna uczy się teraz raczej tylko wieczorami. Śpi za mało. Ale wyniki ma dobre. Tylko jeść trzeba. Wyniki na studiach też bardzo dobre. Znów dobre, lepsze niż za pierwszym razem, kiedy przerwała je gruźlica.

Ula dostaje list, że być może ktoś słyszał od kogoś, że ktoś widział. Jej rodzinę we wschodnich Niemczech, która zna kogoś z zachodnich. Ula nie chce się tego dowiedzieć, nie odpisuje. Do operetki jej nowy amant kupuje czekoladki. Rozpinając jej bluzkę, całuje w szyję. W operetce śpiewają po polsku, ale czy to ma jakieś znaczenie?

Marysia nie jeździ często na wieś. Pierwszy raz spędza urlop w mieście. Opala się na Głębokim. Chodzi zmieniać kostium w brudnych zaroślach. Czyta. Leżąc na brzuchu, czyta kolejną rosyjską powieść, to jednak najlepsza literatura. Poza tym, a może nawet i w tym, jest jak inne dziewczyny.

Są stąd, bo mieszkają tutaj. O swoich stronach raczej nie opowiadają. Też coś, byłoby o czym. Rodzice tak, chętnie, wciąż, od nowa. Nie wiadomo, czy było im aż tak dobrze, bo

gubią wątek w półśłówkach, ale trzymają się jak pijany płotu swojego „a pamiętasz”? Młodszy mniej. Przeszkadza im pamięć. Nie wiadomo nawet, czy o przeszłości myślą.

ŚLUB, 1960

Ponieważ poznali się w ich barze, muszą być na ślubie. Anna kupuje sukienkę wymagającą tylko lekkiej przeróbki. Ma dyplom. Z rozpędu pracuje, do jesieni, w „Bambino”, ale ma wreszcie dyplom. Stać ją i musi wyglądać na kogoś, kto ma dyplom. Zatrudni się po wakacjach jako urzędniczka. „Społem” ją zatrudni. Walter – mówi teraz o sobie, mówcie mi Waldi, filmowy amant, wszyscy polubili kino, „Derby” i „Delfin” – chodził gdzie trzeba. Walter, Waldi, uparcie używa teraz tylko tej wersji imienia. One tak do niego mówią w dni wolne, przy spotkaniu, przy winie i między sobą. Ma wpływy, wszystko może wychodzić. Mieszkania kwaterunkowe i lepsze posady. Tylko patrzeć, odejdzie do którejś z nowych restauracji. Z jego kwalifikacjami! Nie mówi się o tym głośno, jednak może nie tylko w restauracjach jest taki dobry? W, ściślej mówiąc, gastronomii? Każdy ma swoje za uszami, swoje tajemnice.

– Gdzie, po co, dajcie spokój. Dziś ludzie jedzą w barach. Nie potrzeba mi niczego innego – poprawia ciemne włosy nad wysokim czołem. Mógłby pracować w lepszym miejscu. Nie ma lepszych. Wie, co mówi. Nosił przed wojną ciężkie tace. Wynosił swoje. Pracował dla armii w zaopatrzeniu. Intendentura. Dość krótko. Wrócił do restauracji. Z pociskiem tkwiącym za blisko serca. Teraz nie chce się męczyć. Kto wie, rozochocony dolewką z za segregatora, kto wie, co jeszcze przed nami. Wykarmimy tak nowoczesnie naród. To się mieści w idei. Mamy ideę, jak nigdy przedtem, demokratyczny dostęp do wyżywienia, receptury, gramatury, nareszcie jest w tym porządek.

Tymczasem prosi ją o zestawienia i raporty. Oddaje jej na wyłączność liczydło. Dolewa sobie częściej czegoś do kawy. Wzmacnia kawę. Nie podlicza sam słupek, woli powierzyć je Annie. Naszej pani magister. Nasz bar ma renomę. Zatrudnia panią magister. Anna zakłada biały fartuch, staje w okienku. Wydaje owocową z lanymi. Najbardziej lubi tę zupę. Rzadka, jeśli nie nabrać energicznie chochlą z dna. Mamusia taką gotowała. Letnia zupa. Zimowy barszcz z fasolą. Tej tu nie podają. Barszcz w barze ukraiński. Ukraiński. Nie lubią tu ukraińskich dodatków, a jednak. W barszczu są tolerancyjni. Kierownik woła: - Pani Anno, tu jest mi pani niezbędna! – Takie miejsce w życiu. Wyczuwa, że myśli o niej także inaczej. Jako o kandydatce na coś więcej. Ula ją ostrzega: – Uważaj, on pije. Naprawdę dużo pije. Dobry człowiek, ale trzeba uważać. – Anna wzrusza ramionami. Nie ma mowy o niczym. Kierownik to kierownik. Nic więcej. Jeśli myśli o mężczyźnie, to o kimś odpowiednim. Nie o zwierzchniku, na takie tam trzeba uważać. Mniej na samo picie. Myśli, oczywiście, o ślubie. O rodzinie. Dwie pensje. Nareszcie mieszkanie. Większe. Jej to klitka z piecem. Używalność kuchni. Wspólna łazienka. Nie ma szans, bez rodziny, na więcej. Ma potem, dzięki niemu, więcej. Przeprowadzka. Rosnące aspiracje. Chciałaby zamieszkać w okolicach parku Kasprowicza. Na Pogodnie. Może w jakichś nowych domach? Najlepiej byłoby w nowych. Bez ślubu nie ma na to nawet cienia nadziei. Co, że byt się poprawia, świadomość każe to lekceważyć. Poprawa byłaby dopiero przy mężu. Dostrzegalna, warta uwagi.

Anna zakończyła pewien etap. Czas przystąpić do następnych. Pan kierownik, szczerze mówiąc, nie ma wykształcenia. Maturę, przedwojenną. Za mało. Anna inaczej wyobraża sobie dalsze, w szacunku dla siebie, życie. Z żadnym z kolegów ze studiów. Same wiejskie chłopaki. Chłopki-roztropki na ekonomii. Każdy z nich zostanie dyrektorem, przynajmniej kierownikiem. One, dziewczyny, pokierują im sekretariatem. Więc jasne, trzeba się rozglądać. Za wyższym standardem. A mamusia kazała się szanować. Szczecin to duże miasto, choć wciąż nie metropolia. I nie ma tradycji. Nie Kraków. Tu w ogóle nie Galicja. Trzeba uważać, pełno jest takich bez korzeni, bez tradycji, potem będzie musiała z jakąś chłopką, jakąś prostą kobietą, teściową, spędzać święta. O nie, to się nie może zdarzyć.

Trzeba poczekać. Co prawda lata faktycznie mijają, w pewnym sensie jest starą panną, przekroczyła trzydziestkę, ale to chyba nie oznacza, że ma wziąć byle kogo? Wszystko w swoim czasie. Brat by się śmiał, gdyby wzięła kogoś z mniejszym wykształceniem. Śmiałby się też na pewno z warszawiaka. Zanim odpowie na dzień dobry, wsłuchuje się w akcent. I brata rodzina. Też by się nabzdyczyła. I ojczym. I jego rodzina. Pojechać na groby chciałaby z kimś, kto wzbudzi respekt. Jest tu od tylu lat, a ma wrażenie, że oni stamtąd na nią patrzą.

Suknię poprawia sama, ale zdecydowała się kupić nową. Żadnych szmat z szafy. Dziesiątych nicowań.

– Jak z żurnala – mówi właścicielka sklepiku, a Ula potakuje.

– Świetnie, zadziwisz wszystkich, tylko patrzeć, a będziemy tańczyć na następnym weselu! – Ula wie, o czym marzy dziewczyna. Sama nie, robi obrączkę z blaszki zdjętej z woreczka cukierków. Taki odruch. Zabawa w dziewczynkę. Kiedy jest sama.

Ula nie potrzebuje kupować. W szafie ma pełno. Tylko wybrać – czerwona z dekoltem czy w biało-czarne grochy? Oczywiście, świeżo zrobione włosy. Zdecyduje w ostatniej chwili. Do koloru paznokci. Przegląda się, przebiera, odwiesza. Ta czerwona najlepsza. Czemu nie? Ma tylko chwilową wątpliwość. Że przyćmi pannę młodą. Ale tamta, Marysia, wygląda jak gwiazda niemego kina. Wystarczy spotkać kogoś w barze mlecznym, znika piętno głodnego dzieciństwa. Nie zaszkodzi jej sukienka gospodyni.

Na ślub i przyjęcie w „Kameralnej” Ula idzie z kierownikiem. Oboje są samotni, kierownik zaczął z nią dużo rozmawiać. No i w ten sposób nie będzie nagabywał Anny. Z Ulą, on Walter, Waldi, może rozmawiać nie tylko o gramaturze. Mówi jej o przedwojennym mieście. Które ona też przecież pamięta, ale nie tak szczegółowo, nie tak wstecz, do najlepszych czasów. Na imieninach w willi na Pogodnie pokazywał kobietom, swoim babkom z baru, zdjęcia. Miasto w '27, '33, '37, '41. Całe albumy pełne ludzi. Niemieckie miasto, i on tego nie może ukryć. Nie da się tego ukrywać. Kierownik nie widzi powodu do milczenia w tej sprawie. Mówi do nich, bo im ufa. Po dolewce z szafki mówi nawet w pracy po niemiecku, o nie, nie do konsumentów. Uli niemiecki trochę się z głowy wypłynął, ale postanawia to powstrzymać. Chociaż na zdrowy rozum ten dodatkowy język nie jest do niczego potrzebny. Nawis, superata. Chyba że do tego: daje lekcje dzieciom sąsiadów. Okazja do zarobku, ale przede wszystkim do jedzenia herbatników i śmiechu. Namawia ją Anna. Anna uczy się języka po nocach. Bardzo ciężko. Niby na studiach nie wymagają, jednak... – To dar, masz dar – mówi Anna do przyjaciółki z lekką pretensją. – Nie powinnaś tego zaprzepaścić. – Cóż, nie da się zapomnieć Muttersprache, ojczystego języka. Nie myśli już nim, ale rozpoznaje struktury zdań w podręczniku, wraca do szkolnych prac nad zdaniem celowym, nad konstrukcją z biernikiem. W nocy śni jej się własna szkoła. I mama, otwierająca jej drzwi w południe. Podręczniki są stare, w nowych znajdzie mnóstwo słów, których w dzieciństwie nie było. Długie rzeczowniki oznaczające miejsca pracy. Nowe złożenia. Przedziera się przez nie cierpliwie.

Janek musiał powiedzieć, napisać do domu, że żeni się z kobietą ze wschodu. Stamtąd. Dziadek by tego nie przeżył. Ale nie żyje. Ciotek i wujków to nie ma prawa obchodzić. Dziwią się trochę tylko. Ruscy są zawsze ruscy. Dzicy. Nie prowadzą dobrze gospodarstw. Nie gotują. Hałas i brud, tak się ich widzi. Szli z karabinami na sznurkach... To Polka? Jaka z niej Polka? Polacy rodzili się tutaj. My som Polacy. Ale niech tam. Bądź, chłopak, szczęśliwy! – pisze wujek. W dzień ślubu ozdobny telegram. Dobrane starannie słowa. Nie żalowali, nawet dość długi telegram.

Marysia chce dać rodzicom na bilet. Unoszą się honorem. Mają, ostatnie plony były dobre.

– Forsy u nas jak lodu – mówi ojciec, kiedy na tydzień przed ślubem ich odwiedzają. – Wszyscy przyjadą w nowych ubraniach, z prezentem dla niej. Niech się nie waży martwić. I

do wesela dołożą – no... nie dołożą, bo jednak potrzeba dla chłopaków, a oni tam bogaci, to znaczy jej nie trzeba. Miasto zawsze bogate. I najstarsze córki.

– Sama wiesz, ojciec z tą forszą jak lodu przesadza. Na wszystko potrzeba. Trzeba trzymać. W bieliźniarce trzeba trzymać.

Marysia nie chce niczego od rodziny. Mówi o tym Jankowi. Który też nie chce niczego od swoich.

– Niech się nie boją, mogą dalej chować testament! – Mówi o tym przed ślubem. Chociaż nawet i się należy. Potakują. Wzajemnie przekonują się, że dadzą radę. Tu można mieć wszystko. Oboje pracują. Po co mieliby chcieć czegoś od rodzin? Czy ona nie umiała dać rady? Pokonała głód, samotność, podręczniki, nauczycielki.

– U mnie dość siły. – Tak myśli, wracając do nieswojego już języka, mówi do niego. On nie zauważa domieszki jej stron. Słyszy głos, miękki i ciekły. Słyszy w niej to, co w sobie widzi. Pierwsza zima, bez ciepłej bielizny, butów, płaszcza. Ruiny wokół szkoły. Śmiech w klasie, bo jednak dziwne, że nie umie czytać. Natarczywe: kim są ojcowie, chłopak? Przeszłość, mają siłę na przyszłość, podwójną teraz, a wkrótce nawet potrójną siłę. Przeszłość niech idzie w cholere!

Zaimponował jej w tańcu. Podobał się wcześniej, ale w tańcu ją przekonał. Braki nadrabiał lekkością. Dla niej, dla niej się starał. I tak elegancko brał kieliszek, kroił na talerzu. Był prawdziwym królem wieczorów. Odprowadzał ją pod drzwi, siadał na ławce, dbając o kanty stopni. Nie żałował na zabawę. Nie była sama. Miała wrażenie, że wyniosłby ją z ognia. Zagłuszał w niej wszystko, wspomnienia, strach, zgrzytanie cyrylicy o polską składnię. Smarował jej plecy olejkim kupionym w nowym sklepie kosmetycznym, pollena-lechia. Opalali się, popijając oranżadę. Niósł nad nią parasol, gdy zaczynało padać.

Była taka piękna, taka piękna jak aktorka. Czarne włosy, przycięte za uchem, śmiało teraz skrócone. Czarne brwi w wysokim łuku. Wcięta talia. Tańczyła w butach na obcasie, pokonując grawitację bez wysiłku. Głośno się śmiała. Opowiadała mu książki. On mało czytał. Raczej gazety, teraz. Szkoła obrzydziła mu czytanie książek. Jej opowieści były lepsze od książek, na pewno. Słuchał, słuchał, słuchał.

Ślub wzięli w Urzędzie Stanu Cywilnego na Pogodnie. Krótsze terminy. Nowoczesny budynek. Kościelny zdecydowali odłożyć. Potem dali spokój. Janek awansował, miał nadzieję na więcej. Był kierownikiem zmiany. Zacząć doksztalcenie. Nie chciał się wychylać. Niby nikt nie pytał... Na ślub przyszli koledzy z zakładu. Mogłoby być gadanie.

I tak założyła białą sukienkę, tyle że z dekoltem i ledwie za kolana. Jeszcze lepiej, tak się mu najbardziej podobała. Jego garnitur był od Żyda. Piękna, beżowa tkanina. Mama i tata nie dziwili się na głos. Widać taki zwyczaj. Urząd też ważny. To wiedzieli dobrze. Ważniejszy może i od kościoła urząd. Mama ze łzami w oczach próbowała ich żegnać. Spłoszyła się trochę przy tych eleganckich ludziach. Ula poprowadziła ją do pierwszego rzędu.

Przyjęcie w „Kameralnej” trwało do drugiej w nocy. Dużo wina, sałatki, bigosu, tańca. Byli pewni, że to początek, że co złe, zostało za nimi. W letnie noce opowiedzieli sobie prawie wszystko. Matka i ojciec Marysi widzieli: miastowa, nieodwołalnie miastowa. Miało być dobrze. Zawsze ludzie tak myślą. We wszystkich krajach i miastach. Biorąc ślub z miłości. Ma być dobrze, wierzą. Przez pewien czas było.

Ula nie zabrała do siebie kierownika. Był nachalny. Nie tańczył. Patrzył. Pił i patrzył. Jutro nie będzie niczego pamiętał. Jak zwykle, poprosi ją o raport. Zapominając, że to teraz robi Anna. Może woli, kiedy ona, Ulrike, wchodzi do kantorka? Czerwona sukienka przyciąga spojrzenia. Nie, nie zabierze go do siebie. Ani nikogo. Będzie gościła rodziców młodej. Oddaje im pokój córki, ich córki. Młodzi tej nocy śpią u Janka. Ula nie czuje alkoholu w głowie. Zapali w łóżku. Kiedy rodzice Marysi przestaną się mościć i rozmawiać. Zapali, ugniatając damskiego w palcach do kształtu lufki, zgniatając co większe kawałki tytoniu, żeby dobrze się palił.

Anna śni tej nocy o własnym ślubie z kimś właściwym. Istotnie, trzeba uważać na pana kierownika. Ta przysługa, z pracą, ostatnia. On wcale nie liczy na rewanż. Tylko tak, czuje się w obowiązku je wszystkie emablować. Anna jest mniej, niż sama sądzi, naiwna.

Oni nie śpią. Ma być im dobrze. Idą przez wyludnione miasto, stukają bańki z mlekiem. Nie chcą się spieszyć. Pierwszy spacer państwa. Państwo pozwolą. Pani i pan. Państwo. W dowodach jedno nazwisko.

Myślą: zawsze jak teraz. Będzie jak teraz. Jak teraz będziemy szczęśliwi. Tego sobie życzą, wstawiając do wazonu bukiet ślubny. Cóż. Powtórzmy: przez pewien czas tak było.

ZOSTAŃ, 1961

– Wstań, słyszysz? – mówi Ula. Stefan odwraca od niej głowę. Nie słyszy, nawet jeśli odpowiada.

– Tak, słyszę – przechodzi w lekkie pochrapywanie.

– Słyszysz? Powinieneś pójść – powtarza. – No dobrze, to już zostań. Ale tylko dzisiaj. Bezgłośnie, poruszając lekko wargami, których dotyka językiem, ścierając z nich te wypowiedziane. Niechcący wypowiedziane słowa. Wypuszczone ze środka wbrew temu, czego do tej pory zawsze najbardziej pragnęła. Strzegąc zamkniętej szczelnie, na dobre zamki, przysłoniętej gęstymi zasłonami przestrzeni swego pokoju.

On nic, nie udaje nawet. Należy mu się miejsce przy niej, tak ona to czuje, to widzi w ułożeniu jego dąła. Tropione i w porę zażegnane dotąd niebezpieczeństwo. Powstrzymuje dalsze mówienie w powietrze nad jego śpiącą głową. Ma ochotę szarpać go, wypchnąć z łóżka, ale i nie ma. Jeszcze się jej kręci w głowie. Od wina. A może i od tego, co robili wieczorem. Zanim tu przyszedł i potem, kiedy przyszedł. Nareszcie, nareszcie, gęsta, słodka maź wypełniająca ulice, pokój, łóżko zamiast tych rozrzedzonych wrażeń docierających do niej za pośrednictwem dotyków, smaków, zapachów normalnego dnia. Zamiast ciężkiego od tego rozrzedzenia powietrza normalnych nocy. Nareszcie, tak nieoczekiwanie. Coś zamiast technicznie sprawnego zaspokojenia. Próbuje spać. Dziwne uczucie. Jej stary, solidny, sprężynowy tapczan, pokryty aksamitem, zawsze rozścielony, służący za łóżko przykrywane na dzień solidną kapą z wzorem nawiązującym do mitologii (Afrodyta? Jakaś inna kobieta tylko na to czekająca?), jedyną, jaką udało się dostać. Nie chciała w nieskończoność odświeżać starych szmat, miała ochotę na coś nowoczesnego. Narzuta z nowoczesnego włókna. Jej tapczan, swobodnie mieszczący dwie osoby, ale na nim jedna poduszka, jedna kołdra. Intymne przedmioty, których nie ma zamiaru użyć.

Nigdy nie pozwala im zostać. Potrzebuje odpocząć. Wyleżeć się, wyciągnąć, wyspać. Po ciężkiej pracy i miłosnym spełnieniu. Poza tym zawsze ma wrażenie, że w każdym z nich jest ciekawość, że nie mogłaby takiego spuścić z oczu. Wszędzie by chciał zaraz jej zajrzeć. Do szafy, do kredensu, do środka. Narzuca szlafrok, wsuwa stopy z polakierowanymi paznokciami w pantofle z puszką, odprowadza go (któregoś) do drzwi i dopiero potem może puścić tkaninę szlafroka, śliską tkaninę przytrzymywaną lewą dłonią pod szyją, ułożyć poduszkę tak jak lubi, zapalić papierosa, strzepnąć popiół do kryształowej popielniczki ważącej chyba z pół kilograma, konkretnej, zimnej, śliskiej. Zadowolona, nasycona, pani na swoim. Tak mówi innym kobietom.

– Lubię być panią na swoim. – Kucharce, pani Róży z pierwszego, żonie krawca, kioskarcie. Nie przyjaźni się z żadną z nich, a tak im o tym mówi. Pogaduszki jak kobieta z kobietą. Wszystkie je lubi za samo to, że mieszkają przy tej ulicy.

– Kochana, ich trzeba wychowywać. A ja nie lubię być nauczycielką. – Wie, patrzą na nią. Kiedy idzie, wyprostowana, pachnąca, bez wysiłku otwiera kratę na drzwiach do baru, niesie siatkę jabłek, omija kałuże. Mogłyby gadać. Ta Niemka. Akcentu pozbyła się dawno. Co znaczyłoby mieć akcent – jej podniebienie tego nawet nie próbuje pamiętać. Jest odwrotnie. Niemiecki, mówiony w myślach, brzmi drewniano. Czyli może wcale nikt by nie mówił „Niemka”. Kto to jeszcze wie o niej? Kobiety, którym wygłasza oszczędnie tę swoją mądrość tyczącą się mężczyzn, niczego złego o niej nie mówią. Mimo to bardzo na wszystko uważa. Zamyka rano za nimi drzwi bezgłośnie, najdelikatniej. Ciężkie drzwi, wielki zamek jednak szczęka. W judaszu naprzeciwko pojawia się oko. No i nie pozwala przynosić sobie kwiatów. Żadnych śladów. Żadnych. Odwiedziny znajomych. Przyjazd, w drodze nad morze, kuzyna. Żadnych prezentów. Zarabia wystarczająco.

– Ot, korzysta z żyda. – Wzdycha kioskarka, podając papierosy płaskie pani Róży.

Może jej trochę zazdrosczą. Fryzury, figury, lekkiego kroku z siatką pełną jabłek i tego, że się chętnie dzieli. Zaprasza kobiety na kawę. Przyjaźni się tylko z Anną i z sublokatorką Marysią. Ścisłej mówiąc, to nie musi być przyjaźń. Różnica etykiety. Z sąsiadkami, znajomymi z kamienicy i pracy pozostają w stosunkach oficjalnych, na „pani”.

– Pani do mnie wpadnie na kawkę, pani Różyczko – mówi.

– Dziękuję serdecznie, pani Urszulko, przyjdę. Porozmawiamy o moim, a i o łupaniu w krzyżu. Pani tak się zna na tych sposobach.

Zna się. Nie wie skąd, wie o chorobach. Dotrzymuje form.

– Pani koniecznie przyjdzie.

Inaczej jest z Marysią. Marysia mówi do Uli „pani Ulu”, Ula mówi do Marysi „Marysiu”. I Anna. Spędziły wieczór przy butelce wina niedługo po pierwszym wspólnym dniu w pracy. Zaczęły sobie mówić „ty” po tym wieczorze, nie ustalając tego.

Kobiety nie obgadują Uli. Uczy je, jakby była starsza, a o chłopach naprawdę, co ona wie? Kochana, ona wie o różnych sporo, niewiele o życiu z jednym. Ma może porównanie, za to nie zna żyda. Może zna? Kto ją tam wie. W każdym razie nie było żadnego romansu po sąsiedzku.

Żaden z gości opuszczających jej mieszkanie nad ranem nie został rozpoznany jako mąż znajomej.

– Ma rację, mądra jest. Wie, co dobre. Korzysta z żyda. A ja znów wczoraj mojego musiałam prowadzić do łóżka. Znów wrócił pijany – wydając resztę, kręci głową pani Róża. – W krzyżu łupie, pani Uleczka zna sposoby i na to. Na mężczyzn i dolegliwości w krzyżu. Taką ma naturę, że musi zaradzić na każdy ból. Chodzi wyprostowana i ubrana. Zawsze coś nowego. Nie wydaje na dom i dzieci.

Nikt bardzo nie ma za złe. Mimo wszystko ona woli ich wypuszczać, zanim sąsiedzi zaczną zabierać spod drzwi mleko. Ze względu na siebie. I na sąsiadów. Żyje wśród ludzi i sama z sobą. Kładzie na pierśiach popielniczkę. Zimny ciężar podtrzymuje w niej wolę żyda. Rytuał na zakończenie miłosnej nocy. Po zamknięciu drzwi, kiedy już nikt nie może jej zobaczyć, niczego nie może jej zarzucić, o nic nie zechce zapytać.

Dziś jest inaczej. Niespodziewanie. Nie żegna w drzwiach Stefana, którego powinna pożegnać bardziej niż innych. Sąsiadki go znają.

Stefan ma zmęczoną twarz i zakola. Nosi białe koszule non-iron i patrząc na niego, myśli się, że metoda bez prasowania to dobry wynalazek. Nawet one są na nim odrobinę wymięte. Współgrając w tym z twarzą, właśnie trochę zmięta. Ula ma taką po dłuższej nocy, niezupełnie taką. Miewa twarz wygniecioną snem, jeśli śpi dłużej, przewraca się na brzuch, zapada głęboko w sen. Rozluźnia wszystko, nie tylko mięśnie, rozluźnia także coś w głowie, wewnątrz, w sobie najgłębiej. Nie widzi tego pokoju, matki, nie słyszy rosyjskiego akcentu, głośnego śmiechu po rosyjsku. Zamyka okna, ten śmiech dobiega z mieszkania sąsiadów. Tak, oni się śmieją po rosyjsku. Zamyka okna na wszelki wypadek i wyjątkowo starannie w te rzadkie noce, kiedy naprawdę, bez grama wódki, bez proszków, bez seksu zapomina. Miewa twarz odgniecioną od poduszki jak pergamin. Jak mama, jak mama. Też tylko czasem, kiedy pozwalała sobie dłużej leżeć, jeszcze przed wojną. Pojawiała się w kuchni z kraterem ciężkiego odprężenia na twarzy. Ale twarz Uli (czy też ta mamy) to zupełnie inna sprawa. Kobieca. Stefan ma ten ślad żyda, zmarszczki i jakąś nieczystość, zakłócenie rysów raczej za dnia, raczej od żyda niż od zapominania o bożym świecie na haftowanych poduszkach. Stefan z tym chodzi przez cały dzień. To zmięcie przechodzi z twarzy na kołnierzyk koszuli i niżej, na kanty spodni. Buty nosi też starte, chociaż zawsze czyste.

Teraz, kiedy leży obok, nagi, Ula może zobaczyć, że ma delikatną, białą skórę, sprawiającą wrażenie przezroczystej. Przesuwa i zatrzymuje nad jego torsem rękę, żeby porównać odcienie skóry. Nawet jej biała karnacja przy kolorach Stefana jest lekko sina.

Zmarszczki nie wydają się, kiedy śpi, takie dominujące. W dzień oprócz zmarszczek uwagę zwracają w jego twarzy ciemnozielone oczy. Teraz zamknięte. Oprócz oczu cały wydaje się otwarty. Chce spać przy niej, czy to oznacza otwarcie? Miewała tu przystojniejsze egzemplarze, ale akurat tego nie chce od razu odsyłać. Pozwala mu odpocząć, wyrównać oddech, pozwala wygładzić się na chwilę jego zmarszczkom. Oddychać uwolnionej spod non-ironu i gabardyny skórze. Postanawia poleżeć w pobliżu jego ramienia, tylko się przymierzyć, spróbować na niby. Lecz on to jakby wyczuwa. Jakby czuwał, czekał na te mikroruchy z jej strony. Przygarnia ją na swoje szczupłe ramię, wcale nie cherlawe, przytula. Ula nie może wobec tego po prostu zasnąć. Oddycha delikatnie, czuwa.

– Dzień dobry – mówi po prostu, bo co należy mówić, kiedy wreszcie jest rano? Uśmiecha się do niej całą twarzą, wszystkimi zakamarkami, pokazuje równe, żółtawe zęby – jak się spało?

Czuje, że nie powinna, jak to leży w jej zwyczaju, zagadywać, grać, pokpiwać, trzymać dystansu tym swoim naturalnym sposobem. Pyta po prostu, co by zjadł na śniadanie. Niewielki, uprzedza, wybór.

Poznała go w barze. Jeszcze jeden klient baru. Profesor z liceum nr 1. Teraz znów mieszanego, jak po wojnie, bo potem było żeńskie. Teraz znów dziewczęta i chłopcy w granatach, już nie tak biednych.

– Zdaje się, że wszystkie drogi w tym mieście prowadzą przez naszą jadalnię, drogie panie – mawiał Walter – musimy trzymać poziom.

Leniwe, bezspornie, musiały być na poziomie. Mieli do nich po drodze stoczniovcy, kolejarze, lekarze, przedszkolanki, aptekarze, sklepikarze i urzędnicy. Nie mówiąc o inspektorach PIH-u. Wśród nich nauczyciele i profesorzy także. Z liceum i pobliskiej politechniki. Stefan, pan profesor, przychodził na leniwe po południu, wczesnym popołudniem, a najpóźniej w czwartki, o szesnastej, po szkole. Najwięcej lekcji miał w czwartki. Uczył matematyki. Kucharki dogadzały mu, dokładały. Czuły się dumne. Odkąd pracowała z nimi Anna, doznawały demokracji w naturze. Anna kończyła studia, a nosiła towar jak wszyscy. Anna teraz już pracowała u nich w biurach. Ale profesorowie to byli ludzie bardzo specjali. Wciąż najczęściej z przedwojennego sortu. Jak ten, chyba. Nie opowiadał im, skąd pochodzi. No tak, z Warszawy. O tym dowiedziała się Ula tego dnia, gdy rozpadało się na dobre. Zamykali już, ale pogoda była straszna, wiosenna, gwałtowna ulewa przeszła w coś długotrwałego. – Na nasze szczęście, na zamówienie. Dobra wróżba – miała ochotę tak mu od rzeczy mówić do ucha, kiedy wracali późnym, majowym wieczorem przez park Żeromskiego z festynu zorganizowanego w ramach Dni Książki i Prasy. Międzynarodowych, co oznaczało obecność pisarza z rosyjskim akcentem. Klony w parku wydawały się mieć dziesięć metrów, tworzyły nad głowami kopułę, zielone niebo. Czuła się taka lekka. Taka lekka. Taka... nieznaczona. Na kiermaszu kupił jej książkę miejscowej poetki, zdobył dla niej jej podpis. Jak bohater szedł w jej stronę z książką z autografem. – Pani Ulu, dla pani. – Potem tańczyli na drewnianych deskach. Mówił jej do ucha po imieniu: – Jak pani pięknie się porusza. – Czuła tę książkę w kieszeni jego marynarki, na swoim brzuchu. Czuła, że to tylko chwilowa bariera. Jednak nie mówiła tego ani tego. Żadnych sentymentalnych głupstw mu nie mówiła. Żadnego z wariantów. Za dużo mógłby sobie pomyśleć. A nie był żonaty. W dodatku, jako profesor, musiał się liczyć z opinią. Mogło się zdarzyć, że chciałby zostać. Myślałby o ślubie. Nie był młody. Dobiegał pięćdziesiątki. W tym wieku mężczyźni zaczynają potrzebować niańki. Ula nie zamierzała dać się wziąć na lep. Złapać się na to kołatanie własnego serca. Dać się wziąć. Zostać praczką. Prac gacie profesorowi.

Kiedy przynosi posrebrzaną tacę ze szklankami herbaty, talerzykiem z masłem, słoikiem dżemu... Trochę elegancko, a trochę niedbale. Bo ten słoik, specjalnie, za dużo od razu nie dawać. Żadnej odświeżonej zastawy. Siadają przy okrągłym stole, on we wczorajszej koszuli.

Myśli, że mogłaby spróbować. Jeśli nie będzie zbyt nachalny. Ślubne zdjęcie rodziców. Nie ma takiego zdjęcia. Nie ma żadnych zdjęć rodziców. Tylko mała fotografia mamy. Ojciec na wszystkich, które ocalały, był w mundurze. Nie chciała takiej pamiątki. Znow ktoś mógłby ją o to pytać. Nagle robi się miękka, sentymentalna. Rozważa kościelny i cywilny wariant ślubu... Ale to w sobie, kiedy tak siedzą i później, kiedy położy na piersiach ciężką popielniczkę. On nie pali, rzucił, i jej palącej nie lubi.

Potem mijają dni, tygodnie, miesiące. Ustala się rytuał. On zostaje do rana, ma u niej w szafie czyste koszule. Tylko przybory do golenia nie zajmują miejsca pod lusterkiem w łazience, choć powinny. Nie, póki tu mieszka Marysia. Stoją na ceratce w szafie. Nie rozmawiają o ślubie, chociaż ona czasem myśli. On jej z czasem wyjaśnia, czując bez słów jej myślenie o białej sukience, że formalnie jest żonaty. Ma żonę, uratowaną z Oświęcimia, w Szwecji. Uratowaną. Oświęcim. Szwecja. Jakby chodziło o tymczasowe sprawy. Nie chce go, tak jak i Polski, widzieć. Nie proponuje rozwodu. Ula, jak zwykle, wszystko rozumie. Nie mówi, jak mogłaby mówić, płacząc albo z pretensją: – To nieuczciwe. Trzeba mi było otwarcie powiedzieć. – Kiwa głową, kiedy on kładzie jej dłoń na dłoni. Przymyka oczy. Kupuje coś w delikatesach na kolację. Kładzie hennę na brwi u pani Róży przed wielkim lustrem. Opowiada o tym, co czyta. Jest szczęśliwa, nazywa to szczęściem.

– Ona rozkwita – Róża dokłada do papierosów paczkę zapalek.

– Czy mógłbyś naprawić kran w kuchni? – pyta.

Patrzy na jego delikatne dłonie. Jest w tym nieporadny.

Musi wyjąć mu z dłoni klucz, jak wszystkie inne klucze. Zawsze idzie przodem, właściwie to ona osłania go przed deszczem. Ona dba o kupienie płaszcza na zimę. Ona otwiera bramę.

– Z żoną, sąsiadko, to nie jest cała prawda – opowiada sąsiadce przy kawie Róża. – Żona jest bliżej.

Jednak Ula nie mówi:

– Facetom nie wierz. – Ula i tak, wieczorami, czeka. Ma swoją małą stabilizację.

Teraz, zanim będzie za późno na odwołanie, podejmuje tę pierwszą decyzję. Pierwszą, a właściwie drugą, dodając do pozostawienia go na swoim tapczanie słowa:

– Stefku, zostań. I przyjdź koniecznie od razu po pracy, nie dopiero wieczorem. Będę czekać.

PROFESOR, 1962 I NIEBYT

Nie lubi tej szkoły. Szare, dostojne mury, z wieżyczkami, w których mogli trzymać niegrzeczne zakonnice, myśli.

I ten duch żeńskiego zakładu edukacyjnego, specjalnego, wzmocnionego drylu, jakaś karykatura dobrej kobiecości w spódniczkach, które mają zakrywać kolana, a wciąż podnoszą się do połowy uda. W ogóle nie lubi nauczania, dźwięku, jaki wydaje kreda prowadzona po tablicy, sprawdzania klasówek, pokoju nauczycielskiego, w którym wszyscy palą, milknącego śmiechu, gdy przechodzi obok grupki uczniów. Pań profeserek, zainteresowanych jego zdrowiem, kubkiem z herbatą, stanem palta, sposobem wiązania krawata, kaszlem, kanapkami, wszystkim, co widać na wierzchu. Nie lubi wycieczek szkolnych, wykopków, balów maturalnych, niczego. Zarazem wrósł w to, nosi garnitur w odcieniu szarego muru, pachnie papierosami z pokoju nauczycielskiego, wkłada paznokiec między strony podręcznika, wyciera kredę z dłoni w kraciastą chusteczkę. Nadaje wzrokowi odpowiednią trajektorię, patrząc na klasę, patrząc poza klasę.

Jeśli coś jest dobre, w tej pracy nauczyciela, o której wielu marzy, to tylko takie chwile, gdy klasa biedzi się nad trudnym zadaniem, a on może patrzeć w okno, z drugiego piętra, na drzewa tworzące aleję Piastów. Zakłada ręce do tyłu, na wysokość krzyża, prostuje się niewidocznymi ruchami, napina lekko mięśnie, odwrócony profilem do klasy, żeby wiedzieli, że patrzy i na nich. Naprawdę nie chce widzieć, nic go nie obchodzi te ich manipulacje z kartkami, zerkanie do sąsiada. Dobrze wie, matematyka, w razie czego, nie jest potrzebna. Nie uczy, jak przetrwać. Nie zadaje niepotrzebnych pytań. Definicja, twierdzenie, wzór, zadanie. Rozwiązanie, dobre, na końcu. Do tego dążymy. Matematyka podaje liczby – niemal dwadzieścia lat od. Nic więcej. Liczba. A co mogą znaczyć liczby? Od tego czasu, od tamtego czasu, powinny mieć inną wagę, jednak nikt ich nie spróbował wprowadzić do podręczników dla licealistów.

Mówią o nim Matematyk, co nie jest złym przewiskiem. W końcu tego uczy, jest matematykiem. Mogliby wymyśleć coś gorszego. Nie wymyślają. Nie dlatego, że go lubią. Raczej są obojętni. Tak. Dobrze tłumaczy. Spotykając po lekcjach ucznia w niedozwolonym miejscu lub okolicznościach, udaje ślepego. W ogóle udaje ślepego. Rzadko patrzy w oczy, nigdy nie zauważa tych za wysoko podjeżdżających spódnic. Zdaje się ignorować każdą prowokację. Nie dyskutuje, o niczym z nimi nie dyskutuje. Wypełniony wzorami matematycznymi, lekcję zaczyna od razu, od tematu, od zadań. Obecność sprawdza w pamięci, nie wyczytuje nazwisk. Odnotowuje sam w dzienniku, widzi od razu kto jest, kogo nie ma. Nigdy o nikogo nie pyta. Jakiś nawyk? O nikogo nie pytać, nie zauważać braków. Nawyk?

Tak, widzą w tym jakieś tajemnice. Potem to się im potwierdzi. Tak, za parę lat, kolejne klasy zrozumieją na swój sposób jego milczenie. Tymczasem wydaje się być na swoim miejscu, każdy tu jest po właściwej stronie. Drewniane ławki i podest naprzeciwko. Tablica na podwyższeniu. Jeśli nawet uczennice snują na jego temat jakieś fantazje, granica chroni obie strony. Mogą marzyć, z marzeń nie ma noty w dzienniku. Nie na matematyce.

– Stefan, czy mógłbyś podać mi ogień? – Koleżanka polonistka wciąż dużo pali. Wszystkie nauczycielki palą.

Sięga do kieszeni, nie znajduje zapalek.

– Przepraszam, rzucam.

– Znów rzucasz? – westchnienie, jest z tymi swoimi pomysłami taki interesujący i nudny.

– Ja też powinnam, ale... – nie znajduje argumentów.

W każdym razie rozmowa o rzucaniu palenia i paleniu wypełnia im minutę, ogień znajduje się u koleżanek z drugiej strony stołu, kolejne osoby w pokoju palą, palą, palą. Stefan myśli o czasach, kiedy palacze mieli jeszcze i to, jeszcze tę udrekę. Sam zaczął palić po wojnie. Papierosy z paczek. Dziwne, pierwsza paczka ze Szwecji, nagle. Nie spodziewał się tego. Raczej listu, jakiegoś... Nie wiedział jakiego. Miłosnego? Może planu działania, mieszkał w sublokatorskim pokoju w obcym mieście, gdzie zamierzał spędzić kilka dni, tygodni, wreszcie miesięcy, czekając na możliwość wyjazdu, byle dalej, jechał z południa Polski, oddalając się od miejsca, od tamtego miejsca, nie kojarząc najpierw, że to miasto jest niemieckie i że obok, szczelna jak koniec świata, przebiega granica. Uciekając stamtąd, paradoksalnie się zbliżał. W mieście tkwiła niemieckość, tak, tkwiła. Nie przeszkadzała mu, póki nie oznaczała języka, w końcu szyldy czy kamienie nie przypominały baraków i drutów, natomiast słowa, czasem, owszem. Na szczęście nie podnosili tu głosu po niemiecku, nie do pomyslenia. Milczeli po niemiecku, to tak. Czasem kulił się pod wpływem jakiegoś dźwięku okazującego się wcale nie niemieckim. Zresztą nie miał kłopotów z nerwami. Nie miał czasu na takie sprawy. Więc czekał na list, odkąd wiedział, jak na instrukcję. W którą stronę jechać, daleko, najdalej od niewielkiego miasteczka na południu Polski. Najdalej od Warszawy, w której nie było nikogo. Najdalej. Bez instrukcji osiadł w tym, co miał. W zadaniach rozwiązywanych na tablicy. W listach instrukcja nie przychodziła.

To było dziwne. Prawie nic, poza: żyję, jestem, pracuję.

I paczki papierosów. Odwinął celofan, wyjął rurkę z napisem „Prince”, przyłożył zapałkę, zaciągnął się głęboko. Tym mocnym, oszałamiającym dymem. Tego chciała? To do niego mówiła? Chciał usłyszeć jej głos w dymie z papierosa, skoro nie miała zamiaru odezwać się inaczej. Chciał w ten sposób zamazać obraz stamtąd, ostatnie spotkanie, po którym były rzeczy, których nie należało pamiętać, bo nie było ich komu opowiedzieć. Mimo że nie było komu opowiedzieć. Naprawdę, nikt nie chciał tego słuchać. Nieliczne utwory literackie, jakieś relacje na ten temat. Mój Boże, Stefan nie mógł ich czytać. Nie współgrały z tą rozległą pustką, którą wypełnić mógłby tylko głos żony, pomost rzucony pomiędzy tym co przedtem, tamtym, a tym tutaj. Jednak kim ona mogła być, nie wiedział nawet, jak mogła wyglądać teraz. Nie pamiętał, jak wyglądała wówczas.

A potem spotkał Ulę. Znał ją z baru, widywał. Nie zwracał na nią uwagi, jak na wiele innych, na wszystkie kobiety. Miłość należała do czasu przed, nie szukał towarzystwa kobiet. Brał z rąk Uli talerz, odpowiadał na jej pytania. Ale tego dnia ulewa. Przysiadł na dłużej i widział, jak sprzątała w kuchni, zarzuciła na fartuch jakiś obszerniejszy, brudniejszy, widział tylko kawałki jej sylwetki, momentalne zbliżenia, jak w obiektywie aparatu fotograficznego albo na ekranie, pomyślał. Ramka okienka łączącego jadalnię z zapleczem. Zwykle wyłaniały się z niej ręce, można było przez nią zobaczyć poustawiane na długim blacie talerze z jedzeniem, którego nie lubił, nie znosił zapachu kotła z ziemniakami, nie mógł niemal znieść myśli, że podnoszą go słabe kobiety. Mimo to często tu jadał. Przemykał w sobie niechęć. Siadał tyłem do kuchni. Tym razem widział w omijanym zwykle prześwicie najładniejszą z pracujących tu kobiet, pannę Ulę, tak, znał imię, tak na nią mówili wszyscy, a ona rewanżowała się zdaniem – dwoma, z uśmiechem, potem też gwałtownie się, to rozpoznawał, zatraskując, w drodze od stołu do stołu. Przy następnym miała kolejny szybki gest, kolejne dobre słowo.

Myła garnki, wielkie gary, sama w kuchni, widział, jak je przenosi i stawia w zlewozmywaku, niewidocznym z jego pozycji. Widział jej plecy, pochylone lekko nad tym domyślnym zlewem. Potem znikwała na chwilę i wracała. Pomyślał, że jest silna. Zatraskuje się przed obcymi, kiedy trzeba, nosi te wielkie gary. Musi mieć silne mięśnie karku, pomyślał. Zapragnął niespodziewanie, żeby go mocno, naprawdę mocno objęła. Przypomniał sobie, że ma mocne łydki, zdziwiło go, że to wie. Wydawało mu się, że nie zwracał uwagi na kobiecość kobiet, że ją ignorował, czasem, bardzo rzadko, kochając się z kimś, kto

niewątpliwie był kobietą, ale jakby poza tym kimś, jakby tylko wkładając temu komuś do środka genitalia. I nigdy tak nie myślał o żonie.

Teraz zapragnął strasznie jej siły. Miał nadzieję, że nie będzie chciała za wiele, za długiej gry wstępnej. Za wielu randek, jakiegoś tam chodzenia, kawiarni, to się chyba nadal z kobietami robi. Kino, kino „Derby” na świeżym powietrzu, tyle mógłby znieść, gdyby za tym stała obietnica. Bo przecież niepodobna od razu jej wyznać, zaraz zabrać... Nie miał właściwie dokąd. Przypomniawszy sobie swój zagracony, pewnie lekko cuchnący pokoik. Nie tam, nie chciał jej, nie na tej szarawej pościeli, jakby zapraszał sprzątaczkę. Nie. Zobaczył ją sam nie wiedział gdzie, byle długo i mocno, pomyślał. Byłby skłonny poprosić, byle się zgodziła. Na jakimś białym, prześcieradle, prześcieradle wystarczająco bezpiecznym, żeby na chwilę zrezygnować z ubrań i uśmiechów kierowanych ku innym ludziom nawet wówczas, gdy coś w nas zastyga. Jak resztki rosółu. Pomyślał o tym zastyganiu na tle jej sylwetki w barze.

Zanim skończyła w kuchni, przestało padać. Od razu odczytała w tym jego nieporuszonej siedzeniu w pustym barze to, co faktycznie do niej, w myślach, powiedział. Wyszła do niego od razu gotowa go stąd zabrać. Więc, choć nikt niczego nie mówił, on mógł ustąpić, mógł nieść nad nią, jak trzeba, parasol, mógł nawet kupić kwiaty. Wiedział, że pod sukienką jest silna, ma kark jak robotnik portowy, delikatne mięśnie rozrośnięte w mocny węzeł, wiedział, że zaraz to zobaczy, że tego dotknie. Jej wypełnionych mięśniami ud, jej ust bez szminki, wytartych wierzchem dłoni, jej cudownego, opancerzonego przed obcymi wnętrza. Które otwiera na tyle często, żeby mieć wprawę.

Listy od żony przychodziły regularnie, paczek stanowczo nie chciał. Przestała podsyłać luksusowe towary. Z tymi listami coraz bardziej w nim bladła. Z listami i z uściskami Uli. Każdy list to domykał, oddalał. Uwolniłem się, myślał, bo żona mu pisała, że muszą spróbować być szczęśliwi tam, gdzie są, i nie wracać do tego, co było. Pisała, używając wielu eufemizmów. Siatka aluzji, iluzja.

Kiedy zrozumiał, że Ula jest Niemką, czy właściwie, że kiedyś nią była, okazało się to obojętne. Stał właśnie w oknie klasy, zobaczył ją idącą szybkim krokiem do szkoły. Pod oknem – wiedziała, że to jego klasa – uniosła na chwilę głowę. Dotarło do niego to, co tyle razy musiał widzieć. Książki po niemiecku. Urządzenie mieszkania. Nie wiedział, co jeszcze. Jej higieniczne, gładkie ciało? Czy po nim też było widać? Wiedział, jak wygląda ciało żydowskie, wiedział, jak wygląda człowiek w esesmańskim mundurze, bez ciała. Rozpoznawał wojnę w tych tu ludziach, obrastających powoli nową tkanką, tych przybyszach zewsząd. Rozpoznawał poznańskie, krępe sylwetki i krzywiczną delikatność tych zza Buga. Ona była ideałem. Była Niemką i ideałem. Tam, przy oknie, pojął, jakie to ma znaczenie. Nakarmi się życiem prosto z kobiety, której ziomkowie chcieli go unicestwić. To ledwie przemknęło mu przez głowę. Zaraz przestał tak myśleć. Zabronił sobie. Wystraszył się tego. Chciał leżeć przy niej, chciał udawać, że jest od niej silniejszy, chciał zostać w jej pokoju, na jej tapczanie na zawsze.

Tego dnia poszedł na chwilę do swojego mieszkania. Na stole czekały nieodpieczętowane listy.

POCZTÓWKI, ODKRYTKI, KARTKI, MIĘDZY CZASAMI

„Z dniom pierwszego maja”, „Z dniom pobiedy”, „Z żeńskim dniom”. „Z DNIOM WIELIKOJ OKTIABRSKOJ RIEWOLUCJI” – taka za ledwie jedna, desperacka, jak gryps na odwrocie sentencji wyroku skazującego na długoletnie zesłanie. I najbardziej, bardziej od innych oszczędna w słowa. Za ledwie imię: Twoja Nastia, dorysowany niebieskim piórem kwiatek. Białe kartoniki, składane, z gotowym napisem. A w środku dopiski okrągłymi bukwami. U nas wszyscy zdrowi. U nas dobrze. Urodziło nam się dziecko.

Od przyjaciółek ze szkoły, zdjęcia tych dzieci w przedszkolu, dziewczynki-matroszki w białych, bombiastych sukienkach z niebotycznymi kokardami przyczepionymi do krótkich blond włosków. W rączkach czerwono-biała piłka. W tle wesoła kompania, królik na tle niebiesciutkiego nieba. Poważna lala, żołnierz z plastiku. Wesoła półka. Moja Agasza w pierwszym rzędzie chóru. Widzisz? Podobna do męża. „Najdroższa przyjaciółko!”. Nie za wiele osobistych wynurzeń. Informacji o plonach w ogródkach. Chyba że obrodziło jak zwykle. Trochę oficjalnie i fotografie, choć przedstawiają dzieci, oficjalne. Potem listy, czytanie cyrylicy, teraz jedyne, więc wielokrotnie dotykane. I tłumaczenie ich Jankowi. Urzędowy, ostemplowany formularz zaproszenia. Przed nim i po nim list. „Chcielibyśmy Was tu u nas, Droga Nasza, ugościć. Poznać męża. Nasz dom zawsze serdeczny”. Nie umie dowiedzieć się z tych listów, dodrapać się spod liter tego, jak im się wiedzie. Czy ktoś mieszka w ich domu, w tym, co z niego zostało po ostatnim pożarze. Czy rzeczka w tym roku wylała. Czy ktoś tam jeszcze uprawia warzywa w przydomowym ogródku matki. Czy stary ksiądz żyje. A ciotka? Ciotka tak, bo w liście jest wzmianka: „czeka na Ciebie także Leokadia”. To chyba nie szyfr, zwykła informacja. Nie napisze, ale pamięta zobowiązanie. Że Marynia wróci.

Te odkrytki, adkrytki to wymawia, są jak małe kotwice. Bardzo małe i nie wiadomo, co kotwią. Kiedy Marysia już nie myśli, nie pamięta, matka pyta ją – dostałaś coś od nas?

I obie wiedzą, że chodzi właśnie o nie. Ojciec nie pyta, ojciec takimi głupstwami gardzi. Ma wszystko co trzeba w sobie i przy sobie. Piosenki i rodzinę. Opowieści i własną koszulę. Na co mu kartki? Narysowana w hiperrealistycznej manierze kobieta z ogromnym bukietem. Mocne, zdecydowane pozdrowienia. Pieczątki poczty i cenzury. Znak dawany im tutaj. Że są, że obchodzą teraz te wszystkie święta. Te, które powinni. Lepsze to niż milczenie. Wieści od nas do was. Zakryte odkrytki. Złożone kartoniki, zapakowane w koperty, ostemplowane. I tylko coś jakby gest dłonią, umowny gest pamięci. Marysia trzyma je w pudełku po czekoladkach, bombonierce z zakładów 22 Lipca. Bukiet na pudełku, bukieciku w środku. Z nowym godom. Więc mają nowy rok, żyją. Tym razem sierp i młot z widokiem Kremla. Nikt z nich się w żadną podróż nie wybiera.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Regularne błogosławieństwa. Od ciotek, wujków, ich żon, mężów, z czasem ciotecznych, bo ich dzieci przejmują pisanie kartek. Na Wielkanoc i Boże Narodzenie. „Niech Wam łaski Boże spłyną”, „Smacznego jajka”, „Wesołego dyngusa”.

I dopiski, „u nas wszyscy zdrowi. Tylko mama męża trochę była słaba, ale już dobrze. Czego i Wam życzą”. Podpisy, ledwie się mieszczą. A powinny być akuracie, w miejscu przeznaczonym do tego. Z prawej adres, z lewej tekst i podpisy, okrągłe, staranne, mniej pewne. Każdy składa osobiście taki. Prawie widzi, jak starannie biorą po kolei w dłoń pióro. Nieużywane zbyt często. Niebieska koperta. Na kartkach Pan Jezusek, bazie, koszyczek. Jak trzeba. Dary Boże. Boże pozdrowienia. „A nie zapominaj tam o nas i o Bogu, Jan. Janku, robimy teraz wszyscy przy nowym domu. Zapraszamy Cię i także Twoją żonę. Zobaczysz,

jak my się pobudowali. Starego domu nie poznasz". Aluzja? Zapewne. Jak nie pozna, nie jego. Musi uznać.

Od matki pocztówki w białych kopertach. Krótkie. Także na urodziny. „Życzę Ci, synu, pomyślności”. „Do życzeń dołączają się wszyscy domownicy”. Nikt nie składa osobnego podpisu. Musi uwierzyć, że się chcą dołączyć. Tylko dziwnie miękkie: mama. Nie rozpoznaje, co to znaczy. Nie ma w sobie miejsca na „mama”. Jeśli tak międko, ale bez tego słowa, o kimś myśli, to o babuni. Babunia miała to dla niego. „Podjedz se synek”. Nigdy do niego nie pisała, był przy niej. A pewnie jej kartki byłyby piękne, umiała staranie kaligrafować. Pisała za całą wieś urzędowe pisma. Także i te po niemiecku. Szkoda, że go nie nauczyła. Że nie doczekała. „Mama”. Wkłada te pocztówki między gazety.

„Zaszyłam moc pozdrowień” – pisze tym razem przyrodnia siostra z Zakopanego. Wybrali się na wczasy pracownicze. Pisanie kartek z wakacji to o wiele ciekawsze niż tych świątecznych. Nawet do dalekiego, nieznanego krewnego można wówczas napisać. Jest się ważnym. Zasylając tak ten swój luksus. Pokazując. Nawet mąż matki, ojczym (nigdy tak go, choćby w myślach, nie nazywa), miałby ochotę tym razem napisać. Wypada pozdrowić, podzielić się powodzeniem i dostatkiem czasów pracowniczych. Wypada pamiętać o każdym. Zasać.

Brat pisze w okolicach świąt cywilne pocztówki. O tym, że z okazji świąt, ale zaraz zmienia temat. Kupuje kartkę z miejscem na dłuższe pisanie. Skoro już ma znaczek. Czasem i to mu nie wystarcza, więc dokłada kartkę z papeterii, nie z zeszytu, kupuje raz w roku papeterię. Opisuje, co zdarzyło się w rodzinie i w mieście, nie zapomina dodać, że dba o groby. I zatroskać się o zdrowie. Anna te jego listy poddaje analizie. Odpowiada na nie zdanie w zdanie. Nadrabia brak ludzi do opisanego opisami przyrody. Wprowadza do akcji sąsiadów i koleżanki z pracy. Żeby i u niej dużo się działo. Na szczęście to niezbyt często. Przez te trzy miesiące (bo listy z pocztówkami też na jej i jego imieniny i w rocznicę śmierci Mamusi – ten bez pocztówki, list wspominający zmarłą). I prośby – zanieś kwiaty. I pytania: czy na pewno jesteś zdrowa? „Możemy Ci tu załatwić lekarstwa. Gdybyś chciała do nas w lecie przyjechać, na urlop, zapraszamy serdecznie. Odnawiamy właśnie pokój, ale się ścieśnimy i będzie dobrze. Może nie tak wygodnie, jak przywykłaś, ale zawsze jesteś mile widziana”. Anna chce wierzyć na słowo. „W tym roku, drodzy bracie i bratowo, pojedę do sanatorium w Krynicy. Być może moglibyście mnie tam odwiedzić w którąś niedzielę. Dałabym Wam już coś (nie pisać konkretnie o pieniądzech) na Wszystkich Świętych”. „Tak, droga siostrze i szwagierko, odwiedzimy Cię na pewno. Dzień Zmarłych przypada w tym roku w środku tygodnia, ale kupimy w Twoim imieniu znicze”. Lepiej wziąć osobiście, banknot z listu może zginąć. Zawsze giną. No, nie zawsze, ale giną. Dokłada list do pozostałych, ułożonych datami w pudełku po butach Baty. Pudełku wyjętym z kredensu w pierwszym mieszkaniu, na które dostała przydział. Ładne mieli te pudełka.

„Liebe Ulrike”. Już koperta zapowiada coś dziwnego. Jej imię zestawione z nazwiskiem brzmi obco. Zapomniała, że może mieć taką formę. Rozrywa kopertę, pędzi wzrokiem przez kartkę, na dole podpis – Vater. Jak uderzenie pięścią w żołądek. Na kartce choinka obwieszona gęsto świecidełkami. Świecidełkami. I nic, żadnych tłumaczeń. Serdeczne, ostrożnie serdeczne, korzystające z formułki życzenia. Czyta je jak stronę w czytance informującą o obyczajach świątecznych. Też ostrożnie. Choinki z niemieckimi ozdobami. Obsługujące noworoczne otwarcie. I paczka: czekolada, kakao, kawa, herbata, puszka rosołu Knorra. Sama nie wie jeszcze. Siada nad tą paczką, odebraną z poczty przed chwilą, i widzi tylko napis na stemplu: Monachium. Grüss Gott także od Hansa ze Stralsundu. W pierwszej chwili tego Grüss Gott nie rozumie. Potem jej wraca pamięć. Imię starszego brata. Więc tak, Stralsund, właściwie blisko. Można powiedzieć, że z plaży w Międzyzdrojach mogła go w pewnym sensie widzieć. Kto by pomyślał, mieszka, jak ona, w portowym mieście. Ale nic więcej o tym, ani o sobie właściwie też, ojciec nie pisze. Ostatni raz widziała go w '44. Mimo

to nie uważa za stosowne wytłumaczyć jej, gdzie był, co się wydarzyło. Czemu nie odpowiadał na ostrożnie wysyłane anonse? Jak zniknął z oczu Czerwonego Krzyża, do którego mimo wszystko poszła, ryzykując, że nikt nie zechce uwierzyć w jej plany pozostania tutaj, w jej polskość z wyboru. Czujemy się dobrze. Tylko tyle pisze. Jak na kogoś, kto był przez tyle lat martwy, musi się czuć dobrze, myśli Ula. Skoro żyje. Ona przeciwnie. Ma wrażenie, że serce teraz jej zamarło. Przedtem, kiedy szła z paczką, pędziło. Teraz zamarło, skamieniało nad słowami ojca. I jego pewnym pismem. Vater. Ni z tego, ni z owego.

Na następne święta, chociaż ona nie odpisuje, przychodzi większa paczka, kartka i fotografia. Ojciec, stary mężczyzna, na tle domku, mercedesa, kobiety i dwojga nastoletnich dzieci. Chłopiec i dziewczynka. Ma jakby mnie i Jurgena. Myśli Ula. Kopia mnie i nieżyjącego, młodszego syna. Więc tak, udało mu się. Tym razem płacze. I postanawia jednak odpisać. Że nie potrzebuje paczek. Że mieszka, owszem, pod dawnym adresem, ale teraz ma tylko jedną czwartą ich dawnego mieszkania, wydzieloną, przydzieloną dzięki dobrym ludziom, którzy uwierzyli, że jest sierotą. Polakom. Oczywiście, ojciec cieszy się, że „jesteś tam, jak rozumiemy, szczęśliwa”. „Chcielibyśmy Cię wszyscy kiedyś odwiedzić. To samo przekazuję Ci od Hansa z rodziną. Też nie widziałem jeszcze jego syna”. Trzeba te listy, pocztowe kartki, włożyć do szuflady przy łóżku. Między wycinki z gazet i przepisy wyrwane z kalendarza. Między pigułki od bólu głowy i stare szminki. Z kartkami od znajomych, wakacyjnymi pozdrowieniami od dzieci sąsiadów, które nauczyła niemieckiego elementarza, i długimi listami od Stefana, pisanymi z kursokonferencji i szkoleń. „Kochana, bardzo trudno przeżyć te dni bez Ciebie”. Matematyk, a pisze tak pięknie. Jak poeta. Jak w jednym z romansów, które ona chętnie czyta. Cóż, być może, pisze także do innej. Kartki z podpisem „Vater” między tym całym kramem, a przecież są czymś zupełnie, zupełnie innym.

Stefan, faktycznie, umie pisać listy nie tylko miłosne. Nie zapomina o datach. Wybiera starannie pocztówki, kupuje je także na pchlim targu i w antykwariatach. Stare, przedwojenne widoczki. Lubi właśnie na nich pisać. „Żadna decyzja nie może być podjęta wbrew Twojej woli. Pamiętaj, jestem Twoim mężem. Oczywiście, jeśli uznasz za stosowne to uregulować. Natomiast moje miejsce jest bezspornie tutaj. Nie wyobrażam sobie, nie chcę zmiany. Pamiętaj. Ja się tu odnalazłem. Potrzebuję swojego miejsca”. Kartki wysyłane przez okazję. Nie mówi o nich Uli. Ula nie opowiada mu o pierwszej od ojca. Pokazuje mu dopiero drugą. Siedzą na tapczanie. On znów wszystko rozumie.

I mówi: – Ja też mam taką korespondencję. Z którą nie wiadomo, co począć – przyznaje się, ona teraz to łatwo przetyka, do tego swojego podwójnego życia. Kupuje jej od tego czasu częściej kwiaty. W listach z delegacji wyznaje miłość. To się samo ustala. Wyznanie w liście jest przyjemniejsze od tego na tapczanie. Zostaje, może być przeczytane w każdej chwili. Ula coraz częściej czyta listy, te sprzed miesiąca, roku, jeszcze starsze. Wolałaby, żeby nie wyjeżdżał. Stefan, nie ojciec. To się jeszcze da zrobić, zatrzymać kogoś tym razem. Ma na coś wpływ, nie tak, jak podczas wojny.

Przed świętami wszyscy kupują pocztówki. Zawczasu, potem nie będzie wyboru. Pani Róża w kiosku pokazuje, które ładniejsze. Tak, część z nich stanie oparta o kryształ na kredensie. Powinny być ładne. Przed samymi świętami nie ma wyboru. Jest za to przed tymi nowymi – Dzień Zwycięstwa, Dzień Kobiet, Barbórka. Także w Ośrodku Kultury Radzieckiej można je kupić. Najwięcej z tych nowych okazji wysłała Marysia. Tak, do siebie. Adresy przepisane do małego zeszytu. Janek swoje pamięta. Anna ma specjalny, maleńki, elegancki notes, ale też pamięta. Ula odwraca kopertę otrzymaną poprzednim razem. Spisuje litera po literze. Od razu zapomina. Po co miałyby pamiętać? Odpisuje tylko na poprzedni anons. Tak to traktuje. Jak wezwanie do odpowiedzi w sprawie. W sprawie tego, czy żyje. Nie może postanowić od teraz już znać adresu ojca. Tę tajną informację, przez którą szczelnie zamyka pokój, zasłania okna. Tę, której uczciwie nie miała. Matka, umierając w szpitalu, też nie

wiedziała. Jest chyba tyle matce winna. Nie zapamiętywać adresu. Przepisywać za każdym razem z koperty. Ale umie pisać listy do ojca. Gdyby trzeba było, umie.

Stefan zbiera znaczki. Gdyby miał dzieci, mógłby z nimi oglądać klaser. Wszystkie starannie powkładane w przegródki, niepokancerowane. Polskie znaczki, tylko polskie. Mówi o tym Uli, chociaż ona tego nie słucha. W Szczecinie można mieć mnóstwo hitlerów, tych z Hitlerem i jego generałami. Ludzie tego mają mnóstwo, ale ja zbieram tylko serie Poczty Polskiej. Mówi jej. Po co?

– Chyba nie podrywa mnie pan profesor na znaczki? – pyta go z figlarnym uśmiechem. Bo nie warto opowiadać o kolekcjach braci. Bo nie warto zastanawiać się nad obrazkami czasów, które odnaleźć można na znaczkach. Nad stemplami. I pozdrowieniami w obco brzmiącym języku. Wpycha w szufladkę te wszystkie sygnały i znaki. Teraz woli kochać. Ciało Stefana pełne jest znaków, podstemplowane na zawsze. Kiedy dotyka tych miejsc, on się nie cofa. Zastania więc dłonią wszystkie stemple i ślady.

SALON KRAWIECKI, wyjęte z czasu

Pan Helmut, druga klatka, trzecie piętro, ulica Pocztowa. Nie wiadomo, kto pierwszy na niego trafił. Z nich dwojga Janek, w okolicznościach, o których od pewnego czasu woli nie mówić. Marysia nie dała się przekonać. Ale Ula miała wrażenie, że znała go wcześniej. Mama szyla u krawców, w eleganckich pracowniach. Czasem córkę, ale nie zawsze, do miary brała. Coś też, paltko, mundurek, jej przed wojną zamawiała na obstalunek. Krawcy być może wyglądają zawsze tak samo.

Wchodzi się schodami o startych, metalowych okuciach, klatka śmierdzi czymś duszącym i moczem. Może tylko moczem, w różnych stadiach. Może to po prostu rozkład. Drzwi na wprost, wąskie, niedawno wstawione. Raczej drzwi zastępcze, zrobione z czegoś nietypowego, pomalowane na szaro olejną farbą. Jak do magazynu. Bez dzwonka, trzeba pukać. Jeśli otworzy, znaleźć się w środku to już, chociaż niepełne, szczęście. Dość często nic z tego. Nie znaczy, że go często nie ma. Można usłyszeć zamieranie oddechu, wstrzymywanie kroków po drugiej stronie. Kontemplując solidne, dwuskrzydłowe drzwi z prawa i z lewa. Odczytując mosiężne tabliczki i nalepione niedbale karteczki z nazwiskami. Modele dzwonek. Kołatkę. Otwory na listy. Na jego drzwiach nie ma numeru, jest tylko mała karteczka z boku, tam, gdzie powinien znaleźć się dzwonek. Na tych, nowych, drzwiach niczego nie ma. Po co? Kto wie, trafi. Innym się nie narzucaj. Trzeba mieć numer i wizytówkę. Taki obowiązek obywatela. Mówi kobieta z administracji. Cóż, więc ma kartkę w miejscu dzwonka. Numeru nie ma kto namalować. Dzwonka zainstalować. Musi wystarczyć kartka. Ewentualnym nieproszonym gościom wystarczy adres.

Często nie otwiera, nie zrobił miary. Potem opowiada, że musiał pomagać. U krawca w mieście pomagał. Nie mogli sobie bez niego poradzić. Zresztą podobno gdzieś pracuje. Na etacie. Kiedy indziej mówi o rencie. Nie wiadomo, czy sam zna prawdę. Szyje, jak kłamie. Mistrz fastrygi i łągarstwa. Wiele ubrań pozostaje na manekinie na zawsze zafastrygowanych. Klienci znikają.

Być może jest w środku, leży na wąskim łóżku w poszarzałej pościeli. Ma takie dni, gorzej, że tygodnie, nie trzeba mu jedzenia, wystarczy wódka. Ostro pachnąca, z czerwoną kartką, obliczona na dobiecie wszystkich lęków. Patrzy w sufit, myśląc o sobie tylko znanych sprawach. Z nikim się tym nie da dzielić. Tym, co jakoś dotyczy przeszłości. A mógłby się, mówi często Anna do Uli, pozbierać. Sporo zarabia. Nie wiadomo, co z tym robi. Wszystkiego chyba nie przepija? Być może, ma jednak jakąś ciągnącą go w dół, na barłóg, tajemnicę. Klientki i klienci odchodzą. Nie można w nieskończoność czekać. Deseń materiału wychodzi z mody, cięcia pod biustem już się nie nosi, a on nie dał rady. Potrzebuje zrobić trzy miary, bezwzględnie, czasem i czwartą. Żeby poczuć figurę i tkaninę, zespolić je w jedno. Przygotować coś, co się będzie zawsze nosić jak skóra.

Jeśli jest, trzecie podejście do drugiej miary, otwiera. Na wprost ten jego barłóg, zarzucony bawełnianą kapą, pod którą pewnie sypia. Spod niej wystaje szarawe prześcieradło, jakieś części garderoby, skarpetki upchane pod poduszkę. Musi tak być, innej możliwości nie ma. W pierwszej części pokoju brak dziennego światła, więc goście, klienci wchodzi na to łóżko i stół, gdzie trzyma produkty spożywcze. Pokój dzieli szafa. Jej pilśniowe plecy, oblepione kartkami z niemieckich żurnali, stanowią granicę. Za nią rozciąga się, czy raczej kondensuje pracownia krawiecka. Trudno uwierzyć, co potrafi zrobić w tej norze. Ula myśli o sklepach, gabinetach, kawiarniach, tych przed '45.

Dwie maszyny, singery. Do ciężkiego i lekkiego szycia. Rzeźbione nóżki singera. Odrzucona na podłogę obudowa. Szpule nici na maszynach, w pudełkach i pudłach. Mniejsze, okrągłe, metalowe pudełka guzików. Zwały materiału, worki resztek, skrawków leżące pod

jedynym tu oknem. Oknem z szarym nalotem, jedna szyba zaklejona gazetą. Dwa manekiny, damski i męski. Jeszcze jeden, tu duży, stół, na którym można kroić i prasować. Ciężkie żelazko na fantazyjnej podstawie z metalu. Rulony kalki na stole i podłodze. Kawałki krawieckiego mydła o ostrych kantach. Trzy krzesła. Nie ma miejsca na nic, trudno gdziekolwiek przysiąść.

– Proszę siadać. Herbaty? – zawsze, jeśli jest i ma humor do klientów, tak zaczyna. Czajnik stoi za zasłonką w rogu pracowni. Brudnawe szklanki, ale lepiej nie próbować się wymigać. Trzeba pić herbatę i pozwolić mu mówić.

O tym, jaką piękną uszyjemy rzecz dla szanownej pani. Preferuje krawiectwo damskie. Ciężkie, ale damskie. Płaszcz, garsonki. Teraz nauczył się i spodni. Mężczyźnie, ewentualnie, też uszyje, jednak to nie to samo. Brak przyjemności. Kobiętę najpierw trzeba obmierzyć. Dokładnie wyczuć talię, obejmując ją centymetrem, a czasem dłońmi, żeby było precyzyjnie, w pasie. Żółtawe paznokcie, sucha skóra na dłoniach. Dotyka. Potem biodra. Różnica mówi wiele o figurze kobiety. Pomiar w biuście, szerokość pleców, żeby było wygodnie. Długość rękawka, nogawki. Do łokcia i od łokcia. Do kolan i od kolan. Mężczyźnie trzeba dokładnie zmierzyć w pachwinie. Krępująca czynność, jednak nie dla fachowca. Fachowiec musi znać dobrze figurę. Jasne, garnitur. Przychodzą adwokaci, lekarze. Mogliby pomóc załatwić niejedną sprawę. W kwaterunku? Tak, w kwaterunku również. Miał większe mieszkanie. Zaczął zalegać z czynszem. Tu jest dobrze i jego pracownia, tak, bez podatku, nie rzuca się w oczy. Nikomu nie przychodzi do głowy, nikt nie pyta. Jaki podatek? Od czego? Że pomoże komuś? Tak, szyldu nie ma. Bo i po co? Wystarczy stałych klientów. Starych, stałych klientów, przyjaciół, którym pomaga się ubierać.

Więc woli krawiectwo damskie. Na kobiecie, te zaszewki... Trzeba robić porządne cięcie, modelować. To lubi. Kiedy mu się poddaje tkanina, naddaje figurę. Przyniesiona przez Ulę. Nie przeróbka.

– Panie Helmucie, ja się znam na szyciu – ryzykuje, może tym bardziej nie chce uszyć.

– Pani Urszulko, ja wiem. Ulrike – jego wymowa ją przeszywa – pani jest krawcowa. Pani sama potrafi każdy łaszek do siebie dopasować. Ale płaszcz z nowego? Do tego potrzeba mistrza. To trzeba skroić z żumala, paryska moda dla pięknej kobiety – popijają herbatę niespiesznie, zagryzają przyniesionymi przez nią herbatnikami. Rozdarta paczka „Petit-beurre” na talerzyku. Materiał od Stefana, kupił w Łodzi, w delegacji. Zaczyna gubić się w tych jego delegacjach. Po co nauczyciel tyle jeździ?

– Uczą nas tej nowej matematyki – mówi.

– Nowej? Jest coś nowego w matematyce? Pamiętam ze szkoły, że to raczej stałe problemy. Jak podzielić, a jak pomnożyć – droczy się z nim, unieważnia tę jego profesorską ważność, z której jest dumna.

– Okazuje się, że do wszystkiego można wprowadzić nowe – odpowiada. Tak, można. Oboje wiedzą. Przywozi jej z tych wyjazdów prezenty. Sporo może kupić z nauczycielskiej pensji. Może dlatego, że właściwie u niej mieszka. Podnajmuje swój pokój. Tak sobie ona to tłumaczy. Nie, nie tłumaczy sobie niczego. Zamyka oczy, kiedy czuje jego oddech na szyi.

Więc z tym materiałem, tkaniną, do mistrza. Dodatki? Da swoje dodatki, policzy. Najważniejsze, żeby wybrała dobry fason. Taki, który przetrwa niejeden sezon. Cóż, najbezpieczniej taki...

– Ale pan nie myśli tego tak długo trzymać? Żeby z mody wyszło? Bo chciałabym mieć płaszcz na jesień, panie Helmucie drogi. Bardzo mi zależy.

– Oczywiście. Będziemy pracować. Musi pani przychodzić punktualnie do miary. Najgorsi tacy, co najpierw chcą koniecznie, a potem ich nie ma. Niech pani zobaczy. Ile tu tego leży. Czas stracony, fizelina moja wszyta, a pieniędzy nie mam. Teraz ja biorę zaliczki. Bez zaliczki nie zaczynam roboty. To moja inwestycja, duże ryzyko. Ludzie najpierw chcą, potem nie mają czasu. A jak ja mówię: w piątek o piątej, to tak ma być. To znaczy w piątek o piątej.

Będę siedział wtorek, środę, czwartek, aż zrobię. Ale o piątej nie znaczy pięć po. Bo ja tylko punkt piąta, zgodnie z umową, otwieram. Pani mogę to powiedzieć. Pani jest kobieta z doświadczeniem. Nie można otwierać drzwi przez cały dzień, byle komu. Nigdy nie wiadomo. Ja swoje przeżyłem. Powiem szczerze, ja się boję. Jak pani będzie do mnie stukać, dobijając się za dziesięć piąta albo dziesięć po. Ja pani nie otworzę.

Ula kiwa głową, bierze czajniczek z naparem, przesuwa nim nad szklanką pana Helmuta, zawiesza go tam pytającym gestem. On kiwa głową, podsuwa szklankę bliżej. Dolewa. Sobie też, pełno. Nie spieszy się. Człowieka trzeba wysłuchać. Co nie daje żadnych gwarancji. Może myśli o swoich szczelnych zasłonach.

– On jest chory – mówi do Anny.

– Wariat? – znów nowa kucharka wychyla się z okienka. Też go zna. – Ma nie po kolei, moim zdaniem. No i pije. Jak pije, jest gorzej. Ale ma pani rację, nikt jak on płaszcza nie uszyje. Jeśli ma pani cierpliwość.

W tym pokoju bez kuchni, z wnęką na dwupalnikową kuchenkę. Bez łazienki, spod łóżka wystaje miska. Ubikacja na półpiętrze. Udarłe kawałki gazety na gwoździu, drewniana deska. Czy wychodzi tam w wilgotne, szpecińskie, jesienne poranki? W tym pokoju zmrok musi zapadać szybko. Gdyby okna były czyste, byłoby widać drzewa na boisku szkolnym. Hałas, dzieci tam hałasują.

– Pani Ulu, mnie często boli głowa, to nie ma rady. Nie zrobię. Ale pani zamówienie pierwsze. Kładę na samej górze. Pani widzi?

Widzi. Rozkładają materiał na stole. Wiśniowy kolor, niespotykany. Wyciskany deseń przypominający trochę te z obić kanap, których jeszcze trochę jest w mieście. Kremplina, mięsista, gruba, piękna. Chociaż ludzie meblują się teraz już nowoczesnie. Kolor nie dla rudej, będzie musiała znów przefarbować włosy. Teraz rude. Wróci na blond. Pan Helmut z trudem wstaje, ściąga z szyi manekina centymetr.

– Pani pozwoli – dotyka jej trochę za dokładnie, cały czas mówiąc. Jaka ważna jest miara. Pierwszy krok do sukcesu. Potem, kiedy wytnie formę, będzie ją (jeśli się nie spóźni) przykładał do niej, upinał. Przygotuje pod fastrygę. Błędy – precyzja, precyzja – zaznaczy mydłem krawieckim, sunąc krótkimi ruchami obok fastrygi. Szpilki będzie wkładał bezpiecznie, podkładając dłoń z drugiej strony.

– Czy on naprawdę nikogo nie ma? – Anna troszczy się o to, czego u siebie nie nazywa.

Czy? – myśli Ula. – Czy my mamy kogoś? Idzie o jakąś córkę, która mogłaby czasem wyrzucić mu gazety i resztki jedzenia. Posprzątać. Nikt nie będzie chciał się u niego, w tym brudzie, obszywać. A jednak chcą.

– U nas krawczyni, bo to była kobieta, miała w domu jak w pudełku. – Anna potrząsa ramionami. Nie da się na taką robotę nabrać. Nie zamierza tam chodzić, dawać się obmacywać i liczyć na szczęście. Woli własne przeróbki. Albo któryś zakład z szyldem. Jest ich pod dostatkiem.

Czy? – powtarza w myślach Ula. Czy on otworzy drzwi, jeśli przestaną do nich pukać wściekli klienci. Kiedy zarobi, kiedy się z niego wydusi ubranie – zawsze piękne, idealnie dopasowane.

– No nie, babsko przytyło, pani wie? – pozwala sobie na poufałość, „babsko”, szył kilka sztuk mecenasowej i mecenasowi. Mecenasa jakoś go zmusił, potrząsnął nim jakoś. Skończył na czas. – Wszystko od razu do przeróbki. Powodzi się ludziom. Brzuch rośnie między przymiarkami. Bo u pani nie, nie ma zagrożenia! – triumfalnie: – Figura zawsze pierwszorzędna!

– Tak, tak, panie Helmucie, pracuje się na nogach. Zajrzałyby pan do nas, do baru.

– Wciąż takie dobre leniwe?

– Jasne, a dla pana usmażymy schabowego. Mamy mięso, mało, ale rozszerzamy asortyment. Duża konkurencja, jadłodajnie, restauracje. Wracając do tycia. Obiecuję, nie utyję, ale niech pan myśli tak, jakbym miała mieć tę figurę tylko do pierwszego, dobrze?

– Dziękuję za zaproszenie. Daleko mi tam do was. Płaszczyk będzie, będzie.

Jego dotyk jest zimny, ale indukuje w ciele długie prądy. Być może w jakimś sensie je zamraża, wprowadza w stan odrętwienia. Wstyd się przyznać do tego. Magiczne ręce krawca. Może po to przychodzą tu kobiety? Dobijają się do obskurnych drzwi? Piją z brudnych szklanek? Może dlatego nie chce szyć męskich spodni? Bo na mężczyzn też tak działa? Nie chce patrzeć, jak drętwieją. Dotyk niepasujący do wyglądu. Helmut nie ma wieku. Wydaje się raczej stary. I pamięta dobrze lata dwudzieste. Modę z lat dwudziestych. Takie rzeczy szyłyby najchętniej. Więcej zakrywać, pokazać trochę nóżki. Tylko trochę. Cięcia pod biustem, zaszewki, są uniwersalne. Należą do fachu. Siwe, pożółkłe włosy. Bezkształtna figura. Utyka. Dlatego do baru, mówi, dla mnie daleko. A jednak jego dotyk. Przymknąć oczy, ale można wówczas stracić przytomność. Zanim skończy miarę, można by się przewrócić. Trzeba udawać, że nic, nic. Niech dobrze zmierzy. Potem wracać, noga za nogą, przez ciemne ulice, niedaleko do domu, do głównej arterii miasta, z tego zaplecza, z tej przechowalni ludzi, cichej, śmierdzącej, zapuszczonej. A przed każdym domem trawnik, obwiedziony kamieniami przez zapobiegliwych gospodarzy, chyba dawno, nie teraz.

Ula znów siada. Nie, nie wypije więcej herbaty. Ta toaleta. Nie mieści się w głowie, żeby z niej skorzystać. Siada na chwilę, już go nie będzie męczyć. Da zaliczkę, ma na zaliczkę. Od Stefana. Który niezłe zarabia. Daje korepetycje.

– Taka kobieta jak pani powinna mieć bogatego męża. Nie pracować w barze. Taki brylant powinien mieć oprawę.

– Kiedy nikt mnie nie chce. Może pan ma kogoś dla mnie? Obszywa pan kwiat tego miasta.

– Żaden nie jest dość dobry. I byłbym zazdrosny. Przy bogatym mężu zapomniałaby pani o biednym krawcu.

Żartuje z nim, daje się całować w dłoń, a nawet w przedramiona. Chce go o coś zapytać. O coś, czego nie chce powierzyć nawet kierownikowi. Przymierzała się do rozmowy z kierownikiem. Ale nie, lepiej dać spokój. Chce zapytać Helmuta, czy ludzie wiedzą. Czy on coś wie o rodzinie. Czy czasem śni mu się coś po niemiecku. Jednak nie pyta. Nie jest pewna. Może to tylko imię? W końcu nie przyjaźni się z nim, nie są krewnymi. Jeśli okaże się, że jest kimś innym? Zatnie się. Obrazi. Nie wpuści jej więcej. Nie uszyje. Chce zapytać, po prostu. Bez konieczności zapisywania się do jakiejś tam organizacji. Bo nie ma takiej akurat potrzeby. Nic jej nie obchodzą Niemki i Niemcy spotykający się na kulturalnych wieczorkach. Chciałaby wiedzieć, czy dostaje listy. Tylko tyle.

– Ale z tymi bólami głowy coś pan powinien zrobić.

– Tak, tak, to pewnie od kręgosłupa. Muszę sporo leżeć. Tu mam dobrze. Ciemno.

W części będącej pracownią goła żarówka pod sufitem.

– Za oknem tylko jedna latarnia. Rano też nie mam słońca. Czasem śpię dłużej. Więc umówmy się na tę siedemnastą, dobrze?

– A nie przynieść panu czegoś? Do jedzenia?

– Nie, nie, w żadnym razie, nie trzeba. Odwiedzają mnie koledzy. Jakbym był bardzo chory, nie podejmowałbym się płaszcza szanownej pani. Teraz codziennie wychodzę.

Znów trzyma jej dłoń. Gdyby przyszła tu ze Stefanem, jak chciał, niczego by nie załatwiła. Stefan by go spłoszył. Ciekawe, czy ten dreszcz, ten prąd szedłby przy Stefanie tak wzdłuż kręgosłupa? Może się postara. Oby. Materiał jest piękny. Ciężar, faktura, kolor.

Jednak nie. Miary nie ma, kiedy przychodzi, wraca. Dozorczyni mówi jej, że trzy dni tam trwała libacja. Schodzili się kumple. Prawdziwe ochlapusy.

– Biedny, ale i nie do ludzi. Wytrzymać z takim sąsiadem, sama pani rozumie – opiera się na szczotce, Ula nie ma ochoty z nią rozmawiać.

Kto wie, za jej zaliczkę? Kto wie, ile można wypić? Niedużo. Musiał się zmobilizować i przyjąć coś jeszcze. Wraca tam sama, z Anną, wreszcie zachodzą ze Stefanem. Licząc na przypadek. Zostawiają w drzwiach karteczki. Niektóre znikają, inne wydają się przesunięte w inną część szpary. Jakby maskował swoje wyjścia z domu. Potem płaszcz przestaje być aktualny, wiosna. Myśli tylko o nim, o niezadanyim pytaniu. O mężczyźnie w pracowni krawieckiej będącej zarazem barłogiem, norą. O tym, że nikt nie powinien powierzać mu szycia. Czasem, przechodząc, patrzy w okno. Wypatruje smugi światła. Tyle minęło czasu, powinien przestać się ukrywać. Nikt już nie liczy na skończone ubrania. Jest jednak ciemno. Czuje jego bycie tam, w tej klitce, w tym salonie krawieckim, jako nieznośne trwanie. Jego, czy swoje, nieznośnie konieczne trwanie. Jest wesoła. Klienci w barze ją lubią, bo wesoła. Nie należy pokazywać po sobie.

Ktoś mówi, że wyjechał. Ktoś, że popełnił samobójstwo. Powinna, powinni to sprawdzić. Szył tylu osobom. Ta chęć się rozchodzi po kościach. Gdyby spotkać kogoś, kto znał go lepiej... Kto wie na pewno... Jeszcze czuje prąd od dotknięcia krawieckiego mydła i jego twarde paznokcie macające szew marynarki.

– Na głowę trzeba uważać, trzeba się szanować – mówi Anna.

Tak, trzeba. Zastony nie powinny tak szczelnie zasłaniać okien. Trzeba mieć w pokoju światło. Ula idzie z Anną do krawcowej. To już nie to. Po tej krawcowej sama musi poprawiać. Przypomina sobie o zawiniątku z narzędziami doktora Krause. Wciąż je ma, a przecież są bezwartościowe. Nie wrócił po nie. Krawieckie nożyczki i obcęgi stomatologiczne. Bez związku. Ale styka się z nimi, każdy z nimi jakoś się styka. Te precyzyjne, dobrze wykonane przedmioty. Postanawia kupować gotową konfekcję.

AWANS, data tajna

– Więc jest pan skłonny pracować dla nas? – przypomina sobie to pytanie, sceneryę. Odkąd poczuł miasto jako własne, zaczął przerzucać popołudniową gazetę, siedzieć w knajpie, w ogródku latem, przy kontuarze zimą, ubrany w białą koszulę (garnitur przerabiany, garnitur na obstalunek, garnitur z nowego sklepu dla panów, moda męska i zwycięska), miał wrażenie, że dokąś zmierza. Koledzy z pracy, założona rodzina. Nosić ciemne okulary, strzyc się z bokobrodami, ledwie zaczął golić zarost, kupować. Odkąd poznał Marysię, miał z kimś po drodze. Więc, owszem, szkoła wieczorowa, fiu!!! Ale nie tylko. Pamiętał o schylonych plecach babci. Księżych sprawkach. Innych sprawach. Tak. Awans. To się nazywa awans. Nikt nie chciał od niego zbyt wiele, a obiecywali też nie tak znowu dużo. Po prostu. Zamiast brudzić dłonie na produkcji, miał pomagać kadrowej. Takie tam. Przerzucanie teczek, sprawdzanie kart, kiedy się kto spóźnił, ewentualnie dopisywanie notek. Jakoś sobie musiano radzić, potrzebni byli tacy, nieskażeni, niepodejrzani o nic. Bystre chłopaki, mogące szybko awansować. Nawet jeszcze przed wojskiem, w którym też dobrze było mieć ludzi już pewnych, ukształtowanych. Mimo młodego wieku, młodością da się dobrze pokierować. Poza tym w tym pokoleniu dojrzałość przychodzi tak szybko jak samodzielność. Prędzej niż rozum, warto skomentować. Rozum nie jest potrzebny dojrzałości, raczej spryt i odpowiedni, plastyczny kręgosłup, raczej dobry fason.

W fabrykach potrzebne jest dobre oko. Jasne, już bez osobnego biura, bez tej nachalnej obecności aparatu, słusznie skrytykowanej przez odnowicieli rewolucji. Dyskretnie, po nowemu, zgodnie z kursem na limitowaną cywilizację i jawność w pierwszej odsłonie. Zawsze jakiś kolejny Światło może uciec i rozpowiadać po świecie, jak działa system, nie tylko w więzieniach, nawet w fabrykach. Może to, powiedzmy, nieodpowiednio naświetlić. Luźniejsza struktura, na miejsce likwidowanych po 1956 Referatów Ochrony, bezpośrednio podlegających wojewódzkim agendum Komitetu do spraw Bezpieczeństwa. Nie zdążył do miasta na 1956, na same zmiany, jednak wiedział, że teraz to coś całkiem, zasadniczo innego. Pożyteczna działalność. Tak, jasne, zapisać się do partii. Należało. Jakiś grunt pod awans. Awans, awans. Słowo dobrze pasujące do nowych okoliczności. Leżące nieźle w ustach. I w portfelu, jasnobrażowa świńska skóra, tam legitymacje, wszystkie legitymacje. Niewielu jednak miało zamiar mieć maturę. Większości starczało to, co mają. Samo bycie w mieście, samo urządzenie życia z żonami poznanymi jeszcze u siebie albo już tutaj. Nikt im nie mówił, że studia. Szkoły, owszem, szkoły, na ślusarza, piekarza, montera. Skoczyć, odskoczyć od wiejskiej szkoły do szkół prawdziwych. Chłopskie dzieci zostawały i doktorami, i inżynierami. Tak, jasne. Janek miał zawsze ochotę na coś więcej, skończyć z byciem poszturchiwanym. Nie prosić. Skończyć o własnych siłach, żeby nikt, nigdy... Może wcale tak nie myślał. Tak, mógł nie myśleć. Takie rzeczy nie nazywają się decyzjami. Są. Dzieją się. Dochodzą do głosu. Omijają etap decyzji. Nie wiadomo kiedy się stają. Trzeba żyć, być dorosłym. Dojrzałym do tego, co znów niekoniecznie powiązane jest z dojrzałością jako taką. Człowiek zdolny do płodzenia dzieci powinien umieć też zadbać o rodzinę. W 1959 ma 19 lat. W 1960 ma 20 lat. Pracę i żonę. Niebawem dostanie mieszkanie. W 1963 roku ma 23 lata i małą córeczkę. Nieźle tempo. Uczy się życia tak szybko, że nikt nie może mieć wątpliwości. Na wsi byłby gospodarzem, gdyby miał ziemię; mężczyzną całą gębą. Tu zostaje przydzielony do papierkowej pracy w kadrach, bo takie są okoliczności.

Pewną zasługę ma w tej decyzji kadrowa. Widzi, jakim bystrym i ładnym jest chłopcem. Podpowiada mężowi odpowiadającemu za likwidowane w zakładach służby, że jest taki żółtodziób, z którym nieźle mogłaby sobie radzić. Żółtodziób, owszem, chętnie. Popracuje jako jej pomocnik, najpierw młodszy referent, szybko uzupełniając braki obycia. Jako

mężczyzna, dość szybko zaczyna być kimś więcej niż chłopakiem po zawodówce, którą mozolnie kończy, mając na oku maturę.

I wtedy powołanie do wojska. Na rok, szczęśliwie. Jedyne żywiciel rodziny. W dodatku choruje. Higiena w armii wyśrubowana, zwłaszcza higiena ideologiczna, a tu niespodzianka – żółtaczką. W samą porę. Kiedy wraca do siebie, kadrową jest inna osoba. Trochę się pęta, nie wie, jakie są teraz najważniejsze, dla referenta w dziale zatrudnienia, zadania. Ponieważ nikt mu żadnych konkretnych nie zleca, przekłada tylko papiery. I wówczas decydująca rozmowa.

– Ostatecznie nie chodzi o nic wielkiego. Wyślemy pana na kilka szkoleń. Miasto jest wciąż pełne ludzi, elementu z różnych stron Polski. I nie tylko, ściśle mówiąc. Pan ma dobre rozeznanie, potrzebujemy takich ludzi. Pan wyjątkowo dobrze radził sobie w zakładach. Same pochwały, widziałem, nagrody, premie. Kierownictwo zakładu chwaliło pana. Koledzy, zdaje się, nie mieli zastrzeżeń? Umiejętność pracy w kolektywie. Nienaganna postawa podczas służby wojskowej. Kto wie, byłby pan oficerem, gdyby nie pechowe wszczęcie żółtaczki w ramach obowiązkowych dla armii doszczepiań. Dobre wyniki w szkole dla pracujących. – To mile łechce. Jest takim człowiekiem. Bardziej o wiele od tych wszystkich, którzy mają maturę i studia. Którym przyszło łatwo. On jest cenny, zna ludzi, przeszedł sam całą tę drogę. A do fizycznej pracy to już się nie nadaje. Niech to już inni. Czyli jakąś drogę, nie łatwiejszą, dostępną. Poza tym nie wie z góry, nie ma czasu na przemyślenia. Prawie automatycznie w to wchodzi. Podoba mu się. Męska decyzja, namawiany do podjęcia męskiej decyzji, chce sprostać. Przez chwilę myśli, że najlepiej byłoby w mundurze, nie służba cywilna. Honor większy, a tak, potrzeba dyskrecji, odbiera część szczęścia, pawi ogon schowany pod siebie.

Kiedy siedzi tu któryś raz z rzędu, w obszernym gabinecie, cywil o postawie oficera (więc jak oficer można nawet po cywilnemu) mówi mu „towarzyszu”, słowa brzmią więzią i decyzją. Jest towarzyszem. Chce być związany blisko z tym przystojnym mężczyzną, jasne. Docenia. Braterstwo z wyboru. Nie mówiąc o pensji. Nie wie, czemu zawdzięcza. Ktoś, mimochodem, napomyka kiedyś o ojczymie. Hmm. Nie myślał, że ma ojczyma, matka miała męża, ale że był ojczymem? Ktoś o konszachtach poprzedniej kadrowej. Zresztą, wydawało mu się, że plotki rozsiewał ktoś raczej władzy niechętny. Jakieś szczątki rozmów o tym, by... Jasne, mógł tak tylko, stwarzanie pozorów. Mogło chodzić, tak pomyśli potem, o dotarciu do ojczyma, więc zupełnie inna motywacja. Zresztą nie dotarł, kontakt z matką prawie się urwał i nikt akurat tego mu nie zlecił. W ogóle przede wszystkim rzecz w tym, że człowiek bierze to, co samo w ręce idzie. Jeśli dzięki temu coś może. Ostatecznie pracę dawała ta sama władza, dzięki której w ogóle znalazł się w mieście. Nie tak, jak kiedyś dziadek i babcia, na swoim był. Nie jak oni, harowa u kogoś. Wszyscy mieli jakieś perspektywy. Niezłe całkiem. Poprawia baczki i widzi się po drugiej stronie biurka, awansowany słusznie chłopczyzna.

– Szkoda czasu – przystojny cywil zwraca się do niego stanowczo, lecz miękko – mów mi po imieniu – otwiera kasę pancerną, wyjmując butelkę, nalewa do literatek – na pracę w zakładach. Tam trzeba już być kimś więcej, inżynierem. Zmienny profil produkcji. Automatyka. Sam rozumiesz. Tak, właśnie. Dobrze. Zmiana na bardziej cywilną. Ludzie teraz chcą różnych udogodnień. Trzeba umieć, znać się. Ty masz inny talent. Do pracy między ludźmi. Przejdź do nas, konkretne zadania, robota podobna. Porządkujesz dane, tyle że czasem sprawy nie takie proste. Zwyczajnie, wypełniasz rubryki. W pionie III, zatrudnimy cię w pionie III. Nieważne. Z czasem poznasz specyfikę. Tu liczą się twoje kwalifikacje. Znajomość środowiska w fabryce. Twoja działka – ludzie w przemyśle, nastroje, ewidencja, uzupełnianie archiwum. Dowiadujesz się, gdyby ktoś coś ważnego zataił. Jakieś plany. Nastroje. Kontakty. Ja jestem twoim przełożonym. Raporty idą do mnie. Trudniejszymi kwestiami zajmuję się osobiście. Najpierw wyślemy cię do naszej szkoły. Kto wie, nawet za granicę, ale obowiązuje dyskrecja. Żadnych opowieści, szczegółów, nawet rodzinie. Oficjalnie może sanatorium? Gdzie pracujesz: owszem, tyle mogą wiedzieć. Najbliżej. Szczegóły zostawiamy sobie.

Ma tylko taką wątpliwość. Matura, owszem. W wieczorowym liceum nr 1. Ale nie jest urzędnikiem. W kadrach pomagał, zaledwie. I wiązał zadania w POP-ie z pracą dla zakładu. Taką miał hierarchię, koncepcję własnej roli. Służby w tle nieoczywiste, mgławica. Tu byłoby inaczej. Mniej wśród znanych ludzi... Nowy przełożony, mów mi koniecznie Heniek, przerywa.

– No niezupełnie. W zakładzie, u siebie, byłeś w sytuacji dwuznacznej. Tu jesteś na sprecyzowanym stanowisku. Wiesz, powiem szczerze. Wciąż odbudowujemy kadry, po '56. Chętnych nie brakuje, jednak potrzebujemy ludzi zdolnych, z możliwościami, sprawdzonych. To są zadania specjalne, nie każdy dostaje taką możliwość. I szkolenie, stopniowo przechodzisz szkolenia.

Nie brzmi jak propozycja zostania kimś, kim zostać by nie chciał. Brzmi jak lepsze życie.

Janek nie jest pewien. Gdzieś słyszał, mówiło się na mieście. Tyle że ludzie różne rzeczy. Że niewiele się koniec końców zmieniło. Niby wymienili kadry, niby ta reorganizacja, przestali się tak widocznie panoszyć. On sam, w zakładach, był trochę takim człowiekiem do zadań specjalnych, już nie miał jawnej władzy. Ot, pomagał kadrowej uzupełniać rubryki. W końcu w prowadzeniu akt, jeśli on by to umiał, musi być zaufanie, ktoś musi zbierać takie informacje. Przemyka mu przez głowę, cień myśli. Że to może wiele znaczyć. Że można na przykład policzyć się z widmem wsiowej klasy, w której zawsze znajdowali się silniejsi. Zadający pytania i razy, kadrowi wsi podpoznańskiej. – Kto jest twoim ojcem, synek. – Wypływa mu z pamięci. Tylko kątem oka w sobie coś podobnego, zarys, kontur, myśl właśnie, rozpoznaje. Zaraz gorliwiej słucha. Żeby do samego siebie dotrzeć, żeby do niego samego dotarło. Ktoś, kto mu poświęca czas. Kto tyle umie mówić.

I dzieciństwo nie jest ważne. Dorośli ludzie nie rozpamiętują dzieciństwa. Dorośli ludzie idą z szansą, z wiatrem.

– Gdybyś chciał czegoś więcej się dowiedzieć, nie wszystko mogę ci tak tutaj. Umówmy się na wódkę, jak mężczyzna z mężczyzną. Jesteśmy z tych samych stron, wiesz? Też tam rzadko jeżdżę – zamyśla się, dolewa tylko sobie, pije. Delikatny, uczuciowy, prostolinijny, Janek widzi, jak nie panuje nad emocjami, kiedy wspomina strony rodzinne. Porządny gość.

Też? Też tam rzadko jeździ. Istotnie. Nie ma po co. Cień zdziwienia. Muszą i takie rzeczy o mnie wiedzieć. Rozumie się, skoro zaufali. Chcą dać awans. Muszą wiedzieć komu. Ryzykują. Pensja, może wczasy, może mieszkanie. Może, kiedy już rodzina... Zresztą nie myśli za dużo. Rozgrzewa go braterstwo i plany na przyszłość. Sam, do cholery, tak daleko doszedł. Z wiejskiego popychadła, półmietła, aż tutaj, gość rozmawia z nim jak z kimś cennym, proponuje mu lepszą, na pewno o wiele lepszą, pracę. Wychyla kieliszek. Nie ma co dumać, widać, jak się wszystko szybko rozwija, trzeba być na czasie. Te wszystkie szeptane informacje o. W latach pięćdziesiątych, na początku, może. Teraz mamy prawdziwy socjalizm. Co nie znaczy, że wszyscy ludzie odpowiednio do tego postępują. Wie to z zakładów. Kłamią. Lewe zwolnienia. Zaświadczenia do renty. Do większego mieszkania. Papiery z wojny, jasne, że lewe. Jakieś przydziały na większe mieszkania, a listy z Zachodu jeden z drugim dostaje, czy wiadomo co więcej? Bo to wiadomo? A do kościoła latają, niby są uświadomieni, niby. On sam, Janek, a i jego Marysia. Nikt im nie pomagał. Nikt, raczej jeszcze oni. Przynajmniej uczciwie. Są uczciwi. Własną pracą wszystko. Więc nie ma co się rozczulać, że może praca nie taka. A jaka? Niby że co? Że biją? Że przesłuchania? Kto to widział? Na przykład? Tych pytań, to jasne, Heńkowi nawet po litrze nie zada, ale sam w sobie taki dialog toczy. O Marysi trzeba pomyśleć, jej delikatnych dłoniach. Taka kobieta musi przestać się martwić o byt, o cokolwiek. Pomogła mu ze szkołą. Szła pierwsza, była przed nim. Teraz musi dać jej on coś z siebie, więcej, niż przypada na prostego chłopaka. Ba, nie jest już prostym chłopakiem, został panem Janem. Janem, tu, w tym porządnym gmachu, dla tego faceta. Tak, zajmują się, owszem, nawet wsadzają. Tych, którym się należy.

Szkodliwym dla innych. Takim, którzy odstają. Mają braki w byciu porządnym obywatelem państwa, które karmi lepiej niż matka, bo matki potrafią nie karmić wcale.

Heniek, przed chwilą pan, skądinąd nie jest żadnym diabłem, nie kusi, nie uwodzi. Stawia sprawy jasno. Mężczyzna przed mężczyzną. Takiej roboty nie ma nigdzie dla nas, chłopaków ze wsi. Nawet dla tych z miasteczek. Mamy maturę, zdamy maturę, kto wie – może i politechnika? Widywał studentów często, w barze, czy byli jakoś inni, lepsi? Może otworem stoi cały świat, urządzone całkiem od nowa. Ale tu, w Szczecinie, warto zachować ostrożność. Paskudne miejsce, między nami mówiąc. Nasze-nie-nasze. Nie inwestują, bo nie wiedzą, czy nie przyjdzie oddać. Tak się mówi. Zasieki trzeba utrzymywać nie tylko na granicy. W ludziach, zasieki trzeba umocnić w ludziach. I słuchać, czy jakichś przekrętów nie szykują. Czy specjalnie nie podburzają, nie sabotują, przygotowując w fabrykach grunt do przejścia przez imperialistów. Nadal obowiązuje taka nomenklatura. Zniknęła z plakatów propagandowych, nie z tego gmachu. Tu mówi się wprost. Najgorszy element obcy, ze względu na bliskość granicy. W Szczecinie udaje się trzymać wszystko w ryzach, jeszcze, aż po '70. Mniej zamieszek, zamieszaniek. Bo większa czujność, jest więcej powodów, żeby na ludzi uważać. Bo ludzie posegregowani starannie, wystraszeni, dowiezieni w warunkach, jakich nie zapomną. Podatni na pozytywną propagandę.

– Ja ci daję czas, ale sam wiesz. Dużo chętnych. – Heniek wie, co mówi. Sam podjął kiedyś taką decyzję. Trudniejszą, jasne. Trudniejsze zadania. Krew w tym była. Nie to, co teraz, naprawdę. Komfort, wygoda, kantyna. Wyjazdy na wczasy, jak trzeba, nawet paszport dla najbliższych, żeby sobie odpoczęli za granicą. Wszystko można mieć. Marysia by... Mogłaby pojechać. Dotąd nie myślała o takich odwiedzinach. A można się ubiegać. Heniek awansował też dopiero na fali reorganizacji. Przedtem, przedtem walka była bezpośrednia. Kombatanka karta, której nie zamierza taić.

Cholera, dobrze, że zdążył, że jeszcze może dołączyć. W takiej chwili, kiedy najgorsze pozamiatane. To nie są tamte, ubeckie czasy. Przyszło nowe i ludzi trzeba nowych. Naprawdę, niespodziewany awans. Szkoda, że nie będzie można opowiedzieć wszystkim, gdzie teraz pracuje. Bo lepiej nie mówić. Lepiej pozostać przy wersji urzędu wojewódzkiego, sąsiednie budynki. Początkowo przykre wrażenie, że nie wszystko powinien mówić, szybko mija. Wcale się tym nie przejmuje. Przeciwnie. Czuje w tym swoją wyjątkowość i siłę.

NIEDZIELE, 1962

Anna nie ma szlafroka. Nie wiedziałyby, kiedy go nosić. Mamusia miała, owszem. Nawet dwa. Więc nie idzie o wszczepione głęboko przeświadczenie, że szlafrok to coś tam i coś tam. Skojarzenie z rozwiązłością, peniuarem, rozlazłością. Żadnych skojarzeń. Minęło już lat... kilkanaście. Samo z siebie, nie wiadomo kiedy. Na dobijaniu się swego. W '47 nie zabrała niczego, co nie było niezbędne. Mała walizka. Potem przeprowadzki. Jedna za drugą. Szpital, sanatorium. Tak, wówczas tak. Barchanowy szlafrok z pieczętką państwowej placówki. Nikt jej i tak nie odwiedzał. Leżała, potem siedziała, całymi dniami kontemlowała krajobraz. Szpital gruźliczy wychodził, jak wszystkie w mieście, na park. Zakopane. Pojechała do Zakopanego. Dzięki wstawiennictwu mamusi męża. Aptekarza. Odwiedzili ją tam raz albo dwa. Mamusia była chora, niebawem zmarła. Stamtąd na pogrzeb miała bliżej. Ale już na zawsze mamusia najbliższa, odkąd miała do niej dalej. Okno sanatorium, przeszklona weranda wokół drugiego piętra także, wychodziło na Kasprowy. To miejsce, gdzie najbardziej lubiła leżakować. Trochę czytała. Nie za wiele. Książki uważała za niezbędne do szkoły.

Potem nie lubiła negliżu, takiego szpitalno-chorego. Niechętnie pokazywała się lekarzom, ludziom, bez ubrania. W pracy zmieniała sukienkę szybko, stając tyłem do innych kobiet. W czasach „Bambino” pracowała w sukience. Kierownik nie robił ceregieli. Miała tylko sporadyczny kontakt z żywnością, lubił ładnie ubraną kobietę za kasą. Nie te bezkształtne fartuchy. W fartuchu dobrze wyglądała tylko Ula. Nic nie potrafiło jej pozbawić tego czegoś. Tak się mówiło. „Coś”. Ma „coś”. Mając na myśli ciąg dalszy, którego w pracy można się tylko domyślać. Elegancki eufemizm. Ruchy, linia tydek. Zaproszenie do tańca, jeśli wiemy, co mamy na myśli. Pozostały, zmieniający się personel bywał widoczny fragmentami. Ręka podająca przez otwór talerz. Obgryzione, opiłowane, polakierowane na różowo paznokcie. Ręka odmoczonej w zmywaku. Kształtne palce Uli, nawet zastępującej pomywaczkę.

Nie lubiła negliżu. Miało to coś wspólnego z obecnością mamusi. W jej głowie. Z czasem coraz częściej myślała o mamusi. Wspominała. Ula znała już każdą minutę wojny spędzoną przez przyjaciółkę z jej mamusią w kuchni, przy stole. Co sobie opowiadały i jak im było ciężko.

– Tak, tak. Wszystkim było ciężko. Ale może powinnaś przestać roztrząsać? Jesteś dorosłą kobietą – zaczęła jej mówić już w okolicach '55.

– Weź się w garść, jeszcze raz wracaj na studia – po '55, przed '56. Należało brać się w garść. Dać mamusi spocząć w grobie wykupionym przez aptekarza. Wróciła. W porę, by przeżyć zbiorowy lament po śmierci Stalina. W barze nie mieli z tego powodu niczego specjalnego. Kiedy kierownik im podgłosił radio, powstały ze spuszczonej głowami na stanowiskach pracy. To nie była tak bardzo ich sprawa. Kierownik, owszem, poszedł na jakiś wiec czy zebranie.

Kupowała rzeczy rozsądnie, co trzeba, naprawiała. Umiała ładnie cerować, sztukować. Nic nie było dość złachane, złachane – mówiła – żeby zaraz wyrzucać. Nie będzie wyrzucać zaraz. Więc i nie będzie kupować. W żadnym z podnajmowanych mieszkań nie czuła się dobrze, wreszcie kierownik załatwił jej przydział na pokój z kuchnią przy Obrońców Stalingradu. Blisko. Ładna ulica. Nowoczesne budownictwo obok, bo jej kamienica z tych nielicznych ocalałych w samym centrum. W nowym byłoby nawet lepiej, niedostępne bez większych znajomości. Cóż, należy się cieszyć, nawet lepiej. Metraże większe. Nazwa dostojna. Mamusia by... Przeniosła się tam z Mariana Buczka, też ładnie miała. Tyle że wilgoć, okna od zachodu, wilgoć. Ze względu na płuca nie powinna w takich warunkach. No i to na Obrońców było wreszcie własne, komunalne, ale z przydziału. Miała na nie papier.

Żadnego kątem u kogoś. Osobne wejście, przerobione całe piętro. Tylko główne mieszkanie, z oknami od frontu, wspólne, trzy rodziny. Pozostałe wydzielone z większego, z osobnymi wejściami. Szykowane najwidoczniej dla kogoś specjalnego. Bo i mała kuchenka z oknem, dawna służbówka, jeszcze wisiała w niej kontrolka z oznaczeniami pokoi. Łazienka ze szafką oddzieloną od głównego mieszkania nową ścianką działową. Akustyczna, ale własna. Z małym okienkiem wysoko, prawie pod sufitem. Jak to on, ten kierownik, załatwił?

W tym mieszkanku, prawdziwym mieszkaniu, mogłaby chodzić w szlafroku. Z drugiej strony nie ma takiej potrzeby, nikt jej nie ogląda. Może narzucić na czarną halkę, lubi czarną bieliznę, cokolwiek. Stara suknia, perkal w kwiatki, już się na lato nie nada. Może być po domu. Warto jeszcze ponosić, wykorzystać do końca. Potem jeszcze komuś dobroczyinnie oddać.

– Podomka by ci się teraz przydała. Nie rozumiem, czemu nie chcesz podomki. Ja uwielbiam nosić w domu domowe ubranie. Przychodzę, przebieram się, jestem panią u siebie. A nie wyglądam, jak popatrzę w lustro, byle jak. Dla samej siebie trzeba wyglądać, moja kochana – potakuje, nie warto się spierać. Tak, ona nawet u siebie ciągle widuje ludzi. Przychodzą do niej na lekcje. Sąsiadki. No i mężczyźni. Anna potrzebuje raczej książek. Fachowych, byle czego nie czyta. Może czasem, kto ma czas? Ogrzewanie jest świetne, kaloryfery przedwojenne, kotłownia w podwórzu. Zanim zaczną palić, można okryć ramiona chustką. Ma taką. Huculski wzór, po mamusi. Przywiozła ją po pogrzebie. Nikt jej nie przekona. Gdyby miała powód. Po co kupować coś zbędnego? Lepiej odkładać. Nosi pieniądze do banku. Ma książeczkę.

– Wiesz, co się może zdarzyć z pieniędzmi? Wymiana, zawsze znów może być wymiana. I dostaniesz figę.

– Nie trzeba tak mówić – szepce – mówisz takie rzeczy, jeszcze kto usłyszy...

– I co? – pyta. – Kogo interesuje, co mówi kocmołuch z baru „Bambino” – tak mówi, chociaż to nie jest cała prawda. Ale czuje, że to, co mówi, jest bezpieczniejsze od tego, co pomija, wymija. Więc dalej namawia Annę do skromnych zakupów. Traktuje ją jak młodszą siostrę, popycha do różnych małych decyzji.

Wreszcie jej taki szlafrok przynosi na imieniny. Prawie ją zmusza do ubrania. Szarpie na niej bluzkę, szybciej, szybciej.

– Przymierz już wreszcie. To była okazja. Żaden wydatek, dołożyły się dziewczyny z baru, jutro wszystkim postawisz ciacha. – Ciacha? Nowe słowo w jej repertuarze. Przynosi im wciąż nowe słowa. – Koniecznie wino. Po pracy biba. A ten szlafrok to naprawdę była okazja. Od pani Róży, paczkę dostała tym razem obfitszą niż zwykle. I spuściła mi z ceny, też zadowolona. Nie musi latać po handlarzach, po komisach. Sama u siebie woli sprzedać, ale wiesz... Jakaś plotka jest. Miała wizytę dzielnicowego. Na posadzie jest, a w domu, podobno, nielegalnie handluje. Nigdy nie wiadomo, komu to przeszkadza.

Szlafrok z grubej satyny, Anna rozpoznaje. Luksusowy materiał, wbrew temu, co mówi Ula. Że to taki modny teraz. Jak to się nazywa? Nic podobnego, takich materiałów tu nie ma. Duże kwiaty, granatowo-różowa tonacja. Zapinany na małe guziki. Jak sukienka. Na pewno nie z rodzimych fabryk tekstylnych.

Teraz po powrocie do domu go zakłada. Przyzwyczajają się powoli. Boi się zagiąć, pognieść, poplamieć. Ale w końcu traktuje szlafrok jak drugą skórę. Pierze się dobrze. Wystarczy strzepnąć, bez, no, prawie bez prasowania. Nie nosi go na górę, na strych, gdzie wiesz bieliznę. Dwie pościelowe zmiany, prane co cztery – pięć tygodni. Bo ma zapasy. Zmienia od jakiegoś czasu także na komplet z posagu, z posagu odłożonego na najwyższą półkę w trzydrzwiowej szafie. Chce luksusu. Chce spać w ładnej pościeli. To chyba wolno? Pyta w nocy, przed snem, mamusię. Bo Boga przestała pytać. Zapisała się do PZPR-u. Musi myśleć o przyszłości. O dobrej pracy. Lepiej Boga nie pytać już o nic. Mamusia zrozumie,

rozumie. Nie była bardzo religijna. Pochowana bez aktu zgonu, bo ślubu kościelnego nie była pewna. Czy powinna, nie była pewna. I nie podpowie, co teraz. A Ula nie zrozumie. Nie wiadomo, jakiego jest wyznania.

– Ja chyba jestem innego wyznania – mówi, kiedy przechodzą obok kościoła. Nie nawiązując do niczego, może do tych starszych kobiet, które zawsze w pobliżu się kręcą. Religia jest sprawą starych kobiet, jasne.

Na strychu zawsze coś wisi, jest grafik, ale kobiety piorą i poza kolejnością. Sznury między belkami, pajęczyna. Wielkie sztuki pościelowe, ręczniki, kalesony, halki, gatki. Jej szlafrok miały tu dobrze, byłyby jak motyl. Woli nie ryzykować. Za piękna rzecz, kradzieże się zdarzają. Ale wywiesza pozostałe rzeczy. Ze strychu można przejść na dach. W słoneczne dni przysiada tam czasem. Sama albo z Ulą, która każe nosić na dach kawę, stołki, koce. Wystawia do słońca twarz, zdejmuje bluzkę.

– Nikt nas tu nie widzi. Zresztą, niech mają, czarny biustonosz wygląda jak opalacz.

Nowe słowo i przedmiot: opalacz. Siedzą tam w wolne dni, Anna czyta podręczniki. Ula, oczywiście, romanse. Klasykę. Klasykę romansu.

– Co tam?

– Znów jadą dylizanssem, moja droga. A u ciebie?

– Nic, wydobyć węgla.

– Aha, dobrze. Ale węgiel w gastronomii się nam nie przyda.

To tylko latem, masło kakaowe z paczek. Żeby opalenizna była bardziej brązowa. Podobno niektórzy opalają się na ropę, na naftę. Kto wie na co. Opalenizna w modzie, zdrowo. Inne pory roku to mały pokój. Własny, nie szkodzi, że mały. Urządzony teraz. Własne rzeczy. Nowoczesne, niewielkie fotele. Abażur z żyłki. Siedzą pod nim i znów piją kawę. Piją herbatę. Jedzą ciastka. Rurki z kremem. Mówi raczej Ula. Anna chętnie słucha. Potem, kiedy zostaje sama (czasem przyjaciółkę odprowadza, drzew jest w tej części miasta tak dużo, wciąż się przechodzi obok ruin i jakby po parku), dość szybko gasi światło. Kiedy już nie musi wkuwać. Marzy. Wie, że trzeba się postarać. Założyć rodzinę. O tym marzy. O dziecku, mężu, rodzinie. Jedno dziecko, dwoje najwyżej. Parka. Ula by tego nie zrozumiała. Nie, dziecko to za duże zobowiązanie. Mąż? Po co ci jeden, jak możesz mieć tylu? Nie wie po co. Prawdę mówiąc, nie ma żadnego. Nie chce się umawiać. Nie chodzi na tańce. Nie chce ryzykować. Czeka.

Ula u siebie prawie nigdy nie jest w dzień sama.

– Uciekam do ciebie. Inaczej, sama wiesz. Sąsiadki, plotki. A co tam która ma z mężem. Ja się akurat znam na mężach! – mówi, ale jest zadowolona.

– Przecież ty te pogaduchy lubisz.

Tak, lubi, ale czasem chciałaby mieć wolne popołudnie. Farbuje włosy sąsiadkom, znajomym z gastronomii. Wciąż poznaje jakieś nowe kobiety, którym robi u siebie hennę. Maluje paznokcie. Jakieś dzieci, wciąż nowe, do niej przychodzą. Na herbatniki, wodę z sokiem i lekcje. Jacyś mężczyźni, tak, też. To wieczorem, dyskretnie, przedtem. Teraz ma tu miejsce dla Stefana. Miejsce, które na niego czeka.

I które musi opuszczać, choćby na parę godzin spędzanych tutaj, żeby nie stało się jasne, że podziela poglądy, brak poglądów innych kobiet. Przede wszystkim czeka.

– On często wyjeżdża, dużo pracuje. Jak ty, ma te swoje zebrania. – Tak, odkąd u niej mieszka, sąsiadki jeszcze bardziej napierają. Zawsze wiedzą, kiedy jest sama. Więc sama nigdy nie bywa. Nie ma już sublokatorki. Kiedy mieszkała z Marysią, była nawet bardziej sama. Zabezpieczona. Sąsiadki się krępowwały, a ona otwierała pokój. – Nie mam tajemnic.

– Pani wie, to taka delikatna sprawa.

– Dobrze. Marysiu? Jesteś? Przynieś nam herbaty, dziecko. – Jeśli akurat nie miała ochoty na rozmowy o intymnych bólach. Co rzadko się zdarzało, ale dobrze było mieć granicę. Własną, przebiegającą przez środek mieszkania.

Lubi chodzić do tych, z drugiego i trzeciego, które mają balkony od kuchni. Cudowne balkony. Stare skrzynki na kwiaty. Też by chciała. Najbliższa w kamienicy, Róża, takiego nie ma. Więc ulega czasem namowom i idzie do tych, żona rzeźnika i żona urzędnika, z drugiego i trzeciego. Na trzecim atmosfera napięta. Panie z zamieszkujących je dwóch rodzin bardzo się nie lubią. Więc przychodzą, żeby o tym pogadać, do Uli. Jedna przez drugą.

Po Marysi i Janku (jeszcze jakiś czas zostają u niej razem) nie bierze sublokatora. Nie dokładają jej nikogo, dalej to trwa cudem. Dwa pokoje, jeden uznany za pomieszczenie gospodarcze w pierwszym spisie po wojnie. To mogłoby nic nie znaczyć, nie takie klity są zasiedlane. Najpierw pomogła jej ta znajoma sprzed wojny, ta, która podpaliła z zazdrości stół kuchenny. Potem pomagała sobie sama. Umiała przekonać urzędników. Że to nie jest pokój nadający się do zamieszkania. Komórka, właściwie komórka. Zmieniający się lokatorzy pozostałej części tego lokalu nie dotyczą sprawy. Trafiają się dobrzy ludzie. I zaraz gdzieś się wynoszą. Dobrze byłoby kiedyś mieć całość, myśli Ula. Tymczasem myśl nierealna.

Chciałaby więc pobyc przy zamkniętych drzwiach, z zasłoniętymi oknami, sama. Chciałaby i nie chciała. Bo przecież sama kolekcjonuje tych wszystkich ludzi, te kobiety, tych mężczyzn, te dzieci.

– Jesteś jak wielki przytułek – mówi do niej Stefan w momentach czułości. – Jak siostra miłosierdzia, klub rolnika i kółko zainteresowań. Jesteś najlepszą osobą, jaką znam – mówi, gdy przestają.

Gładzi jego pomarszczoną twarz. Koszule miewa teraz mniej wymięte, buty nowe. Dbą o to. Wszystkim sąsiadkom powtarza:

– Niech go pani tak już nie obsługuje. Są nowe czasy. Równouprawnienie. Słyszała pani? Równouprawnienie. Niech sobie sam raz jeść weźmie.

Stefanowi pierze, prasuje, gotuje. Lubi patrzeć na idącego ulicą w kierunku szkoły. Profesor. Zadbany, wymuskany. Wypieszczony jej ręką. On jej mówi:

– Jesteś najlepszą kobietą świata. Gubię się w rachunku twojej wyjątkowości.

Na takie coś Ula się głośno śmieje. Na taką poezję. Na taki kicz, na takie puste gadanie.

Jednak mają umowę. Nie zawłaszczają nawzajem terytoriów, ciał, czasu. Ona mu to proponuje. Na początku, szybko, kiedy pozwala przynieść więcej rzeczy, a potem decydują odnajdając jego mieszkanie. Mówi mu to, żeby mieć miejsce na wizyty sąsiadek, Anny.

– Nie może ci to przeszkadzać, dobrze?

I nie zabierać jej tych godzin, kiedy chce być sama. Zamykać, szczelnie zamykać pokój. Ten jeden pokój, w którym, być może, coś jest, coś słyszy.

– W tym pokoju sypiali rodzice – mówi po prostu Annie. I jemu też, po pewnym czasie, po miesiącach, kiedy jest pewna, że może mu wyznać. Że tu mieszkali przed wojną. Że jest stąd. Okropne słowo: autochtonka. Już jest pewna (ale jeszcze i tak się boi), że dla niego to nie będzie tak znów dużo znaczyć. Że może nie będzie tym słowem o niej myślał. Pomyśli o niej „Ula, moja Urszula”. Tak do niej mówi. Nie rewanżuje się historią swojego pochodzenia. Trudno orzec dlaczego. Jakby był bardziej zasznurowany. Bada blizny na jego plecach. Nie pyta. Gładka skóra pocięta bliznami wydaje się delikatniejsza. Także ta wokół numeru na przedramieniu. Jeszcze bardziej go kocha. Może milczy, bo jest profesorem? Uważa, że mówienie to rzecz babska. Ona go nie zapyta. Wie, gdzie postawić granicę. Wie, że tak jest bezpieczna. Bez jego historii jest bardziej bezpieczna. Dwie historie na osobę – mogłyby się wymknąć nawet z tak dobrze zabezpieczonego pokoju.

W wolne dni pali więcej papierosów. W wolne dni, w niedziele, zaczyna na niego czekać. Więc na wszelki wypadek woła Różę. Postawi jej pasjansa. Żeby nie zacząć, jak głupia, wypełniać nim każdej dziury.

ODWIEDZINY, na krótko

Dwa razy w roku, chyba że coś się stanie. Marysi puszczają nici. Szarpnięte mocniej z tamtej strony, przez nich. W budynku szkoły w Czerwieńsku, kiedy podjęli za nią decyzję. Jeszcze się to zapętle, wzmacnia, kiedy tam jeździ ze szkoły. Ich opór, chęć przytrzymania. Bieda. Nowe dziecko. Matka z twarzą staruszki. Ukraińskie przekleństwa ojca. Robienie słowami z niej obcej. Co się wzmocni potem. Będą mówić: miastowa. Będą, sami schłopiali ostatecznie, mówić „pani z miasta”. „Wy tam w mieście”. Sugerując, że jakoś jest, dając im pieniądze, gorsza. Sami ją do tego miasta, raz za razem, wysyłając. Do tego miasta, bo w ogóle sami też są z miasta. Powiedzmy. Tak uważają. Ale przyciąga ją też, przeciąga na swoją stronę miasto. Samo miasto. Inne niż te, które zna. Niż Sambor, Drohobycz, Lwów. Nic, jasne, nie może się równać z Moskwą. Ale tę ma tylko w migawkach. Szczecin duży, lecz nie za duży. Wysokie domy, ale dużo skwerków, parków. Lubi to, lubi. Drobne zakupy. Nie wszystko z zapasów, z ogródka, spiżarni, szafy. Inny sposób zaspokajania głodu, ciekawości, ambicji. Trasy codziennych spacerów. Nie zaprzyjaźnia się z ludźmi zbyt szybko, całymi dniami czyta, chce się uczyć. Staje pod budynkiem Akademii Medycznej, patrzy na szarawy mur. Nie wchodzi. Wychodzący stamtąd studenci są jak ona. Nie różniłaby się bardzo. Kiedyś spotyka chłopaka od nich, z Sambora. Syna biednych sąsiadów mieszkających po drugiej stronie. Nie nabrał ciała ani sznytu. Wygląda, jak wyglądał. Jednak niesie pod pachą książki. Można. Można by było. Rozmawiają przez chwilę. On o nauce i książkach. Ona chce wysondować, czy tęskni. Ona tęskni. Nie ma tu przyjaciółek. Nie ma prób chóru. Nie ma. Nie ma innych rzeczy, których nie nazywa, choć je odczuwa. Zapachów (więc nie odczuwa), obowiązków (są inne), strachu (wypartego przez nowy). Co najważniejsze, nie ma rodziny, która mogłaby ją porzucić. Bardzo łatwo.

Marysia zatrzymuje się, coś ją powstrzymuje. Równoległe do chęci nauki rozwija się w niej chęć zapomnienia. Mogłyby to być niezależne procesy. Zapominanie przeszłości przez zdobywanie wiedzy. Uzupełnianie opróżnianych kratek przez nowe treści. To trudne. Każde zadanie, każda klasówka jest siostrą bliźniaczką czegoś tam, pozostawionego. Każdy dostateczny patrzy na każdą dawną piątkę. Każdy samotny wieczór przypomina drogę towarowym wagonem. Każdy mężczyzna otwiera sobie do niej drogę jak żołnierze ciężkie drzwi wagonu. Każdy, który się obejrzy, zapyta o drogę. Już mogłaby wskazać szlak, zna nazwy ulic. Uczy się czytania tabliczek. Każda chwila samotności łączy się z tą pod lasem, kiedy włókła braciszka.

Targa go, przewracając na bok pacjenta z odleżynami. Woli oddział dziecięcy. W ogóle nie szpital. Aż dojrzeje do tego, żeby się nie bać. Dorosłe kobiety tym bardziej nie czują, tak na zewnątrz, strachu przed przeznaczeniem. Skoro już małe dziewczynki są ponad takimi sprawami. Problem w tym, że jej historia (banalna, trzeba przyznać, jak na ten czas i miejsce) zasada się na pozornym zerwaniu, mającym w sobie załączki kontynuacji. Dziewczynka-dzielna dziewczynka-kobieta-dzielna była dziewczynka. Nawet, gdy nikt tego nie pilnuje, nie stoi obok.

Nie jest z tym, w tym symultanicznym byciu pomiędzy obrazami, jakoś wyjątkowa. Tylko że nikt o tym z nikim tu nie rozmawia. Matka powtarza: – Ciężko, ciężko. – Ojciec roztacza wizje. I każe jej pić z dużego kieliszka. Skoro chłopcy mali, niech ma coś z córki. Wódka, samogonka, nie smakuje. Marysia pije, nie może odmawiać. Nie mówią nic też ci nowi tu spotkani, w mieście, ludzie. Każdy chodzi sam ze swoim obrazem w głowie. Lepiej ich nie pokazywać. Każdy ma własne, nie wiadomo, jaki byłby rezultat tych projekcji. Gdyby wyobrazić sobie wielki ekran, podobny do kina na wolnym powietrzu, kilka takich ekranów z wyświetlanymi symultanicznie filmami, z ich *east-european dreams*, między bombami a

pracą w fabryce, urozmaiconymi dodatkami z dopiskiem *special*, doszlibyśmy prosto do piekieł. I nie jest pewne, czyje piekło lepsze. Kto by w tych zawodach wygrał. Więc każdy chodzi wolno z tymi obrazami w głowie, nie wiedząc, jakie to niemożliwie fotogeniczne skarby.

Być może, myśli Marysia, moje wspomnienia wypadłyby blado. W końcu nic takiego, nic innego mnie nie spotkało. Każdy tak myśli. I jak ojciec tam na wsi, ci tutaj chwałą jabłoni pod zostawionym domem i tę, z której zamierzają zebrać. Mówią wszyscy to samo, zapijając wódką.

Kobiety, stając przy płotach, czasem... Przywieziony zwyczaj. Ale podwórka większe, nie chce się do tego płotu chodzić. Robota czeka. A w mieście nikt nie szuka płotu.

Marysia zaczyna mieć dosyć nowych wyzwania. Chyba źle wybrała zawód. Obrazy martwych ciał, ran. Dla kobiety te sprawy powszednie, jak: krew, obrządek przy zmarłych, odchody, pocieszenie bliskich, kalekie ciała, wyziewy, wydzieliny – są normalne. Czasem nawet dla kobiety, z natury rzeczy pielęgniarki, nabierają bolesnego mięsa, lepiej byłoby je amputować. Znowu ingerujące w teraźniejszość obrazy długiej drogi. Skąd tyle tych obrazów? Jak być siostrą, jak lekarzem, jeśli się nie chce dotykać? Lekarz, lekarka są zwolnieni z niektórych rodzajów dotyków, zwłaszcza jeśli nie wybierają chirurgii. Zlecają dotykanie siostrom. Lekarka, zlecająca, oddala się w pewnym sensie od swojego losu, awansuje ponad naturę kobiecą. Marysia nie potrafi odbić się od siebie i dzięki samej sobie, zawdzięczając sobie wszystko, awansować. Rodzice nie dają wsparcia. Finansowego, chodzi też o pieniądze.

Łatwiej byłoby uczyć się na pamięć anatomii człowieka z takim wsparciem. Nawet socjalistyczna ojczyzna kosztuje. Racje żywieniowe dla studenta bez wsparcia mogą zaburzać pracę mózgu.

W tym czasie Marysia oddala się od rodziny, ale zarazem zbliża do założenia własnej. Jedzie na ferie na wieś. A następnym razem po to, żeby powiedzieć rodzicom o ślubie. Tak, chce już teraz wyjść za mąż. O studiach wcale nie... Nie, nie da rady na studia. Jak na to, co musiała zrobić, osiągnęła i tak wiele. Mówi im, a najchętniej sobie. Potem, z mężem, już zupełnie inaczej, inna ona. Zajmuje tapczan w pokoju z lustrem, ma do tego prawo. Mąż-lustro, atrybuty dorosłości i powagi. Najlepsze miejsce, meble kupione po udanych żniwach, na talon. Rano ojciec do nich zagląda, a ona nie musi nawet chować pod kołdrę nagich ramion. Mąż się uczy, tak, uczy się. Ona go wspiera. Tata wie? Tak, tata takie coś popiera. Chłop powinien być wykształcony przynajmniej jak baba.

W ich stronach często tak było. Chłopskie, urzędnicze, sklepikarskie córki próbowały zdać przynajmniej maturę. Wychodziły za mąż za chłopskich, urzędniczych, sklepikarskich synów, najczęściej za chłopskich, którzy do nauki nie mieli głowy. W nowych czasach wszystko ulega przemianom, pozostaje dziewczynom akuratność w zeszytach. Marysia jest gotowa pomóc Jankowi wyrównać braki, żeby w ten sposób mu dorównać. W sile uczuć, szlachetności, poświęceniu, jakie w nim widzi od pierwszej chwili.

Janek już by ich nie odwiedzał. Już nie jedzie na święta. Czasem pomaga przy żniwach. Wakacje. Urlop przy żniwach. Tego też za bardzo mu się nie chce. Po śmierci dziadka nie wiadomo komu pomaga. Bo zawsze któryś z wujków, z mężów ciotek pyta: – Aby nie myślisz o podziale? Sam widzisz, tu nic ni ma. – Widzi. Podzielili między siebie ziemię, stawiają drugi dom od sadu. Rozbudowali oborę. Każdy na swoim. Polityka kolektywizacji się ich słabo ima. Nigdy nie mieli morgów dużo, prawie każdy ma jakąś inną, państwową pracę, a potrafią wycisnąć z ziemi dużo więcej niż to, na co ziemia wygląda.

– Testament? Ja se dupę testamentem mogę podetrzeć – krzyczy po Wigilii średni z braci, Antek. – Ty mi nie pierdol! Każdy sąd przyzna, kto tu robi, kto przy ojcu robił do końca, tego gospodarka.

Janek nie próbował nawet sądu, bez sądu. Niczego. Nie miał zamiaru wracać. Miałby zabrać z sobą, do miasta, ziemię? Poprawia krawat. Myśli raczej o awansie, o możliwych

awansach. W dupę z tą ich ziemią. Z tymi trzema hektarami na pięciu. Z tym sadem. Z tym ogródkiem.

Z tą stodołą. W dupę ich mać. Niczego od nich nie potrzebuje.

– My ci zawsze będziemy pomagać – mówi najmłodsza siostra mamy, Jadzia. Że niby to jego nieawanturowanie się, zapomnienie o zapisie, ma być gwarancją. Zawsze mu pomogą. Jajka, kielbasa, kaczki. Słoiki z własnych owoców i z pobliskiego Kotlina. Zawsze może dostać paczkę.

– Nic mi nie trzeba – mówi. Chociaż matka. Matka po pogrzebie krzyczała jak oni. Że sama się zrzeka na rzecz syna. Dla dziadków Janek był jak dziecko, jeszcze jedno ich własne. Trzeba przyznać, umieli schować katolicki wstyd do kieszeni, patrzeć w oczy sąsiadom. Byli na swoim, bronili swego. Nie przypadkiem i nie odruchowo dziadek mówił mu „synek”.

– Ojciec chcieli mu też coś dać – krzyczy, zaciągając ni z tego, ni z owego gwarowo, nagle po jego stronie stojąca murem matka.

– Trzeba było chłopaka pilnować, my wszyscy go chowali – odkrzykuje Antek. – Ty sobie poszłaś, do miasta, masz nowego chłopca. My tu orali, siali, z twoim bękartem się dzielili. Tobie ojciec nie zapisali niczego! Ty tu nie masz czego szukać! Ty wracaj na swoje! My go nie skrzywdzimy! On nasz! Nasz je Janek!

Janek nie broni matki. W tym boju o jego. O dział dla niego. Matka jest obca, ma na sobie szary kostium, buty na koturnach. Matka ma przefarbowane na blond włosy. Matka ma córkę, własną kopię. Janek nie jest do nich ani trochę podobny. W tym tylko, że ma też garnitur i krawat. Miejskie, jak jej, ubranie. Inne niż ich, tu, staranne, ciężkawe. Wyjmowane z szafy z okazji. Przyjechał na pogrzeb elegancko ubrany. Nie zamierza. Domagać się. Niczego. Wreszcie sam to mówi. Cedzi, dokładnie wymawia słowa.

– Słyszycie, jak on gada? Jak urzędnik! – triumfalnie, ironicznie, zapraszając do zabawy. Jak dawniej, kiedy jakiś jego gest, przestrich, mina mogły dostarczyć im trochę rozrywki po ciężkiej pracy. Babcia by im nie dała. Myśli ich językiem. Potem wychodzi. Idzie, do kolei daleko, ale idzie. Woli zostawić ich rodzinną sprzeczkę za sobą. Po wszystkim, jest po wszystkim, znów wyjeżdża do lepszego, bo własnego, życia.

I coraz rzadziej. Raz – dwa w roku. Raz w roku. Pokazać im młodą żonę. Pochwalić się. Jaką ma ładną kobitę.

Kiedy jadą do jej rodziców, do niej, są tam zawsze państwem z miasta. Najlepsze postanie. Nie, niech śpią w stodole, ty im nie zabraniaj.

– Rano matka da wam mleka. Wy już nie pamiętacie, nie znacie tego. Mleko od krowy. Ja was obudzę. Potem pojedziemy w pole. Popracujecie. Pokażecie, jak tam u was z siłą. Ja sobie myślę, że macie dość siły. Zapomniało się trochę w mieście, ale ja wam tu przypomnę. Wczasy pierwszego sortu, mleko, chleb, cebulę rwijcie z ogrodu, bo jeść dostaniecie wieczorem, jak zapracujecie.

– Ty starego nie słuchaj, Janku – mama uśmiecha się znad garnka – nigdzie nie musicie chodzić. Ty, Janku, wypoczywaj – ale jadą w pole z ojcem, jasne, że jadą. Śmieją się, ojciec to lubi. Ho, ho. Miłość. To rozumie.

– Kiedy będę miał wnuka? – dla takich miłosnych chwil jest harmonia, choćby harmonijka ustna, gdyby się chciało. W sytuacji, gdy nic się nie chce, warto przynajmniej pogadać.

Wieczorami, albo w liście, gorzej. Znów czegoś trzeba. U was dobrze, powodzi się. Zawsze w mieście, dwie pensje, widać. Janek mężczyzna z zawodem, pnie się. Ona też. Wyksztalčili (i nie ma w niczyjej głowie znaku zapytania). Niech pożyczą. Tylko, ostatni raz, oddadzą po zniwach. Więc już mniej chętnie, bo okazuje się, że teść prosił Janka o pieniądze także na boku. Kiedy go zabrał do gospody w drugiej wsi. Stawiał, owszem, a potem powiedział, że potrzebuje bardzo pilnie. Na odnowienie dachu. Więc się już tam jeździć boją. W liście łatwiej napisać, że sami potrzebują, nie mogą teraz. Niech mama wyśle do nas siostrę, pisze Marysia. Ryś spodziewa się dziecka, mamó, nie mogę wysłać tak wysokiej

kwoty, pisze do teściowej Janek. Ryś, czuła forma imienia, z której tam na wsi się śmieją. Używają zdrobnień, owszem, odmieniają też imiona. Ryś to dziwne, miastowe. Wcielenie Marysi, na krótko, dla niego, dla nich, na teraz.

U niego, u wujów, nikt nie domaga się pomocy. Siadają do stołu. Wyłuszcza sprawę plonów. Na wszelki wypadek, żeby nie myślał, że mają Bóg wie ile z tego. Zawsze może tu przyjechać. Dadzą pokój, cały pokój, micha się znajdzie. W niedzielę tu się chodzi do kościoła. Nie muszą pomagać w polu. I tak nie umieją. Gdzie by tam Maryśka w pole? Śmieją się z tego głośno. Są w tym zgodni. Kupa śmiechu. W polu trzeba robić umieć. Już Janek ręce ma wydelikaczone i niech lepiej nie kręci się między nogami. Jeszcze by mu jakieś działy przyszedły do głowy. Jeszcze palec albo co se utnie!

Kładą na grobach goździki kupione w mieście. Nawet nie bardzo chcą kolejnych krewnych tu odwiedzać. W miasteczku. Oglądać tych nowych domów. Nie ma już kogo. Tak, oczywiście. Niech przyjadą do nich, do Szczecina. Jest miejsce, znajdzie się. Wiedzą, że to będą krótkie wizyty. Trzeba do swego wracać. Rodzeństwo Marysi natomiast może zagnieździć się na dłużej. Nici rozluźnione, ale czasem wpijają się w ciało.

– Może siostra by się tam rozejrzała? Może też by mogła jak ty? Może byś jej coś załatwiła. – Marysia nie ma serca do tego i nie ma serca odmawiać. Nie ma też już sił tłumaczyć, że tu trzeba chcieć. Pracować. Że bez podstawówki nie przyjmują do szkół. Niech ona spróbuje skończyć ósmą klasę u nas, pisze do matki. Więc milczą, nie odpowiadają. Jakby zapomnieli życia w mieście. Całego poprzedniego życia. No bo ona nie rozumie, dziewczyna dobra, nauczycielka tu wredna, na ich dzieci się uwzięła.

– Nauczycielka z centrali, Marysiu, serce, rozumiesz? – znacząco mówi matka. – Dla niej my hołota zza Buga.

Pierwszy raz coś takiego. Dotąd starała się niczego takiego nie usłyszeć. Teraz myśli. O koleżankach z Warszawy. Tak, coś z tym jest. Jakiś szept w sypialni internatu. Któraś z sąsiadek. Jakies staranniejsze domykanie walizki, zanim poznały dokładniej jedna drugą.

– Mama, co ty mówisz. Dziewczyna musi nadrobić braki. Musi się uczyć. Nie biegać po wsi. Trzeba jej lepiej pilnować.

Lepiej nie jeździć. Nie tego roku. Nie z maleńkim dzieckiem.

Byłoby miło położyć dziecku kocyk w ogrodzie, pod jabłonią, posiedzieć obok. Poczytać. Patrzyć, jak się przeciąga, odgonić muchę. Asekurować pierwszy spacer wokół krzaka porzeczek. Bardzo miło. Każda wizyta kończy się rozmową w sprawie pożyczki, więc lepiej kłaść kocyk pod drzewem za Turzynem. Też można znaleźć tam porzeczek i jabłonie. Matkę, potrzebną w takim czasie, zastępują Marysi starsze koleżanki – Anna i Ula.

W Poznaniu Janek nie szuka ulicy Święty Marcin. Ta ulica jest oczywista, znajdzie każdego. On idzie załatwić sprawę w biurze, ale po drodze mija adres znany z odwrotu rzadkich listów. Załatwia sprawę osobiście, jedna z tych misji. Trzeba dobrze sprawdzić. Nie wierzyć notatkom, telefonom. Osobiście. Często go posyłają w takich wątpliwych i delikatnych sprawach. W zakładach dostaje z takich okazji delegację. Niby że. Zwalnia, waży ciężar własnego ciała starannie stawianą na chodniku stopą. Ma czas. Wejdzie. Matka częstuje go herbatą. Trzy pokoje z kuchnią. Herbata i drożdżowy placek. Kruszy ten placek palcami. Niewygodne krzesło. Wysokie, drewniane oparcie. Jego siostra, przyrodnia, uczęszcza do szkoły muzycznej. Bardzo zdolna. Jego ojczym, pierwszy mąż matki, awansował.

– Tak, Janku? Jak mówisz – on jej wpada w słowo. – Dostałeś awans? Nie pracujesz (robisz, ni robisz, powiedziała by w domu) na hali?

– Tak, mam, mówiłem, że chodzę do szkoły. Uzupełniam wykształcenie. Jest szansa na kierownicze stanowisko. Musi być matura.

– Bardzo się cieszę. Zobacz, jaka zdolna jest twoja siostra! Pójdzie na handel zagraniczny, a może na medycynę. Jeszcze nie jest pewna. Zdolności do wszystkiego.

Matka bywa dumna z dziecka. Matka Janka jest bardzo dumna. I z niego też, jego szkoła ją uspokaja. Wieczorem powie mężowi:

– Dobrze wychowałam dzieci – zapominając, pomijając to, że Janka nie wychowywała. Zawsze bardziej będzie pasował ten z maturą do niej teraz, mającej wykształconego męża i tak dobrze zapowiadającą się jego córkę. A gdyby wiedziała? Wówczas? Czy chciałaby z nim porozmawiać? Udzielić jakiejś rady? Pouczyć? Stać po jego stronie? Jakim językiem z nią rozmawiać? Opowiedzieć o tych już dwudziestu latach bez niej? O pracy, która pozwala nosić teczkę urzędnika i wydaje się wyróżnieniem, do którego trzeba dorastać.

Janek dopija herbatę, dokrusza ciasto. Wychodzi na ulicę. Blisko. Do biur i do stacji. Szybko załatwić sprawę, zabrać potwierdzenie z tutejszego biura. Tak, obywatel taki to a taki nieco zafałszował sobie biografię. Nie można mu ufać. Przełożeni się tym zajmą. Nie on. On tymczasem wozi dane, przenosi wiedzę z miejsca na miejsce. Jak komiwojażer cennych faktów, z których inni zrobią użytek. Nie analizuje jaki. Nie roztrząsa racji. Nie jego sprawa. Je golonkę w dworcowym bufecie. Pije piwo. Właściwie nie lubi jeździć. Donikąd.

NARODZINY, 1963

Urodzić dziecko. Trzeba urodzić dziecko. Teorię Marysia zna świetnie. Ze szkoły. Z praktyki także. Po ślubie idzie jednak do pracy w szpitalu. Na oddział noworodków. Blisko porodów. Przyjmuje dziecko, odbiera wózek ze świeżo narodzonymi od koleżanek z porodówki. Z oddziału zamkniętego. Golęcín. Pierwszy szpital. Przez plecy Uli przebiega dreszcz. Nie pójdzie tam jej nigdy odwiedzić. Jak nie odwiedza mamy na cmentarzu. Bo żywi nie potrzebują zmarłych, jak zmarli nie mają nic do żywych. Janek przychodzi wieczorami, odebrać ją po dziennym dyżurze. Rano, kiedy chodzi już gruba. Schody w dół i w górę Strzałowskiej. Gimnastyka. Nieźle robi ciężarnym gimnastyka. Od ósmego miesiąca co drugi dzień wydaje się jej, że ma bóle.

Golęcín. To nie jest dobrze kojarzący się szpital. Działał przez całą wojnę i zaraz potem. Niemki na oddziale ginekologicznym. Mama. Ula tego Marysi nigdy nie opowie. Na szczęście młodzi się wyprowadzają i nie widuje fartuchów Marysi przynoszonych ze strychu. Myśli o niej poza myślami o mamie.

– Najlepiej wyprać, ukrochmalić w domu. Pralnia oddaje szare, z przypalonymi guzikami – mówi do niej dziewczyna.

Strój pielęgniarski przypomina te z lat czterdziestych. Nie bardzo się zmienił. Na tym oddziale, obok (mama na internie) wykrywawiały się za ruskich Niemki. Majaczyły po niemiecku. Mówiło się, pozostałe w mieście kobiety mówiły, że bywały w strzępy porozrywane. Kiedyś, coś takiego... Kiedy mama, to już było potem. Ale Ulrike się bała. Bo to był ten sam szpital. Umierające albo leczone. Aborcje. I mama. Ula ma pamięć Ulrike, chociaż nikomu nie opowiada. A Marysia jest dla niej czysta, jest jak czysta karta. Nie widzi w niej tego. Czasem coś zachodzi mgłą. Nie chce widzieć jej czystych oczu przez taki mętny pryzmat.

Marysia wolałaby pracować w innym. Z innych powodów. Stare mury, ciężkie wózki. Tak, park piękny, jak wszystkie przyszpitalne. Dbano o to. Poniemieckie szpitale Szczecina zawsze z parkiem. Chorzy spacerują, wystawiają do słońca twarze. Siostron ciężko wozić wózki przez dziedzińce, czasem schody. Oddział noworodków maleńki, bo placówka ma inną specjalizację. Leczy raka, teraz przede wszystkim już leczy raka. Z czasem Marysia poszuka pracy może bliżej. Bo wieczorami, nawet tramwajem, boi się wracać.

Własne dziecko nie tam. Może lepiej. W każdym szpitalu mieszka śmierć, siostró. Tak ją straszy stara salowa. Tymczasem chodzi jednak o życie. Trzeba wynieść, nadludzkim wysiłkiem, własne dziecko z ognia. Walczyć z nim o jego własne życie, jakby to było wynoszenie z ognia. Lepiej, żeby tyle tej śmierci i napromieniowania przez ściany obok nie wychodziło na spotkanie nowemu życiu.

Do ostatniego dnia na nogach. Jeszcze wczoraj dyżur. Fartuch wiązany z tyłu, na szczęście, pod nim wypiętrzona kopuła brzucha. Woli nie brać wolnego, weźmie wszystko, jak się dziecko urodzi. Janek nie wie, na tym się zna słabo. Nie może się wtrącać. Chociaż ją prosi. Pyta. Na pewno powinna pracować? Co on tam wie. Powinna. To jej zawód. Cudze, własne. Co on wie. Jest ojcem. I ją kocha. A kobiety mają takie same prawa jak mężczyźni.

Bóle czuje nad ranem. Niby dobrze. Dzieci lubią przychodzić na świat o tej porze. Ma nadzieję, że wszystko szybko pójdzie. Jej szpital daleko, na Pomorzany bliżej. Jadą pierwszym porannym tramwajem. W rękę Janka mała walizka. Oddaje ją, żonę z dzieckiem i walizką, na izbie przyjęć. Marysia do niego macha. Pierwszy raz w życiu czuje, jakby ją stracił.

– Niech pan idzie do domu. Z pierwszym dzieckiem to potrwa. Niech pan tu nie siedzi. Z domu trzeba do nas dzwonić, powiemy – mówi siostra. Z domu? Kto ma telefon? Mogli mu założyć, ale dotąd nie chciał. Podejrzan.

I za często mieliby do niego dostęp, na każde zawołanie. Trzeba poudawać, że się stara. Od sąsiadów, z budki. Niewygodnie. Teraz żałuje. Tak, niech założą. Nawet jutro. Idzie. Nie może tu przeszkadzać. Patrzy jeszcze siostrze – urzędnicze i pozostałym czekającym w poczekalni mężczyznom w oczy, bezskutecznie. Nie przeszkadzać, mają w oczach tabliczkę.

Marysia wydaje się dzielna, jej zawód. Nosić dzieci. Wynosić z ognia, wydobywać na świat, przewijać. Woli pracować jako położna, przy dzieciach. Dorosłych, chorych ciał wciąż się boi. Nie, nie mówi o tym. Jemu. Nikomu. Nie wypada. Woli dzieci. Nie ma w tym nic dziwnego. Wiele kobiet wybiera pracę na oddziale noworodków.

Zna poród z książek i z pracy. Teraz, kiedy sama jest w środku, wygląda to inaczej. Ale ma włączoną klapkę. Szorstkie uwagi. Zna te służbowe, szorstkie uwagi z porodówek. Wszczępione siostronom przez starsze siostry i przez lekarzy. Czeka na nie, te słowa, na poszturchiwanie. Zaciska oczy i zęby. Braciszek ważył chyba tyle, co ona sama. Trzymała go tak mocno, że w samym tym trzymaniu były kilogramy. Tak go ścisnęła, że jeszcze bardziej ciążył. Teraz też to sobie przypomina. Skurcze i parcie. Które dodaje do skurczów bólu. Tak jak tam z dzieckiem i tu nie wolno zawieść. Marysia biegnie, jest już duża. Będzie teraz matką, matki są silne. Po dziecku, jak mu już urodzi dziecko, nie będzie nic więcej musiała. Jedno dziecko, to obiecał. Nawet nie namawiany. Sam z siebie. On za nie będzie silny potem.

– Myślę, że wolałbym nie mieć dużo dzieci. Żebyśmy mu, lepiej jej, takiej małej Rysi, mogli dać wszystko. Jednemu dziecku można.

– Wiesz? Ja też tak myślę. Mama ciągle w ciąży, siedmioro nas przeżyło. Żeby poustawiać wszystkich do zdjęcia, trzeba dobrej głowy. Mama dat urodzin nie pamięta. A ja bym chciała dziecku wszystko, wszystko. Szkoła, studia. Ubrania. Wakacje – właściwie nawet nie umie wymienić tych darów, które mają zamiar swojej małej księżniczce przynosić. Chcą dziewczynkę. Najbardziej. Chłopczyka w drugiej kolejności. Bo dziewczynka będzie księżniczką jak mama.

– Będę was obie nosił tak na rękach do końca świata i nikomu nie oddam – mówi, kiedy ona jest w piątym miesiącu. Nosi ją po mieszkaniu w siódmym. Potem się boi, bo co, gdyby upuścił to szczęście?

Nie wiedzą, co można dziecku. Wszystko. Może szkoła muzyczna? – Janek przypomina sobie przyrodnią siostrę. W takiej szkole. Śpiew, instrumenty, do tego mają talent ludzie od nas, potwierdza Marysia. Ona też, w chórze. Taniec, w zespole. Ale i rachunki, i wypracowania. Była naprawdę dobra.

Miasto jest zielone, kwitnie. Na przyjęcie ich dziecka. Ciepłe noce. Łagodne lato. Przy kolejnym skurczu dopada ją lęk przed śmiercią. Kobiety z książek Uli umierają przy porodach. Nie teraz, o nie. Teraz jest nowoczesna medycyna. Mimo to się boi, chwytą położną za rękę. Lekarz poszedł do dyżurki. Nie będzie tak tu stał. Położna ścisła jej dłoń i mówi:

– No, jeszcze mała, ostatni raz.

Faktycznie. Długo, ale niewiele dłużej. Dziecko wychodzi, wystrzela z niej jak z procy, maleńka laleczka. To nie trwało długo. Los chce ją zachęcić, ale postanowili przecieżyć. Księżniczka ma pozostać bez konkurencji. Chociaż, powtarza dziesiątki razy, wszystkim, naprawdę to długo nie trwało.

Tak, rodzi dziewczynkę. Dość lekko, bo maleńka. Kiedy Janek dzwoni, już jest.

– Ma pan córkę – mówi dyżurna. I odkłada słuchawkę, bo zrobiła swoje.

RESTAURACJA „KAMERALNA”, 1964

Dziecko jest małe, a on obiecywał. Obiecali sobie nawzajem, że zrobią wszystko, ale też, że nie zapomną o życiu. Należy im się życie. Cała przeszłość, są dziećmi wojny, wydrapywanie sobie miejsca pomiędzy dorosłymi, którzy nie pytali o zdanie. Czułość, zaznana przypadkiem, brana w depozyt z tych ułamków. Kiedy Janek chowa się w stodole z ciotkami i babcią. Kiedy babcia podaje mu kromkę chleba. Placek od dobrej Niemki. Łąka, na której siedzi z ostatnią krową i wcale nie nadaje jej imienia i nie przytula się do jej boków. Fantazja ojca, opowiadającego najstarszej córce przypadki młodości. Mamy poleganie na najstarszej. Nagroda za dobre wyniki w nauce. Nagroda i wycieczka z chórem do Moskwy. Chodzenie z opiekunem. Ojczyzna (ZSRR), która liczy na młodych. Nowa ojczyzna (Polska Ludowa), która liczy na każdego. Wzruszenie, aż się płacze, a trzeba śpiewać. Ciotka-sąsiadka pozwalająca przymierzać przed małym lusterkiem sznur czerwonych koralii. Mogących stać się posagiem dziewczyny, zanim jej przeznaczeniem okaże się czerwona chusta. Inna zupełnie, nieoczekiwanie, ojczyzna. Podobna, bo zbratana więzami krwi i idei, ale ubrana w inny akcent i krajobraz. Wydrapywanie sobie miejsca pomiędzy innym filmem, porwanym jak ten, ale znacznie dłuższym. Głodne wieczory w obcym mieście. Opór, jaki stawia pismo. Razy linijką zadawane przez kolejnego wiejskiego nauczyciela. Dociekliwość, ludzka dociekliwość w sprawie pochodzenia. Jego, gdy jest chłopcem. Jej, gdy przestaje być dziewczynką. Więc się im od życia należy. Biorą to teraz. Skapani w hormonach i słowach. Brzmiących słodko. Słodko słyszą nawzajem ten obcy akcent. Najukochańszy sposób mówienia. Zanim sobie wymówią to mówienie z obcym akcentem. Tę obcość, zażegnaną na pewien czas przez ciała, w końcu zawsze wiarołomne, w końcu znajomo zdradliwe.

Mają mieszkanie. Komunalne. Przy Królowej Jadwigi. Wciąż ten sam sektor miasta, śródmieście. Niedaleko ich poprzednich miejsc, tras, ludzi. Nie jest to najpiękniejsze mieszkanie, będą mieli, wierzą, lepsze niedługo. To większe. Jako rodzina dostają przydział na dwa pokoje z kuchnią. Kuchnia wąska, długa. Z pawlaczem i spiżarnią. Pawlacze wszędzie, zakamarki, skrytki. Wyłożone starą tapetą.

Pokoje kwadratowe, ustawne. Połączone wewnętrznymi drzwiami. Każdy z osobnym wejściem. Amfilada z bocznym dostępem, ideał. Niestety, także sąsiadka. Pani Antonina. Wdowa. Pani podoficer WP, na rencie. Od razu, w pierwszej rozmowie, im opowiada. O szlaku bojowym. W jej, największym tu, pokoju mundur wisi na drzwiach. Na mosiężnym haku, galowy mundur. Czasem, w święta i na spotkania, Antonina go zakłada. I wyglansowane, wysokie buty. I furazerkę. Jest żołnierzem, żołnierzem, Marysiu. Nie żołnierką. Kobieta na wojnie i w armii staje się żołnierzem. Nawet Tosia.

Niestety zamienia się w „stety”. Rzadko kto ma mieszkanie bez sąsiadów.

– Panie Janku, proszę opuścić łazienkę! – słyszał, ilekroć udało mu się tam dostać na starym mieszkaniu.

– Ja pana proszę, ja potrzebuję natychmiast skorzystać! – słyszał. Wolałby w ogóle tam nie wchodzić. Coś się w tych kobietach, sąsiadkach zapalało, miały połączenie bezpośrednie z łazienką, czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet kawaler, unikający długich posadów w tym miejscu, nierobiący właściwie prania, był konkurentem. Nigdy spokoju.

– Panie Janku, moja kolej na palnik, pan swój garnek posunie – dopadało go w kuchni. Kiedy już zdecydował ugotować zupę, nie chodzić do żadnej knajpy, stołówki, baru. Lepiej byłoby nawet nie próbować. Najspokojniej. Dla świętego spokoju. Wtedy troszczyły się, owszem.

– Panie Janeczku, taki pan zawsze błady. Trzeba kogoś mieć, kto zadba. Ugotuje, opierze, uprasuje... – Gdzie do licha, myślał, ten ktoś miałby pracować i gotować? Przyjęłyby do

wspólnoty jeszcze jedną kobietę? Może, między sobą się godziły, uważały chyba, że mężczyzna nie ma do kuchni prawa.

Teraz się tego właśnie boją, sąsiedzkich niesnasek. Przy dziecku trzeba więcej korzystać z tych wspólnot. A wspólnota, kiwa głową Ula, to wspólnota. Chyba że ludzie znają się jak w jej kamienicy. Na wylot. Owszem, czasem i tu kłótnie. Ona sama ma właściwie spokój, ludzie ją lubią. Najgorzej zawsze wejść z zewnątrz. Jednak, patrzcie, Anna świetnie trafiła. Ostatnim razem, teraz. Oni też. Nie jest źle. Coś się klaruje.

– Nie mogę narzekać – opowiada Uli Marysia, ustawiając wózek pod oknem w barze. – Wszędzie blisko, za nic nie chciałabym mieszkać dalej od centrum, zakupy robię na spacerze. I pani Tosia zostaje z kruszynką – kruszynka, odmieniają czule przezwiska. Marysia została tu od razu Marysią. Jak w domu. Starczyło dla niej zdrobnień, chociaż najstarsza. Rodzice w tej sprawie nie robili wyjątków. Do każdego po równo. Każdemu jego imieniem, przyjętym od razu po urodzeniu w formie zdrobnienia. Tak okazywali wiarę w bycie rodziną.

Najstarsza. Zobowiązana. Nad własnym dzieckiem pochyla się z uśmiechem, czule sepleni. Nosi ją w nocy na rękach. Janek kładzie się z małą na tapczanie. Też sepleni, nie przestaje dotykać, patrzeć, mówić. Nie wypuszczają jej z rąk. To wiedzą. Z dzieckiem trzeba być bez przerwy. Nowoczesne zasady tego nie mają. Rozpowszechniana przez przychodnie i broszury wiedza o pielęgnacji dziecka – ścisłe godziny karmienia, butelka, nie nosić na rękach. Na szczęście, póki mogą, nie realizują zaleceń nowoczesnej medycyny. To pamiętają z domów. Przy dziecku zawsze ktoś był i mówił. Często starsze dziecko, nie matka, ale jednak.

– Dajcie dziecku spokój – mówi mama, kiedy ich odwiedza. – Nie można tak cały czas, mała musi się wyspać – czyżby mama była nowoczesna?

– Pani Tosia świetnie zna się na dzieciach. Dorabiała jako opiekunka. Zawsze mogę Magdusię zostawić – kruszynka ma na imię Magdusia. Magda. Po nikim. Takie podoba się rodzicom. Takie eleganckie imię. Podoba się wielu innym rodzicom w tym czasie. Co zrobić? W przedszkolu spotka inne Madzie, Magdusie, Dusie. Eleganckie, miejskie imię.

– Jesteś pewna, że ona poradzi sobie z dzieckiem? W końcu jest oficerem? To jak chłop – martwi się Ula. – Może lepiej ją tu do mnie przywoź, może tu być – dziecko ma tłum przyszywanych ciotek. Wszystkie sąsiadki z Wieniawskiego, wszystkie z Obrońców Stalingradu, z Buczka. Klientki baru. Pielęgniarki z oddziału Marysi. Bez więzów krwi. Każdy przechodzień w parku i w alejach. Marysia przysiada z wózkiem na ławce w alei Piastów. Przechodnie muszą, muszą zajrzeć do wózka. Kruszynka jest najpiękniejszym dzieckiem świata. Błękitne oczy ojca w czarnej oprawie matki. Nie płacze, zawsze się uśmiecha. Wodzi wzrokiem za osobą, która się nad nią pochyla. Dziecko szczęścia.

Minęło wystarczająco dużo lat od wojny, żeby cieszyć się dzieckiem bez lęku o przyszłość. Dość dobrze pamiętają wojnę, żeby docenić nowe życie.

– Pani Tosia naprawdę wszystko przy dziecku umie zrobić. Lepiej niż ja. – Ula kręci głową, nie dowierza.

– Dobrze, w końcu wasze dziecko. Wiesz, co robisz, moja kochana. Ale pamiętaj, ciocia Ula zawsze do usług. W każdej chwili, bez skrupowania – robi do dziecka dzióbek, więc ostatnie słowa wyseplenią. Seplenienie wchodzi im w zwyczaj.

Marysia wraca do pracy po dwóch miesiącach. I tak długo. Macierzyński i wypoczynkowy. Takie są czasy. Równouprawnienie. Matki rodzą i idą do pracy. Te, które pracują. Oczywiście, sporo kobiet pozostaje w domach. Jak ich matki. Jak mama Uli, Marysi, Anny. Przygotowują posiłki. Sprzątają. Czekają. Mężczyźni wracają teraz częściej późno. Mniej zebrań, masówek, nasiadówek, ważnych zadań. Więcej knajp, knajpianych rozmów, butelek, znajomych. Mężczyźni zaczynają uprawiać działki i wracać po pracy dłuższą drogą. Żony są złe. Żony nie rozmawiają, zwisając z okien. Tego im za mało. Czytają gazety dla kobiet, dbają o formy. Żony się proszą. Nawzajem. Na kawki, herbatki. Na kupione w

ulubionej cukierni ciastka. Żony tyją na potrawach gotowanych według regionalnych recept. Przywiezionych z rodzinnych domów żywieniowych zwyczajów. Lepiej by było, gdyby wszyscy jedli w stołówkach. W stołówkach stołują się rodziny pracujące.

Równouprawnione kobiety pracują. Marysia nawet nie pomyśli, żeby się zwolnić. Dziecko jej do tego nie skłania. Kobiety nie po to mają zawody (nie są jakimś tam kocmołuchem, podkreśla Anna), żeby siedzieć i zmieniać pieluchy. Butelkę wyparzy, przygotowuje każdy. Dziecko karmi się butelką. Tak nakazuje higiena. Kto ma zawód, pracuje, bo dwie pensje pozwolą dać coś kruszynie. Anna mogłaby mieć dziecko jeszcze bardziej. Z dyplomem magistra dałaby dziecku jeszcze więcej. Ula się uśmiecha. Może? Ale nie ma na kogo liczyć. Może nawet by chciała. Ostatnio bołą ją nogi. Od stania. Tyle godzin na nogach. Bar ma coraz więcej klienteli. Ma wrażenie, że trochę obniża poziom. Idzie w masówkę. Chyba na dziecko i tak byłoby za późno. O, i dziecko nie powinno mieć smutnych rodziców, myśli, nie powinno mieć wrodzonej melancholii.

Więc Marysia po urlopie wraca do szpitala. Janek wraca do domu od razu po pracy. Ona bierze nocne dyżury. Pani Tosia jest w tygodniu. W niedzielę Janek idzie z wózkiem do Uli. Jeśli Marysia ma dyżur. Ten rytm łatwo się ustala.

Nowoczesny rytm miejski, na szczęście seplenienie im jeszcze nie przechodzi. Jest też rytm ich szczęścia.

Są młodzi i nie mogą o tym zapominać. Powinni wychodzić. Pani Tosia im mówi:

– Musicie wychodzić! Koniecznie! Dzisiejsze dansingi to nie to, co kiedyś, ale... Trzeba się zabawić. Żeby dobrze pracować – a Marysi, na boku daje instrukcje: – Idź z nim, to sam nie będzie chodził.

Tak mówi, a sama nie przepada. Na chłopach to się może znać. Z wojska. Teraz też tylko z chłopami się spotyka na tych różnych imprezach, w mundurach. Prawie nie ma tam kobiet, w czym ona nie widzi niczego dziwnego. Jest żołnierzem, kto przeszedł szlak bojowy, na zawsze będzie żołnierzem. Stan spoczynku to inna sprawa. O tym szlaku niewiele mówi. Że z II Armiją, tyle. W ostatniej chwili. Usta ma pełne bohaterstwa, nie chce wspominać, wracać dalej, do miejsca, gdzie zaczynała nosić mundur. Marysia dokładnie nie wie, o co chodzi, rozumie z tego wszystkiego tyle, że Tosia, co prawda, nie pochodzi z Kresów, że z Warszawy, ale na Kresach znalazła się w '39 i stamtąd... O tym właśnie nie chce mówić. A to musiało dziać się gdzieś blisko niej, blisko miejsc rodzinnych Marysi. Tak by wynikało ze strzępków, które czasem docierają do niej spoza seplenienia, przy dziecku, pani Tosi. I jeszcze obraz Syberii, całkiem niekonkretny, Marysia o tych sprawach niewiele wie. Sąsiadka wydaje się oddana idei Ludowego Wojska i wychowywania ich dziecka. Co jeszcze miałaby o niej wiedzieć? Ktoś mówi, że zanim została porucznikiem, opiekowała się polskimi dziećmi w jakimś syberyjskim sierocińcu. Może, to się mogło zgadzać. Umiała obchodzić się z dziećmi. I doradzać w sprawie małżeńskiej dyplomacji. Tak, młodzi muszą się bawić, najlepiej, póki mogą, razem.

Najchętniej tańczą w „Kameralnej”. Błysk flesza na szerokie spódnice Marysi i wąskie nogawki Janka. Chętnie by tylko patrzył, jak ona się w tańcu porusza. Jeszcze szczuplejsza niż przed Magdusią. Z drugiej strony szlak go trafia, kiedy ktoś się do niej zbliża. Walczy z sobą: tańczyć czy zostać przy stoliku? Patrzyć czy dotykać jej ramion? Wódka jest tania. Małe zakąski i wódka. Mają mocne głowy. Sporo piją. Janek dolewa sobie, patrząc, jak ona tańczy z jakimś obcym mężczyzną. Myśli, że gdyby chciał, na każdego mógłby coś znaleźć. I nawet czasem komuś tak mówi. Puszcza mu ten najnowszy zawór. Dyskrecja, nie może sobie darować potem tych aluzji, jeśli coś z nich pamięta. Ona wypija duszkiem kieliszek wódki między jednym a drugim kawalkiem. Jest dobrze. Nareszcie jest dobrze. Nareszcie dostała swoją porcję. Szkoda tylko, że Janek chyba nie wszystko jej mówi. Nie tak, jak podczas tych pierwszych miesięcy.

– Pan szanowny ma piękną żonę – bełkoczą ci poznani tu, przysiadający się, znajomi. Wszyscy. Marysia to coraz bardziej lubi. Podziw. Jest lekko. Tańcząc jest lekka. Tańczyć jest lekko. I zauważa, że picie dobrze robi na wszystko. Że jest o wiele lepiej. Mniej cieni. Podobnie Janek. Za to też ją kocha. Za nocę w „Kameralnej”. Przy stoliku z poznanymi tu i spotkanymi filozofuje. Wie o życiu teraz już wszystko. Urzędnik, mąż i ojciec. Prawdziwy as. Żadnej kadrowej nad nim. On jest kadrowym. Superkadrowym. Dzięki zaufaniu. I własnymi siłami. Bez studiów, patrzcie państwo. I już nie jeździ z żadnymi papierami osobiście. Już się dorobił stanowiska, stopnia. Głowa rodziny z porządną pensją. Żaden bękart. Niedokładnie może opowiedzieć, zostają aluzje. Pod którymi niczym twardy rdzeń – poczucie siły. Wzmocnione alkoholem łagodzącym wszystko.

– Pan to ma dobrze, panie szefie. Zawsze z żoną. Ja swojej cholerze muszę uciec, żeby się zabawić. Wy razem, z małżonką, od razu widać, że pana kocha. Moja tylko o podwyżkę pyta. Mało jej i mało – mówi ktoś z dawnej pracy, z zakładu, mówią różni. Spotykani tu, znajomi i nieznajomi, mieszkający w mieście i będący przejazdem, ludzie.

Ula czasem idzie tam z nimi. I ze Stefanem. Ula mało pije, nigdy w restauracji, czy może prawie nigdy.

– Alkohol jest dobry na samotność – mawia. – A ja nie jestem samotna – ma w oczach blask, kiedy wymawia głośno to zdanie. – Nie jestem samotna. – Od pewnego czasu może tak mówić i nie ma na myśli herbatek z sąsiadkami.

Anna nie chodzi po knajpach, nie pochwała. Dansing nie jest miejscem dla porządnej kobiety. Kogo tam można poznać? Takich, których lepiej nie znać. Szanująca się kobieta nie chodzi po nocach. Co innego z mężem, jeśli mąż tego chce, co innego. Marysia jest usprawiedliwiona. Anna też byłaby gotowa do takiego poświęcenia. Do robienia kresek tuszem, malowania ust i paznokci, do balansowania na szpilkach, do odsłaniania ud w tańcu. Nawet i do picia wódki, gdyby tak było trzeba. Żeby mieć rodzinę.

– Jednak oni za dużo puszczają pieniędzy – mówi do Uli podczas jednego ze wspólnie przeleżanych na dachu wczesnych popołudni. Upał rozpuszcza papę na sąsiednim dachu, pot spływa im po opalonych plecach. Ula nie odpowiada, potakuje półsłówkami, gestem, ruchem głowy. Patrzy w tę stronę miasta, która najmniej się zmieniała. Najlżej wchodzi pod zmrużone powieki. Dansingi? Zdaje się, że jej rodzice też chadzali. Mama chyba wcale nie piła.

Sporo tych wieczorów dansingowych. Nie muszą tak bardzo oszczędzać. Dziecko pod dobrą opieką. Zarabiają.

Janek został kierownikiem w kadrach, nie wiadomo kiedy, bez specjalnych starań. Potem, niedługo potem, ostatecznie odchodzi z zakładów. Musi się poświęcić nowej pracy, służbie, zaczyna tak to nazywać. Najpierw sprawdza ludziom godziny i akord. Nie jest zbyt aktywny w podstawowej komórce. W Podstawowej Komórce Partyjnej. Tyle, ile trzeba. Polityka, partia... Nie jego sprawy. Najważniejsze, że władza dała mu wykształcenie, pracę, mieszkanie. To dobra władza. Daje ludziom. Sprawiedliwie. O innych rzeczach on nic dokładnie nie wie. Nie zamierza się mieszać. Dziadkowie przed wojną pracowali u Niemca, a naprawdę – co z tego mieli? On przyjechał tu sam, z kartonową walizką, miasto go przyjęło. Miasto jakoś utożsamia z partią. Bo faktycznie. Od razu został kandydatem. A na wsi tak nie ma. A co do szczegółów pracy. Nie wolno za dużo mówić. To nie jest tak polityczne, jak można pomyśleć. To jest normalna praca, pozwalająca funkcjonować miastu pełnemu przybyszów zewsząd. Okazało się, że Janek ma talent do łączenia faktów, wyszukiwania szczegółów. Nic takiego, nad nim byli doświadczeni i kompetentni. On zaledwie niższy szczebel, pomocnik. W kadrach, tu, w zakładach, przy Małopolskiej. Urzędnik z maturą. Od myślenia są towarzysze. Pensja coraz lepsza. Jedno z zadań: w rozmowie z przełożonym pada słowo werbunek. Nie odnosi się do niego, do kogoś, z kim ma porozmawiać. Naświetlając mu możliwości. Nieładne słowo. Bo przecież chodzi o to, że ktoś darzy ich zaufaniem. Wyróżnia,

daje możliwość. Chodzi o to, że najwyraźniej ma czystą kartę. Z wojska, szkoły, z zakładów. Z każdego miejsca, gdzie się pojawiał od momentu, kiedy opuścił rodzinne strony.

Tańce są bardzo różne. Młodsza siostra Marysi odwiedza ich z nowo poślubionym mężem (już mają pierwsze dziecko), w drodze na konkurs taneczny zespołów amatorskich. Odbywa się to w Klubie Kolejarza. Spora sala, spora publika. Młodsza siostra już ma zaokrąglony nowy brzuszek. Co w tańcu nie wadzi, oczywiście. Taki taniec w Domu Kultury to więcej niż taniec. To widomy dowód. Na czasy. W których domy kultury są pełne dorosłych i dzieci. Młodsza siostra wiruje po sali tanecznej tegoż domu (w weekendy zamienianej też na dancing) niczym Marysia po „Kameralnej”, a może i lepiej. Jej mąż na pewno tańczy lepiej od Janka. Ale też na pewno lepiej pije. Młodsza siostra nie narzeka. Jest na swoim. Nie skończyła żadnej szkoły, nie posłuchała, ale ma męża jak się patrzy. Mieszka w miasteczku. Tymczasem (bo z czasem to się zmieni) ani myśli pracować. Rodzi dzieci. Na gospodarce zostali bracia. Co prawda młodsza siostra nie pomaga rodzicom jak starsza (poza tym że, owszem, przy żniwach), a nawet odwrotnie. Przyjeżdża, bo ma blisko, po produkty, zawsze zdrowsze. Z czasem będzie przysyłać swoje starsze, żeby przywiozły dla młodszych. Matka dziecku, młodszemu, nie odmawia. W razie czego pomoże Marysia. Całkiem inna sytuacja. Dziecko bliskie, a dziecko miastowe.

Taniec Marysi jest wielkomiejski, z domieszką dekadencji. Tego słowa nikt w Szczecinie nie używa, stosując się de facto do przepisu. Takich słów tu się nie zna. Taniec młodszej siostry jest zdrowy, związany z tradycją także ich, zza Buga, gdzie mozolnie tańczono po świetlicach, w domach i na akademiach. Taniec klasy robotniczej. Na koniec, w podsumowaniu, do niczego dobrego te tańce nie prowadzą.

Wracając do sprawy partii (taniec należy, w specjnym, w specsensie do spraw partii): Marysia nie musi się zapisywać.

– Ty się nie zapisuj, trzeba chodzić na zebrania. W twoim fachu nic z tego nie ma. Chorych tak samo trzeba pielęgnować.

– Niezupełnie, można zostać oddziałową. Można dostać skierowanie na studia.

Marysię mało to wszystko obchodzi. Bierze dodatkowe dyżury. Po pracy spieszy się do dziecka. W soboty tańczy. Jeśli ma wolne. Mała nie choruje, mogą iść się rozerwać. No i on już wziął na siebie obowiązki wobec ojczyzny. Marysi nie będą o nic w pracy pytać. Na Marysię będą patrzeć z dystansem.

Zakładają książeczkę oszczędnościową na dziecko. Obiecali sobie dać jej wszystko. Więc wpłacają. Mieszkanie urządzili. Potem pomyśla o sprzętach. Nowoczesnych sprzętach. Na raty. Tymczasem mają wszystko. Mogą tańczyć.

Wódka jest tania. „Kameralna” to eleganckie miejsce. Kelnerzy w białych kitlach. Ogródek letni obrośnięty winem. Schabowy, pożarski, flaczki. Schłodzona wódka, oranżada, ciemne piwo. Na zimno: galaretki i sałatka. Marysia wygląda jak aktorka, obcasy nie przeszkadzają jej w tańcu. Czasem, koło drugiej, przysiada na krześle, przymyka oczy. Jankowi zdarza się jeszcze wcześniej przysypiać. Ale muszą się bawić. Taki fason. Zabawa. Komu się powodzi, ten powinien znieść i zabawę.

Ula tego za bardzo nie lubi. Ma sukienki, przytula się w tańcu do Stefana. Nie lubi spojrzeń podpitych mężczyzn. Wyzierającej z nich agresji. Zapowiedzi. Nienawidzi tego. W takim miejscu wszyscy tak patrzą. Przed północą. Marysia to zapija. Marysia nie nadaża za zmianą męskich spojrzeń. Zanim zaczną patrzeć, odpływa. Kręci biodrami, zanim oni zaczną tak patrzeć. Poza tym Marysia tego nie rozpoznaje, nie porównuje z niczym.

Czasem, kiedy wracają, pod barem stoi już mleko. Czasem zabierają butelki spod swoich drzwi. Mają zamiar przetańczyć kawał życia. Należy się. Ona wie, że zabawa jest ważna. Tatuś przeżył repatriację, bo umiał się bawić. Janek w drodze do domu rzadko zatrzymuje się w knajpie. Nawet w dni wypłaty. Na razie. Bawią się razem. Postanowili, że będą mieć

wszystko. Żeby dotrzymać słowa, trzeba się bawić. I trzeba gdzieś, najlepiej tam, gdzie cię cenią, pracować.

W BARZE, 1965

Ludzie wybierają sobie zawsze jakieś miejsce, myśli Anna, dobierając karteczki z cenami do nowego jadłospisu. Ze swojego miejsca, od stolika przy wejściu do kuchni, widzi całą salę jadalną, ma wszystko i wszystkich na oku. W kasie kolejna sezonowa pracownica, Walter znów w Międzyzdrojach. Anna, nic w tym dziwnego, pełni funkcję kierownika. Kierownika, nie kierowniczkę, oczywista. Kierowniczką, niedługo, zostanie Ula. Jej żeńskie formy łatwo wchodzi w usta, w rodzinnym języku były oczywiste. I chyba do jedzenia pasuje kobieta? Anna chwilowo na stanowisku, za Waltera, za mężczyznę. O własnym miejscu myśli także jako o wybranym, o punkcie dojścia, zapowiadającym nowe warianty życia. Kończy nareszcie studia, prawie kończy studia, pracą o ekonomicznych aspektach spółdzielczości w ustroju socjalistycznym. Powinna raczej napisać o przeciąganych w nieskończoność studiach.

O czynnikach hamujących dostęp do komunistycznej dystrybucji wiedzy w sytuacji szans wyrównanych, z lekką przewagą na korzyść niegdyś uciemżonych pretendentów do bycia nową elitą. Dobry tytuł, chodzi jej po głowie długi, niezrozumiały, naukowy tytuł i podtytuł. Promotor, profesor ze wschodnim akcentem, lubi spółdzielnie, uznał temat, przez siebie samego sformułowany (studenci, a zwłaszcza studentki, nie wymyślają, a skąd, niczego sami), za arcyciekawą. Spółdzielnie świadczące usługi dla ludności, te mniejsze, nie najważniejsze, jak produkcyjne, państwowe, rolnicze. Co prawda, wszystkie spółdzielnie są państwowe, ale ekonomia socjalistyczna pozwala gładko wyjść poza ten oksymoron, do czego potrzebne jest tylko obejście łukiem niepamięci ewentualnej, spółdzielczej tradycji. No, poza radziecką. Profesor chętnie u nich jada, zdaje się, że nie ma już żony. Udało mu się przeżyć żonę, nie wziął nowej, chodzi dość zaniedbany, rozczulając tym studentki i pracownice wszystkich spółdzielni, z którymi się styka. Tej naukowej i tej gastronomicznej. Póki nie zbliży się na tyle, żeby zionąć na nie zapachem. Przydałaby mu się kobieta, służąca. Jakimś cudem, mimo niewielkich pensji, większość ludzi z jego środowiska ma w domach pomoce. Nie mówi się: służące. Przedwojenne słowo. Pomoce. On nie ma. Tyle o nim wiedzą. Żyje sam, samotnik. Czuć go zjełczałym tłuszczem, kiedy tłumaczy Annie zasady, które ma udowodnić, choć są z góry znane. Wydajność, w spółdzielniach obowiązuje także. Mniej w barze „Bambino”, gdzie obowiązuje państwowa dopłata do ludności, potrzebującej zastępstwa, czegoś w zamian – za pomoce domowe, które ogarną domową codzienność. Za pensje. Za dostawy żywności do sklepów. Sprawiedliwsza dystrybucja z wkładem. Podobnie zupa z wkładką, regeneracyjna. Regeneracyjna rola spółdzielni gastronomicznej, dającej jednocześnie pracę kobietom.

Anna robi to bez trudu. Karmi ludzi, pisze, obchodzi oksymorony. Nie uczyła się ekonomii przedtem, zanim ekonomia dostała przymiotnik socjalistyczna. Nie musi niczego zapominać, pomijać. Musi wpisać w pracę wymagane frazy, podać podane wcześniej przez innych liczby. To samo, co robiła w szkole. Do czego przyucza się od lat, co utrwała. Z niemałym trudem, między przerwami na choroby. Też jakoś powiązane z dystrybucją żywności, raczej niedożywienia. Chwała Bogu, że ma to za sobą – poprawia się zaraz – nie Bogu, tym dobrym czasem chwała! Więc ma dane i metodologię. Sens ma sama z siebie. Bo przecież bar to spółdzielnia, fabryka jedzenia dla ludzi. Temat sensowny z założenia, u zarania. Ona jest od tego sensu ekspertką i żywym jego dowodem. Ona ma praktykę, która pełni przewodnią rolę. Profesor będzie zadowolony. Kiedy nareszcie napisze te czterdzieści stron, nie biorąc kolejnego urlopu. Pozdaje te egzaminy. Z filozofii marksistowskiej. Z marksistowskiej ekonomii. Z politycznej ekonomii. Z nomii, enomii, anomii. Z własnej, opanowanej, anemii. Z bycia samotną dziewczyną zdobywającą dla siebie miejsce. Gdy to nastąpi, podniesie niewątpliwie swoją wartość na czymś, czego nie ma prawa nazywać

rynkiem matrymonialnym. Swoje szanse. Rynek nieczynny, w tym czasie. W ekonomii i życiu nie ma rynku. Rynek, owszem, plac, na którym odbywa się handel. W ograniczonym, przynajmniej oficjalnie (pozornie?), zakresie.

Każdy wybiera miejsce. Są tacy, którzy siedzą przodem do sali, i inni, co wolą patrzeć w okno. Ci, którym zależy na odległości od bufetu, tamci, którzy zdają się uciekać, ukrywać. Ktoś lubi rozmowę, zagaduje personel, sąsiada przy stoliku. Któryś, a może większość, milczy, jedząc szybko zupę mleczną, zupę grzybową, zupę pomidorową. Dla Anny, na chwilę przed odejściem z baru, wszystko to układa się w znane i warte uwagi wzory. Mogłaby napisać o tym, o ludziach. Jasne, napisze. O dobrodziejstwie, jakim dla ludzi pracy, zmierzających ku codziennej dawce przeznaczenia, jest przygotowane starannie, według zdrowej receptury, jedzenie. Szkoda tylko, że nie można dołożyć do tego wszystkiego rozdziału o uczuciach. Nie ma takiej możliwości. Anna mimo wszystko czuje, że jedzenie przygotowane w systemie spółdzielczym ma pewną przewagę nad tym, które zna z przeszłości. To jeden z aspektów uczuciowych, zanim dojdzie do drugiego.

Jedzenie, myśli, spożywanie tutaj nie tworzy zobowiązań. Ludzie odstawiają grzecznie brudne talerze do okienka „zwrot naczyń”, które często jest zapchane. Po drugiej stronie są tylko ręce, odbierające z wdzięcznością fajans, dostarczający pracy-pensji. Część konsumentów nie odnosi do okienka, mimo napisu „kulturalny klient proszony jest o zwrot naczyń”, uzupełniającego inne: „samoobsługa”, „nie brudź”, „mleko źródłem wapnia”, „uprasza się o ciszę”. Ręce wystające tam, przy końcu pasa transmisyjnego zdrowego pobrania obiadu, nie są rękami matki czy gospodyni. Nie trzeba za nie dziękować, płaci się przy kasie. Płaci uczciwie, czyli niewiele. Ceny są dostosowane do ekonomicznych zasad socjalistycznego państwa. Ale, pamiętajmy, zarazem mamy do czynienia z dokładnie zasypanym rowem między klasami chadzających do restauracji lub garkuchni w innych, przedwojennych, niesprawiedliwych czasach. Za niewiele – wiele. Żadnego wyzysku, same zyski. Szkoda, że odbiór brudnych naczyń napotyka na przeszkody.

W jadłodajniach Anna-dziecko nigdy nie bywała. W restauracjach, przed wojną i zaraz po, parokrotnie zaledwie, z rodziną, w Krakowie, w podróży. Z okazji. Tam też raczej jadło się u ciotek. Zdrowo, oszczędnie, z szacunkiem dla siebie i pieniądza. Teraz, dzięki pensji pobieranej w związku z karmieniem innych, może iść nakarmić się w restauracji. Nigdy bez powodu. O nie, to nie Anna! Po stronie zysków, przyznaje, dostęp do zrównanych, dobrze prowadzonych, zbilansowanych kalorycznie dań różnych kategorii. Na przykład u nich i w „Kameralnej”, z wyższej półki. Kotlet górski, siekany, z równiutko ułożoną kupką białej cebuli i kiszzonego ogórka. Cena pięciu obiadów w barze. Nie warto wydawać, jeśli nie trzeba.

To tak, ten ciąg myślenia o zyskach ma opanowany. To w pracy wykorzysta. Sprawa zobowiązań natomiast, ściśle osobistych, ledwie się jej kołacze po głowie, kiedy przelicza bilon i pakuje go w rulony. Spółdzielcze żywienie ma aspekt pedagogiczny. Właśnie. Zrywa z przeżytkiem historycznych zobowiązań wobec żywicieli, wszelkich. Teraz Anna to widzi. Karmienie za pensje. Jedzenie za pieniądze. Uczciwa transakcja. Ta myśl, nowoczesna, warta dyskusji na forum POP-u, albo i czegoś więcej, może da się włączyć jako przypis lub aneks do pracy, wspomagając tym samym mgr przed nazwiskiem. Może, może. Trzeba spytać profesora, czy to będzie nauka. W jego gabinecie spytać, bo tu, gdyby zaszedł, nie wypada. Tu trzeba go włączyć w łańcuch pokarmowy, doładować mu kalorii, żeby mógł dobrze pracować na swoim miejscu. Doprawdy, trzeba, profesor chyli się ku upadkowi, jak kapitalistyczne, imperialistyczne gospodarki. Za to włączyć można myśl o pożytkach z socjalistycznej dystrybucji żywienia w życie, w życiu.

Anna jednak nie karczuje w sobie dość dokładnie obrazów rąk matki, szantażującej ją bezustannie cielecym mostkiem, przygotowywanym dla ojca, pod nieobecność dla niej, dla konkurenta, dla ojczyma, dla brata. Ostatecznie dla ojczyma, jako że tylko mąż docenia naprawdę. Nigdy dla samej siebie, zadowolającej się resztkami byle czego. Dzieci bywają

niewdzięczne, trzeba je bezustannie dyscyplinować widokiem cielecego mostka przygotowanego własnoręcznie, z narażeniem życia. Podcinanie ścięgien kuchennym nożem należy do zadań chirurgicznych, a kobiety rzadko zostają chirurgami. Trzeba znać się na anatomii i mieć coś w rękach. Prawdę mówiąc, Anna docenia socjalistyczny łańcuch pokarmowy w każdym, także gastronomicznym sensie, ale już chętnie by pomęczyła kogoś, mężczyznę, dziecko, jakimś wymyślnym daniem na niedzielę. Jakimś zdobytym dzięki upuszczeniu sobie krwi wymyślnym specjałem. Aż się tego boi, tego łatwego przejścia do porządku dziennego nad zdobyciami socjalizmu. Przeczuwa, jak łatwo te zdobycze porzucić.

Kiedy wchodzi znajomi, Anna odrywa wzrok od wykonywanej właśnie pracy. Praca powinna odbywać się tak samo na widoku, przynajmniej do pewnego stopnia, jak na widoku jest wszystko inne. Do kuchni można zajrzeć, nachylić się i poprosić o coś kucharkę. Może tak postąpić właściwie każdy klient. Więcej cukru. Mniej cukru. Bez śmietany. Bez masła. „Bez” łatwiejsze do spełnienia, „więcej” trudniejsze, choć nie beznadziejne. Warto prosić. Kucharka, osoba na zmywaku (przecież nie pomywaczka), ubrane czysto, przepisowo. Higiena pierwsza klasa, zaznacza każdy, kto chce być sprawiedliwy. Więc nie ma tajemnic. Można do kuchni zajrzeć. Ona, na stanowisku p.o. kierownika, też nie ukrywa przebiegu zdarzeń przy swoim stoliku. POP by ją za akuratność i ekspansję w problematykę żołądków pochwaliła. Wszystko się zgadza, bilansuje. Raporty, produkty, kalorie, bilon i banknoty.

Jeśli chce pójść na zaplecze, może to zrobić. Ciasna kanciapa wydaje się za bardzo należeć do Waltera. Nie lubi tam być, coś jej w tym byciu na cudzym miejscu przeszkadza. Inaczej niż Ula, która ostatecznie pewnie zostanie tu szefową. Całe życie w barze, przy jednej ulicy. A mogłaby, właśnie ona, zupełnie inaczej. Wyjechać, myśli Anna, zacząć od nowa. Ona sama nie ma takiej szansy. Musi zrobić to zupełnie inaczej. Sprawdzić się, wpasować, przylegać ciasno. Ona raz już jechała.

Gotowanie na widoku, prawie przy ludziach ma jeszcze inną, poza sprawiedliwością, społeczną, przyczynę. Po mieście krąży pewna historia, z tuż-powojennych czasów, ale wyjątkowo trwale wpisana w szeptaną tradycję. Jeszcze czasem ktoś coś do niej doda. Chodzi o kiełbasy. Z ludzi. Właśnie. Tak wyglądała ta cała, parszywa, prywatna inicjatywa. Te sklepiki z nie wiadomo czym, nie wiadomo skąd przywiezionym. Te domowe obiady w nie wiadomo jakich warunkach klecone, te pierogi lepione przez nie wiadomo jakie ręce. Te obskurne wyszynki, na szczęście zamienione w normalne bary z wódką, śledziem i piwem. Historia kiełbas wywołuje dreszcze, jak opowieść Uli o sąsiadce, która z miłości podpałiła kuchenny stół, nie bacząc na to, że miasto paliło się sektorami, kamienicami, że brakowało w nim całych mieszkań i stołów też, na pewno. Nie doceniając szczęścia, jakim była ich prawie nienaruszona kamienica, z meblami ustawionymi w lepszych czasach. Nic dziwnego, najwięcej czasu spędzała przy kuchennym stole, siekając na nim, czyszcząc, patrosząc, zagniatając dla męża, który – podobno – z kimś się spotykał. Szczęśliwie chromego męża, niezamieszanego w wojnę Hitlera. Nieważne, opowieść jest w sumie ładna, Anna lubi wypytywać o szczegóły. Tyle razy to słyszała, ale. Lubi prawie jak o miłości z *Czarodziejskiej góry*, *Anny Kareniny*, *Straconych złudzeń*, *Cichego Donu*. Z tych nowszych, wydanych w płótnie, albo staroświeckich – i może nawet nieodpowiednich do czasów – starych wydań powieści, czytanych przez kobiety, pożyczanych od znajomych. Drukowanych w masowych nakładach, starannie, i sprzedawanych w kilku dużych, dobrze usytuowanych księgarniach. Wypożyczanych w zakładanych systematycznie filiach bibliotek. Na tyle wyeksponowanych, że nie myśli się o innych, z jakiegoś, podobno obecnego, indeksu. Kto by domagał się nowych lektur, skoro ma w domu Balzaka?

Ta druga historia, czy raczej – ze względu na popularność w mieście – pierwsza, nie jest romantyczna. Przypomina horrory i raczej szeptane niż wyjmowane z biblioteczek domowych. Otóż właściciel sklepu mięsnego, gdzieś na Niebuszewie (wszyscy wiedzą, jaka to dzielnica), miał zamordować kilka, może kilkanaście osób, samotnych przybyszów, takich

nie brakowało w Szczecinie, żeby dodać ich mięso do kiełbas, parówek, salcesonów, nawet kaszanki, sprzedawanych z dużym powodzeniem – ustawiały się tam, wielu widziało, kolejki. Wielu widziało, nikt sam nie kupował.

Annie przypominała się od razu, na pewno prawdziwa, opowieść o macy. Że Żydzi, także i w jej miasteczku, podobno i sąsiedzi, takie rzeczy praktykowali. Wybierali sieroty, żeby nikt się nie upomniał. Czy oni tu, przybysze, nie byli sierotami? Kto by się upomniał o nią, na przykład? Kto by zniknięcie, wtedy, na początku, zauważył? Szef? Koleżanki z pracy? Dziekanat, kontrolujący obecność? Lekarz? Do jakiego stopnia chcieliby angażować się w poszukiwania? Raczej skreśliliby ją z jakiejś listy, bo lepiej się w takie sprawy nie angażować. Kto wie, ludzie jeździli na początku w różne miejsca, decydowali, gdzie zostać. Potem znikali, owszem. Też lepiej było tego nie analizować. Tak jest. Spokojnie można by tu zrobić z niejednego kiełbasę. Niejeden sobie może nawet sam zawinić. Żyjąc po cygańsku. Anny samotność nie jest taka, o nie, nie taka. Anna nie wybierała tego, wybrawszy się w drogę. Trzeba z kimś trzymać. Anna nie miała niczego do ukrycia.

– Nie wygaduj bzdur! – mówiła Ula. – Ja przeżyłam prawdziwy głód, możecie mi wierzyć. Widziałam różne rzeczy. Jednak nigdy nic podobnego. Człowiek nie da rady zjeść drugiego człowieka. Owszem, zabić. Potem musi pozbyć się ciała. Nie da rady przyrządzić z człowieka kiełbas – Ula zawsze ma swoje zdanie. Anna nigdy tego nie mówi, zachowując skojarzenie dla siebie, jednak nie da się ukryć, że nie takie rzeczy ziomkowie Uli robili. Z ludzi.

O tym nie będą głośno mówić, ale przy pochodzeniu... Założmy, że... Ona sama nie wypowiadałaby się tak zdecydowanie.

Marysia zajmuje inne stanowisko. Żadna z nich nie wszystko widziała. Nie wszystko. Co z tego, z wiedzy, pełnej lub niepełnej, skoro od lat się o tym mówi? Może on sam nie jadł? Na pewno musiał próbować, jak każdy, kto robi przy jedzeniu. Bez tego się nie obejdzie. Trzeba próbować. Włożyć rękę do michy z mielonym, posypać solą i pieprzem, włożyć do ust. Pokazuje przebieg zdarzeń kucharka. Śliniąc przy tym te palce, które trafiają do hipotetycznej michy. W każdej repetycji opowieść nabiera mięsa. Obrasta w szczegóły. Jak oprawiał, jak ważył, że znaleziono jeszcze szczątki ludzkie. Tak, byli tacy, którzy lepiej wiedzieli. Mimo chęci władzy, żeby za wiele o tym nie...

– Przeciwnie! – krzyczy Ula – zastanów się, kto i po co rozpuszcza takie brednie! – Anna się nie zamierza zastanawiać. Anna nie lubi tej głupiej odwagi Uli, tego jej gadania. Dobra, w koninie za to nie rozpoznasz smaku. Mogło być tak, że ludzkiego mięsa dodawał do koniny. Kupionej pokątnie.

– W każdej historii może być część prawdy. Może chodziło o kiełbasy z psiny? – podpowiada przy którejś-tam dyskusji na ten temat Walter, po porannym głębszym. Żeby je pognębić, podpuścić, pouczyć. Rozbawić. Obrzydzić. Kupują w tych masarskich sklepach z maszynkami do mięsa sprzed wojny. Z ładami, w które wsiąkała krew i w '37 i w '39 i w '44. Dobrze, że wymienili napisy wieszane na hakach. Jeśli rozmawiają przy ciastkach i winie, u Uli lub Waltera, Marysia dokłada którąś z historii szpitalnych.

O duchu zmarłego na raka pacjenta, straszącego w łazience po dwudziestej drugiej. Nikt nie uwierzyłby, gdyby nie pacjentki, nielegalnie palące tam papierosy czy biorące kąpiel o zakazanej godzinie. Tak je wystraszył, że nie paliły do samej śmierci. Marysia wie to od salowej z onkologii.

– Nie gadać, nie gadać, bo jedzenie nam przejdzie tym głupim gadaniem.

Bo, fakt, jedzenie bywało może nadmiernie nowoczesne. Te proszkowe specjały. Te różne zmiany składu. Te sposoby, żeby się rozmnożyło. A w tle, ostoja dobrego smaku, gęsta śmietana. Solone masło. Niewiele więcej. Czasem dodałoby się czegoś, czegokolwiek. No, zgrabnej nóżki panny Uli, piersiątko któregoś młodszego, śmieje się kierownik i za nim wszystkie. Z rączki panny Uli, fakt, smakuje najlepiej. Póki rączka żywa. Makabryczne żarty.

Czyli, żeby ludzie mieli zaufanie, nie można zbyt szczelnie odgradzić zaplecza. Żeby nie podejrzewali wsadu do kotła. Nie ma żadnych wsadów. Od lat, od początku, przychodzą do nich ci sami ludzie. Większość ma obiady w domach. Mieszkająca w tej okolicy większość. Anna zna część tych ludzi, podnajmowane pokoje, wreszcie ten przydział na maleńkie, lecz własne, oscylują wokół centrum. Kobiety siedzą w domach, sporo kobiet, gotują same rodzinom. Pewna kategoria ludzi korzysta z ich ofert, stołuje się w „Bambino”. Niemało jest tych ludzi, zmieniają się z czasem. Inni zostają. „Bambino” wciąż na szlaku, bar przechodni, miejsce, które trzeba minąć, poruszając się po którejś z osi miasta, nakładanej na to, co wystaje spod uprzątniętych ruin.

Nie wahają się dokładać z kotła swoim najbliższym. Anna nikogo takiego na miejscu nie ma. Najbliższe są Ula i Marysia, które nie potrzebują dokładania. Anna wybiera zawsze kogoś, czyjej porcji pilnuje starannie. Jakiegoś samotnego mężczyznę. Smutnego nastolatka. Cichą kobietę. Nie wie: czemu, po co. Wybiera kogoś z tych dziesiątków odwiedzających bar, żeby przez chwilę się nim poopiekować. To nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością, wprowadzoną przez spółdzielnie socjalistyczne. To jest, prawdę mówiąc, odruchowe.

Niektórzy lubią koninę. Marysia, taka delikatna, a odwiedza z Jankiem restaurację z końskimi zrazami. Nie ma oporów. Nie czuje, że mięso końskie śmierdzi jak padlina. Anna by tego nie jadła. Czego jednak się można spodziewać. Marysia i ten jej Janek, miły i postawny. – Delikatny? No dobrze, może delikatny. – Postawny także. Urodzili się, nie ukrywajmy tego, na wsi. Anna czuje teraz przewagę, wyraźną. Sama pochodzi, bądź co bądź, z miasta.

Każdy klient baru mógłby mieć tajemnicę, myśli Anna. Nawet taką. Sieka człowieka do salcesonu, a u nas je leniwe. Nie takie rzeczy ludzie potrafią. Wyobraźnia, dreszcz przechodzi po krzyżu Annie. Są tajemnice mniej makabryczne. Janek, podobno.

– Nie rozpowiadaj plotek – prosi ją Ula. – Jeśli nawet poszedł tam do pracy, chyba się nie dziwisz? – Łagodzi, taki ma zwyczaj. Czy można ufać tej jej moralnej elastyczności? Jest Niemką, niejedno widziała. Wyrozumiała, co się dziwić. Jasne. Musiała wybaczać. Na przykład ojcu. Braciom. Nawet matce, która nie wywozła jej w porę i w dodatku umarła. Jak moja, dopowiada sobie Anna, tyle że... Coś jeszcze dopowiada. Tłumi złość. Nawet chciałyby, prawdę mówiąc, żeby Janek okazał się szubrawcem. Żeby miał udział w tym, o czym się nie mówiło. W gnębieniu ludzi. Słyszała, owszem, takie rzeczy, wszystkie słyszały. Znikający ludzie. Niejeden nie mógł dokończyć edukacji wcale nie z powodu zdrowia, co ją dotykało, ale z powodu relegacji. R-e-l-e-g-a-c-j-a. O tym się głośno mówiło. O usuwaniu elementu, przez całe lata. O przywracaniu niepotrzebnie usuniętego. Zaraz po '56. I znów o usuwaniu. Huśtawka z elementami. Nie podobał się jej Janek za bardzo. Mógł być kimś takim. Wyczuwała w nim to. Wspólnotę. Odrzuconych. Zawładnął ich Marysią. Zabrał sobie tę dziewczynę, którą przyjęły jak swoją. Bo to, że była sublokatorką Uli, nie znaczyło, że się nią po równo nie zaopiekowały. Od razu. Anna nawet bardziej, pamiętała, by przypominać jej o jedzeniu. O moralności. I tak dalej. Sądziła, że Ula też, ale ona sama jest dziewczynie potrzebna. Pamięta, jak było z nią, zaraz po przyjeździe tu. Zanim nie trafiła na Ulę.

– Nie uważasz, że za szybko? Ledwie się poznali, nie uważasz? – pyta Ulę.

– Nie, nie uważam. Życie teraz jest szybkie, na co czekać? – malowała sobie paznokcie, siedząc tyłem do okna w swoim pokoju. Te czynności, manikiur, farbowanie włosów, często wykonywały wspólnie, a przynajmniej w obecności innej kobiety. Pod nieobecność, stała lub chwilową, mężczyzn. Ula tak ją przekonywała, jakby była zwolenniczką małżeństwa. Ją, zwolenniczkę tegoż.

– Sama powinnaś kogoś sobie znaleźć, nie zajmować się młodymi, szczerze ci powiem, moja droga – dodaje Ula, dmuchając na paznokcie. Ujmuje tę radę w eleganckie słowa, kobiety potrafią być między sobą eleganckie. Szczególnie przy malowaniu paznokci.

Ludzie różnie wybierają, miejsce przy stoliku, osobę na życie, Anna rozgląda się po sali. Jakoś nagle wydaje się jej szara, brudna, metalicznie smakująca aluminiowymi sztućcami. Dobrze. Dobrze. Niedługo tu mojego. Na szczęście. Będę do nich wpadać na pierogi. Na szczęście, nie muszę dłużej tu pracować. Co nie znajdzie się w pracy magisterskiej, chwalać jej nowoczesny system spółdzielczego żywienia ludności.

BIUROWE SPRAWY, 1965

Ma swoje biurko, nareszcie sytuacja jest jasna, nabiera konturów. Żadnego pół na pół, ćwierć etatu, tajemnych przejść pomiędzy wcieleniami, odbierania pensji osobno, nie ze wszystkimi, w zakładach. Bo do pensji dodatek, którego nie byłoby jak wyjaśnić. Wyjaśnia się za to, czemu zawdzięcza to wszystko. Banalna sytuacja, Heniek mówi mu wprost przy wódce, piją teraz w kantine, podczas urzędowania, w drodze do domu, do placu Grunwaldzkiego wspólnej. Heniek inicjuje picie, sam ma mocną głowę, nie traci kontroli.

– Najważniejsze, pamiętaj, w tej robocie nie trać kontroli. Wódka dla ludzi, rozpic się nie wolno. Stracić poważanie. Jak w naszych stronach przecież, zasady są znane – owszem, pili i tam, dziadkowie, wujkowie, sąsiedzi, z umiarem. Pijusów nikt nie považał. Zapraszani do kompanii na pośmiewisko. Im to nie grozi. Heniek patrzy życzliwie, dobre chłopisko, chce się z nim kraść konie, niejedną koniak (bo nadchodzi czas koniaku armeńskiego) wychylić.

Nie idzie o to, że Janek daje się uwieść. Władzy z piękną twarzą Heńka. Nie, nie tak naiwnie. Janek jest mocny, zna smak samotności i poniżenia, łatwo ten smak zapomniał, bo trzeba zapomnieć, musieli zapomnieć, na tym budować życie. Inaczej się nie da. Wszedł najpierw w miasto, potem w rodzinę, zostawiając daleko za sobą dawne lęki. Obrazy dzieciństwa, wczesnej młodości. Stara się żyć tym dobrym życiem, które sam wziął. Wybrał kobietę, spłodził dziecko, postanowił mieć jak najlepszą pracę. Nikt go nie ostrzegał. Niczego takiego nikt mu nie powiedział. Że są prace, których warto się podjąć. I inne, pachnące trupio. Nie szło też o to, że chciał czegoś za wszelką cenę. Nie, wcale nie był gotów zapłacić każdej ceny. W ogóle nie spodziewał się konieczności zapłaty. Z różnych możliwości, jakie miało dla niego miasto, ta wydawała się niezła, najlepsza. Jak w wojsku, gdzie od razu zgłosił się na pisarza, bo miał dobry charakter pisma. Po swojej wiejskiej podstawówce, zaczętej zawodówce wieczorowej – mógł pisać, przepisywać. Podjąć się czegoś, co leżało w zasięgu możliwości i propozycji stwarzanych przez życie. Wyszedł z wojska w stopniu kaprała. Wzywany z rezerwy, nie biegał po poligonie. Miał zadania przy intendenturze. Podobnie, bez wahania, poderwał Marysię. Najpiękniejszą dziewczynę, jaka kiedykolwiek usiadła przy stoliku w barze. Czekał na nią, obserwując wcześniej inne, może – na pierwszy rzut oka – odpowiednie dla poznańskiego kmiotka. Sięgnął po aktorzycę i ją dostał. Teraz, kiedy jego nazwisko jakoś znalazło się wśród kandydatów, nie miał w zasięgu wzroku niczego lepszego. Już był ich – nie wiedząc o tym – kiedy zgodził się przekazywać informacje do akt. W tym gromadzeniu informacji nie widział niczego niestosownego. Pani Klara, w kadrach, miała poukładane równo teczki. Nie trzymała ich nawet w panczernej szafie. Po prostu: teczki, segregatory. Informacje o każdym pracowniku. Kiedy, co, z kim, ile, dlaczego. Takie rzeczy stanowiły argumenty w razie zwalniania lub awansów. Przy rozdziale wczasów i premii. Co miałoby kogo dziwić w skrupulatnym odnotowywaniu spóźnień, niewłaściwych wypowiedzi podczas masówek, małych sabotaży w postaci zbyt często komuś pękającej śrubki? Dane należało gromadzić. W fabryce ludzie z różnych stron, zbieranina lepiona niemałym wysiłkiem przez miasto, partię, dyrektora. Lepienie w kolektyw. Konieczne, żeby kwota na pasku przy kasie odpowiadała oczekiwaniom. Innego systemu nie było, więc innego nie znał. W końcu na pewno lepszy, sprawiedliwszy niż to, co wiedział od dziadków i wujków o pracy za Niemca i tej przed wojną. Właśnie.

Nie był naiwny. Był zwyczajny. Szedł do przodu, póki nie napotkał przeszkody. Przeszkody nauczył się pokonywać kopniakiem. Kopał własną twarz odbitą w lustrze. Bo jeśli nie dawał rady, mógł być winny. Miał wdrukowane w mózg poczucie winy. Był, jednak, wiejskim bękartem. Nie znał innych życiorysów na tyle dokładnie, żeby za nimi tęsknić. Wiedział, że każdy musi zrobić to, co musi. Żeby się dostać, żeby coś dostać.

Heniek w jego dojrzewaniu do pracy w służbach odegrał inną rolę. Nie kusiciela-diabła. Raczej przykładu człowieka, którym każdy chciałby zostać. Kiedyś, w połowie własnej drogi. Najpierw nim zostać, potem przekroczyć jego możliwości, awansować. Zdobywać coraz to nowe stopnie tej góry, która wyrastała przed nimi kiedyś, w stronach rodzinnych, a która okazać się mogła pagórkiem, gdy zjednoczyli siły. Tak, być z kimś, w jednej drużynie. Ideologia nie miała tu nic do rzeczy. Nad ideologią Janek nie dumał. Zostawiał to innym, zajmującym miejsce po drugiej stronie góry, bardziej zaawansowanym.

Kiedy powiedział Marysi, nie wiedziała, jak zareagować. Jednak w szpitalu mówiło się, mówiło źle o różnych sprawach. Bywało, przywozili kogoś pobitego. Kto nie wyglądał na pijaka. Ona pracowała na dziecięcym, ale wiedziała o tych sprawach, ciemnych sprawkach powszedniego dnia miasta. I była stamtąd, pochodziła ze stron, w których bano się funkcjonariuszy państwa przychodzących o świcie do domu.

– Jakoś to musi działać, docierać się, przynasz – tłumaczył jej podczas spaceru. Półgłosem. W końcu zresztą miał być po prostu urzędnikiem zbierającym dane o ludziach w celu zapobiegania kłopotom. Aferom. Nieuczciwości. I czasy, powtarzał wielokrotnie, zupełnie inne, spokojne. A zadania w mieście szczególne. Strategiczne. Kompletna zmiana, czuło się skutki porządku po odwilżowym bałaganie. Retoryka dyscypliny w przemówieniach. Nie brali udziału w tym, co przedtem. Nie brali udziału w popuszczaniu. Robili swoje, pracowali.

– Skoro tak... Ja nie wiem, ty sam powinienes wiedzieć. – Nie chciał jej mówić, że w zakładach nie może dłużej zostać. Nowy dyrektor proponował mu podjęcie studiów. Inaczej nie będzie mógł zachować, nawet przy poparciu, stanowiska. Kadrowy powinien mieć studia. Niepewne to było, zaraz, w tym samym tygodniu po rozmowie z dyrektorem ta z Heńkiem, przy Małopolskiej.

– Czasu szkoda na studia. Nasze szkolenia są ci potrzebne. Na żadnych tutejszych studiach nie nauczą cię niczego pożytecznego.

To mógł nie być zbieg okoliczności. Dobry zbieg okoliczności. Zapowiedź utraty pracy w momencie, kiedy proponowano mu przejście na Małopolską. No i, rzeczywiście, chwilami czuł się szpiclem. Wtedy, w zakładach. Co innego teraz. Pensja, jednak przywileje. Marysia trzyma z nim, jeszcze, właściwie tak. Praca to praca.

Nikt nie kupuje jego duszy. Robota najpierw taka sama, trochę bardziej nudna niż w zakładach, gdzie jak w domu. Ma swoje biurko, sam w pokoju. Teczki trzyma teraz w pancерnej kasie. Sprawdza dane. Ma swój rewir. Zakłady pracy, szkoły, knajpy. Sprawdza pracujących tam ludzi. Każdy kadrowy, każdy dyrektor otwiera przed nim swój sejf, swoje szafy. Jak przed inspekcją sanitarną. Nudna rutyna. Czasem ktoś zagląda do jego notatek, czasem prosi go o konkretne dane. To się słabo łączy z myśleniem o konkretnych osobach. Przypadki. Numery. Sygnatury. Tylko tyle. Rzadko wypytywani ludzie. Nie jest śledczym, nie prowadzi spraw, nie werbuje informatorów. Jest zaledwie urzędnikiem.

Częściej pije w kantynie z mężczyznami w różnym wieku. Noszą szarawe garnitury, pachną potem, łysieją. Zlewają mu się w obraz głów pochylonych nad stolikiem z pełną popielniczką, butelką alkoholu, zakąską. Z żadnym nie ma bliższych kontaktów, poza Heńkiem. Heniek ma w sobie powściągliwość chłopaka z poznańskiego, zaciętą akuratność i ironiczne poczucie humoru. Dobrze im się pogaduje po swojemu przy stoliku. I w pokoju biurowym. Nigdy nie odwiedzają się w domach.

PASZPORT, 1967

Decyduje pojechać. Pierwsza myśl – do brata. Druga, że go nie zna. Pocztówki i paczki od ojca. Pocztówki potem od żony brata, póki ta nie umrze na raka, jeszcze później, w podakcji tej decyzji, kiedy sprawa wyjazdu, tam, zacznie ją osaczać. Tymczasem atmosfera niepewna, o paszport trzeba się starać, listy z zagranicznymi znaczkami nie budzą emocji jak po '49 (kiedy ich, poza tymi z Czerwonego Krzyża, nie dostawała), coś wisi w powietrzu, na czole Janka pojawia się pierwsza zmarszczka. Ula z nikiem początkowo o tym nie rozmawia. Tyle w tym dziur, żyje między nimi bez zakłóceń. Zanim Stefan potwierdzi:

– Powinnaś jechać.

Przerwa, znów nieoczekiwane i wyczekiwane znaki. Brat sam nie pisze. Zleca tę czynność kobietom. Kobiety są słabsze. Element do wymiany. Niemiecki mężczyzna nie do zdarcia. Trzecia myśl – jeśli ktoś, to ojciec. Ma obowiązek mu opowiedzieć. O śmierci mamy. Spojrzeć w oczy. Wytłumaczyć, dlaczego nie myślała o przedostaniu się tutaj. O ile Ula, Ulrike przepoczwarzona w Ulę, coś wiedziała na ten temat. Jeśli umie spekulować dzisiaj. Koniec końców, rzeczy potoczyły się tragicznie, ale mogły przecież, potencjalnie, mieć zupełnie inne kontynuacje. Może mamie nie chciało się decydować za wszystkich, a to, co się stało, się po prostu stało? Dziwna rzecz, nie myślała przedtem, że nie myśli. O wyjeździe. Te zaczepki, rzucane w przestrzeń. Przez kolejne pracownice baru, sąsiadki.

O produktach, które tam oni mają, ledwie dwadzieścia lat od wojny, a wszystko lepiej im idzie. Jeszcze nie spłacili długu wobec ofiar, a już swoim obywatelom tyle dają. Gadki o tym. O załatwianiu. O paczkach z bliższego świata, a też szczelnie zamkniętego. Nie zacierała specjalnie śladów. Wokół siebie czy w sobie. W pewnym sensie, papiery po wojnie. Rzadko ogląda swój dowód. Kolejne myśli, natłok, potok. Dobrze, po prostu musi. Zobaczyć. To jej rodzina. Minęło ponad dwadzieścia lat, na pewno nie pojedzie dalej. Nie zostanie. Nie zamierza. Może to szczerze zadeklarować. Kiedy mówi Jankowi przy stoliku w „Bambino”: – Czy mógłbyś, myślę, że może mógłbyś mi pomóc się starać... – szczerze myśli, że mógłby. On nie czuje, że to coś dobrego, że wyświadczy przysługę. Nawet gryczana mu nie smakuje, kiedy daje jej słowo, że na pewno. Nie ma przeszkód. Nikt nie odmówi jej prawa.

Paszport dostaje więc nadspodziewanie łatwo i bez dodatkowych podań, pytań. Zaproszenie, wnioski. Wyjazd do Berlina Zachodniego. Dobrze. Za każdym razem oddaje ten paszport. Inne wyjście: Berlin Wschodni. Pierwsza wizyta pełna dreszczy, choćby z powodu paszportu. Z którym można. Pojechać. Z paszportem, za murem. Dzielącym świat na dobrych i złych. Za murem. Ojciec mieszka w Charlottenburgu. Piękna, teraz spokojna dzielnica. Nie przypomina Szczecina. Szczecin, kopia, bliżej. Panków. Tam mieszkają jacyś odlegli w czasie, z luźnymi więzami krwi, znajomi i powinowaci. W dawnym sektorze radzieckim, więc przed murem. Niczego się tu nie wie o murze, nie gada o tym. Dalsi, wcale ich nie pamięta, nie zna, nie chce poznać. Ohydne, podobne do najgorszych szczecińskich, małe mieszkania. Dobrze, ewentualnie obiad. Dobrze, mogą i ją odwiedzać, ile razy zechcą. Tak jak sąsiadki ze starej kamienicy, zawsze mogą do niej wpadać, czego żadna nigdy nie robi. Zapraszając, wie o tym. Ojcu musi się dobrze powodzić. Z drugą żoną. W pewnym sensie jest bigamistą. Nie miał pewności, czy pierwsza nie żyje? Może miał, Ula tego nie wie. Może znał wszystkie fakty. Może coś docierało tam, gdzie był. Daleko. Ona tkwi w tym samym miejscu. Mógł ją szybciej odnaleźć. Być może. Gdyby nie spędzał czasu w miejscu dość odległym, o czym nie chce wspominać. Stamtąd, z przeklętej Północy, przywiózł żonę. W '56, z wiadomości nowych, pozyskanych teraz, ta data. Z ich strzępków. Nie opowiada o tym. Próbuje ją, Ulrike, znów Ulrike, oprowadzać.

– Więc mieszkasz w naszej kamienicy? – pyta ojciec. – A kto ma to mieszkanie po doktorze? Pamiętasz? Jak się bałaś do niego chodzić. A wiesz ty, że on żyje. Bardzo by się ucieszył, gdybyś. Oczywiście, za dużo. Powinnaś to przetrwać. Mam nadzieję, że teraz będziesz częstym gościem. – Narzędzia musiały nadal leżeć w pudełku na półce pawlacza. Tak, pewnie tam leżały. Pewnie by się ucieszył, gdyby wiedział, że zachowała narzędzia. Nie, nie bała się. Kompletna bzdura. Lubiła dentystę. Czy ojciec, teraz strasznie stary, obcy, niemiecki, z niepasującą młodą rodziną, coś może pamiętać?

Nie protestuje. Nie wyjaśnia. Zapala jej się w głowie lampka. Jak te przedwojenne kontrolki w służbówkach. Nieczynne, chyba że ktoś zmieni żarówkę. Opowieści o Niemcach, którzy przyjdą po swoje. Dziwne. Ona tak myśli – o Niemcach. Obok tego obraz garniturów ojca w szafie. Sprzedawania wszystkiego poza tym, co należało do ojca. Matka żyła jednak jakąś nadzieją. W tym całym beznadziejnym położeniu. Potem nagłe wymiatanie śladów po ojcu, hitlerowskim zbrodniarzu. Którym nie musiał być, wystarczyło, że był Niemcem. Cóż, Ula się na nikogo nie gniewa. Nie przyjmuje utyskiwań na złe czasy. Ula ma jedną zasadę: żyje. Nie wolno życiu zbyt wiele wyrzucać. Ojciec jest jednak zupełnie obcym człowiekiem. Przytula się do niego ostrożnie, na powitanie. Obco pachnące ramiona. Trochę obrzydliwe. Więc nie odrasta jak paznokcie. Tylko odległe obrazy, ojca z matką. Tylko dlatego. Dla nich. Dla niego? Dla siebie samej? Najmniej dla samej siebie. Ula, Ulrike, wolałaby mieć amnezję. – Widocznie nie zasłużyłam na utratę pamięci – powiedziała kiedyś Stefanowi obudzona przez niego z koszmaru. Głaskał ją po głowie, ale nie zaprzeczał. Myślał o sobie tak samo? To było to? Ta ich wspólnota? Ich koszmary zbiegające się w jedno pod kołdrą na starym tapczanie?

Niemieckie napisy na szyldach, w metrze. Język, pismo i mowa. Mówienie przez ludzi w metrze. Przechodzenie w pobliżu muru, strażnicy. Myśli po polsku: strażnicy. Coś się kojarzy. Potem umyka. Obcy ludzie. Morze obcych na ulicy. Ruch i światła. Szczecin wciąż odrobinę senny, prowincja, jednak teraz widzi, że prowincja. U ojca w domu. Mężczyzna do którego mówi „tata”. Ona i o niemal dwadzieścia lat młodsza od niej dziewczyna. Tata po wojnie trochę poczekał. Zresztą, nie opowiada jej o tym. Gdzie musiał. Czy musiał czekać. Jaką zapłacił cenę. Wspomina tylko, że bratu, jego synowi, lepiej się udało. Nie płacił, w zamian za co wyrzekł się wielu rzeczy. Trudno zrozumieć, czemu i on jej nie szukał. Aż do teraz. Czemu się wyrzekli. Domu, matki. Przeszłości przede wszystkim, a do przeszłości należał nie tylko Wehrmacht, także siostrzyczka Ulrike.

– Poznałem ją tam, widzisz... Tak się ułożyło – Ulrike nie chce znać szczegółów.

Ledwo zaczynają. O wojnie i bombardowaniach. Tu były też ruiny. Blokada, straszna, podobno, była blokada. – Czy tam, w naszym mieście...?? – On pyta. Ostrożnie słowo „nasze”. Zaraz zmieniają temat. Bo Ulrike nie wie, o jakie miasto może chodzić tacie. Temu mężczyźnie, któremu z uprzejmości mówi tato.

Ula jest, jaka jest. Zwyczajna. Chce opowiedzieć ojcu o śmierci matki, ma na końcu języka, niczym hibemat, gotowe zdania. Przechowuje je od wtedy. On jednak o to akurat nie pyta. Wrócił dopiero w '56. Do Berlina, bo wydawało mu się, że będzie bliżej. Stąd pojedzie po córkę.

O śmierci żony wiedział. Jeszcze w '50. Nie rozumiał braku odpowiedzi na rzadkie listy. Potem zrozumiał. Kiedy już tu byli, zaczęli budować swoje nowe życie, nowa żona zaczęła ciągnąć go w drugą stronę. Musiało minąć sporo czasu, żeby uwierzyła, przyjęła do wiadomości, że tamto, córka, nie zagraża jej i jej córce. Tak jakoś się potoczyło. Ula musi zrozumieć.

Oglądają razem Berlin. Zniszczenia. Odbudowane zniszczenia. Sklepy, w których nie widać śladów ciężkich czasów. On córkę próbuje oszołomić. Dostatkiem i dobytkiem. Żadnych politycznych tematów. Polityczne jest samo to, że. Jednak jej akcent. Brak słów na

te nowe rzeczy. Zmywarka, na przykład zmywarka. Ula się domyśla, jak mogli nazwać zmywarkę.

Brat mieszka cały czas w NRD.

– Całkiem się dał wciągnąć – mówi ojciec ze złością. – Sprzedał się komunistom.

Ula zwalnia, przestaje się zachwycać Bramą Brandenburską. Długi spacer, krążą w okolicach muru.

– Co masz na myśli? Jakim komunistom? Może on tam po prostu żyje?

– Żyje, a jakże. Członek partii.

Zaraz, spokojnie, myśli Ula. Ale mu przerywa.

– Nie uważasz, że jednak to ty masz na sumieniu partię? O nieco gorszej opinii.

– Co? – odpowiada ojciec i wydaje się, że z trudem powstrzymuje wybuch. – Gorszą? Tobie też tam polaczki wyprały umysł? – przez chwilę rozważają, czy warto to ciągnąć, taką rozmowę. I jednak oboje pasują. Wolą zagryźć słowa jakąś currywurst czy czymś takim.

Ula przeżywa tę wizytę w półśnie. Nie chce inaczej. Owszem, sporo kupuje. Walizkę specjalnie przywiozła pustawą. Buty, ubrania, drobiazgi. Starannie odprawa metki. Chce mieć trochę tych lepszych rzeczy. Dla siebie i na prezenty. Właściwie niewiele więcej pożytku i uciechy. Ojciec jest kimś obcym. Nie zajmuje miejsca tego z chowanej głęboko fotografii. Nie pyta jej w końcu o '45, '46. Nie pyta. Śmierć mamy też zdaje się go nie obchodzić. Wobec ciągłej obecności tej młodszej żony i najnowszej córki. Obchodzą go kamienice. Kto gdzie po kim. Czy bardzo zniszczone przez tych... ze Wschodu. Tego za wiele. Mówi mu:

– Moja najlepsza przyjaciółka jest ze Wschodu. Na pewno niczego w życiu nie zniszczyła. Nie bombardowała i nie porzucała rodziny. – Ale się mityguje i zaraz przeprosza. Bo po co? Kto zrozumie.

Podczas drugiej wizyty przed mur przyjeżdża młodszy brat z synem i drugą żoną. Każdy ma te drugie żony. Jak z rozdzielnika. Ta wizyta niewiele daje. Za to język. Ula wpada lepiej w rytm języka. Wymowa brata więcej jej z niej samej przypomina. I jakaś udawana serdeczność. W końcu najmilsza okazuje się właśnie bratowa. Żyją na Wschodzie. Nie trzeba im niczego wyjaśniać – Berlin Wschodni. Ja wolę Wschodni – mówi bratowa do Uli, chociaż od tylu lat nie bywa w Zachodnim – taniej, lepsze sklepy. Nie takie mieszczańskie. Dla ludzi. Umówimy się, pomogę ci przy zakupach. – Jest jakoś podobna do kobiet, które Ula zna. Myśli o wizycie. Żeby odwiedzić brata i bratową w ich domu. Chce ich zaprosić do siebie. Interesuje się gospodarzeniem u nich, w ich miasteczku. Ich pracą, meblami, psem, teściową. Bratowa jest jej bliższa niż brat, który nie pisał przez dwadzieścia lat, mając tak blisko.

Pociąg jedzie przez granicę w mieście. I dalej. Wioski przypominające te polskie. Ula czyta po drodze wszystkie napisy. Utrwała w sobie niemiecki akcent. Robi się szarawo, pustawo, mniej niemiecko. Akcent, nowe słowa. Przyda się. Dla uczniów. A gdyby tak, myśli, nie wróciła? Gdyby. Przez parę dni jest po stronie świata, do którego należy także Stefan. Zaczyna się o tym znów częściej mówić.

O pochodzeniu, dającym możliwości. O stygmacie, dającym szansę. Paradoks. Do Izraela miałyby stąd bliżej. Chociaż tu, z tej strony, wymyślono zagładę Żydów. Miałyby bliżej. Miałyby bliżej. Po polsku, w takt jadącego pociągu. Wszędzie mieliby bliżej, może i do siebie mieliby bliżej?

Właściwie poza tym mgnieniem myśli cieszą ją zakupy. Spotkania mniej. Raczej trudny obowiązek. Jeszcze coś: uczucie ulgi. Nie musi dla nikogo przechowywać prawdy. Tej tuż powojennej. Może ją głębiej schować.

– W każdym razie masz bliskich – podsumowuje Anna. – Pamiętaj, to ważne. Ja się z bratem nie widuję całymi latami, ale wiem, że w razie czego mógłby mi pomóc.

– Mógłby. – Uczucie obcości.

– Moja droga, ludzie czują taką obcość na co dzień. Pod jedną kołdrą. A ty byś chciała fajerwerków więzi po takim czasie. – Fakt. Chciałaby. Skoro ich nie ma, nie ma uczuć,

postanawia polubić tę odległą rodzinę. Trochę jak nowych znajomych. Im to odpowiada. Przysyłają większe paczki. Z obu państw niemieckich – dobrego i złego, tak mówią dzieci. Tak je uczą w szkole. Ula ma krewnych w dobrym i złym państwie. Sama mieszka u siebie. Nie za granicą. Donikąd się na stałe nie wybiera.

Kiedy postanawiają ją odwiedzić, brat i bratowa, bardzo się stara. Ojciec nie, on nie mógłby. Oglądać miasta dzieciństwa w takim stanie. Nie wiadomo, skąd wie, w jakim. Ula się na to gadanie zżyma. Nie zauważyła. Już nie zauważa specjalnie fatalnego stanu. Nie dyskutuje. Tam, na żywo, a tym bardziej w listach. Nie ma o czym. Brat i bratowa nie robią takich uwag. Chcą spacerować. Jak najwięcej obejść. Właśnie pieszo najwięcej można zobaczyć. Czuje się prawie niepotrzebna. Brat przystaje przy willach, kamienicach, drzewach. Pyta o ogród różany.

– Gdzie to było? – Ula nie jest pewna.

– W parku Kasprowicza? – Który to z przedwojennych parków? Czy to możliwe, że ona nie pamięta. Niemieckich nazw. Wzrusza ramionami. Może pamięta, a może nie pamięta. Powstrzymuje się, żadnych komentarzy. Woli zabrać ich do baru. Pokazać swoją pracę. Okno i stolik, przy którym poznali się przyjaciele. Jakies opowieści o własnym... Nie. Niezupełnie. Nie mówi o Stefanie. – Przedstawia im go jako znajomego i sublokatora. Nie są tak bliscy, żeby wszystko wiedzieć. O pracy opowiada więcej. Dobrze jest pracować w takim miejscu. Ludzie lubią rozmawiać przy jedzeniu.

– Macie tu jedzenie jak domowe – chwali bratowa. Rozumie? Rozumie, że może to być Uli centralne miejsce? Takie, w którym tyle się wydarzyło. Nie wiadomo co. Spotkania z ludźmi, praca. Nie wiadomo, co ma jeszcze. W tym swoim zaciemnianym jak w czasie bombardowań pokoju.

Kiedy odjeżdżają, czuje jednak ulgę. Tak, ulgę. Stefan znów przenosi się do jej łóżka, a ona do własnego pokoju, odstąpionego rodzinie na czas pobytu. Żeby ich dobrze przyjąć, rozkładała dla siebie połówkę w kuchni. Męka.

Jeszcze coś. Po każdym przyjeździe. Sprawozdanie w Wydziale Paszportowym. Krótkie. Z tego Janek nie załatwia zwolnień. Poucza ją, co napisać. Nie pisze całej prawdy. Nawet gdyby. Nie daliby następnym razem paszportu, myśli, zdecydowałiby za nią. Więc ledwie szkicuje: miejsca, daty. Niektóre. Żadnych szczegółów. Politycznie sterylna wizyta. Brat chwalił NRD. Bratowa ich kantyny pracownicze i przedszkola. Ojciec nie powiedział złego słowa o Rosjanach. Mogłaby sprawozdać coś innego, rów między nimi wszystkimi. Tylko po co?

Idzie na Wały Chrobrego. Dobrze, że nie musi im objaśniać tych nazw. Że może iść sama. Tak, jest dobrze. Pocztówki, nawet listy są lepsze od wizyt. Oddycha głęboko.

PUSTKA, 1968

– Ależ to niemożliwe, on nie może być Żydem! – Anna tak to wymawia, jakby odkryła jakieś przestępstwo, odstępstwo, niewybaczone przewinienie. Nie mówi, że nie może wyjechać, zostawić Ulę, odejść. Mówi, kim nie może być. Odkryła coś. Wstydliwą chorobę. Wzięły Magdusię na spacer, mała biegnie przed nimi alejką parku Kasprowicza. Ciągnie w kierunku jeziora. Nakarmić ptaszki. Miałyby ochotę trzymać za ręce ciotki, mamusia i tatuś nie mają czasu tak spacerować. Mamusia chce wracać do domu, zrobić zakupy po drodze. Tatuś najlepiej umie karmić łabędzie, nie boi się, że Magdusia wpadnie do wody. Tatuś ma mało czasu. W niedziele odpoczywa. Ciocie zawsze. Chętnie ją zabierają. Opowiadają jej, o czym zechce, opisują każdy kwiatek, ptaszka. Rodzice tyle nie wiedzą. Sporo wiedziała ciocia Tosia. Ciocia Tosia pojechała do Warszawy. Dostała tam nowy domek. Już nie gotuje Magdusi zupki i Magdusia musiała pójść do przedszkola. Przedszkole przy Armii Czerwonej to straszne miejsce z wymalowanymi na fasadzie krasnoludkami. Magdusia nie lubi tam chodzić i jeść zupy mlecznej. Krasnoludki mają złe buzie. Pilnują, żeby dzieci nie uciekały. Magdusia próbuje czasem je poprosić. Krasnoludki i panie. Zupka mleczna podbiega pod gardło. Magdusia naprawdę tego nie chciała. Zupka z grudkami. Nie sposób przełknąć. Po południu leżakowanie. Ubikacja z małymi kabinami. Każdy widzi. Pęcherz przepełniony po brzegi, a nie puszcza. Leżakowanie jest nudne i straszne. Obok chłopiec. A Magdusia jest dziewczynką.

Jedyna zaleta przedszkola jest taka, że to w pobliżu parku Kasprowicza. Ciotki, któraś z ciotek, odbierają ją i idą na spacer. Do parku, jeśli pozwala pogoda. Do „Morsa”, baru kawowego zaraz za placem Lenina, w piwnicy. Jedzą tam duże porcje lodów z bitą śmietaną. Śmietana tak samo zimna jak lody. Lody w trzech kolorach. Jeśli są z ciocią Ulą. Ciocia Ania kupuje zawsze małe. Gałka plus śmietanka. Więcej nie należy chcieć, rozboli brzuszki. Ciocia Ania siedzi i patrzy na jedzącą pupilkę. Ciocia Ula, jeśli nie weźmie sobie dużej porcji (czasem to są cassate), poluje łyżeczką od kawy na kawałki z pucharka Magdusi. Ania ma mniej czasu, bo założyła rodzinę. Dziewczynka nie musi jej mówić „ciocia”. Może „Ania”. Tytuły rodzinne powinny być zastrzeżone. Ula patrzy na Annę trochę krzywo, przywołuje ją do porządku. W tym miejscu. Nie powinnaś być taka, szkoda życia. Nikt by tego nie powiedział Annie. Do tego trzeba kogoś bliskiego.

Tym razem idą we trzy. Nie spuszczały dziewczynki z oczu, machają, uśmiechają się do niej. Ale mniej uważnie, coś je bardziej pochłania. Rozmowa. Mała biegnie przodem, zostawia daleko za sobą krasnoludki. Na szczęście dzieci mają krótką pamięć.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie może być? Pomyślałabyś? Że Róża dostawała paczki, ale ona cały czas chciała jechać, pamiętasz? I pojechała. Ale że ta z trzeciego? Nawet nie wiem kiedy. Zobacz, kawał miasta wywiało. – Ula mówi o tym niczym urbanista planujący rozwój. Kawał miasta i co dalej? Jakie to ma znaczenie dla nich? Znika ulubiona handlarka? Sklepik na rogu? Nie wszyscy, no przecież, pojadą.

– Nie o to mi chodzi – ze zniecierpliwieniem. – Ale że ty nic nie wiedziałaś? Nic o nim? No wiesz, już nie wspomnę... – nie wspomina. – Tyle lat. Owszem, ja ci mówiłam. Coś tu nie gra. Mieszka u ciebie bez ślubu. Jak trzeba, to go nie ma. Profesor, figura! Owszem, wykształcony, inteligentny. Ale dzięki tobie wyglądał jak człowiek. Dzięki tobie jakoś egzystował. Korzystał. Życie ci zmarnował, dawno mogłaś wyjść za męża – wyjść za męża, jak przed niemal dwoma laty, wreszcie, ona – zamiast obsługiwać tego niewdzięcznika... – aż się zarumieniła. Za nią, za jej naiwność. Ze złości na niego. Może mówi coś o sobie? Długie wieczory przedtem. Teraz, nareszcie, cel. Mąż, mężczyzna. Dziecko. Będzie na pewno. Dopnie swego.

Ula przypomina sobie pierwsze miesiące. Jego cichy sen. Własne czuwanie. Wodzenie palcem po zmarszczkach i bliznach.

– Ja ci powiem. Ja nie żałuję. Chciałam, żeby tak było. On mi nie obiecywał ślubu, wiedziałam, że formalnie ma żonę. Ja chciałam po prostu, żeby był ze mną. Kiedy może.

I głównie mnie obchodziło, czy był Żydem, czy kosmitą! Kogo w ogóle takie rzeczy obchodzą! Skąd jest kto? Popatrz na małą, rodzice nie zadawali sobie takich pytań.

I nie brak pytań ich gubi – Ula mówi to prawie spokojnie. Anna wie, skąd pochodzi jej mąż, kapitan. Kapitan jej statku. Co nie znaczy, że go zna. Wie o nim coś, cokolwiek ważnego.

Jego walizka. Niewiele rzeczy zdecydował zabrać. Od tygodnia stała na stole ta jego walizka. Przygotowała mu rzeczy. Reperacje, prasowanie. Chciała, żeby miał na zmianę. O żonie, to pomija teraz, też nie od razu wiedziała. Ułamki wiedzy przychodzą w momentach, gdy trudno się cofnąć. Wiedza, między ludźmi zbędny balast. Pogadywanki o życiu, obrazki z dzieciństwa. Owszem. Ale nie wiedza, twarde fakty, najgorsze i zbędne. Rejestry straconego.

Kiedy jej powiedział, że ma kłopoty w szkole, nie zrozumiała. Wydusił z siebie: – Ze względu na pochodzenie. Cholera! Już zapomnieli! Do czego to doprowadziło! – Wiedziała, że jest z Warszawy. Że podczas wojny się ukrywał, nie pytała o powody. Wojna to był fatalny temat do roztrząsania. Dla niej. Sama nie mówiła mu dokładnie o wojnie. Nie mówiła i nie ukrywała. Dramatyzuje teraz, wiele osób tak robi. Nie jest tak, że czegoś wcześniej nie wiedziała. Nikt jej nie kazał składać sprawozdania. Poza jakimiś dziwnymi rozmowami z Jankiem, zachodzącym do niej niby napić się barowego kompotu, koniecznie na podwórku za barem. Nigdy nic konkretnego nie powiedział, aluzje, półsłówka. Chodził do Stefana. Też i do niego. Pili parę razy wódkę. Dawał do zrozumienia, że są jak rodzina, więc on chce, troszczy się, nie może wszystkiego. Miała wrażenie, że w ten sposób odsuwa oczywiste dla wszystkich sprawy swojej rodziny. Stanowczo zbyt szybko zmierzającej ku katastrofie. Stefan nie pił, w każdym razie mało, dla Janka robił wyjątek. Patrzył na zamknięte za nim drzwi, a kiedy podchodziła do niego, pachnącego alkoholem i papierosami, strząsał coś z siebie i mówił, że Janek igra z losem. Troszczył się o Janka jak o ucznia, właśnie, zupełnie jakby był jego uczniem. Nie zwiastunem złego.

– A teraz zobacz. Ja, Niemka, autochtonka, żyłam tu z Żydem – mówi to gorzko, specjalnie dobitnie, przystaje. – Tak to dla ciebie wygląda? O to mnie pytasz? Jak inni? Jak te wszystkie baby, które pocieszałam? Którym radziłam? One mi teraz radzą. Nie ma co, radzą mi świetnie. Zapaść się pod ziemię razem z moim Żydem, z moimi hitlerowskimi rodzicami, z moimi herbatnikami. One chętnie by zobaczyły więcej takiego nieszczęścia. Potem, owszem, może by przyszły na stypę – też nieprawdziwe słowa. One, sąsiadki, ukrywają twarze za firankami. Nie chcą wiedzieć, widzieć, rozmawiać. Jak wtedy, kiedy się mawiało: najpierw żydy, potem my. Z pewnością, że to pierwsze nie ma znaczenia bez drugiego, bo tylko drugie coś ważnego oznacza.

– Jaka autochtonka? Co to ma do rzeczy? Najważniejsze, że on ukrywał przed tobą właściwie wszystko – mówi, mówi, mówi. Jest w niej szczerza niechęć. Żydzi krzyczeli, kiedy ich wyrzucali z domów. Z żalu za łaćkami. Tak było, mamusia tak mówiła. Ma przed oczami wyrzucanych, brudnych. I przypomina sobie profesorka. Ważny, traktował Ulę, a ją zwłaszcza, pobłażliwie. Lekceważył jej poglądy. Wykształcenie. Nie zwracał uwagi na jej obecność. Dyskretnie opuszczał mieszkanie. Wracał o dowolnych porach. Mężczyzna, ważna figura, nie ten akurat.

Ula widzi jego twarz pokrytą głębokimi bruzdami. Czuje pod palcami gładką skórę pociętą bliznami. W tych miejscach gładszą. Nigdy jej dokładnie nie opowiedział, skąd te blizny. Raczej już nie opowie. Jeszcze jest, jeszcze go zobaczy, ale prawie dopała w sobie rozpacz. Prawie kończy rozpaczać. Chce pożegnać tak, żeby mu było lekko. Pozwolić mu

spokojnie jechać. Przywykła do pożegnań. Potem odwykła, żeby znów zacząć się przyzwyczajać.

– Czemu mi nie powiedziałaś?!? – krzyczała, Anna się myli, najpierw dość głośno krzyczała. Czemu, musiał czuć, co się święci. Tak. Wiedział. Jak miał opowiedzieć jej o spotkaniu w Urzędzie, gdzie miał wyjaśnić niedorzeczne zupełnie zarzuty, na razie zresztą tylko wstępnie pytany. Idiotyzm. Janek przypadkiem, jak w źle pomyślanym scenariuszu, spotkany na korytarzu. Potem z nim rozmawiał. Ten mu, jak wcześniej, radził. Żeby jechać. Jechać. Jest okazja. To się zabagni. Niejasne momenty, kontakty. Wrogie państwu, być może. Przez tyle lat utrzymywał kontakty z adresami zagranicznymi. I jeszcze, prawdę mówiąc, sypiał z osobą, która... Nie z jego, Janka, punktu widzenia. Trzeba wiedzieć, on Ulę traktuje jak rodzinę. Ale. Osoby pochodzenia niemieckiego mają specjalne teczki. Niech się zastanowi dobrze, czy to nie jest okazja. Nie, nie ma mowy, ta osoba, Ula, nie pojedzie. Przecież znasz Ulę.

– A jakie to by miało znaczenie? Czy może miałyby? – pyta ją, ostrożnie, cicho, żeby nie jątrzyć bólu, bo tak.

To akurat boli. Bo on teraz, kiedy zamierza odejść, kwestionuje jej wybór. Jej zgodę na zamknięcie kurka ze zwierzeniami po kilku strużkach, na kilku zaledwie obrazkach. Bo, zakładała, ona tego chciała. Trochę, uchylić rąbka tajemnicy i odejść dalej. Coś o bombardowaniach i zaraz o zieleni za oknem. Lekkim krokiem, bez zatrzymywania. Słuchać o uczniach niepojmujących algorytmów. Anegdota z pokoju profesorskiego. Codziennosc, zwycięska codzienność. Teraz myśli też, że on się musiał wahać. Wiedział, że jest Niemką, chyba dość szybko i już wiedział. Żyd, który powierza swój sen Niemce, myśli. Teraz chciałaby go uderzyć, zmusić, żeby powiedział: – Co czułeś, pieprząc Niemkę! – krzyczy, ale w myślach. Na głos wypowiada składne, powściągliwe zdania. Prawdziwi ludzie nie zachowują się w taki sposób. Nie krzyczą, jakby urodzili się przed chwilą. Po co tragizować? W życiu nie ma tragedii, są w kinie. Normalni ludzie jakoś się zawsze uporają z niesprzyjającymi okolicznościami. Kto kogo pyta o te bzdury? Nikt nikogo, zanim ktoś za nich nie postawi pytania.

– Nie mówiłem nikomu, nikomu, w pewnym sensie zapomniałem o tym. Od '43 musiałem to ukrywać. Straciłem rodzinę. Wszystkich. Przeżyłem dzięki ich pieniądзом. Uznali, że dadzą mi wszystko. Kazali wystarać się o papiery. Wszystkich zabili. Trudno o tym rozmawiać. – Teraz uruchamia katalog z rodzajami żydowskiej śmierci.

Ula tego prawie nie słyszy. Prawie nie chce, żeby do niej dotarło. Wszystkie te historie już zna, słyszała. Nie chce jednak być tak blisko. Miał rację, oszczędzając ją. Miał rację. Nikt nie jest gotowy dzielić z nikim... Ona też ma swoje rodzaje śmierci. Zamyka przed nimi okna. Żeby się nie wydostały. Kiedy tu był, nie wpuszczała ich do środka. Lepiej o tym nie opowiadać. Katharsis, oczyszczenie, następuje w dramacie antycznym. Ona sprzedaje zupy, on uczy matematyki.

– Została żona. Znalazła mnie przez Czerwony Krzyż. Ona przeszła Oświęcim. Ona przeszła wszystko. Rozumiesz? Nie chciała wracać do Polski. Namawiała mnie na przyjazd. A mnie się tu dobrze ułożyło. Nie pamiętałem, kim jestem. Tylko te jej listy. Niespodziewanie. Myślałem, że i ją mam na sumieniu – mówi cicho, nie ruszając wargami. – Potem ciebie poznałem.

Ula to rozumie. Sama tak postępowała. Nikt jej nie pytał, na co dzień czuła się... Czuła... Po prostu tego nie czuła. Nie w dzień, nie przy ludziach. Pierwszy raz myśli o tym jako o czymś nieprzewyciężonym i bardzo bliskim. O losie? Pocztówki od ojca. Tak, te zakłóciły jej spokój. Ludzie? Mniej. Rzadko kto naprawdę kojarzył. Przypomina sobie jego wzrok błędzący po podręcznikach do niemieckiego. Nie zapytał. Wiedział, kim była.

– Ja się nigdy tak nad tym nie zastanawiałem. Możesz mi uwierzyć? Nie byłaś dla mnie nigdy Niemką.

Czy może? Wyobraża sobie, co musiałby czuć, czując w niej Niemkę. Jakby to było. Czym by dla niego była miłość fizyczna. Jej stopniowe uzależnianie. Jej uległość. Jej zgoda. Jej czekanie. Bo z czasem tak było. Nie, nie. To nieprawda. Gdyby brał w niej Niemkę... Nie może, nie chce tak myśleć. Przystaje raczej na to, na jego wersję. Tak się złożyło. Nikt nie zawinił. Tak się złożyło. Dziwne, nie miał urazu. Takiego. Że Niemka. Nigdy tak o niej nie myślał. Wierzy mu, bo nawet jeśli kłamie... to nie ma znaczenia. Możliwe, że ludzie w tym mieście, z dala od innych miejsc bardziej oczywistych, dokładniej zaznaczonych na mapach historii, nie myślą w ogóle w takich kategoriach. Wchodzą w gotowy mit, w wygodną mitologię Ziemi Odzyskanych. Możliwe. W każdym razie sprawa pochodzenia dla obojga nie była najważniejsza. Zwłaszcza gdy zasmakowali w sobie.

Przygotowuje mu walizkę. Bo od razu wie, że z nim nie pojedzie. A mogłaby. Na swoje papiery. Niezawodny kierownik zaczął ogródkami o tym z nią mówić. Jest znów taka furtka. Albo mogliby umówić się, że on tam zaraz uzyska rozwód. I wówczas... Tak, takich rzeczy niejedyn próbował. Wzięliby dobrego adwokata. Jest szansa. Ona to ucina. Nie, nie chce. Tu ma życie. Uzmysławia sobie, że trzyma ją tu przypadek, ale nie chce tego oddać. Pomóc losowi. Uwolnić samą siebie z tego miasta, w którym zaznała... W którym widziała... On tak musi, tak wypada. Być może, ma nadzieję, że ona odmówi. Zna ją. Wie, jak nie lubi podróżowania.

– Nie, nie będę się uczyć nowego języka – mówi mu, stanowczo. – Nie będę. W ogóle nie lubię obcych miejsc, sam rozumiesz. – I udaje, że nie było tej rozmowy. Nie, że zupełnie nie było. Bo o walizce i zlikwidowaniu jego mieszkania nie zamierza zapomnieć. Nie zostawi go z tym samego.

– Ta propozycja jego jest jak zapłata – mówi do Anny. Nie myśli tak może, wypowiada zdanie, którego spodziewa się po przyjaciółce. Anna ma takie na podreździu. Lepiej ją ubiec.

– Bo też należy ci się! – odpowiada tamta. Zgodnie z oczekiwaniami.

Ula wie, że jakoś jego odejście przeżyje. Nie przeżyłaby, gdyby ją zawiódł. Oczekiwanie. Nie chce czekać. Nie przeżyłaby wypłaty odszkodowania. Annie tego nie może opowiedzieć. Jeśli się orientuje, Anna nic nie wie o seksie. To znaczy, Anna na pewno seks uprawia. Nie zrozumie tego, że miłość musi się rozgrywać na neutralnym gruncie. I nie ma za nią ceny. Anna traktuje noce, zdejmując starannie koszulę, jak przystało na porządną kobietę; traktuje, jak trzeba. Nawet przyjemność jest częścią kontraktu. Anna pozwala sobie na przyjemność, bo ma kontrakt. Nie jej opowiadać. O seksie nie należy za dużo mówić. Seks jeszcze nie jest dostateczną motywacją. Tyle lat po Freudzie, jednak nie tutaj, na Boga, nie tutaj.

– Wracajmy, mała powinna już być w domu, Marysia nas ochrzani – mówi więc w końcu Ula. Niczego z przyjaciółką nie ma do obgadania. Musi wrócić. Domknąć mu walizkę. Uwolnić go, żeby mógł z walizką odejść. Pójść, znów, w swoją stronę. Nie powie mu „zostań” po raz drugi.

CZEKANIE, 1968

Ostatnie dni przed jego wyjazdem. Względność czasu. Poznaje względność czasu. Te dni dłużej się rozpaczliwie. Skoro wie, że on ma bilet i jedzie na pewno. Dokładnie zna dzień i godzinę. Pociągiem specjalnym, poza rozkładem, ma bilet i zna godzinę. Skoro dane są dostępne. Mógłby zrobić z tego zadanie. Dla swoich uczniów. Zadania o pociągach. Z jaką prędkością ten opuści peron? Stację Szczecin Główny? Wysunie się spoza budynku dworca. Nabierze tempa, wjedzie, pogwizdując, na most kolejowy. Nie, zaraz, nie pojedzie tym mostem. Obierze kierunek do tej pory zamknięty, nieczynny. Ku granicy z bratnim, niemieckim państwem, gdzie się nie zatrzyma. Mijając inne pociągi jadące ze stacji C ze zmienną prędkością. Wiozące ludzi. Ale zadanie powinno zawierać też inne dane. Prosta mechanika ruchu to za mało. Porzucone obiekty. Ula przypomina sobie coś ze szkoły. Myśli o sile przyciągania. Ten pociąg musi mieć silną lokomotywę, żeby wyrwać stąd ludzi. Nawet ci, którzy o wyjazd zabiegali, na wyjazd się ucieszyli. Zostawiają adresy, mieszkania, szlaki. Jego powinien odciągać budynek szkoły, solidny, ciężki. Lubił w niej uczyć, stawać twarzą do tablicy, wyglądać przez okno. Zwłaszcza te intermezza lubił. Jej mieszkanie, wzmocnione przez zapory z zasłon, zamków. Przez dotyk. Bar, stopy talerzy, ciężkie kotły. Podróże po kraju, Ula nie zna dobrze wszystkich ich szlaków. Już nie pozna. Nie wszystko warto wiedzieć. Stefan może być każdym. Nie dlatego go... Wyobraża sobie budynki, ulice, ludzi na ławkach w parku. Wszystkie te obiekty od a do nieskończoności przyczepione kotwicą (jesteśmy w mieście portowym) do składu pociągu. Może pomaga ten zwrotnicowy z kamienia stojący przed dworcem? Gdyby szarpnąć, powinny zatrzymać, wbić w ziemię, przebić tory. Niewykluczone, że dadzą atomowy napęd, myśli, żeby na pewno pojechali. Mają doświadczenie, ludzkość ma w tej sprawie doświadczenie. Dokonała kilku wielkich przemieszczeń w ostatnim czasie. Ma środki. Wcale nie kojarzy tego z tymi wyjazdami, których udaje, że nie pamięta. Jeśli kojarzy, bardzo głęboko w sobie.

Zabiera większość tego, czego on nie chce zabrać. Trochę tak, jakby miał mieć do czego wrócić. Dekoracje pod nieobecność aktora. Przypomina sobie, jak by to robiła mama. Bohaterki powieści realistycznych zajmujących środkową półkę przeszklonej biblioteczki. Nieznane ciotki, zapomniane sąsiadki. Tak robi na początku przygotowań.

– Dobrze. Mam duże mieszkanie – drugi pokój, nazywany pragmatycznie składzikiem, teraz się nada. Można tam urządzić... Urządzić... Co urządzić? Jednak go prosi. – Sprzedajmy książki. Może będę chciała wynajmować. Od lat planuję remont. Będę miała z tym kłopot. Jeśli tych ubrań, tych ubrań nie bierzesz... Gdzie to mam trzymać? Będę miała czas na remont, więc zadecyduj, proszę... – Garnitury ojca. Zniknęły któregoś dnia, kiedy próbowała dostać się do obozu, do miejsca czasowego pobytu osoby z nieustalonym statusem państwowym, swojej matki, urodzonej zresztą też tutaj. Żeby zawieźć mamie paczkę i otuchę. Sukienki zostały, to co z nich zostało. Uczyła się na nich u sąsiadki przeróbek. Jeszcze mogłyby czemuś, komuś służyć. Wstawki, warianty bluzek.

Te przygotowania, trudności z upchaniem po znajomych, podzieleniem, sprzedaniem dobytku absorbują, odwracają uwagę. Jednak potem, od pewnej chwili jest już samo czekanie. I wówczas Ula myśli o względności czasu. Pałac więcej, przy nim i bez niego, dokładając do nieopróznianej popielniczki starannie zgniecione pety, kołysząc nogą albo nawet kładąc nogi na stole, myśli, chwilami zapominając o czym.

Nie pamięta daty pierwszego spotkania. Nie obchodzą rocznicy.

– Po to bierze się ślub. Żebyś miała okazję – kpi z Anny, kiedy ta kupuje szampana w pierwszą rocznicę swojego ślubu.

Więc ona nie pamięta dokładnie. Odliczanie wstecz. Zwykle nie znamy też dat rozstań. Te przychodzą niespodziewanie. Kartka na stole, śmierć, zaginał na polu chwały. Rozwód, tu datę można oswajać. Idziesz do sądu, z góry wiedząc. Tylko że to następuje po wszystkim, nawet jeśli serce krwawi. Data uwolnienia. A taka? Data wyjazdu w jedną stronę? Co to za data? Nowy zwyczaj? Nowa dynamika wieku? Ula zaczyna myśleć więcej o polityce.

O filozofii życia. W swoim pokoju. Zaczyna czuć, co przeżyła.

Przelicza czas „do” na godziny, minuty, sekundy. Chciałaby być blisko niego, ale już go pożegnała, czuje się oddzielna, oddzielona także tymi przygotowaniami, które inicjuje sama. W niedzielny poranek leży obok, patrzy w zasłonięte okno. Jeden, dwa, trzy. Liczy. Sekundy. To jej ciąży. Konieczność bycia obok, skoro trzeba się odzwyczaić.

I tak nie ma po co. Budować czegoś. Zrywać. Nie ma po co. Właściwie chciałaby, żeby już poszedł. Wszystko mu przygotowała. Ale nie może. Czeka u niej, żeby ją opuścić. Bierze jeszcze udział w swoim jej opuszczaniu. Jest świadkiem. Tego, jak zostaje sama, bez niego, bez nadziei, z zapewnieniami o nadziei, sama, sama. Na jego oczach sama. Ona – ofiarą? – nie. Zostaje, jest żołnierzem porzuconym na placu boju. Jest ranna. W środku. Na zewnątrz nic. Nie krwawi. On nie może tego widzieć. Mimo wszystko zabija ją i patrzy na proces konania. Powinien się wynieść. Powinien zostać z nią do końca. Jest zniecierpliwiona, bo on jest, wymaga uwagi, domaga się rozmowy, a przecież już go tu nie ma. Korzysta z okazji, żeby się wynieść.

Był przez ostatnie lata trochę na pół gwizdka. Właśnie. To się nazywa bez zobowiązań. Nie uprawiali ogródka, nie mieli psa, dzieci, planów. Byli razem bardziej niż we wszystkich innych przypadkach, jakie stają się udziałem ludzi. Mieli mało codzienności, właśnie. Więcej tych rzeczy, o których nie ma jak opowiedzieć. Więzi, której nie da się przełożyć na słowa.

Ula nie chciałaby odgrywać dramatu. Nie, przy nim nie będzie płakać. Więc go budzi. Chce, żeby ją kochał. Gromadzi w sobie zapas. Wie, że ten zapas na wiele się nie przyda. Ma doświadczenie w zostawianiu samą. Nie planuje zażegnania tego. Wie, jak to będzie. Co ją czeka. Co czai się w kątach pokoju. Pod łóżkiem. Zapala, ledwie zgmiotła jednego, drugiego papierosa.

Marysia kładzie się o północy, dłużej nie może czekać. Ranne wstawanie. Ma dyżur, dniówkę. Dziecko śpi od dawna w pokoju obok, książeczka leży na poduszce nieprzeczytana. Tatuś obiecał. Tatuś coraz częściej nie dotrzymuje słowa. Tatuś najlepiej by zrobił, niczego nie obiecując. Jego małżeńska przysięga, że nigdy... zamiast odpowiedzieć po prostu, zamiast „tak”, powiedział najpierw „oczywiście”. I pocałował Marysię w ramię. Kto by pomyślał, że to zła wróżba? Że to wstęp do porzuconej książeczki z zajawkami?

Marysia uśnie. Umie wyłączać niepokój. Jest przyzwyczajona. Janek często późno wraca. Najpierw to są zebrania. Potem to są spotkania. Bary po drodze z pracy. Mężczyźni przy kontuarze. Obowiązkowa zakąska. Jajo, galareta, śledzik. Do tego dwie pięćdziesiątki, setka. Janek potem od razu by wrócił. Ale czuje, że ona będzie mieć pretensje. Nawet mimo tego by wrócił. Gdyby nikogo nie spotkał. W tej okolicy zawsze ktoś wraca z pracy. Przysiada. Gadają, po trzecim im niewygodnie. Przenoszą się do stolika. Po następnej setce. Czasem w końcu coś na ciepło. Rozgrzebane ziemniaki i kapusta, fragmenty lądujące na koszuli. W domu koło ósmej, żeby położyć dziecko. Marysia tego nie rozumie. Marysia okazuje się bardzo kłótniwa. Więc żeby nie krzyczała przy dziecku. Wraca później. Żeby nie krzyczała, kiedy dziecko śpi. Jeszcze później. Aż obie będą spały.

Nie chce tego, nie takie miał plany. Miał być mężczyzną. Czy nie jest, czy nie tak się jest tu mężczyzną? Nie ma kogo zapytać, chciałby. Obiecuje się zmienić. Całymi tygodniami wraca po szesnastej, prosto z pracy, teraz już z drugiej strony centrum, z Małopolskiej, gdzie nadal uzupełnia ludziom teczki, teraz poza przemysłem zajmuje się szkolnictwem. Już oficjalnie mówi, gdzie pracuje, nie dodając niczego więcej o tej pracy. Nikt nie pyta. Nawet Marysia za dużo nie pyta. To znaczy zna jakąś pierwszą wersję. Ale nie wie. Na przykład, że

mógł, naprawdę mógł, coś zrobić dla Stefana. Ale gdyby. Ostatecznie Stefan nie był krewnym. I nawet nie zamierzał poprosić. A sprawa nie była błaha. Był podejrzany o wieloletni udział w tworzeniu organizacji przestępczych. Więc ryzyko. Tak, wzięłby na siebie. Gdyby tamten tak głupio nie milczał i nie okazywał wyższości. Takich spraw dużo. Awans. Kolejny awans. Ciężko. Teraz. Czasy wyjątkowo ciężkie, z zaskoczenia. Z urzędnika do przewracania papierów, ktoś, kto decyduje. Pan życia tutaj. Janek znów się upija.

Bawi się z Magdusią, robi zakupy. Zachodzą na obiad do baru. Sprawa Stefana nie oznacza, że będzie unikał Uli. Może zresztą i ją namówi? Tylko próbuje coś zasugerować. Ale Ula nie rozmawia z nim szczerze. Nie. Ula prawie z nikim, z żadnym mężczyzną, nie rozmawia.

On wieczorem czyta małej bajki. Czasem razem odbierają z pracy mamę. I wówczas, wówczas nagroda, bo każdy powinien się czasem zabawić, idą razem do „Balatonu”, „Bajki”, „Palomy”, „Kameralnej”. Na tańce. Ona śmieje się głośno, tańczy chętnie, nie odmawia. Więc on, zły za jej złość do niego z poprzedniego tygodnia, zamawia kolejną butelkę. I to się różnie kończy. Coraz częściej kłótnią. Po której on znów wraca okrężną drogą do domu. Albo musi zostać, musi zostać: – Muszę pracować, rozumiesz?!? – Tak czy owak samo w domu zostaje dziecko.

– Nie moja sprawa, ale nie macie tu rodziny, więc ja wam powiem. Macie dziecko, powinniście pamiętać o dziecku. I szkoda życia. – Ula potrafi moralizować. Siedzi z mamunią przy stole. Mamunia płacze. Potem przynosi kieliszki z kuchni. Piją z cicią. Magdusia chce spróbować na języczek.

– Daj jej polizać – Anna uważa, że trzeba znać wszystkie smaki. – Chcesz likierku od Ani? – pyta. Po kieliszku wiśniówki opowiada im o swoim Adamie. Adam przywiezie, niedługo będzie. Afrykańskie linie są zmorą żon. Nikt nie pyta, czy coś takiego zniósł. Cztery miesiące. W parę miesięcy po ślubie. Ale dużo, tajemniczo się uśmiecha, całkiem dużo bonów. Wypływa niezłą sumkę. Da się szybko odłożyć. Na domek na Gumieńcach. Zbudują taki mały, od podstaw. To lepsze niż mieszkać po ludziach.

Czekanie Anny bywa miłe. Czeka jako mężatka. Marynarzowa. Logiczny wybór. W Szczecinie najlepiej poznać marynarza. Śmieszna historia. Opowiada w kółko. Jej Adam okazał się praktycznie krajanem. Spotkała go na jakichś imieninach. Kogoś z biura. Nie zamierzała tam chodzić, się gościć. Koleżanka z biurowego pokoju ją przekonała: – Będzie ktoś z twoich stron. – Więc poszła. Adama wcześniej, w Gorlicach, wcale nie знаła. Znajomi znajomych, ulice, okolica. Mieli o czym rozmawiać. Na ślub zdecydowali się po trzech miesiącach. Przy kawiarnianym stoliku. W rzeczowej, miłej rozmowie. Odświętnie ubrani, on z bukietem róż. Romantycznie. Nie myślcie sobie, romantycznie. Właśnie wrócił i miał wypłynąć.

Jest mankament czekania, dziecko. Chciałaby już mieć dziecko. Koniecznie. Tymczasem go nie ma. Przysłała listy. Czasem dzwoni przez Gdynię Radio. Kiepsko słyhać. Trzeba być w domu na czas, może być telefon. Anna wstaje od stołu, wybiega, nie może teraz spędzać dni poza domem. Chętnie zajmie się Magdusią, jeśli ją przyprowadzą. Magdusia poczeka z cicią, posłucha.

– Wujek teraz tu płynie – pokazuje małej na mapie trasę statku. Zaznacza jego położenie czerwonym znacznikiem. Pozwala go przesunąć, jeśli uzna, że statek mógł się od wczoraj tam znaleźć. Na kredensie ma teraz nowe fotografie w ramkach. Obok mamusi stawia Adama w mundurze. Adam właściwie stoi w ważniejszym miejscu, w centrum. Mamusia z prawej. Z lewej ślubne zdjęcie od fotografa z Jagiellońskiej. On tu też w mundurze, ona w welonie. Piękna para. Anna w welonie, bo zasłużyła. Zrobiła, jak mamusia kazała. Stawia ramkę mamusi przodem do tego zdjęcia i opowiada. Nikt tego na pewno nie słyszy. A jej ulży. Jako mężatka nie może już na pewno modlić się do Boga. Awans. W pracy. Społeczny i zawodowy awans. Więc obcuje duchowo z mamusią, która, jakby co, wyprosi dla niej miejsce w niebie.

Czeka na niego (na męża) jeszcze w swoim starym mieszkaniu. Okazało się, że on właściwie nie ma nic specjalnego. Nie było warto. Ma za to kapitał. Wciąż na morzu. Teraz pomyślą. Chociaż. Anna lubi swoje mieszkanie. Lubi tu czekać. Gdzie indziej byłoby chyba trudniej, puściej. Na apartamenty przyjdzie pora, uważa. Już niedługo. Nazbierać, pozalać. W niedzielne przedpołudnie zaprosi przyjaciółki. W ogródku miejsce dla dzieci.

Madzia czeka, aż po nią przyjdą. Zwolnią z przedszkola. Mama obiecała. Codziennie obiecuje. Żeby wytrzymała, przed podwieczorkiem ją zabierze. Mama w tej sprawie nie jest obowiązkowa. Częściej przychodzą ciocie. Czasem zabierają ją z leżakowania.

– To dziecko nie rozumie słowa dyscyplina, a pani nie ułatwia nam zadania – mówi dziwnie kierowniczką przedszkola do Uli. Ciocia się przejmuje. Pomrukuje po drodze śmiesznie jak kocica, pali na ulicy.

– Mruczysz, ciociu?

– Mruczę, ptaszku, jestem kotem.

Strasznie jest śmieszna. Może dziś przyjdzie? Dziewczynka czeka od rana. Przeczekuje te wszystkie głupie zabawy, te lekcje angielskiego i rytmiki. Tylko podczas czytania bajek zapomina czekać. Bajki czytają codziennie. Siadają w kręgu po turecku. Pani wybiera. Czyta, odgrywając głosem role. Piętnaście – dwadzieścia minut. Potem znów każą się bawić. W ciepłe dni w ogródku. Z innymi dziećmi. Dla Magdusi powinni więcej czytać. Powinni wymyślić takie przedszkole z samym czytaniem. Dorośli nie potrafią niczego fajnego wymyślić. Poza ciocią Ulą i tatą. Ciocia teraz smutna, a tata znów ma zebranie.

W barze „Bambino” mężczyzna w brudnym prochowcu, pierwotnie beżowym, czeka na porcję kaszy i zsiadłe mleko. Zachodzi tu przynajmniej raz w tygodniu. Z nikim nie rozmawia. Trudno powiedzieć, czy mieszka gdzieś w pobliżu. Gdzie pracuje. Kim jest. Czy ma rodzinę. Dlaczego nie odniesie do pralni chemicznej płaszcz. Dlaczego jest smutny. Trudno powiedzieć i nikogo to nie interesuje. Czeka na swoją gryczaną. Każdy na coś czeka.

NA CO UMIERAJĄ LUDZIE, w swoim czasie

Poza tym ludzie w tym czasie umierają na raka. Każdy zna lub znał, lub pozna kogoś, kto umarł na raka. Można odnieść wrażenie, że każdy osobiście był w umieranie na raka zaangażowany. Rany po wojnie zblizniły się na tyle, iż trzeba przejść na nowe rodzaje śmierci. Co prawda, jako się rzekło, nie wszyscy śmierć widzieli z bliska. Janek prawdopodobnie nie widział, jeśli nie liczyć zakopywania ruskiego. Młodego rosyjskiego harcownika, mającego ochotę na smalec i kobiety. Doprowadzonego za stodołę, piękny widok na pola, z powodu smalcu i kobiety. Inni? Anna miała w uszach krzyki z niewielkiego, małomiasteczkowego getta. To była śmierć na pewno. Miała w pamięci targi o okoliczności zgonu własnego ojca. Zawiadomienie o śmierci mamusi, niedługo po ślubie z aptekarzem. Mamusia w otwartej trumnie. Jak żywa. Ula ją widzi. Czuje wciąż zapach szpitala dla gruźlików. Kładzie otwartą dłoń na klatce piersiowej, pokasłuje, głęboko oddycha.

Ula... Ula nie chciała obracać się wstecz, tyle tam było samotnego konania mamy. Na szpitalnym korytarzu. Śmierci kobiet pozostawionych w mieście. Tych, które nie знаły innych adresów. Nie dostały się do pociągów. Nieznanych miejsc pobytu mężczyzn. Niezwróconych listów pisanych pod kierunkiem instruktorów. I tych, które chciałyby napisać. Niedopowiedzianej śmierci krawca Helmuta.

I tego, czego dowiadawali się stopniowo po wojnie, więc Ula musiała raczej to w sobie gdzieś poprzesuwać, żeby ocalić jakiś kawałek dla najbliższych, którzy w niej powinni zostać nienaruszeni wiedzą o tym, co mogli robić.

Marysia była specjalistką. Uratowała od śmierci braciszka, omijając w drodze do lasu nadpalone szczątki ludzkie. Widziała śmierć w drodze. Ona jedna przekroczyła lekko wojenne obrazy i wkroczyła w epokę nowego. Odwoziła do kostnicy zwłoki. Rzadko już ich stan był teraz związany bezpośrednio z wojną. Chyba że, chyba... na przykład domniemane samobójstwo krawca Helmuta. Jakies tajemnice i poszeptywania. Jakies niedochodzące do niepowołanych uszu wieści. Nie szukała tego, niczego specjalnie nie szukała. Stamtąd, z domu, nie dochodziły tego rodzaju wieści, najwyżej o zgonie jakichś staruszków, o naturalnym zejściu.

Potem to wszystko ucichło. Musiał się pojawić nowy rodzaj śmierci, powiązany z nowym rodzajem życia. Nie można było dłużej myśleć o rozstrzelanych, spalonych, zagazowanych. Ula pewnie, jednak, myślała. Żegnając Stefana w dość ciepły poranek. Bo czy nie mogło być tak, że dla niej, specjalnie dla niej został uratowany? A jeśli, czy nie powinien z nią zostać? Prawdopodobnie tak myślała, nie wypowiadając tego głośno ani w myślach.

W następstwie wojny i głodu jeszcze przez pewien czas królowała gruźlica. Anna głodowała po wojnie, na paczkach od brata, ale gruźlica była chorobą wędrowną, zarażały ją zbiorowe sypialnie w akademikach, koszarach, szpitalach, poczekalnie dworcowe i same pociągi. Nawet ulica. Być może najważniejszą chorobą powojenną była jednak depresja, syndrom postraumatyczny. Ponieważ wszyscy pochodzili z traumy, nikt jej nie leczył. Była ich matczynikiem. Leczeni, na przykład wywiezieni przez Czerwony Krzyż do Szwecji, niechętnie wracali na miejsce męki, więc nie przywozili informacji o chorobie. Historia to, ściśle rzecz biorąc, nie jest choroba. Czy na przykład skazańcy ze średniowiecznych kaźni, z procesów o czary, uczestnicy wypraw krzyżowych, mieszkańcy palonych przez innowierców lub prawomyślnych wioski mieli poczucie wyjątkowego naznaczenia, tragizmu, traumy? Czy żyjąc w historii, ktoś wie, co przeżywa? O tych sprawach, o psychosomatycznych aspektach przeżycia wojennego, najwięcej będzie się w Polsce mówić w pięćdziesiąt lat po wojnie, na jubileusz. Kiedy niemal nie będzie kogo z tego leczyć. Na razie organizmy bronią się same, poznając ludzi, pracując, gromadząc przedmioty. Odnajdując lub zakładając rodziny. Rodząc

dzieci. Są ofiary, jak to bywa, w wyniku samej choroby i terapii, a więc życia. Ktoś nakręci film, o czymś zupełnie innym, że życie jest śmiertelną chorobą przenoszoną drogą płciową. Oni tak nie myślą, oni chcą miłości, rodziny i życia.

Na początku lat sześćdziesiątych coraz więcej przypadków raka. Całkowicie pokojowej i demokratycznej choroby. Słabo związanej z tymi wszystkimi przypadkami czasu wojny. Z dnia na dzień ludziom wykrywają guza. Kładą ich do szpitali, wycinają całe kawały ciała. Zwykle ze środka, po wierzchu nie będzie można poznać. Czasem jednak i z wierzchu, szczególnie jeśli zaatakowana zostanie skóra. Potem są długie i zabójcze naświetlania. Chemioterapia lat sześćdziesiątych zbiera żniwo. Przetrwac ją mogą tylko najodporniejsi. Dynamika nadziei jest taka, że każdy chory i jego rodzina liczą na „lek z Zachodu”. Istnieje mocne przeświadczenie, mocniejsze niż wiara w Boga, że taki lek może uratować życie. Dobra wiara, życiodajna nadzieja. Po latach kwestia nastawienia pacjenta w terapii okaże się kluczowa. W dziesięć lat później okaże się, że te same leki właściwie dobijają chorego. Na Zachodzie mają zupełnie nowe, które dewaluuują się w latach osiemdziesiątych...

I tak dalej. Podobnie mają się sprawy z lekami nasercowymi, przeciwreumatycznymi (w Szczecinie bardzo popularne są schorzenia reumatyczne), nasennymi. To, co zachwyca, budzi euforię w jednej chwili, po paru latach będących chwilą, jeśli człowiekowi udaje się żyć, zyskuje miano trucizny. Z drugiej strony niektórzy dzięki wynalazkom przywożonym z zagranicy uciekają śmierci. Jeśli komuś uda się – oszukując, przepłacając lub oddając systemowi mające swe konsekwencje przysługi – załatwić, dostać takie lekarstwo, jego bliski chory powinien koniecznie wyzdrowieć. Jeśli istnieje sprawiedliwość.

Czarny rynek leków można nazwać czarnym rynkiem życia. Do czarnego rynku życia należą przywileje przyznawane niektórym ludziom. Lepsza opieka, lepsi lekarze, lepsze operacje, lepsze kliniki. Lecz ostatecznie śmierć wybiera według zasad sobie tylko znanych. Gra po swojemu.

Marysia nie chce lepszej, lepiej płatnej pracy na oddziale nowotworowym. Woli pracę przy dzieciach. Codziennie mijają budynek, w którym tyka bomba kobaltowa. Tym razem ma to być życiodajna bomba. Kobiety i mężczyźni bez włosów i pigmentu w twarzy czekają na rezultat. Są grzeczni, czekają kamie. W pewnym sensie przebywają w celi śmierci poszerzonej o piękny, zielony teren przyszpitalny. Bo większość z nich jednak umrze, takie są ówczesne statystyki. Marysia ich codziennie mijają. Nie wie, jak ważna w życiu jej rodziny okaże się bomba kobaltowa. Potem przenosi się na Arkońską, potem jeszcze na Pomorzany. Tam też przypadki raka, ale chirurgiczne. Nie ma bomby. Nie ma oddziałów (sformowanych z pacjentów) czekających na dostęp do niej i na rezultat. Są nowo narodzone dzieci. Niektóre mają gen raka, ale to się tak nie nazywa, nikt nie mówi o dziedziczeniu w taki sposób.

Na raka umarł dziadek Janka. Właściwie ze starości, w akcie zgonu wpisano nowotwór z przerzutami. Ta śmierć przyszła dość łagodnie i łagodnie przeszła – od dawna trzeba się było z nią liczyć. Janek na pogrzebie, jak należy, płakał, ale zaraz poszedł złożyć wiązankę na grobie babuni. Za nią tęsknił. Ją miała zastąpić mu żona. Niedosłownie ją, uczucie, ciepło rozchodzące się od ręki. Choroba babuni nazywała się „płuca”. Trudno powiedzieć, czy to oznaczało gruźlicę, mukowiscydozę, czy też nowotwór. Słabowała przez całą wojnę. Umarła w 1949 roku. Aż do 1956, do wyjazdu, trwał najgorszy okres w życiu Janka. Nie miał się komu poskarżyć. Nie dziadkowi. Dziadek robił, co należy. Nic ponadto. Więc odejście dziadka na przełomie 1959 i 1960 nie bardzo Janka obeszło. Tyle, ile należy. Nie więcej.

Ojciec Marysi umierał później, pod koniec lat sześćdziesiątych, i też miał liczne przerzuty. Mama powie: – On się tu nie przyjął. On się zamartwiał. – Po prawdzie trzeba dodać, że dużo pił i palił. Teoria stresu jeszcze nie dominowała, nie wykorzystywano jej do opisu losu repatrianta. Repatriant mógł cierpieć, tęsknić, być wykorzeniony, zapuszczać korzenie, być targany nostalgią, przewycięzać i zdobywać. Repatriant i trauma to by brzmiało tak nedorzecznie jak depresja gangstera. W każdym razie z perspektywy czasu można „gryzł się”

(diagnozowano w rodzinach i wśród znajomych podobne stany) zakwalifikować jako pozostawanie pod długotrwałą presją, co podobno wzbudza proces nowotworowy. Przynajmniej według amerykańskich uczonych. Radzieccy raczej byliby w takich sprawach ostrożni. Ojciec, tatuś, jak mówią teraz z czułą nutą w głosie jego wszystkie dzieci, nawet Marysia, mógłby jeszcze żyć. Inaczej mama, zniszczona dźwiganiem saganów z żarciem dla żywizny i ludzi. Po dziewięciu porodach, z których ocalało siedmioro dzieci. Po nocnych ucieczkach przed zestresowanym tatusiem jadącym na wódce z czerwoną kartką, winie owocowym i piwie. Po łataniu, ukrywaniu, staraniach. Mama w dwa lata po ojcu umiera też na raka. Kobięcy rak, nie zabiera jej tak szybko. Dwa szpitale, przerwy, kilkumiesięczny okres remisji, wznowa, przerzuty, ciche cierpienie. Pocieszać można się tym jednym, że nie widzi śmierci młodszej siostry Marysi, która też umiera na raka. Pierś, a potem niespodziewanie trzustka. Bomba kobaltowa dla obu. Z przydziału, według kolejki. W przypadku siostry i tak za późno, i nie wiadomo po co. Stan zaawansowany.

Marysia odwiedza ich wszystkich w szpitalach. Zna się na medycynie. Może tłumaczyć. Jest tłumaczką, pomostem łączącym medycynę z ludźmi. Ludziom, pacjentom i rodzinom nie udziela się informacji. Ich się leczy. Rodziny powinny czekać na rezultat w domach. Nie należy się kręcić. Pacjenci są przypadkami, zwykle ciężkimi. Pacjenci rakowi tym bardziej. Nie powinni zadawać pytań. Marysia, chociaż lekarz okazuje jej wyższość, jest pełen pogardy – skończył studia, studia medyczne, dali mu w kość, więc oddaje – wymusza na nim jego lekarskie tajemnice dotyczące ciała ojca, matki, siostry. Nosi je rodzinie. Opakowane w ludzki język, którego lekarz nie zna. Ona tak, ona nie skończyła, przez język, medycyny.

– Panie doktorze, ja zostawiłam w domu dzieci. Ja muszę pracować. Mój na rencie. Nie da rady. On, panie doktorze, pije. Gdzie on z dziećmi. Panie doktorze, czy coś się da zrobić? – młody lekarz opędza się od takich pytań. Gardzi tym ciałem, tym zniszczonym ciałem kobiety pochodzącej z tych stron, skąd i jego rodzina. Z Marysią rozmawia łaskawiej. Dobre panisko. Nie ukrywa. Tu niewiele da się zrobić. Teraz przede wszystkim uśmierzenie, morfina.

Morfinę dostała Magdusia w szpitalu, kiedy poparzyła rączkę. Janek wrócił tego dnia normalnie, po wypłacie, przy humorze, ale wcześniej. Marysia była i tak zła, chciała mu powiedzieć, że dłużej nie wytrzyma. Kłótnia podkreśliła się sama. I nie wiadomo, kiedy dziecko sięgnęło do stołu, przewróciło szklanę z kawą. Wełniany sweterek wtopił się w ciało. Zanim go jej na chirurgii zdjęli, podali morfinę. Ciepło i różowe kręgi przed oczami.

Czy takie kręgi widują dorośli, umierając? Czy ciocia też je będzie widziała? Z tą końską dawką w żyłach, bo nic innego nie da się zrobić, młodsza siostra przed świętami była na przepustce w domu. Nie mogła nic jeść. Wymiotowała w kuchni nowiuteńkiego mieszkanka, podtrzymywana przez męża, świetnego tancerza, partnera w niejednym turnieju amatorów-robotników. W niejednym Robotniczym Klubie Tancerza. Zjeździli kawał kraju, tańcząc. Zawsze rzucał na te dni picie. Teraz dzielnie ją podtrzymywał, żeby mogła pozbyć się zółci. A ona cieszyła się, że zlew biały i woda leci z kranu.

– Może niepotrzebnie ją wypisywali? – pytał Marysię szwagier, z tej okazji trzeźwy, ostrzyżony i zatroskany – co my tu w domu? Może ona powinna być w szpitalu? – Jakby chciał Marysię skłonić, żeby czym prędzej siostrzyczkę tam zabrała. Zna się na chorobach. Powinna. Iść z powrotem z tej przepustki. Chorzy do szpitali. I siostra istotnie tam umiera. Bo z przepustki stawia się na godzinę. Kładą ją w sali z siedmioma innymi. Tam umiera. Gdzie trzeba, gdzie wypada, umiera.

Ten przydział śmierci nowotworowych na rodzinę mógłby wpędzić Marysię w lęk o własne i dziecka dziedzictwo. Ale nie, mówiono wówczas co najwyżej o skłonności rodzinnej. W Polsce nie były ogłaszane wyniki badań genetycznych. Nie zwracano ludziom głowy ewentualnością posiadania złych genów. Wciąż były inne powody do zmartwień.

Jeśli idzie o żałobę, bardziej płakano po śmierci taty. Po śmierci mamy rodzina przeszukiwała dom, mama musiała gdzieś chować pieniądze. Młodsza siostra brała w tym

udział. Po śmierci siostry płakały dzieci. Na szczęście mogły pójść do wujostwa na wieś, do gospodarstwa. Ich ojciec dość szybko gdzieś zniknął. Opieka wujostwa okazała się wystarczająco surowa i wystarczająco czuła. Dzieci wyszły na ludzi.

Na raka zmarła sąsiadka pani Uli, ta z trzeciego, która robiła ciągle awantury. Rak dopadł jedną z kucharek z baru „Bambino”. Wciąż ktoś, ktoś następny. Tyle tego było, że nawet się nie pamięta. Więc jak kiedyś, jak dawniej, śmierć przychodziła zniecka, z ukrycia, z wnętrza osoby. Nie z nieba, z żołnierzami, z ogniem, za drutami kolczastymi. Mówiono co prawda, że to przez atom. Przez sztuczne nawozy. Żywność, sztucznie pędzona żywność. Nagle nadmiar czegoś, za duże buraki, ziemniaki, mógł się okazać śmiertelny. Pamiętali, że śmierć należy wiązać raczej z brakiem. Z głodem, niedostatecznym poinformowaniem, skazą rasową. Więc dla odmiany nieźle było postraszyć się nawzajem rakiem zaklętym w buraku-mutancie, w jakimś nadmiarze, w czymś aż za dużym. Zresztą to akurat działo się przede wszystkim na Zachodzie. My tu mieliśmy wciąż tradycyjną produkcję. To później nazwą ekologią, żywnością ekologiczną.

Ula wyczuła na piersi guzka. Nikt jej nie dotykał, więc wyczuła tego guzka, faktycznie wielkości małego guzika, masując uwolnione ze stanika piersi. Po wyjeździe Stefana. Ciało miewała coraz bardziej zmęczone. Rozcierała wieczorem stopy, robiła skłony, kręciła głowę. Prostowała kręgosłup. Mała gimnastyka. Przywoływanie do porządku zmaltretowanego pracą i brakiem drugiego ciała. Guzek wydał się jej niemożliwy. Nic jej nie bolało. Usiadła przed toaletką. Jak zawsze, starannie pomalowane odrosty, wyskubana równo linia brwi. Paznokcie pociągnięte różową emalią Celia. Więcej zmarszczek, owszem. Czas mijał. Wyjęła z szufladki list od ojca. Pomyślała, że wobec tego odpisze. Może go zaprosi. Raczej sama pojedzie do Berlina. Do Wschodniego, tak się właśnie robiło. Spotka tak ojca. Powinna. W końcu nigdy nie wiadomo. Podobno jej brat został wdowcem. Tak, nieznana bratowa umarła na raka. W NRF. Tam też na to umierano. Taka epoka. Czy ona? Znała drogę do szpitala, z opowieści kobiet, które lubiły się z nią przyjaźnić, znała także szczegóły. Poczucie, że nie da rady. Poczucie, że jest zmęczona. Zaraz potem podomka, popielniczka, zapalniczka od niego. W końcu i to można przejść. I temu da radę.

Ula nie miała w latach sześćdziesiątych raka. Badano ją w poradni dla kobiet przy Wojska Polskiego. To był tylko tłuszczak. Ula myślała przez chwilę, że on, Stefan, mógłby wrócić. Gdyby go powiadomiła, że umiera. I wystraszyła się tego melodramatu. I tego, że tak pragnie. Zobaczyć. Nawet za cenę śmierci. Zobaczyć jeszcze raz Stefana.

Inni, bliżsi i dalsi, umarli lub wyszli z raka. Tym czasem, który zamienia się w czas przeszły.

POGORZELICA, 1969 I INNE SEZONY

Wybrzeże Bałtyku wcześniej znała tylko Ula. Kurorty, do których ojciec zabierał rodzinę w latach trzydziestych. Ahlbeck, z promenadą jak nad Morzem Śródziemnym, z lekkimi domami patrzącymi w stronę zastawionej kosztami plaży. Ze ścieżkami spacerowymi ciągnącymi się do Heringsdorf, do sąsiednich miejscowości. Z promem do Schwenemünde i pasażerskimi stateczkami na skalistą Insel Usedom. Z drewnianymi pomostami wysuniętymi daleko w morze, z kawiarniami serwującymi także owoce morza i ryby, niekiedy złowione w Bałtyku. Po wojnie wybrzeże uległo podziałowi, więc tamte wspomnienia były tylko mglistym powidokiem, ledwie wrażeniem, odnawianym, gdy stawała na drewnianym moło w Międzyzdrojach, nie powtarzała nawet w myślach, bo po co, niemieckiej nazwy. Moło kojarzyło się jednak ze spacerami, z mamą ubraną w lekką sukienkę i odpowiedni do tego kapelusz, z tatą (nawet bez zapowiedzi munduru), z braćmi. Dodać do tego kolorową piłkę, latawiec, lody. Obrazek rodzajowy, nikomu niepotrzebny do niczego. Nie wiadomo, czy prawdziwy.

Odwracała twarz od tych mgieł z przeszłości, od tego przejrzystego pejzażu, i patrzyła na sprzedawców muszelek i bursztynów. Polskich muszelek i bursztynów jak polski był teraz Bałtyk. Wydawał się w ogóle nie łączyć z innymi lądami, nie dotykać obcych stron. A jednak. Wojska Ochrony Pogranicza. Karabiny broniące dostępu do naszego morza. Świnoujście prawie jak twierdza. Przepustki. Statki pływające po morzach i oceanach. Niekoniecznie wojenne, coraz więcej handlowych statków. Wydostających się w otwarty świat (choć pod okiem zaufanych kontrolerów) przez to właśnie morze, nasze morze. Widywano na horyzoncie, z plaży, ich majestatyczne sylwety.

Ula lubiła się opalać. Słońce wynaleziono przed wojną, brązowa skóra znaczyła zdrowie. Higiena, przede wszystkim higiena. Ula lubiła się opalać w Międzyzdrojach, nie potrzebowała do tego towarzystwa. Mężczyźni byli potrzebni dla kontrastu. Żeby na ich tle piękniej świeciła posmarowana olejkami skóra. Żeby podziwiali odcień dekoltu widocznego w wycięciu perkalowej kreacji. Żeby byli. Stefan nie ściągał na plaży koszuli. Nigdy nie pytała dlaczego. Może miał zbyt delikatną skórę? Może nie chciał pokazywać pociętych bliznami pleców. Siedział w koszu, wykupionym na cały dzień. Wieczorem przytulała się w tym koszu do niego, wkładając mu rękę pod koszulę, dotykając jego białego torsu. Opalona dłoń, wiedziała to, choć koszula była parawanem, wyglądała na nim niczym hebanowa rzeźba. Ten kontrast, jeszcze jedna różnica i słony smak, wyczuwalny przy muśnięciu wargami policzka, były znakiem. Znakiem, że są sobie przeznaczeni. Że nie oderwą się od siebie. Znakiem zdradliwym, fałszywym.

– Chcesz iść? Zostańmy tu, zobacz jak pięknie – przeciągała chwilę zejścia z plaży, aż robiło się zimno i pojawiali się pogranicznicy. Chciała czuć ten kontrast, żeby odgonić jego podstępny aktywność. Przeczucie. Miewała często przeczucia. Nie myślała o nich tu, gdzie w oknie nie miała zasłony. Słońce zaglądało do pensjonatu przed czwartą. W pełni lata. Czasem usypiała dopiero o pierwszym brzasku, patrząc na niego. Częściej kładła sobie poduszkę na głowę. Rano trzeba było wstawać. Jego obok jeszcze lub już nie było. Kiedy już stało się ostateczne, nie pojechała więcej do Międzyzdrojów. Bary prowadzili agenci, biznes tamtych czasów. Nie miała potrzeby tam jechać. Odwiedziła raz czy drugi dziewczyny, tak zaczęła o nich mówić, odkąd miały dzieci. Szczególnie często i chętnie Annę na marynarskich wczasach dla wybranych. Też mówiła o niej: dziewczyna. Na przekór jej macierzyńskiej i magisterskiej pozie.

Dla pozostałych, Anny, Janka i Marysi, morze było wielkim odkryciem. Anna bywała z mamą w górskich kurortach, jeszcze gdy była małą dziewczynką. Krynica Górską, a przede

wszystkim niewielka Wysowa słynąca z wód, z widokiem na słowackie Karpaty. Chodziło się tam wolno, cały czas pod górę, od źródła do źródła, pijąc bezpośrednio z kraniku lub czerpiąc na zapas. Zupełnie inaczej niż w salonie-pijalni w Krynicy. Z ich Gorlic do obu miejscowości niedaleka wyprawa. Janek, oczywiście, spędzał wakacje na wsi. W domu. Bo gdzieżby. Marysia podobnie, choć bywała na komsomolskich objazdach. W miastach, szkołach, szkolnych aulach. W muzeach rewolucji. Truskawiec, raz podczas rewolucyjnego tournée odwiedzili Truskawiec. Morza nie widziała. Dla tych dwojga morze było odkryciem. Wyjazdy tam i widok wody. Dostępność tego, co nie należało do pierwotnych projektów. Znanego, szczególnie Marysi, z literatury. Skoro jednak zdecydowali jechać, przestrzeń traciła cechy ograniczoności. Tak, kto raz pojedzie, może wylądować za górami, za lasami. Tymczasem na naszym, polskim, prasłowiańskim wybrzeżu. Dostępnym teraz dla ludzi pracy. Udostępnianym w specjalnym systemie ludziom pracy. Dobrze, sprawiedliwie reglamentowanym.

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych to były zdecydowanie i przede wszystkim Międzyzdroje. Dla Uli, potem dla Anny. Letnie miesiące wyjazdowej pracy w barze. Gorące, upalne dni i tysiące talerzy. Szły jak woda, naleśniki i leniwe. Kwaśne mleko, rzadko dostarczane lody. Każda ilość. Gotówka z dziennego utargu przechowana pod poduszką. Wpłacana bezpośrednio przez kierownika do kasy w szczecińskiej centrali. Albo raz w tygodniu na poczie. Nikt nigdy ich nie okradł, choć słyszało się o napadach, nawet o rozbojach. Przy tych patrolach wojska i milicji. Nie do wiary. Wieczne, nocne kąpiele na głównej plaży. W wolne dni, rzadkie, spacer w kierunku Kawczej Góry. Dansingi. „Piekiełko”. Uniwersalna nazwa dla wczasowego lokalu. Fotografie na moło, w zabudowanym kostiumie z krótkimi nogaweczkami. Buty na koturnach. Obie młode, z wielomiesięczną opalenizną zdobytą jakoś między harówką w kuchni, sali jadalnej, przy kasie. Każda chwila wykorzystana do maksimum. Na słońce, chodźmy na słońce, rozpinany fartuch, niewielkie podwórko. Bar w starej, narożnej willi, potem się spali, a jeszcze potem na tym miejscu powstanie restauracja. Stare wille, ślady po wojnie łatanie bardzo szybko. Międzyzdroje to prawdziwy kurort, lepsze towarzystwo. Ale i to zwyczajne, rodziny z dziećmi. Połączenie kolejowe. Jedzie się długo, po starych torach. Anna powinna się wystawiać, wciąż te słabe płuca, do słońca. Opalenizna dodaje zdrowia.

W latach sześćdziesiątych nowe kierunki wyjazdów dla rodzin z dziećmi. Pogorzelić. Wówczas prawie pusta, jeśli nie liczyć kilku ośrodków z domkami campingowymi i kilku kolonii dla dzieci rozlokowanych w ponemieckich willach budowanych w stylu nadmorskim, może nawet włoskim. Balustrady, balkony, różne formy dachów. Brak kanalizacji, więc wygodki w stylu leśnym, łaźnie z drewnianymi kratownicami na podłodze i aluminiowymi sitkami z łańcuszkiem. Centralnie uruchamiane przez większy łańcuszek. Nie najlepsze skojarzenie, zupełnie wyblakłe. Komary. Szambiarki. Knajpa. Sklep spożywczy. W sąsiednim Niechorzu namiastka portu rybackiego i zarys miasteczka. Kilka domów tworzących malowniczą uliczkę. Las, a w nim grzyby, jagody, czerwone borówki. Całe kilometry lasów. Robienie zapasów na zimę. Dzieci ze Śląska mówią o zbieraniu owoców leśnych „smyrgać”. Smyrganie jagód. Pełno tu, jak we wszystkich polskich wczasowiskach, Ślązaków. Kopalnie mają potężny udział w Funduszu Wczasów Pracowniczych i koloniach dla dzieci.

Pogorzelić kończy się poligonem. Płot w lesie i na plaży. Po zmroku patrole wyganiające maruderów z plaży. Reflektory omiatające piasek. Wojskowa wieża obserwacyjna pomiędzy Pogorzelić a Niechorzem. Strzegąca linii brzegowej. Granicy. Ktoś mógłby się wybrać, byli tacy, na materacu do nieodległej w końcu Szwecji. Chociaż nasze morze, ta plaża, takie piękne. Nikt piękniejszych nie ma. Na pewno nie Szwecja. Prądy morskie, skały. Zimne wybrzeże.

Tak jeździ Marysia z Magdusią. Potem, kiedy przyjdzie na świat Tomek, jeździ tam także Anna, do campingów Polskiej Żeglugi Morskiej. Niebieskie domki niedaleko plaży. Zanim

wybudują na tym terenie betonowy dom wczasowy, szczyt elegancji. Największy tu ośrodek, na długo. Renomowany, jak głosi dużo później powieszona reklama, chociaż nie wiadomo, co jest źródłem renomy.

Pogorzelica jest dla dzieci, dla rodzin. Nie ma sznytu Międzyzdrojów. Zewsząd dobiega śpiew kolonijnej dziatwy. Można spacerować bez końca, nie spotykając prawie nikogo, co najwyżej szeroko rozłożony harcerski obóz. Co się, oczywiście, zmienia. Lata sześćdziesiąte to jeszcze odległe od siebie grajdoły na szerokiej plaży. Jeszcze stoją dzielnie ruiny kościoła w Trzęsaczu. Można tam pojechać kolejką wąskotorową. Jeszcze zabawa w ośrodku w lesie, w „Elektryku”, jest atrakcją sezonu. Potem przyjedzie tu więcej ludzi spragnionych pustej plaży. Zapełnią kocami i gumowymi zabawkami pustą plażę szczelnie, po ostatnie miejsce.

1969 jest rokiem przejściowym. Magdusia bawi się w piasku, co godzinę prosząc o kąpiel. Wbiega jak psiak, chlapiąc na panią opalającą się przy brzegu. Potem czeka na mamę. Na tatę, spędzającego tu weekend. Jeszcze nie weekend, nie ma wolnych sobót. Powiedzmy: dni wolne. Janek nieźle pływa, zabiera małą z kółkiem. Marysia stoi przy brzegu, chociaż nie może na to patrzeć. Wiatr unosi jej spódniczkę od kostiumu kąpielowego w różę. Czerwone na czarnym tle. Elastik. Magdusia nosi elastyczne majteczki. Woła do nich, co minutę ich woła. Janek wygląda na szczęśliwego. Nie powinien tak daleko iść z dzieckiem. Morze to okrutny żywioł. Marysia nie potrzebuje żywiołów w swoim życiu. Wchodzi do wody, płynie do nich żabką, chce podtrzymać dziecko razem z mężem. Chce ochraniać swoją córunię.

Zachód słońca dodaje temu wszystkiemu sentymentalnej barwy. Opaleni, w białych strojach, spacerują po plaży, trzymając za rękę dziecko. Dziecko jest jak wzmacniacz, trzymając małą rączkę, czują tym mocniej siebie. Mają wrażenie dotykania się dłońmi. Ich trzy ciała na plaży oświetlonej zachodzącym słońcem, refleksami wody, owiewanej delikatnym wiatrem są jak żywy łańcuch, jak jedno. Podbiegają trochę, uciekając przed falą. Przysiadają pod wydumą. Janek otula kobietki swoim swetrem. Po opalaniu robi się chłodno. Noc będzie ich, po takim spacerze bardzo chce się nocy. W niepamięć odchodzą codzienne sprzeczki.

Ale to tylko pauza. Dotknięcie nadziei. Jesień w mieście najpierw piękna. Kolory. Zapachy z ogrodów. Szeleszczące podczas spacerów liście. Nowe, ciepłe palta. Wyciąganie z worków w szafie pachnących naftaliną szalików. Deszcze, zimno, listopadowy chłód.

Jeszcze idą plażą w kierunku poligonu. Pusto i dobrze. Siedzą przed domkiem. Słuchają lasu. Nie znają gatunków ptaków, których w tym lesie tak wiele. Obiecują sobie powrót za rok. Będą wracać. Tylko łańcuch z rąk się poluzuje. Wrócą na własną rękę, każde z osobna.

Anna statecznie rozkłada ręcznik w połowie między wydumą a brzegiem. Parawan. Okulary. Krem. Naciera dziecku plecy.

– Tomeczku, mamusia chce cię cały czas widzieć – trzylatek poważnie kiwa główką. Czy można mu wierzyć? Dziecku nie można do końca ufać. Dlatego Anna nie otwiera nawet książki, układa ją jak czytana grzbietem do góry. Potem zaczyna staranną obserwację. Nigdy nie bywa tu z mężem. Adam pływa. Adam ma morza dosyć. Adam wybiera dom na odpoczynek.

– Ty i dziecko to dla mnie wczasy. Ty jedź z Tomeczkiem, jedź koniecznie. Tobie i dziecku potrzeba powietrza.

Więc jedzie. I ma tam mnóstwo roboty z doglądaniem dziecka. W dodatku trzeba wyglądać, trzymać fason, inne marynarsowe patrzają. Nie ma tylu co inne ubrać, wciąż odkłada na potrzeby domowe, docenia wagę zabezpieczenia na przyszłość. Jednak, co trzeba, ma, należy trzymać fason. Więc zakłada inną suknię do stołówki, a inną na plażę. Szyje już teraz u polecanej przez znajomą panią marynarsową krawcowej. Tomeczek grzeczny, nie bardzo brudzi ubranka. Je zgodnie z poleceniem. Kanapeczka prosto do buzi, z pominięciem powalanych piaskiem rączek. Odpowiada na każde wezwanie mamy. Wykonuje rozkazy,

mały żołnierz. Anna czuje teraz pełnię życia. Oddycha głęboko, żeby dać pokarm słabym płucom. Zamierza żyć bardzo długo. Ma cel, dziecko. Chce stać się celem dla dziecka.

Powroty na styku sierpnia i września. Sierpień lepszy dla dzieci. Dni krótsze, ale dzieci i tak chodzą spać wcześniej. Przynajmniej nie ma potrzeby zagania ich do łóżek, kiedy lipcowe słońce urąga rozsądkowi. Mniej ludzi, czasem ostatnie dni sierpnia na pustej plaży.

Szczecin widziany od strony Portu Centralnego. Potem Most Długi. Z dala nabierające nowych kształtów katedra i Zamek. Pierwsze wrażenie zapachu. Pachnie wilgocią. Rzeką i liśćmi. Zapowiedź listopadowego gnilno-woskowego zapachu na Cmentarzu Centralnym. Gdzie nie bardzo mają kogo odwiedzać. Nie wszyscy. Chodzą między grobami i stawiają świece nieznanym żołnierzom. Myśląc o swoich. Dni ciepłe, wieczory chłodne. Jeśli spadnie deszcz, od razu się oziębi. Dzieci w przedszkolnych ogródkach jordanowskich opatulone w kurteczki. Skóra ma w sobie słońce, w odcieniu i fakturze. Jabłka smakują na początku września najlepiej. Ostatnie przetwory na zimę. W słoikach wecka. Kompoty śliwkowe. Dżemy.

Kiedy stoją przy kuchenkach gazowych, siedzą przy biurkach, idą swoją stałą trasą z siatką zrobioną z żyłki, wytrząsają ostatnie ziarenka piasku z lżejszych butów – odstawiają je do bliźniaczych schowków w przedpokojach i zaczną myśleć o Bożym Narodzeniu – plażę nadmorskie są nieczynne, do następnego sezonu.

KUZYN Z UKRAINY, 1970

Więc po tej całej drodze przez mękę. Zanim sama, z Magdusią, zdecyduje się odwiedzić zostawione tam wszystko, czyli nie wiadomo dokładnie co. W ustach ojca wielki dobytek, w ustach matki rozległa bieda. W jej – droga do lasu, którą... Rodzice nawet nie zdążyli o tym dobrze pomyśleć. Rodzeństwo niewiele pamiętało. Jej koleżanki rozpierzchły się gdzieś po nieznanym świecie. Owszem, niektóre zostały. Pocztówki krążyły nadal. Odnalazł się daleki kuzyn, właściwie syn kuzynki ze strony mamy. Jakieś bizantyjskie pokrewieństwo, odległe i rozgałęzione. Na tyle wiarygodne, że udało się załatwić zaproszenie. Dla niego i żony. Janek załatwił, w tych sprawach niezawodny, oczywiście małowówny. Na zdjęciu: pulchna platynowa blondynka, fryzura na wałki, szczupły mężczyzna w garniturze, szatyn, w rysach twarzy jakiś cień podobieństwa rodzinnego, ujawnia to tylko staranna analiza, pomiędzy nimi dziewczynka z lalką. Lalka duża, puciołowata, w sukience, też spokrewniona z resztą grupy. Tło sztuczne, od fotografa. Coś egzotycznego. Zgrana rodzinka. Model oszczędny, dwa plus jeden. Jak ta z fotografii chowanej przez Ulę w szufladzie. Tamci na tle mercedesa i domku. Jak Anna z wózkiem i Adamem w mundurze. Jak dni sami – aleja Piastów zimą. Ona z Magdusią w beciku wysiada z dorożki. Becik dość ciężki, użyty specjalnie na tę okazję. Nowy, żaden przechodni po czyimś dziecku. Skoro część ubranek, jeszcze zanim Róża wyjedzie, z paczek. Kolorowe, większość chłopięcych, ale tak kolorowe, że płeć przyszłego dziecka nie ma znaczenia. Są używane, w bardzo dobrym stanie. Ktoś ich ostrożnie używał. Becik zupełnie nowy, z mereżką. Lepsza bawełna. Da się nawet wygotować, prasować gorącym. Higienicznie. Przy dziecku higiena – podstawowa sprawa. Białe, właściwie do chrztu. Tak, chrzest urządzili. Tak, dziecko powinno być ochrzczone. Tak, samo wybierze. Tak, o religii w ciasnej salce katechetycznej też samo. Tak, wszystkie dzieci w jej klasie będą. Więc ona też. Tak, szybko jej się znudzi. Tak, na pewno nie wytrzyma tego w buncie przeciw ojcu. W ich mieszkaniach brak symboli religijnych. Nie licząc różańców po matkach. W szufladach. W mieszkaniach sąsiadek obrazy z Golgotą. Krzyże i krzyżyki. Po rodzicach oleodruk, Marysia ma ochotę, jednak zostawia braciom.

Marysia w rozkloszowanym płaszczu i chustce zawiązanej z tyłu. On podaje jej rękę. Uśmiech. Uśmiech. Na drugim zdjęciu, tego samego dnia, pochylają się nad wózkiem. Tacy piękni. Ich rodzice zapewne też się... Ale nic takiego w pamięci. Mama Janka pewnie tak nad drugą córką z pierwszego małżeństwa. Mama Marysi? Biegnij, musisz pomóc go stąd wynieść. Ciężce przeginają sylwetkę do przodu, trzeba z tym walczyć, odginając na siłę kręgosłup do tyłu. Tata czasem śpiewał rodzeństwu w kołysce. Oboje jednocześnie nie mieli czasu. Więc może oni tak pierwszy raz w świecie? Tak celebrytą to pochylenie. Nazywane rodziną. Nowoczesną rodziną. Na trzecim zdjęciu siedzą na ławce. Ławka duża, solidna. Obok dorożka. Białe koniki. Oni patrzą w sam środek wózka. Aleja wygląda jak krakowskie Planty, tylko lepiej. Więcej miejsca, spokojniej, drzewa bardziej rozłożyste. Kamienice za pasem jezdní równe, czteropiętrowe. Miasto, jak Wiedeń czy Berlin. Żadnych kostropatych przybudówek. Pozamiatane ruiny, dużo pustych przestrzeni. I oni. Szczęśliwi tamtego dnia. Marysia wkłada fotografie do albumu, czarne kartki, czarno-białe odbitki. Rogi w specjalnych nacięciach. Na okładce albumu „album”. Kiedy przychodzi zdjęcie z kuzynostwem, znajduje dla niego miejsce na tej samej stronie.

Wyjmuje jedno ze ślubnych. Nielubiane, ciemne, na którym Janek wkłada jej na palec obrączkę. Bezmyślnie, chce mieć odzyskanych krewnych na honorowym miejscu. Prowadzi, zapraszając do tego koleżanki i męża, amatorskie studia antropologiczne. Podobieństwo w czole, zakolach, kształcie oczu?

Przygotowania przy Królowej Jadwigi wciągnęły wszystkich. Sąsiadki, Ulę i jej kamienicę, Annę i jej. W barze „Bambino” kucharki udzielały porad, co należy zawczasu kupić, o co się postarać. Zakładano wymianę, oni na pewno wiedzą, co przywieźć. Jakiś sprzęt? Złoto? Tak. Janek dowiedział się od znajomych w pracy, że aspiryna i prezerwatywy. U nich tego nie ma. Oni podobno nie tyle zapobiegają ciąży, ile usuwają. Usunąć, skrobanka. Słowa z tamtego rejestru, normalne. Kiedy Marysia spóźnia się miesiączka, ginekolog w przychodni pyta: – Rodzi pani, czy usuwa? – jeszcze przed badaniem. Zdarza się pytanie dosłowne: – Chce się pani wyskrobać? Mam panią wyskrobać? – Za trzydzieści lat wszyscy oni będą obrońcami życia. Aborcja albo zabójstwo poczętego, tak to się będzie nazywać. Taki nastąpi postęp. Marysia nie była w ciąży. – Być może to nerwy, musi pani odpoczywać – już łagodniej mówi lekarz. Zrobiłby to w gabinecie, bez potrzeby leżenia w szpitalu. Prywatnie. Sporo robią prywatnie jak na rozwinięty socjalizm. I ustawę, która praktycznie wszystko dopuszcza. Taką jak ta w Związku Radzieckim. Gdzie i tak więcej zabiegów. Podstawowa metoda. Lekarz może rozczarowany, co ukrywa. Bo skrobanka łatwiejsza od leczenia hormonami. Po których może pani stracić swój arcykobiecy wygląd. Te hormony występują w końskich dawkach. Nikt do nich nie ma specjalnego zaufania. Obca prasa medyczna, tak, co innego pisze ta prasa. Której polski lekarz nie czyta. Z przedwojennych – bo nie ma dostępu. Z nowego pokolenia – bo nie zna języków. Zaledwie pogłoski, którym dajmy spokój. Czymś trzeba leczyć. Zanim usunie się macicę, popularny, sprawdzony sposób na uporanie się z fanaberiami.

Więc kondomy. Wstydliva sprawa. Nikt tego tu nie używa. Nie w małżeństwie. Marka Stomil kojarzy się z czymś innym niż miłość. W każdym razie raczej nikt by. Guma gruba jak na jednorazowe rękawiczki, słabo rozciągliwa. Podobno u nich i takiej nie ma. Najlepiej byłoby, gdyby. Adam mógłby przywieźć z Zachodu. Przez chwilę rozważają taki wariant. Ale czy Adamowi można coś takiego zaproponować? Jeśli na prezent, a w pewnym sensie na biznes? Spokojna głowa, ten kuzyn z Ukrainy też nie będzie tego sam używał. Aha, biseptol, raczej to. I polopiryna, przecież u nas też nie dostaniesz aspiryny. Adam mógłby... Bayera. Biseptol podobno też można jako środek antykoncepcyjny. Kiedy rozmawiają o tym we trzy, dwie mężatki i Ula – ta wie najwięcej – czują się jak przed laty przy paczce petit-beurre. Lekko wstawione winem porzeczkowym zrobionym przez Janka. Porzeczeki rodzą najlepiej w tych coraz rozleglejszych ogrodach działkowych wyznaczonych w starych i nowych miejscach. Niektóre szczepy pamiętają gospodarzy sprzed wojny. Anna zamierza posadzić same najlepsze krzaki. Porzeczkę tylko czarną, najwartościowszą. Kiedy już zbudują dom.

Więc im wesoło i lekko. Póki są razem. Bo Marysia jednak trochę się obawia. Kuzynostwo mówi po polsku, oczywiście, ale być może będzie tak, że zajdzie potrzeba. Marysia opowiada Jankowi w nocy o swoich kłopotach z czytaniem po polsku.

– Myślę, że to mi się odwróciło. Próbuję wyobrazić sobie, mówić do siebie. Ukraiński chyba mi wywietrzył. Rosyjski lepiej – dostała od niego *Annę Kareninę* po rosyjsku.

W ramach przygotowań. Kochany. Sam nie czytał. Bardzo, bardzo kochany mimo ostatnich przeżyć, tych małych awantur, odsuniętych teraz.

– Przechodziłem i na wystawie... – Zielone płótno, złote litery. Tych rosyjskich wydawnictw można kupić dużo. Lepsza jakość niż polskich. Marysia stawia książkę na półce kredensu, w przeszklonej części. Tam, gdzie trzymają kieliszki i miniaturki wódek. Honorowa półka. Nie czyta, czytała kilkakrotnie. Jeszcze tam, w szkole. Co prawda Aleksy Tołstoj był lepiej widziany, jednak i Lew, z powodu poglądów. W *Annie Kareninie* ostra krytyka burżuazyjnej obłudy. Carskiej armii uosabianej przez Wrońskiego. Tak, nawet wyrazistsze niż *Wojna i pokój*. Potem czytała i po polsku. Teraz... Ma wrażenie, że nie podoła. Że odrzucony, zagłuszony język w niej obumarł.

Przyjeżdżają w grudniu. Nie najlepsza pora na Szczecin. Tak dostali urlopy, bilety, wizy. Oboje. Oboje uczą tam w szkole. Nie wiadomo, czemu grudzień wydał się dobry władzom.

Faktycznie, oboje mają miękki akcent. Właściwie tylko on mówi po polsku. Żona kiwa głową, słucha, potakuje. Wtrąca półsłówka. Z ulgą przyjmuje propozycję przejścia na rosyjski. Marysia mówi po rosyjsku głośno, z radością. Wyczuwa w tym własnym mówieniu coś w pełni legalnego. Brzmi legalnie. Przyjmując oficjalnie krewną stamtąd. Ma pozwolenie na język. Język się jej sam przypomina, gotowymi zdaniem, powiedzonkami, nastrojem.

– Marysiu, ona Rosjanka, najprawdziwsza. Ale tam u nas to już nie ma znaczenia – nie ma też dla niej. Właściwie Marysia nie rozumie, po co on jej to tłumaczy. – Ale ja Polak, moja mama Polka, ja wszystko pamiętam. Ja by chciał... Ja bardzo ciekawy Polski. I jak ty tu, jak się wam powodzi. Dlatego ja przyjechał – gramatyka jak taty i mamy, kiedy się zapominali. Ta kresowa polszczyzna, uznawana za najpiękniejszą.

Nić sympatii, sentymentu. W dzieciństwie spotykali się...

– Nie, nie pamiętam. Może wcale? – Mama z jego mamą na pewno. Ale my? On jest rocznik... – Poczekaj – ma jakieś wspólne fotografie, na których chce koniecznie odszukać siebie i kuzynkę. Czy to ona? Może.

– Oni chętnie szukają kontaktu. Taki przyjazd tu to jak na Zachód. Pani kochana, dostaną tu wszystko czego dusza, a czego u siebie nie uświadczą – kucharka jak zawsze najmądrzejsza.

– Co też pani – protestuje Ula – ludziom zależy na czymś więcej. Na kontakcie, rodzinie. Nie można w tym widzieć interesu, zawsze interesu – kucharka milczy. Niedawno pytała, czy ktoś z baru nie ma kontaktów w NRF. Potrzebuje lekarstw. Jak dostać? Wiadomo, w aptece, nawet tej z zagranicznymi, trudno. Najlepiej przez kontakt z rodziną. Ula nie mówi, że owszem. Chociaż zaczyna taki kontakt podtrzymywać. Kucharka jakoś nagle mało rozmowna. Ma za złe, widać, że ma za złe. Ludzie są takie, nie pomogą drugiemu. Ula by jej te leki przywiozła, gdyby nie czuła przymusu.

Są zadowoleni. Mili ludzie. Nawet jeśli to pokrewieństwo takie odległe. Z wdzięcznością przyjmują posiłki, ona pomaga w kuchni. Opowiadają, o niektórych sprawach szeptem. Marysia mówi z kuzynką już tylko po rosyjsku. Rozpromieniona. Bo ten rosyjski jednak sam wypływa, sam się układa na języku, sam artykułuje. Słowa wracają. Tak, trzeba by przynajmniej czytać. Szkoda zapominać. Nie ma powodu. Magdusia w pierwszej klasie, przyda jej się taka pomoc w nauce. Od szóstej obowiązkowo, przez całą podstawową i średnią, na studiach. Około dziesięciu lat nauki języka. Warto mieć pomoc, warto wcześniej zaczynać.

Kuzyn biega po mieście. Trudno za nim nadążyć. Z paszportem w kieszeni, żeby w razie czego. Zagaduje ludzi. W sklepach, przy straganach. Ciekawy wszystkiego. Kuzynkę przyjmują do babskiej kompanii. Odwiedza z Marysią po kolei je wszystkie. Sklepy, sklepy też, oczywiście. Anna wyciąga z szafy kupon materiału i bluzkę od Adama. Miła ta Rosjanka. W zamian wszystkie dostają rosyjskie perfumy. We flakonach w kształcie winogron. Pachnące wschodnio, piżmowo, kwiatowo. Korzystna wymiana.

A potem jest ten dzień, niespodziewany. Coś dzieje się na mieście. Jego nie ma. Najpierw próbują udawać, że nic, nic takiego. Zaraz przyjdzie. Na pewno nie poniosło go na plac Hołdu, pod Komitet Wojewódzki, gdzie podobno coś się stało. Po co? Nie jego trasa. Na pewno raczej buszuje po Turzynie. Janek zagląda do domu na chwilę, będzie musiał wrócić. Na naradę czy jakoś. Poprosił o zwolnienie do domu.

– Goście, wie towarzysz, stamtąd... Trzeba z nimi być teraz. – Pechowo. Goście stamtąd i taki wstyd. Janek wzburzony. Nie udało się tego zgnieść w zarodku. Dla wszystkich zapobieżenie temu byłoby lepsze. Całe miasto podminowane. O polityce rozmawiali niewiele. I on? Taki ostrożny. Na pewno z zupełnie czystą kartą. U siebie. Nie dostałby paszportu. Kiedy mówili, jak im tam, ile zarabiają, co jadają, jakie braki w sklepach. Naturalne tematy przy jedzeniu i kupowaniu. Skoro biseptol, jak u was z opieką medyczną. Skoro krem Nivea, jak kosmetyki. Skoro szynka taki luksus. Skoro, skoro. U nas fruktów nie brakuje, z naturalną

dumą. Po chwili zniżali głos, kuzyn szeptał scenicznie. Po paru dniach więcej o tych sprawach szeptał z Jankiem. Kobiety nie, kobietom nic do tego. Marysia, po wódce, jednak się włączyła, coś że dobrze pamięta biedę, w syfie tam, powiedziała, o zamordyzmie też i że wy tam, oczywiście. Janek, zawsze łagodny, ją strofuje. Kiedy zostają sami. Nie należy tego robić gościom. I w końcu niech nie udaje, że nie wie, z czego żyją. Zacięta twarz, kacowa szczerłość.

– Naprawdę nie wiesz, kim są. Czy nie składają po powrocie sprawozdania. Ja ci powiem: oczywiście, składają. Pomyśl o mnie, o mojej karierze. Gdyby dotarło taką drogą, na jaki temat tu odbywają się rozmowy. Może i oni myślą jak ty, wobec tego stawiasz ich w trudnej sytuacji. Będą musieli kłamać. – Marysi pierwszy raz przemyka przez głowę, że on nie jest z nią całkiem szczerzy. Że za dużo wie o niektórych sprawach, o mechanizmach. Ta jego partia... Ta praca, parszywa firma, nie da się dłużej udawać, że po prostu milicja. Sama milicja byłaby dość parszywa. I czemu jej o tym nie opowiada? Co w pracy? Jak minął dzień? Ostatnio wcale o tym nie mówi. Częściej wraca pijany. Z okazji wizyty z ZSRR przykładnie trzeźwy.

Teraz kuzyna nie ma. Mówią o tym przyciszonymi głosami, nikt nie wie dokładnie, co się dzieje. Poza Jankiem, który nie może za dużo powiedzieć, musi wracać. Ale.

– Niech on tylko nie odezwie się do ludzi tym swoim akcentem. Nie daj Bóg, coś powie po rosyjsku – Janek nagle okazuje się być nieźle zorientowany. Dobrze wie, kogo szczeciński tłum może nienawidzić. Żona kuzyna, Wiera, ma na imię Wiera (on dziwnie po polsku, Marian, chociaż spodziewaliby się czegoś rosyjskiego), rozumie to, czego nikt głośno nie chce powiedzieć. Ona czuje. Błada jak kolor włosów. Platynowo biała. Grzeczna, nie okazuje emocji poza tym kolorem na twarzy. Dopiero gdy zostają we dwie, płacze.

Marian wraca rozpromieniony, rozgadany. Tak, był w tłumie. Tak, bał się trochę. Pod Komitetem. Poniosło go, nie mógł sobie darować. Po prostu musiał.

– Aj, nie gniewajcie się na mnie. Ale to prawdziwa rewolucja. – Wiera zatyka mu dłonią usta, nie chce by mówił, nie chce słuchać. O cudzej rewolucji nie chce słuchać. A on musi mówić, mówić, mówić. Jakie to cudowne, u nas nie. Nigdy. Tu robotnicy. Gada jak nakręcony Janek nie wraca. Kiedy wróci, wypiją dużo wódki, we czworo. Całe szczęście, mówi, że ja teraz bardziej zajmuję się szkolnictwem. Gdybym był tam, gdzie na początku, w pionie III, to by się mogło odbić. Złe rozeznanie w zamiarach robotników. Szkoły siedzą cicho. Nauczyciele z nowego szczepu, wykształceni w prawomyślnych szkołach pedagogicznych. Elementu pozbyliśmy się ostatecznie w '68.

– Jak tego, wiesz – mówi do kuzyna okazującego pełne zrozumienie – przyjaciela naszej Uli – chyba pierwszy raz komuś o własnym dusiołku opowiada – siedzi mi na piersiach tamta sprawa. Nie mogłem nic więcej, ale ich ostrzegałem, namawiałem. Nie to nie. Teraz baba sama. A dzieci nie powinni uczyć nieodpowiedzialni osobnicy. Wiesz przecież. Uczysz i masz dziecko. – W każdym razie tamta niewygodna, zapętlenie zadań w pracy i osobistego życia teraz wychodzi na dobre. Teraz akurat nie on bezpośrednio, choć uczestniczy w mobilizacji, w naradach, nie on musi znaleźć odpowiedź na pytanie, jakim cudem stoczniowcy znaleźli się pod Komitetem. Kto ich podżegał do buntu? Same ceny? Głęboko niewystarczający powód. Żyjemy w tym samym kraju i nikt nie może powiedzieć, że ma kłopoty z kupowaniem jedzenia.

Jakie jest tego żniwo, podadzą, owszem, gazety. Niezupełnie dokładnie. Będzie mrucał, czytając „Głos” i „Kurier”. Jakoś z dezaprobatą i zarazem ze zrozumieniem. Tak trzeba. Tak trzeba napisać. Inną wersję zdaje się znać Janek. To znaczy Janek zaciska usta, podaje im komunikaty. Bez komentarza. O innej wersji zdarzeń mówią ludzie. Koleżanki z pogotowia i ostrego dyżuru. Szeptana mądrość miasta. Marysia więcej może z tych szeptanek im przekazać.

Jakby specjalnie na ich przyjazd. Myśli Marysia. Zobaczyli. Pojadą. Od tego dnia nie wychodzą sami. Mają przykazane milczeć na ulicach. Bo jednak ludzie nie przepadają za rosyjskim akcentem. Marian w garniturze mógł być wzięty za prowokatora, opowiada potem Marysia. Więc lepiej, żeby złość, po raz pierwszy tak silna, nie dotknęła go, Bogu ducha winnego. Trochę potem to Marysia rozdmuchuje. Czuje, opowiadając przy kawie w dyżurce grozę. Czuje, jakby sama coś zaryzykowała. Janek radzi ostrożność. Znów wie, co poradzić. Ciekawe, czy milczy w „Wiarusie”, pijąc powrotną setkę? Zapominając, kto na niego w domu czeka.

W sumie wizyta udana. Kupili nową, skórzaną walizkę. Na prezenty i zakupy. Umówili się na więcej. Jeśli tu będzie spokojnie, bo w przeciwnym razie lepiej, żeby przyjechali do nich. U nich spokój i porządek. Jak w całym ZSRJR. Nie ma mowy o rozruchach.

MAŁŻEŃSTWO ANNY, 1971

Ślub wzięli w '67, tym samym, w którym Ula odwiedziła krewnych, a małżeństwo Janka i Marysi znajdowało się w szczytowej fazie, na krótko przed upadkiem. Zaraz potem Adam wypłynął. Narzeczeństwo raczej krótkie. Stateczny kandydat. Co prawda, rozwodnik. Bezdzienny. Do historii rozwodu nie wraca. Bezdzienny, podkreśla, i ona do tego nie wraca, w sprawie pryncypiów ma podobne zdanie. Kobiety nie są ważne, mężczyźni miewają w dorobku wiele kobiet. Ewentualne przeszkody w zapisach, jednak on o niczym takim nie wspomina. Anna taktownie milczy, przyjdzie czas na szczegółowe pytania. Jedno wie od razu, on jej o tym mówi: była żona gdzieś w świecie. Daleko, zdaje się, że nawet bardzo. Na innym kontynencie. Jakaś nieprzyjemna sprawa, może nawet życiowa awantura. Nie przyniesie do wspólnego domu żadnych zdjęć tamtej, to się widzi od razu. Bez sentymentów. Zamknięty rozdział. Niczemu nie zagraża. Nikt jej, jako ewentualnej żonie, nie zagraża.

Tego roku Anna skończyła trzydzieści siedem lat. Czas najwyższy. Posag od dawna zgromadzony. Bielizna pościelowa, obrusy. Nie miał kto jej dać, kupowała sama, odruchowo. Pamiętała serwetki i talerzyki ciotek, ich krakowskie kredensy z wyprawy, utrwalone mocno, fundamentalne bez mała zasady: wyprawa oznacza wkład w życie, daje kobiecie pewność. Jak mężczyzna, odpowiednio wyselekcjonowany. Najlepiej starszy, odpowiedzialny. Jak on, kapitan. Kto inny mógłby być tą wyczekiwaną parą dla porządnej dziewczyny? Kto tu, skoro już trzeba mieszkać tak daleko od miejsc, które się znało najpierw, na początku. W tych klitkach, chociaż wokół tyle ładnych mieszkań. Po tych wszystkich, niezdanym i zdanych, egzaminach, podczas których miała wrażenie, że żaden z profesorów nie chce na nią patrzeć. Na jeszcze jedną upartą dziewczuszkę, w końcu już też nie dziełatkę, pilnie pokonującą podręczniki, zamiast wykonywania normalnej, kobiecej roboty, czyli dogadzania rodzinie. Nie była specjalnie lotna, wiedziała. Nie była w niczym gorsza, po prostu nie głupsza od kolegów z poszczególnych (bo zaliczyła parę, przerywając kilkakrotnie studia) roczników. Nie mogła nie widzieć, że brakowało jej bycia mężczyzną lub bycia bardzo ładną kobietą. Przeciętność oddalała dyplom. Lub przybliżała, te przerwy, urlopy dziekańskie brała na własne życzenie, chciała wszystko zrobić porządnie, więc koniec końców to nie niechętna profesura, ale słabość w płucach. Profesura o tyle, że nikt jej nie zachęcał. Obojętność, oto co dostała od tego miasta. Ciepło tylko w okolicach baru, gdzie nie tylko pracowała. Unoszące się nad kotłami, nad papierosem palonym w podwórku, na szklanką kawy po turecku.

On, nowo poznany absztyfikant (jakby powiedziała mamusia), był takim królewiczem, na jakiego należało czekać. Z piękną kartą wojenną. Jasne, do tego też nie wraca. Mówi się na mieście, w biurze i rozumie samo przez się. Po imieninach koleżanki z pracy – sałatka, bigos, kiełbasa na gorąco, cienko krojona szynka, babka piaskowa, wino i wódka – idą do teatru, do operetki na *Wesołe kumoszki z Windsoru*. Cóż, ona też mogłaby być już wdówką, ale jest panienką. Mało tego, dziewicą. Nie musi mu tego zaznaczać, jak już przyjdzie co do czego, czuje od początku, że taka rozmowa nie będzie między nimi konieczna. Wszystko stanie się, jak trzeba. Tymczasem tak: torebka z błyszczącej imitacji skóry. Solidny, skórzany portfel. Starannie wygolone policzki. Po jego stronie. U niej: lekki makijaż. Adam otwiera jej drzwi, uważa, żeby nie przytrzasnąć sukienki. Jadą, choć to nie bardzo daleko. Spacer wskazany w drodze powrotnej, przed snem. Trochę niebezpieczna okolica przy samym teatrze. Przy nim nie niebezpieczna. Po lampce wina mogłaby zapuścić się z nim nawet na Kolumba. Wydatki, które poniósł, w sam raz. Zapowiadają klasę. Nie rozrzutny i nie chytry, podobałby się w naszych – bo przecież pochodzą z naszych – stronach, myśli Anna, doceniając także męsko zarysowany podbródek, statecznie posiwiałe skronie, krótko przycięte paznokcie.

Wybuch namiętności, jaki poczuje po ślubie i jeszcze po pierwszym jego rejsie, rozgrzana oczekiwaniem, będzie miał związek z tą jego schludną akuracją.

– Najlepiej jest zawsze za drugim razem – powie filuternie, jak do mężatki (którą tamta, ściśle rzecz biorąc, nigdy nie była) do Uli – co każe się domyślać, że stateczny wygląd idzie u Adama w parze z opanowaniem w każdej sytuacji. Po drugim rejsie namiętność w Annie cichnie. Zaczyna czuć dystans w tym jego opanowaniu. Na razie przymierza się do jego ramienia.

Robi mu, po cichu, dyskretnie, małe testy. Patrzy, jak będzie patrzył na girlsy, na balet pokazujący w tańcu całe uda. Nie patrzy, ma obojętny wyraz twarzy. Klaszcze, kiedy inni klaszczą. Śmieje się, kiedy inni się śmieją. Nie ziewa. Utrzymuje umiarkowanie napięty wyraz zaciekawienia. Zdaje. Tancerki mają uda grube, falbany tego nie zakryją. Z ich miejsc widać fastrygi. Stroje trochę się sypią. Chór śpiewa nieco fałszywie. Komik raczej żałosny, za stary na rolę, spod pudru wychodzi czerwona twarz. Komik niewątpliwie po spektaklu, może przed wejściem też, pija. Cóż, prowincjonalna operetka. Nie da się równać na przykład z Teatrem Słowackiego, gdzie bywali oboje. Z pluszami, kurtyną. Tu są jak bombonierka w porównaniu z prawdziwym teatrem. Za to solistka niezła i aksamitne pokrycia krzesel, wyściółka bombonierki, sprawiają przyjemność. Eleganckie czekoladki, oboje je lubią. Odrobina wina w foyer w przerwie, w bufecie. Czekoladki i wino wyłącznie na specjalne okazje. Po obojgu widać, że nie nadużywają. W teatrze bardzo mieszane towarzystwo. Wycieczka z prowincji i stali bywalcy, operetkowi, miejscowi koneserzy. Szukający namiastki muzyki poważnej w tej niepoważnej. Oklaski, goździki. Entuzjazm. Przez minutę – dwie, kulturalny entuzjazm.

Więc jeszcze spacer, restauracja, rozmowa. Nie wówczas, nie po operetce. Tamtego wieczoru rozmawiają o teatrach krakowskich. On bywa. Mówi też o tych nowych krakowskich miejscach, jakichś piwnicach, których ona zupełnie nie zna. Nie poznała nawet klubów studenckich tutaj, tak, słyszała, że są, co się tam odbywa. Nie, nie chodziła nigdy. Może raz, na jakieś zebranie. Może. Tak. Może. Nie miała czasu. Pracowała. I nauka. On jej opowiada.

O piwnicach, w których młodzi tworzą kabaret. Jakich poza Krakowem nie ma. O tańcu. Falbany pań tańczących flamenco. Naprawdę, porządniej uszyte. W obcych krajach. Mają tu chyba kiepską garderobianą. W obcych krajach marynarz podobno też... Takie specjalne dzielnice... Jest tego ciekawa, śmiała. Po lampce wina. Egzotyka. On obiecuje pokazać zdjęcia, pocztówki. Już są takie trójwymiarowe. Zachód słońca nad Sao Paulo, nie nad tą dzielnicą, nad miastem, pyta ona? Nie chce się wiedzieć, że to widział, ale jednak nie narzekajmy, nie dajmy się zwieść. Tu jest nasze miejsce. Unosi się nagle patriotycznym honorem.

– Może to już się nie udaje nicować, sztukować, przeszywać – broni Anna, dając do zrozumienia, że potrafi wziąć w palce igłę. Umiąaby jak trzeba przeszyć. Zetlałe kawałki tiulu.

Poważna rozmowa za trzecim razem. Po kotlecie i lodach. Nasycony człowiek nabiera chęci na przyjazne negocjacje. Czego kto oczekuje. Należy na wstępie powyjaśnić. Nie oczekując za wiele. Gra w narzeczeństwo powinna być ekonomicznie skalkulowana. Po co kolejny bukiet złożony z trzech goździków? Po co byłby, gdyby nie mieli zamiaru. Więc czego oczekują. Ona domu. On przystani, tak mówi.

Jest marynarzem, przystań na miejscu, mieści się w wyobrażeniach i mowie. Pachnie morskim fachem. Nareszcie Szczecin okazuje się naprawdę leżeć nad morzem. O dziecku nie mówią, zbyt intymnie. Ona bardzo, najbardziej pragnie. Rodziny. Z wdzięcznością to przyjmuje, zakładając, że rodzina obejmuje dzieci. Udane negocjacje kulturalnych ludzi. Wykształconych, dojrzałych, na poziomie. Ustalanie daty, nieodległej, póki on na miejscu. Usprawiedliwiony pośpiech. Pani urzędniczka świetnie rozumie, dla marynarzy terminy

preferencyjne. Żadnych podejrzeń. Od razu widać powód. Żadnej ciąży. Pan kapitan zawiera związek między rejsami, statki pływają według planu, nie zawrócimy statków.

Potem ślub, Urząd Stanu Cywilnego w Urzędzie Miejskim. Anna nie jest bardzo wzruszona. Na fotografiach w skromnej sukience. Nie ma po co się wzruszać. Za to można wyżej nosić głowę. Niewielkie przyjęcie dla najbliższych przyjaciół w restauracji „Zamkowa”, bardzo elegancko. Bez tańców. Powściągliwe toasty. Opowieści o podróżach, o zwyczajach plemion murzyńskich odwiedzanych zorganizowaną grupą. W prezencie dostaje od niego sznur prawdziwych pereł. Zaledwie tydzień miodowy, wypad nad morze. Pożegnanie. Pociągiem do Gdyni. Stamtąd. Ona go odprowadza i wraca. W mieszkaniu męskie akcesoria. Omija je, rękami i wzrokiem. Zaczyna się czekanie. Na powrót i żeby spróbować. Na ścianie pojawia się mapa świata. Szybko. Dwa miesiące wszystkiego razem i ma go tu, ma na kogo czekać, ma jego nazwisko.

– To nie jest wiek niemożliwy, jest pani zdrowa – mówi lekarka. Anna jest zdecydowana. Kiedy on wraca. Leży w czarnej bieliźnie, gasi światło. Solennie wypełnia akt miłosny. Zgodnie z instrukcją lekarki. Liczy, oblicza, powtarza, zwleka lub zachęca. Prosi o, zaprasza bez słów. On wie, że tak trzeba. Trochę to monotonne i bez uniesień. Adam nie jest młody, ma na szczęście kondycję. Marynarz, kapitan, przedwojenna szkoła. Żeby mieć dziecko, trzeba chcieć. Nie dowie się przed wyjściem w morze. Obiecuje mu dbać o siebie. Już jakby. Była zapłodniona. Mówi mu o tym szyfrem, przez Gdynię-Radio. Wie już, że rozmowę słyszą na mostku inni. Więc szyfr niezręczny: – Czekamy razem – ale czytelny. Nikt inny nie mógłby czekać.

Kiedy ma mdłości, kiedy jej puchną nogi, kiedy trudno wchodzić po krętych schodach. Nawet jest zadowolona, że go nie ma. Nie widzi jej w tym stanie. Nie musi przed nim udawać. Cięża to sprawa kobiety. Anna jest ciężą jako stanem fizjologicznym trochę zawstydzona. Kupuje w księgarni na placu Lotników książkę o zdrowiu kobiety. Nowoczesne podejście może się przydać. Nie kupuje podręcznika van der Veldego, ani przed ślubem, ani teraz. Co innego stanowi priorytet. Ma już niemal czterdzieści lat, a jest nowicjuską. Pierwiastka, tak to się w żargonie położniczym nazywa. Stara pierwiastka, tak mówią lekarze. Prawdę mówiąc, nigdy nie sądziła, że jest stara. Do tej pory nie miała czasu na takie rozmyślenia. Przygotowywała się do prawdziwego żyda.

Rodzi Tomeczka, ślicznego dużego maluszka. Adama przy tym nie ma. Nie tylko w szpitalu, gdzie miejsce rodzących kobiet, nawet pod i w domu, w roli oczekującego. Adam odbiera depeszę w rejsie do Afryki. Adam jest bardzo szczęśliwy. Adam nie jest przy tym niezbędny, teraz to jej sprawa. Do której on dołożył swoje i będzie nadal, najlepiej z daleka, dokładał.

– Ale fart, panie kapitanie, ale fart. Jaki prezent dla żony? – Pyta załoga. Złota bransoletka, włoska robota. Kupiona w Południowej Afryce, jednak włoska. Młodszy koledzy, podwładni, doradzają, co jeszcze można kupić dla dziecka. Chociaż Anna pisze: „Niczego nie trzeba. Poza Tobą, tatusiu”. Tylko na początku pozwala sobie na „tatusiu”, „mamusiu”. Później nie, to nieeleganckie. Po połogu wraca do reguł. Już w połogu, odwiedzana przez Ulę i Marysię, wygląda na zmobilizowaną. Żadnych ustępstw wobec siebie. Regularne jedzenie, teraz ważniejsze niż porządek w szafie.

Kiedy jest sama, lub przy kobietach, dotyka dziecka końcami palców, boi się je zranić. Karmi piersią. Siedzi z nim przy piersi długo, myśląc o rzeczach przyjemnych.

O domu, który stworzą. O wykształceniu, za które będzie im wdzięczny. Jeszcze o czymś, co sprawia przyjemność, na przykład o biurku w przestronnym, biurowym pokoju.

O poukładanych na nim równo przedmiotach. O pełnych szacunku pozdrowieniach, przekazywanych ruchem głowy przez inne, młodsze kobiety, kiedy będzie szła korytarzem. Kapitanowa.

Zatrudnia piastunkę. Musi, oczywiście, wrócić do pracy. Awansuje, jest główną księgową. Żona kapitana, partyjna... Jeszcze na studiach, ZMS, potem kandydatka. Zanim ktoś to podkreśli, warto zaradzić, Anna na czas zapisuje się do partii, choć ją to wcale nie interesuje. Stracony czas. Jednak. Na szczęście. Obowiązują ją pewne standardy ze względu na męża. Anna jest mężatką. Pracuje na stanowisku mężatki. I matki. Anna opowiada o tym przyjaciółce. Która tego uważnie słucha. Kręcąc pantoflem na czubku stopy. W pracy cieszy się szacunkiem, ma prestiż. Rzadko zagląda do baru. Owszem, wciąż lubi pierogi. Coś się zmieniło, odkąd nie ma kierownika. Mniej śmiechu, mniej okazji do poprawiania makijażu. Za to przytulniej, babska atmosfera. I Ula. Więc zachodzi. Rzadko, bo uczy się gotować. Stare przepisy mamy. Własne pierogi. Mostek cielęcy. Pożywne zupy. Adam musi to dostać, kiedy zejdzie na urlop. Adam, mąż, Adam. Tomeczek, synek. Stawiany przy stoliku, w eleganckim wózku kupionym przez męża, Adama (jak dobrze, że Adam ma takie dostojnie brzmiące imię!), kiedy pozwala sobie na popołudniową bawarkę w barze, żeby kobiety mogły podziwiać, jak dziecko urosło, dzięki racjonalnemu podejściu statecznej matki.

Adam przywozi z rejsów towary luksusowe. Żadnego handlu. Na razie. Naddatki dostają Marysia i Ula. Kapitanowej handlować nie wypada. Smak i zapach kawy. Kakao. Moher. Bielizna. Bony baltonowskie idą na wymianę, na konto, na zakup wyposażenia. Eksport wewnętrzny, nowe pojęcie, zrozumiałe dla magistra ekonomii socjalistycznej, jakim jest Anna. Wyposażenie do łazienki. Kartony gładkiej glazury. Pudełka z armaturą. Wszystko gromadzone na przyszłą budowę. Napisy w obcych językach, które Adam rozumie. Anna poradzi sobie ze wszystkim. Z językami, cementem i urzędami. Bez ostentacji. Powoli. Żeby ludzie nie mogli gadać. Ludzie są zazdrośni. Trzeba zachować umiar.

– Uhu – pomrukuje nieuważnie Ula. Chyba nie zgadza się do końca. Aprobuje bez zachwytu. Może nie rozumie? Jej dwa pokoiki są wystarczająco wygodne. Kwiatki w doniczkach, geranium. Po co pielęgnować ogród? Są parki. Najlepiej chodzić po parkowych alejkach. Trzymając pod rękę kochanego mężczyznę, pchając wózek, zabawiając rozmową przyjaciółkę. Lepsze to niż dbanie o rośliny w ogrodzie, sprzątanie, krzątanie. Ula chciałaby móc zawsze spacerować alejkami, alejami, po nadmorskich promenadach. Stara się nie wypuszczać smutku zagnieżdżonego w pokoju. W większym mieszkaniu – co dopiero w domu – smutek mógłby się rozplenić.

– Że się kocha dziecko, nie znaczy rozpieszczęć – mówi Anna do Uli, kiedy ta robi „wio, koniku” na prośbę Tomeczka. Pewna surowość nie zawadzi. Ale Anna kocha go nad życie. Tak, właściwie bardziej niż męża. To może już wyznać. Miłość? Nieobecność, te powroty z darami, o które ona nie dba. Nie przyznaje tego. Składa w szafie za bielizną pościelową. Łaszki, których nie zamierza nosić. Biżuteria, tak, ta jest lokatą. Schowana w walizce, w podwójnym dniu. Złe nie śpi. Nie będzie się obwieszać złotem. Ostentacja nie jest dobra. Najwyżej zegarek, maleńka złota omega. Tyle można. Zarobki. Prestiż. Dyskrecja. Umiar. Budowa domu. Adam najchętniej zostaje w domu. Długo sypia. Załatwia to, czego jej się nie udało. Przydział na cement. Ceni jej kuchnię. Adam... Nie mówi o nim zbyt często, inaczej niż jako o szefie. Ich domowego przedsiębiorstwa. Niemal „pan Adam”, z przekąsem podkreśla Ula. Nie mówi z nim o rodzinnych stronach. Z jakiegoś powodu on wspomnień stamtąd nie lubi. Nie odwiedza tam nikogo, jeżdżą raz w roku na groby. Tego roku nie pojechali. W liście do brata: „Postaw świeczki na grobach naszych” – dotyczy także jego krewnych. Adam jest... taki... Dość szybko zaczyna nim straszyć synka.

– Musisz być dzielny jak tatuś. Tatuś pływa po wielkich morzach. Tatuś wszystko zjada. Nie kaprysi. Tatuś nie boi się ciemności. – Po czasie, potem: – Musisz zrozumieć, zastąpić ojca. Nie mogę wszystkiego sama. Poświęciłam się... teraz... wymagam – zacieśnia więź, być może nawet nie do wytrzymania.

Jeszcze Tomeczek jest bardzo mały. I wtedy. Pewnego dnia w '71 roku. Anna znajduje w kieszeni munduru męża list od kobiety. Nie próbuje go nie przeczytać. Ma obowiązek

wiedzieć. Obiecywali sobie zresztą bliskość. Szczerłość. W tej pierwszej poważnej rozmowie przed ślubem. Nie mówiąc o przysiędze w Urzędzie Stanu Cywilnego.

I wypowiedzianych w ciemnościach, kulturalnych wyznaniach. Jej przed fotografią mamusi próśb o pośrednictwo u Matki Boskiej. Na wszelki wypadek. Jego lakonicznej uwagi, że jest prawosławny z urodzenia. I w intencji chciałby zapalić w najbliższym czasie świeczkę w cerkwi. Więc mają też, nieco potajemnie zawarty, ślub niecywilny, duchowy. Powściągliwie metafizyczny.

– Zrozum, jego kieszeń jest właściwie moja – mówi do Uli, której nigdy coś takiego nie przyszło do głowy. Która żadnej wiedzy nie potrzebowała. Stefan mógł mieć drugie życie i swoją tajemnicę. Byle miał coś także dla niej. Życie ją nauczyło: nie wiedzieć, lepiej nie, mogli przyjść i zapytać. Ulę inaczej: jeśli nie wiesz, me wiesz, co robić. Na przykład, czy we wspólnej mogile na pewno leży jej tata. Marysia potakuje obu. Nie wiem, tak, pewnie. Też by zajrzała. Teczka Janka nie mogła kryć takiej tajemnicy. Nie taką. Panie z kadr... Jego wypielegnowane baczki... Koleżanki teraz... Odsuwa ten obraz, przesuwając na później. Wspiera starszą, mniej doświadczoną przyjaciółkę.

List nie pozostawia wątpliwości. Żadnych złudzeń. Ale on wypływa, nie ma czasu na małżeński melodramat, remanent. Dom wymaga uwagi. Ona powinna się teraz tym zająć. Być może, mówi Uli, to sprawa seksu. Tylko seksu.

I jak na zawołanie on o tym do niej pisze. Miał tylko seks z tamtą panią. Ot, chwilowa burza zmysłów: „Zawsze najważniejsi będziecie dla mnie Ty i dziecko, moja droga”. Tak do niej pisze. Listy idą długo. Ma czas to wiele razy przeczytać. Rozumie. Dziecko nie jest nawet Tomeczkiem, jest dzieckiem. I ona, jako matka i żona. Bez imienia. Jej obowiązki. Nie mieszajmy do tego seksu. Zresztą raczej mdłego między nimi. „Chcę, żebyś mi obiecał, że to skończone. I że się nie powtórzy w przyszłości. Wychowujemy dziecko. Musimy świecić przykładem”. Tak do niego pisze. Choć czuje, że jej się należy ten jego „tylko seks”, nie robienie dziecka, seks, do którego aluzje robi Ula. Czuje, że chciałaby tego „tylko” przynajmniej spróbować. Zaciska usta, zaciska się w sobie. Zaciska jakiś organ, okolice serca, bo nie może zburzyć dorobku, osiągniętego z takim trudem tak zwanego normalnego szczęścia. Jednak to w środku, w niej, krwawi.

On obiecuje na odległość. Że już nigdy. Ona to docenia. Widzi go, silnego, lecz już wkraczającego w starość męczyznę, który wyrzeknie się dla niej i dziecka „tego”. Prawie jej go żal. Żal jej też siebie. Nie pyta o szczegóły. Mogłaby mu zaproponować. Mogłoby gdzieś pojechać razem. Spróbować czegoś. On pisze, że mogłaby z nim popłynąć w następny rejs. Zobaczyć świat, być bliżej. Tak, jak dziecko podrośnie. Żeby można też było zabrać dziecko, odpowiada. Ma przyrośnięte do ciała dziecko, kiedy mu odpowiada.

Obraz Adama tracącego głowę dla innej kobiety prawie się zaciera. Po ciemku? W dyskretnym świetle lampy? W promieniach słońca wpadającego przez okno? Tak, zabiorą w rejs dziecko. Tak, dom prawie gotowy. Tak, tak. Pojadą. Anna jest spokojna. Nic nie odbierze jej szczęścia. Jak mamusia, ma swój dom, męża i dziecko. Tak, cena jest umiarkowanie wysoka. Tak, w łańcuszku pokoleń ktoś ją spleci. Tak, pod ręką ma Tomeczka.

ZWIĄZKI PRZECHODNIE, brak czasu

Jakoś tak jest, że wszystkie związki są przechodnie, myśli Ula. Co się zaraz zacznie sprawdzać nawet u młodych, u ich najmłodszych. Zaczyna widzieć własne bycie ze Stefanem jako trwające nadal, choć od początku skazane na niepełność. Są razem, nawet gdy go już nie ma. Wielkie miłości nie mają rysów gwiazd z Hollywood ani nawet radzieckich amantów. Dopadają nie tylko młodych. Z czasem siedzenie w kuchni, spacerowanie, rozmowy o uczniach liceum i klientach baru, jakieś narzekania na zaopatrzenie, wymiana uwag na temat remontu ulicy – materia bytu i rozmowy – wydawały się powszednie i najważniejsze. Gdyby, myśli Ula, związek z kierownikiem też miał sens. Podobieństwo. Wiek nie gra takiej roli. Z czasem. Od wyjazdu Stefana nie wróciła do dawnych obyczajów. Ciało, zanurzone w związek nazywany życiem, ma kłopot z powrotem. Zużywa się. Kumuluje dotyki. Ula kładzie na piersiach popielniczkę, papieros dopala się sam. Nie chodzi o starość. Trzydzieści dziewięć lat to nie starość. Nie ma mowy. Jednak za późno. Rozumie, że za późno. Nie da rady. Nikomu już nie powie o świecie: – Zostań – z takim wahaniem i pewnością, że odmowa byłaby gorsza od tej prośby. Prawie nie rozpoznaje siebie sprzed, siebie przed nim. Drugi raz w życiu ją to dopada. Zmiana, zostawiająca ją samą, w środku mieszkania, mającą do zrobienia tylko jedno: trwać, tkwić tu. Palić, strząsać popiół. Mówić sąsiadkom, jak się pozbywać bólu głowy, odcisków, łamania w kościach, bolesnych miesiączek, mężów pijaków. Pracować, odbierać pensję, dbać o dostawy. Zakładać rano ładną bluzkę.

Niedługo, trzydzieści lat później, czekają konsekwencje tej rezygnacji, tego nazwania Stefana miłością. Bo tak się składa, że nazwanie go miłością, ponieważ oszczędł, ponieważ nie wróci, ponieważ ona nie pojedzie do niego. Brak cdn. Mimo możliwych ułatwień. Mimo sugestii, prawie przymusu, wzmocnionego porozumieniem międzypaństwowym. Łączenie rodzin. Mogłaby pojechać. Do ojca, brata, kochanka. Bez protekcji i bez niczyjej pomocy. Nie, nigdy nie pojedzie. Jeszcze raz ktoś opuszcza Ulę, jak Ulrike. Brak happy endu także. Więc: nazwanie go miłością będzie miało konsekwencje, których Ula wolałaby nie poznać. Ja ich nie chcę znać. I które dopadną ją dlatego, że na nieszczęście nie widzimy dość wyraźnie przed sobą godziny naszej śmierci. Ula umrze w męczarniach wzmocnionych systemem opieki zdrowotnej w Polsce, czego przyczyny należy sprowadzić do trzech najważniejszych. Najpierw porzuca ją, wezwany przez Hitlera, ojciec, zdyslokowany następnie w punkcie niedostępnym córce w następstwie tegoż pomysłów na urządzenie świata. Potem śmierć matki każe jej zostać w mieszkaniu po rodzicach. W końcu wyjazd Stefana każe jej ucześcić się myśli, że przeżyła coś, co wystarczy do końca. Będzie jeszcze jeden epizod, przyszywana córka, ale też nic z tego. Za krótko, za trudno, zbyt boleśnie. Nie wdając się w szczegóły – tak wygląda sytuacja Uli, porzucanej przez ludzi w miejscu, które sprzyja podróżom. Nienadającym się na bazę do powrotów.

Takie jest życie, myśli Ula, co brzmi banalnie. Walter byłby dobrym mężem, nawet stary Walter byłby lepszy od nieobecnego, też niemłodego Stefana, szukającego tymczasem miejsca dla wytropionej przez Janka żydowskiej tożsamości. Wytropionej bez trudu, chociaż trochę niechęć. Tak, Ula wie o tym, zdobyła tę wiedzę przypadkiem, Janek osobiście prowadził sprawę kochanka przyjaciółki rodziny. Nauczyciele powinni być poza podejrzeniami. Chodziło więc o to, żeby się upewnić. Że nic tam w jego życiorysie nie ma. Że naprawdę: ani podczas wojny, ani potem. Więc wpisał do akt: pochodzenie żydowskie, brak przynależności, sporadyczne kontakty z rodziną przebywającą za granicą. To nie robiło na nim samego wrażenia donosu. Wyjazdy do innych miast. Eskapady. Podejrzane eskapady? Brał hotel w miasteczku, większość wyjazdów czysto turystyczna. Rozglądał się po Polsce. Może zaglądał w siebie, w tych wynajętych pokojach? Może nie chodziło o gromadzenie

danych o obiektach wojskowych (jedna z hipotez panów z Urzędu), może gromadził inny rodzaj wiedzy? Poza tym faktycznie chętnie korzystał z możliwości kształcenia. Nie kłamał. Lubił po prostu jeździć. Nic na niego nie było, co w końcu okazało się bez znaczenia. Bo czy było dobre, że uczył młodzież w renomowanym liceum? Jak przyszedł '68, ten dobry wpis Janka okazał się niedobry. Kluczowa kwestia pochodzenia i (jednak) jakieś niejasne kontakty. Z międzynarodowym żydostwem. Ciągnie swój do swego. Więc go wezwał. Kazał go wezwać, sam oczywiście wolał przeprowadzić taką rozmowę poza urzędem, w jakimś neutralnym miejscu. Jak mężczyzna z mężczyzną, jak krewny z krewnym niemal, z nim rozmawiał, dolewając obu wódki – upił się szybciej. Stefan był podejrzanie powściągliwy. Enigma. Żydowska tajemnica – Janek musiał przyznać.

Ale ostatecznie nie tylko przez środek mieszkania Uli przeszedł niespodziewanie mężczyzna, którego zapragnęła i musiała wypuścić. Tak samo przechodni, choć z solidnym zapleczem jest związek Anny, której mąż wypływa, która widzi we własnym mieszkaniu jego bazę, ze zmiennym wystrojem i sprawną obsługą. Póki wypływa, komfort. Gorzej zacznie się dziać po jego przejściu na emeryturę. Wówczas wybawieniem okaże się Jezus, zdradzony, niestety, tak było trzeba, porzucony na lata, a teraz niezbędny. Jak kobieta w swoim losie ukrzyżowany. Miło oddalony na swoim krzyżu od kobiet klęczących w chłodnych wnętrzach kościołów.

Przechodni jest wielki romans oparty na schemacie popularnym w mieście, małżeństwo pracowitych przybyszów, którzy nie mają uprzedzeń. Oni, Marysia i Janek, nie chcą prowizorki, chcą całego życia, więc tym starannie aranżują ruiny, po których przelecą w pędzie do własnych kłesk, osobnych i przechodnich.

Patrząc na to wszystko i widząc przechodnie pokoje w śródmiejskich mieszkaniach. Kto w nich został? Kto by chciał żyć tak do końca świata, własnego świata? Całe miasto jest jak te mieszkania. Niby już, już przytulne, urządzone, własne. Sale przechodnie, otwarte na wzrok innych ludzi, akustyczne. Niedające dobrego schronienia. Potem rozbiegną się poza nie, urządzią sobie jakieś lepsze klatki. W większości przypadków nadaremnie, za późno. Są dlatego tacy, którzy dlatego w przechodnich, wspólnych mieszkaniach zostaną, dzieląc emerytury matek na najpilniejsze potrzeby synów, córek, wnuków, wnuczek. Stojąc na balkonach, przed domami w oczekiwaniu okazji.

Może dlatego muszę stawiać komputer z dala od miasta, w innych miastach. Żeby przechodni pokój nie zastąpił mi całej kartki.

POLOWANIE NA KOMARY, 1972

W końcu tam jedzie. Z dzieckiem. Dziecko powinno zobaczyć. Trzeba dziecku pokazać. Niekoniecznie może dziadka. Dziadek jest z tych, o których lepiej opowiadać niż oglądać. Póki dziecko małe, widzi inaczej. Nie rozumie niebezpieczeństw. Potem warto znaleźć coś innego. Inne miejsce nazywane „ojczyzną”. To znaczy ojczyzna jest tu, Polska Ludowa, o której napisano piękne wiersze, w sam raz do czytane, a Marysia nie miesza się do polityki. Na co dzień, w pracy, na ulicy, w domu, nie ma polityki. Złości się, kiedy Janek jej napomyka, po pijanemu zaczyna wywodzić. Ten grudzień, właśnie, nagle wszyscy zaczynają więcej mówić, a Marysia nie ma potrzeby. Ma inne. Ojczyznę, dom, ma dziecko w Szczecinie, a w nim wszystko, co trzeba. Miłość i uwagę. Czasem, wypowiedaną między rodzicami, zniewagą. Bolesną. Wypieszczone dziewczynki zamieniają się w zranione dzieci. Janek, od roku więcej bez niej, pije i sypia. Nawet w domu szuka samotności, odwraca się od niej. Janek stwardniał, chłopskość z niego wychodzi. Janek zaczyna mówić jej, że jest głupia, nie zna życia. Po tym, co o niej wie, co wyszeptala, po tych wszystkich rankach i wieczorach. Jest dla niego głupia, nie rozumie. Wstaje rano, idzie, czasem odwrotnie, rano wraca po dyżurze. Niczego nie widzi, nie słyszy. Niczego nie widziała choćby w swoim szpitalu? Jasne, morda na kłódkę, jednak przed nim niech nie udaje. On to ma, ma tego po uszy, on ją ostrzega. Niech głupiej lepiej nie udaje. Zawieszenie broni na czas rozważań wokół wyjazdu.

Do tej pory też coś mieli, przeszłość i przyszłość, rodzinę. Wieś, obie wsie, gdzie mieszkają krewni. Doprawdy, nie ma się czego wstydzić, ale nie trzeba się też chwalić. Magdusia kocha babunię i dziadziusia. Dziadzius ślicznie opowiada. Kłuje zarostem. Bo chce – Daj no pyska – całować. I zabiera na spacer po wsi, żeby wszystkim, a szczególnie tej... – Nie bluźnij ojciec przy dziecku – pokazać. Wnuczka jak malowanie, córeczka córki. Tej z miasta. Jedna, takie teraz obyczaje. Choćby ich było stać.

– Córka zamożna, zięć panisko. Dużo może, dużo, serdeńko. Aż strach, ty się sąsiad bój, jakie z niego panisko. – Opowiada, pijąc piwo. A dziecku cukierki. Ten kwadrans z dziadem wśród innych chłopów ze wsi może wytrzymać. Nie jest z cukru. Dziadek zawsze lubił chwalić się dziećmi. Babcia zabiera do kościoła, mama mówi: – Chodź, idź z babunią, tu się tak robi – więc o świcie nudny kościółek. Zresztą to, kiedy Magdusia jest naprawdę mała. Potem wieś przesiedleńców znika z ich życia. Już oswojona, nagle pusta. Z grobami najbliższych. Szybka odmiana, uporządkowany kalendarz i mapa. Z nierespektowanym nakazem, bo jakoś trudno się w Dzień Zmarłych tam wybrać. Śmierć, śmierci nikt nie lubi. Ale to też ulga. Marysia drugi raz traci. Już nie uda się o niczym, z ojcem i matką, porozmawiać. Za to też nikt nie będzie pamiętał jej na dworcu w Czerwieńsku. Jej z najmniejszą walizką. Jej odłączonej od reszty, jej oddelegowanej do tych dni, które na szczęście znalazły koleinę, najpierw w internacie, potem w barze, u Uli, w ramionach Janka. Nie boleje nad tą utratą, nad utratą siebie pozującej do ostatniego zdjęcia, tylko aparatu nikt nie miał, z rodziną. Na pogrzebach bliskich, przy łózkach, nie boleje i płacze.

Na tę drugą wieś, dalej, kiedyś pojedą. Jankowi nie zależy. Nie jego. Nie ma potrzeby gadać o jakiejś tradycji. Tradycje dla dziecka on zbudował tutaj. Tu ma się czym pochwalić. Nikomu niczego nie zawdzięczając. Dziecko niech się uczy historii słowiańskiego Szczecina, niech czyta, niech spaceruje po parkach i ulicach. Na wakacje pojedzie z rodzicami na wczasy. Kraj jest piękny, rozległy, dostępny. Po co jeździć na wieś? Ludzi poznać łatwiej i przyjemniejszych w stołowie Funduszu Wczasów o podwyższonym standardzie. Tamci, na wsi, skłonni do głupich żartów. Chamstwo i tyle. Janek zdecydował tak myśleć, odpętląć zapętlone obrazy.

Tak czy owak to tylko część prawdy. O przeszłości. Marysia chce dziecku koniecznie pokazać inne części, zwłaszcza tę jedną, najbardziej geograficznie oddaloną. Poza tym nagle czuje pragnienie. Musi zobaczyć ciotkę mieszkającą teraz w domu obok ich dawnego. Koleżanki. Jeszcze tam kogoś. Dosłownie każdego, kto żył. To może okazać się niewielka już grupa. Kto ją pamięta. Dla kogo jest swoja, tamta, bez tych narośli, bez tego wszystkiego. Bez lat spędzonych tutaj. Nawet jeśli ceną będzie powtórka z biegu do lasu. Z drogi. Spi niespokojnie, zbliża się do Janka. Niecierpliwie wygląda listów od kuzyna. Wspomina dzieciństwo, przy winie, wieczorami. Częściej zachodzi do „Bambino”. Robi włosy, farbuje. Pokazuje Magdusi, jak piłować paznokcie. Kocha się z Jankiem jak na początku. Znow często się śmieje. Komuś, myśli, trzeba się przypomnieć, żeby to miało sens. Skoro Janek sypia teraz mocniej i mniej mówi, trzeba komuś pokazać siebie i dziecko. Skoro nie ma rodziców, nie będzie potrzebny wysiłek, konieczny zawsze, gdy starała się wygasić w sobie obraz stacji i pierwszego roku, kiedy ich, jeszcze niezainstalowanych na dobre, odwiedziła. Tak, o zmarłych dobrze. Dobra tradycja.

Decyduje jechać. Z dzieckiem, żeby pokazać. Z dzieckiem, żeby nim zasłonić wzruszenie. Magdusia ma być tarczą, za którą Marysia schowa to, czego się boi najbardziej. Ma być pomocą w niewygodnej drodze, bo trzeba będzie się nią, a nie sobą zająć.

– Może znow będzie trudniej jeździć? Chcę jej pokazać – tłumaczy, nie wiadomo sobie czy mężowi. Sobie czy zawsze życzliwie zasłuchanej Uli. Sobie czy Annie, która zaczyna swoje o zarazkach. Radzi zabrać leki. Radzi się zabezpieczyć. Radzi rozważyć wszystko. Ostatnio, w swoim miasteczku, spędzili dzień. Na noc wrócili do Krakowa. Nie chcieli spać u krewnych. A to Polska, co dopiero tam, w tych dzikich stronach. Anna ma przed oczami sceny z *Potopu* i *Pana Wołodyjowskiego*. Anna nic nie wie, chociaż mieszkała tak blisko granicy. Annie miesza się coś o Żydach i Łemkach. I o Murzynach, z opowieści Adama. Anna słyszała, że politycznie sytuacja jest niedobra. Nie do wyjazdów. Na zebraniu w PŻM sekretarz mówił o niedobrym czasie do wyjazdów rodzinom ludzi, którzy jeździli. Jedynym, którzy ciągle jeździli. Pomylił adres?

Dla Janka załatwienie sypialnego, paszportu, wymiany pieniędzy, dla Janka to łatwizna. Zresztą należy się, dużo ludzi jeździ. On sam nie, chętnie zostanie. Ma teraz więcej pracy. Chętnie posiedzi sam. Nie będzie gotował. Zje w kantynie. Tak, pójdzie i do „Bambino”. Już widzi te męskie wieczory, te nieskładne ubrania, tę swobodę. Dobrze robi na ich kłótnie. Mógłby dostać przydział, prawdziwe wakacje, Bułgaria, Złote Piaski na przykład. Ale jeśli jej zależy... Niech jedzie, z dzieckiem, oczywiście.

Rewizyta, ale niedokładnie. Zaproszenie do kuzyna, jednak chce bardzo zamieszkać obok dawnego domu, u ciotki. To może być załatwione. Meldunek czasowy, owszem, da się zrobić. Po uiszczeniu. Nawet nie wie, że robi kłopot, myśli odwrotnie: miejskie mieszkanie kuzyna jest bardzo małe. Kuzyn dobrze żyje z miejscową śmietanką. Powinna poznać kilka osób. Kontakt dla niego na przyszłość, gdyby chciała znow. Przyjechać na przykład z mężem, na dłuższy pobyt, pokazać coś, poznać. Trzeba z nimi zjeść i wypić, postawić im (on im stawia), żeby zobaczyli, że jest światową, mądrą kobietą. Że czuje wdzięczność wobec ZSRR, szczególnie USSR, Republiki Ukrainskiej. Tu się wyuczyła, wykarmiła. Warto to podkreślić na użytek tych panów. Oni rozumieją, jednak deklaracja bywa mile widziana. I kompania. I ładna kobieta. Cóż, z ładną córeczką, która wieczorem naprawdę nie powinna do restauracji przychodzić. Zabronione. W dzień tak. Owszem. Dobre jedzenie. Dużo warzyw (pokrojone grubo ogórki i pomidory), tym zwłaszcza się szczycą. Kultumaja strana. W restauracje zdrowo i elegancko.

Owszem, sporo czasu poświęca im kuzyn. Bierze parę dni wolnego. Żona kuzyna. Okazują dobrze skalkulowaną wdzięczność. Owszem, ich poziom życia tak znow nie odbiega. Nowe mieszkanie, praktycznie darmowy czynsz i energia. Owszem. Marysia chce spędzić czas bliżej dawnego domu. Poczucie coś, może sprawdzić? Może odgrzebać, a może odwrotnie

– dokładnie pogrzebać. Przestać nocami przemierzać drogę, te drogi. Normalny człowiek żyje dniem dzisiejszym. Każdy miał jakieś dzieciństwo. Trzeba żyć w dorosłości. Tak żyją, popuszczenie emocji możliwe tu i teraz. Niechże ma te swoje wakacje z duchami.

Jest jeszcze sprawa ludzkiej bliskości, której chce tu zaznać. Bliskości w nieużywanym od lat języku. Inaczej brzmiącej. Inni, w Szczecinie, znają ją tylko po polsku. Gotową. Bo ona jest po polsku, nie cofa się do tego tutaj. Zaledwie tego tutaj i siebie tamtej dotyka.

W każdym razie raczej nie pojedą poza okręg. Można, w gruncie rzeczy to się udaje załatwić. Można bez przepustki. Marysia mówi. Płynnie. Można by, gdyby. Dziecko ją powstrzymuje. Małomówne, nie daj Boże zagada. Więc tylko Sambor. Nie, także Lwów, z kuzynem, załatwionym samochodem z kierowcą mrukiem, kuzyn daje do zrozumienia, że. Lepiej nie mówić, ale. Tego samego dnia powrót. Dziurawa droga. Lekko cuchnące zaułki. Lekko, bo głębiej nie ma po co w nie zaglądać, do źródła. Magdusia boi się obcych, śmierzących potem mężczyzn, starych kobiet, obcego języka. Marysia idzie za sobą, za czymś, w transie.

Nie, nie tak, że pamięta coś zupełnie innego. Nie ma na oczach kłapek sentymentu. Nie, pamięta dokładnie to. Rzeczką nieopodal domu, w tym roku wyschnięta. Domy w przewadze drewniane. Uprawione, ale dość zabałaganione ogródki. Wygódka za domem. Sad, jabłka nie najlepsze. Stare drzewa. Na obrazie, który nosi w głowie, coś jak patyna. Uszlachetniony rodzaj rozkładu, nalotu. Jest tak, ale gorzej. Biedniej, brudniej. Jednak trudno uwierzyć, że to był jej świat. Że był szczelnie zaludniony swojskością. Że znała każdą jego rysę. Śmiała się głośno, chodząc między szczelinami – w murach, glebie, ogródkach, między ludźmi i zdarzeniami. Wcale nie rozpamiętując epizodów wojennych. Bo przecież była wówczas dzieckiem. Prawie. Wyrwanym z dziecięcości, spragnionym kolejnego dnia, wrażeń dopasowanych do możliwości. Gadania z przyjaciółkami i występów chóru. I żeby matka znów czegoś nie chciała.

W izbach (izbach, słowo pokoje nie pasuje) też jak było. Wysokie pierzyny, skrzypiące szafy, ikony, oleodruki. Na kuchennej ceramice sierpy i młoty. Obok tych w kwiatuszki, kilku sztuk ocalonych z czegoś. Insignia świata, który był i jej światem. Kwiaty w pokruszonych na brzegach doniczkach. Geranium, paprotki. Same jakoś dotknięte czasem. Wilgoć. Zdziczałe formy. Trzymające się doniczek z wszystkich sił. Nieuprawiane uprawy. Nastia, rówieśnica, postarzała. Jak matka własnej matki, babcia. Przypominająca ciotkę będącą w wieku... Trudno im wyliczyć z wyglądu ten wiek. Podobieństwo rysów, ruchów, ubrania. Jednak przypada do nich, nie widząc tego. Raczej może akceptując z góry. Nawet to, że takie rzeczy robi z ludźmi tryb życia, od którego sama odeszła. I na co dzień przecież nie tęskni. Nie pamięta, zapomina, ściera z siebie ślady. Nie ma śladów, póki mąż jej ich nie wrzeczy między łopatki, do krtani.

Rozdaje prezenty. Słucha. Dziecko od razu bawi się z dzieckiem Nastii. Nie do wiary, stare kobiety mają tu małe dzieci. Dzieci bawią się bez języka. Córeczka Nastii nie zna przecież polskiego. Mówienie, owszem, odgrywa pewną rolę. Można nauczyć się nawzajem kilku słów.

Magdusia stara się nie bać. Zarośniętego chwastami podwórka. Strasznej wygódki. Chodzi tam z nową, rosyjską koleżanką. Rosyjska, jasne, inaczej się nie nazywają. Szczegóły narodowościowe nie mają znaczenia. ZSRR. Rosja. Koleżanka, która jej pilnuje. Dumna i zdziwiona, że ta z Polski nie zna życia. Ta z Polski najchętniej siedziałaby cały czas z mamą. Wyczuwa, że nie powinna. Mama płacze, cały czas płacze, potem się śmieje. Jak i mama Nastia. Nie wiadomo, co z tym robić. Czy to radość, czy smutek. Trzeba dać wypłakać się nawet mamie. Mama pozwala jej płakać. Mama Nastia często płacze, ale jej córka rzadko, bo ma swoje, dziecięce, pełne zadań życie. Dziecko takiego mazgajstwa nie akceptuje.

Stara ciotka wyciąga z dna szafy skarb. Ostatni. Sznur czerwonych koralii. Przechowała je dla niej, dla nich. Dla Marii i jej córki. Chce im teraz dać, mają wartość. W Polsce można

będzie zrobić z nich pierścionki i sprzedać. Niejeden chciał wyłudzić. Słyszała, że to wiele warte w Polsce. Może sobie też zostawi? Taki pierścionek, z dużego, środkowego koralu, perły w koronie tego sznura, miałby królewski wygląd. Zająłby serdeczny palec, ależ ciężar, aż pod zgięcie. Marysia ma drobne, mocne dłonie. Z manikiurem. Kobiety tu, te miejskie, lubią kolorowe paznokcie. Ma dla nich, dla dalekich krewniaczek i dawnych przyjaciółek, buteleczki czerwonej i różowej emalii. Ciotka trzyma jej dłoń w swoich. Ogląda. Chce ją cały czas trzymać za rękę. Wyczytuje z dotyku to, czego nie dosłyszy. Słuch, wzrok stępiony. Trzymanie za rękę pozwala wyrównać ubytki. Pokazuje własne palce. O, takie noszą wielkie panie. Takie, jaki sobie będzie mogła zrobić, pierścionki. Mówi po rosyjsku ciotka. Boże, skąd tu wielkie panie? Po tym wszystkim? Co dzieje się w jej głowie, z jej pamięcią, że wywołuje takie obrazy? Co stało się z mówieniem? Że przeszło w rosyjski, rosyjski? W rosyjski, nawet jak płacze, płacze po rosyjsku? Nawet jej palców dotyka po rosyjsku.

– Moja wielka pani – mówi do córki, śmiejąc się, Marysia. Przymierzają wzorzyste chustki na głowę. Na chwilę same, są jak w domu. Tylko przez chwilę. Zaraz mama idzie do kuchni, do cioci Nastii. Coś jej tłumaczy, uzupełnia dla nich obu życiorysy. Jedna rozmowa za całe życie.

Marysia, znów Maria, nie chce tego przyjąć. Tego ostatniego skarbu. Wartego o wiele mniej, niż tu myślą. Nie chce tej smutnej kontrabandy wozić przez granicę. Wszyscy stąd wożą złoto, jednak nie ona. Ona nie ma takiego planu. Jedzie z dzieckiem. Ma męża, który... Ale ciotka jej o tym mówi i mówi o tym, że już zupełnie nikogo nie ma. Że jej dzieci, no wiesz, nie wróciły. Nie warto pytać, rozpamiętywać. Że zawsze była jej ulubienicą. Że chowała to dla niej. Że. Że. Same dobre argumenty. Same oczywiste względy. Sama dobroć. W twarzy i dotyku. Wierzy, że ma bezcenny sznur koralu. Oddanie go robi z niej panią.

Nastia przymierza korale do szyi. Nie zakłada, przykłada. Takie piękne. W twarzy radość wywołuje ślad dawnej urody. Przeżyła niejedną śmierć. Nie została sama. Nie narzeka za często. Nieczęsto. Nigdy nie jest tak źle, żeby. Samotność sprawa względna. Nie pogardź podarunkiem, wielokrotnie mówi.

– Zajmowaliśmy się tu nią, my tu jak rodzina – szeptem – ale ty bierz. Mnie najwyżej dasz kilka. Kilka z długiego podwójnego sznura. Nam tu nie warto pokazywać bogactwa. A ona, ona zawsze na ciebie czekała. Mówiła, że Maria na pewno. Musi kiedyś przyjechać. Siostra nie, siostra nie da rady. Gospodarstwo. Obowiązki. Młodszy za młodzi. Maria nasza, mówiła. Więc przyjedzie i opowie o tamtym świecie. Żeby można było spokojnie umrzeć. Że im tam dobrze. Że nie na darmo... – teraz trzeba opowiadać też, jak kto umierał, nie tylko jak żyje. Długo z tym przyjazdem, jednak, zwlekała.

Nie na darmo? Co? Czyli im też nie sposób opowiedzieć, jak to jest, jak się toczy, dokąd zmierza. Muszą dostać swoją część dobrej historii, dobrej. Niewiele myślą o nich, tych tam, na co dzień. Skoro już tu jest, przyjechała, niech z nimi popłacze, niech im potwierdzi ich wersję. Że co prawda, to prawda. Męki w życiu sporo, ale życie to życie. Ot, życie. Powtarzają. Używają słów z najprostszego i najbardziej wzniosłego słownika. Codzienne wstawanie z łóżka, gotowanie ziemniaków nazywają życiem. Więzienie syna i karierę partyjną siostrzeńca nazywają życiem. Swoje niedowidzenie i nieleczoną cukrzycę córki nazywają życiem. Z westchnieniem, ze zrozumieniem, że nie ma jak się zbuntować. Więc Marii opowieść musi być taka. Prosta, z westchnieniami, poważna, pocieszająca. Nie do nich z jakimiś tam obrazami zamętu, z jakimiś tam wspomnieniami gwałtu. I tak wyszła na dobre. A w końcu, kto lepiej niż ona wyszedł? Sama to widzi, kiedy ciotka jej do szczupłej dłoni wkłada korale, zimne i gładkie. Czyli obraz drogi wciąż dla nikogo.

Ciotka najstarsza w rodzinie. Mama była od niej o dwadzieścia lat młodsza, nic w tym wielkiego. Zdarza się tak w rodzinach. Ciotka chyba ją myli chwilami z siostrą. Mają zresztą tak samo na imię, tylko zdrobnień używają innych. Po śmierci dzieci świat się ciotce miesza. Może myśli, że rozmawia z siostrą? Że się jej udało przetrwać, przechować, przenieść do

lepszego świata? Który jej samej wymiotło spod nóg, który się jej sam odsunął. Więc nie trzeba odmawiać, trzeba przyjmować takie dary.

Marysia bierze korale, owija je w kawałek białego płótna wyhaftowanego krzyżykowym wzorem. Chciałaby móc być już z powrotem. Pojechać, tym razem w tę stronę, w którą jechali, opuszczając wszystko, i tę kobietę, teraz starą, także. Tym razem wygodnie i dość szybko. Zanim zadusi ją wewnętrzny płacz. Płacze nad koralami, poza którymi nic nie ma. Nic nie ma. Nie ma. Wszystko odległe.

I niewiele warte. Poza ludźmi, których też w pewnym sensie nie ma. Poza muśnięciami dłoni, których za mało, żeby mogły pomóc zatrzeć braki. Żeby je pamiętać dłużej niż trwa odretwienie, przychodzące z dotykiem starych kobiet, jego lekkością. Marysia usypia na sekundę, staje z Nastią przy płocie, a ich matki i ciotka pielą grządki, śmiejąc się we trzy z czegoś. Czego dziewczynki nie potrzebują słyszeć, rozumieć. Mają swoje powody do śmiechu.

Wieczorami robią z Magdusią polowanie na komary. Dziesiątki, może setki komarów. Zapalają znieścacka światło i próbują je wytłuc. Żeby oszczędzić sobie chociaż trochę krwi. Niemożliwe zadanie. Trzeba spać z głową pod pierzyną. Trzeba chronić dziecko, wystawiając komarom własne ramię. Więc kładzie się z nią, kładą się razem. Przynajmniej nie zmusza Nastii do nocnych rozmów. Nastia wcześniej usypia. Tak tu jest. Święto świętem. Te odwiedziny są jak święto. Łóżko jedno, w najlepszej izbie. Jedno, bo normalnie matka może spać z dzieckiem. Wiadomo. Tak czy owak razem by spały. Magdusia nadal boi się wszystkiego. Świat matki (choć nie wie o nim rzeczy najmroczniejszych) przeraża. Dziecko miejskie świat wiejski odstręcza. Dziecko widzi powierzchnię i nawet powierzchnia wydaje się straszna.

Jeśli wydarzyło się więcej, Marysia nie potrafi o tym opowiedzieć. Pokazuje w domu korale i płacze. Pokazuje korale przyjaciółkom. Magdusia pamięta przede wszystkim komary. Tak to się jej utrwali. Komary, pojedyncze słowa w języku, którym mówi mama. Korale, inny odcień czerwieni niż na pokąsanym przez owady przedramieniu.

Inny niż na stłuczonym podczas polowania kolanie. Korale, które nie zostaną rozparcelowane. Zostaną z nimi. Zawinięte w płócienną serwetkę. Na półce w szafie, za starymi sukienkami.

SOBOWTÓRY, spotkane poza czasem

Każdy ma kogoś takiego. Maria naprzeciw Nastii. Potencja losu. Nie zastanawia się nad tym, kiedy ją widzi. Anna spotykająca z okazji Dnia Zmarłych swoją szwagierkę. Janek przy stole w domu, który powinien nazywać rodzinnym – z najmłodszym wujkiem. Ula i obie żony jej młodszego, ocalałego brata (poznane też gdzieś po latach siedemdziesiątych). Jeśli ten los wydaje się na pierwszy rzut oka do pozazdrosczenia, otoczenie sprawia wrażenie przyjaznego (bardziej niż to, w którym żyjemy na co dzień, my, w naszym podstawowym wcieleniu), przymykamy oczy, wolimy nie sadowić się po drugiej stronie lustra lub odbieramy temu miejscu urok. W najgorszym wypadku myślimy: oto mój raj utracony. Ten, który powinien mi przypaść. Oto piekło, którego unikam.

Są także wcielenia nieoczekiwane, powinowactwa nieoczywiste. Ktoś niepodobny, niespokrewniony, ale przeżywający tę samą tragedię. Podobne szczęście. Zmieniający naszą wyjątkowość w banał. Możemy tego kogoś pokochać lub ominąć.

Nastia nie pisze listów, nie wysyła pocztówek. Raz, zdjęcie córki w szkolnym mundurku. Nie, taka przyjaźń nie może zostać odzyskana. Marysia stara się pamiętać o rocznicach, imieninach, świętach. Nie chce być okrutna. Okrucieństwo zapewnia przetrwanie. Dla Marysi Nastia jest postacią spotkaną w gabinecie magicznych luster.

– Gdybym tam została – mówi po powrocie – byłabym dziś zniszczoną, starą kobietą. – Smutek miesza się w tym mówieniu z radością. Że nie jest. Ale jest w tym wypowiedzianym sporo niewypowiedzianego. To, że wszystko co tam, co stało się udziałem tamtych – straciła. I że miała szczęście to stracić. Tak wielkie, że nawet jej osobisty brak szczęścia zyskuje powab.

Zdradzone sobowtóry, zdradzone życiorysy.

Wszystkie zapachy, które uderzają jak obuchem w głowę, kiedy usiłujemy wyprawić się w przeszłość. Stojący w niskich pokojach zaduch, mdlące mydliny wydostające się z bali, smród szamba, nieznośna mieszanka gotowanych na ogniu kości i dojrzewającego w garze drożdżowego ciasta. Smak czerstwego pieczywa i cebuli, której pod dostatkiem. Wszystko to przygłuszone pachnącym groszkiem i czeremchą, na którą większość ludzi ma uczulenie, ale przynajmniej odwracają uwagę od biedy i żalości, która oblepia ubrania i skórę. Tak, być może, najgorsza zdrada to ujawnienie zapachu przeszłości, tej tam, tej po drodze, tej od nowa zaczynanej.

ROZWÓD, 1973

Próbowała, próbowała to wytrzymać. Nie chodzili już razem na dansingi. Brała więcej dyżurów. On awansował. Więcej zarabiał. Mimo to, nie mogli na nic sensownego odłożyć. Z jego pensji, jego pensja przeciekała między palcami. Jej, częściowo odkładana na książeczkę. Regularne wpłaty dla dziecka i ich, wspólna książeczka, mieszkaniowa. Powstają nowe domy, całe osiedla. Tam, gdzie do niedawna spacerowali. Można by zbierać, można się doczekać. Wkład, oczywiście. Samo odkładanie nic nie da. Poparcie, mieliby z zakładów pracy oboje. On po wódce mówi:

– Mogę to załatwić. Ale ty gardzisz, załatwiał sama. – Jest możliwość. Pieniądzy naprawdę teraz starczy. Odkąd nie pomaga, już stanowczo nie, rodzinie.

– Wszystko mógłbyś, na gadaniu kończysz. Co ty w ogóle mógłbyś? – Z aluzją, z przytykiem do wieczorów. – Nie mogę dłużej ukrywać. Janek się rozpił – mówi Uli, najwierniejszej powiernicze.

Siedzą przy stole nakrytym serwetką zrobioną na szydełku. Ula kupuje takie rzeczy. Od znajomych kobiet. Żeby im tak dyskretnie pomóc. Zresztą lubi fatałaszkę. Marysia nie dodaje w tych zwierzeniach, że sama sporo pije. Już nie na dansingach, nie z nim. Lepiej z nim nie chodzić. Bo dziecko nie powinno zostawać samo, a o opiekunkach dawno nie myślą. Poza tym można tam spotkać jego znajomych, takich mężczyzn, których ona nie lubi. Najchętniej pija w pojedynkę, w kuchni, jeśli nie ma dyżuru i położy spać dziecko. Ewentualnie z kimś, alibi, napijmy się po kieliszeczku. W dzień. Wieczorem, jeśli położy dziecko. To znaczy wyprawi Magdę do łóżka po rozmowie o lekcjach. Dziecko nagle duże. Wydaje się tak duże, że prawie przestają czuć, jak to ją rani. Nie chodzą już we troje do parku. Spaceruje we troje właściwie się nie odbywają. Kilka razy w roku, w drodze dokądś. Z wizytą, na lody po zakończeniu roku, na cmentarz. Cmentarz lepszy od parku. Największy park w mieście. Prawie nie czuje się tam obecności zmarłych. Na groby rodziny jeżdżą rzadko. Nie lubią zmarłych jako zmarłych. Wolą ich wspominać takich, jakimi nigdy nie byli.

Picie Marysi. Nikt tego nie widzi, nie wie. Rano wystarczy napić się mocnej kawy. Odziedziczyła po ojcu mocną głowę. Igły małym pacjentom wbija pewną ręką, bez zastanowienia. Przynajmniej na razie. Nie, ona nie ma tego problemu. O czym mowa? Janek tak. Ona okazjonalnie, w trudnych momentach. Wszystko, zabawa miała być dla ludzi. Tata nalewał jej stakanczyka, skoro bracia byli mali.

O alkoholizmie kobiet właściwie nikt nie mówi. Skąd? Ona? Nawet przez ułamek sekundy tak o sobie nie myśli. Nikt tak o niej nie myśli. Jeśli ktoś zna ją dość dobrze, to Ula. Skąd w niej taka przenikliwość? Ula na swój temat milczy. Jej historia z gatunku nie do opowiadania.

– Przemysł to. Przecież on cię kocha. I Magdusię – rady Uli jak zwykle. Bez nacisku. Uważnie, bez moralizowania. Nie wiadomo, czy by się sama z czymś podobnym pogodziła. Jej zgoda na wyjazd? Czy mogła zrobić coś innego? Listy nie przychodzą. Od niego. Nie czeka. Zapytana mówi, że nie czeka. Napisała mu: „Nie muszę Ci zwracać wolności. Zawsze ją miałeś. Odwrotnie, będąc ze mną, nadużywałeś prawa. Swojego, może religijnego. Ja rozumiem. Są takie zobowiązania. Wobec mnie podobnego nie masz. Sama jestem niewierząca. Rozumiem wiarę innych”. To trochę kpina, powoływanie się na jego wiarę. Ma jakieś wewnętrzne, silne przeświadczenie o istnieniu „ich” wiary, chociaż nie wie, skąd się jej wzięło. „On” należący do „nich”. Tak w sobie buduje odpowiedź na pytanie, czemu go utraciła. Czy to może być szczerze, ta niby zgoda? Pamięta pierwszą noc. Pozwoliła mu zostać. Wpuściła do swojego zaciemnionego pokoju. Kto komu co powinien w takich razach zwracać? Nieczęsto teraz o tym myśli. Chociaż... Pali w łóżku damskie albo płaskie. Myślenie częściowo powiązane jest z wolą. Sny mniej. We śnie Ula nawet płacze. Mijają lata.

Życie jest łatwiejsze. Praca w barze lżejsza. Ula wykorzystuje szansę, zostaje kierowniczką. Najdłuższy staż. Kierownik dawno wszedł w wiek emerytalny. Jakimś cudem pozwalają mu pracować. Kwestia czasu, paru miesięcy. Mijają prędko, już mają za sobą kanki z mlekiem, dodatek jajek w proszku, śmiech po zamknięciu, długie, letnie wieczory przy stoliku. Imieniny nad albumem przedwojennych zdjęć u kierownika. Zmiany, daty, raporty, zasady. Nie wiadomo kiedy, od lat kierowniczką jest ona. Więcej ładnych rzeczy w sklepach. Nie warto za wiele roztrząsać. Tylko okna, zawsze muszą być szczelne. I tabletki od bólu głowy. Pod ręką.

Co innego Anna, ona wie, takie rzeczy trzeba przeczekać. Ona ma to lepiej wyważone. Jak na wadze kuchennej, na której kładą cielęcinę przynieszoną przez człowieka z zakładów mięsnych. Na enerdowskiej wadze, przywiezionej z eskapady rodzinnej przez Ulę. Dostawca nosi płócienny pas wokół bioder, w nim mięso. Nieco obrzydliwie, co robić? Dzieci powinny jeść dobre mięso. Mamusia kupowała od baby, nawet podczas wojny. Matki są na wojnie zawsze. Walczą o dzieci. Muszą. O umówionej godzinie dwa dzwonki, odwijanie tego pasa, wielki ochłap podzielony, rzucony na wagę. Pieniądze do ręki. Do kieszeni. On się owija resztką. Lepiej nie myśleć, czy umyje ręce, czy w ogóle się myje – Może chce pan ręce? – pyta. On korzysta z kuchennego zlewu, patrząc na nią ironicznie. Wie, jak się przeprowadza ubój, preparuje mięso. Brudne czy czyste ręce – nieistotny drobiazg. – On ma dość brudne – ironizuje Ula obecna przy transakcji. Fakt, kradnie. Cóż, dziecko musi. Rośnięcie, rozwój. Ona w tym nie uczestniczy, zaledwie płaci. Ona jest uczciwa. Ojciec też ma obowiązek. Nigdy żadnego rozwodu w rodzinie. Oni najchętniej by się rozwodzili.

– Trzeba iść na skargę do zakładu – doradza Anna. Takie przypadki bywały nawet w eleganckich firmach, marynarzowa żądająca od kadrowca, żeby postraszył męża. Skarga w POP... Właśnie. Janek powinien bać się takiej skargi. Jednak. Co do mięsa. Tajemnice, małe i większe. W barze nikt nie musiał kombinować.

– Nie bądź naiwna – Ula wie lepiej, była od początku i bliżej kierownika – bez kombinowania nie mielibyśmy czym handlować.

Ale o mięsie żadnej sąsiadce nie trzeba mówić. Da im, przyjaciółkom. Marysi dla dziecka, Uli, żeby coś domowego jadła. Wygląda, jakby zrezygnowała z jedzenia. Herbatniki i papierosy. Czy jest coś od Stefana? Przeprasza, wie, nie powinna wciąż pytać. Stefan to zamknięta karta. Minęły całe lata. Jest sama. Z nikim się nie umawia. Cóż, każda z nich na swój sposób jest sama. O mięsie i tak wiedzą wszyscy, co nie znaczy, że trzeba rozgłaszać. Dyskrecja. Cecha osób z lepszych domów. Cecha tych czasów.

Ula się zastanawia. Czyta o Hajfie, wertuje Hłaskę. Folder Orbisu. Coś by przecież można. Mogliby jako wolni ludzie. Się spotkać. Pojechać. On nie jest na stałe przywiązany do jednego miejsca. Mógłby pokazać jej inne życie. Jeszcze dałoby się coś zacząć od nowa.

– Ratuj rodzinę, kochana – mówi Marysi Anna, ważąc uczynki Janka na takiej kuchennej wadze. Skoro można kupować zorganizowane mięso, można przebaczać. Wszystko dla dziecka. Ona niejedno przebaczyła. Janek przecież nie zdradza. Późniejsze powroty do domu? Odrobina alkoholu? – Moja kochana, to nie są prawdziwe problemy – trochę są to awantury plebsu, myśli. U nich, między nią a Adamem, takie coś nie miałyby racji bytu. Oni by sobie wszystko spokojnie wyjaśnili. Cóż, są wykształceni. Przyjaźń, po latach to trzeba nazwać przyjaźnią mimo różnic, nie powstrzymuje Anny przed takim myśleniem. Teraz, jako kapitanowa, czuje dystans i wyższość. Rekompensata po latach samotnego klepania biedy. Coraz mniej ma czasu na te ich wieczne kawy. Jest poważna. W pracy i życiu. Chętnie udzieli rady.

Tego się nie da tak nazwać. Ratowaniem i drobiazgiem. Drobnym nieporozumieniem. Janek miał być blisko i zawsze. Zupełnie inaczej niż pamiętała. Niż mama z tatusiem, siostra i szwagier. Mieli być wolnymi ludźmi. Mieli mieć przyszłość. Jego późne powroty. Jakieś gadanie o lepszej pracy ważniejszej niż wszystko. Jakaś pogarda okazywana frajerom. Nagle

zaczął jej o tym więcej, po wódce, mówić. Nie rozumiała wszystkiego. Jakieś sugestie „lepszego życia” i tego, że trzeba za nie płacić. Że jest dobre, ale już nie można wierzyć. Że ludzie są sami sobie winni, a on nie zamierza marnować kolejnej szansy. Taki Stefan, taki Stefan. Nawet nie domyśla się, ile dla niego zrobił. Bełkocze. Nie trzyma języka za zębami. Do tej pory polityka była w tle, daleko. Normalni ludzie normalnie żyli. Legitymacja i odznaka komsomolska w pudełku po butach. Zwyczajna, zamknięta przeszłość. Nawet koszmarne sny w nią odchodzą. Tu miało być życie. Wyjazd i przydział na nowe miejsce. Przydzielone życie. Marysia nigdy nie rozpatrywała tego jako skutku wielkiej polityki. Ot, normalnie. Zwykli ludzie... Z dała od polityki. A on się czymś tam przechwalał, chlubił. Co najgorsze, zaczęli się głośno kłócić. Zaczęło jej ciążyć jego śmierdzące alkoholem ciało na kanapotapczanie. Strawione resztki, otwarte nad ranem usta. Rzucone pod krzesło czarne skarpetki. Zaczęła się brzydzić. Chociaż rano zaraz doprowadzał się do porządku. Zawsze czysta koszula. Jeśli nie non-iron, przez nią wyprasowana. W pracy trzymał fason. Ale wracał. Późno. Niechęć. Krzyki. I wtedy on pierwszy raz to powiedział. W złości. Drugi raz. Powtórzył. I jakby rozwiązał w sobie potok mowy. Wcześniej chętniej słuchał. Małomówny, delikatny. Ktoś wart zawrotu głowy. Parę spotkań i od razu miłość. Z powodu tej jego delikatności. Obiecującej bliskość. Mogła go podtrzymać, podbiec z nim razem. To umiała. W sekrecie opowiedziany pierwszy rok w szkole. Rozumiał. Teraz mówi. Przekręca wszystko, podkręca na swoją modłę.

– Ty, ty... ruska. Wzięłam cię bez niczego. Możesz jechać na to swoje ruskie zadupie – zaczął ją przedrzeźniać. Całkiem udatnie naśladował akcent jej rodziców, uświadomiła sobie. Przecież nie jej. Ale kogoś naśladował. Pomyślała, że wypuszcza na powierzchnię to, co o niej naprawdę myśli. Tak, dla niego jest ruska. Dla tego chłopka spod Poznania, dla tego niechcianego bękarta, dla tego zera. Jest ruska.

Kiedy jedli pierogi w „Bambino”, nie mieli nawet śladu takich myśli. Wiadomo było, że nie urodzili się tutaj, bo rodzeni tutaj byliby nie do pomyślenia, gdyby nie Ula, która i tak milczała niewymuszenie na ten temat. Milczała, bo po co? Co, o czym? Wszyscy skądś przybyli. Zwłaszcza młodzi, bez rodziców, dziadków, rodzeństwa, ciotek, nikt nie sączył im w uszy żadnych zaklęć na ten temat, nikt nie zatruwał wieczorów nostalgią, nikt nie dolewał do kieliszków resentmentów. Nie zamierzali się żenić z dziewczynami zza płotu, od tych dziewczyn odjeżdżali. Nie zamierzały zostać przy dziedzicznie obciążonych pijaństwem kociach własnych braci, to się wydawało akurat korzyścią z podróży. Starzy tak, ci tkwili w złudzeniach, nie tracili złudzeń. Oglądali się wstecz, bezustannie malowali przed sobą miraż, zasłaniające wszystko, każdy lepiej pomyślany plan na życie, skrawek ziemi, mądrzej zbudowany i mniej zburzony fyrtel miasta. Akcent i pochodzenie mogłyby się liczyć, nawet zaważyć na decyzjach, gdyby rodziny nie pozbyły się ich z logiką właściwą biedzie. Wówczas tak, tradycja zatruwałaby im każdą miłosną chwilę. W sytuacji, w jakiej byli, z dała od rodzin i terytorium, na neutralnej ziemi baru „Bambino”, rozpoznawali w sobie nawzajem tęsknoty, którymi mogły kierować spragnione wymiany geny. Tak, szczególnie często zawierano tu takie małżeństwa. Z dała od kastowej reprodukcji. I szczególnie często potem znajdowano szowinistyczne argumenty, odwołujące się do lepszosci swojaków i nieusuwalnej gorszosci obcego, który nie stawał się bliższy przez krew przelaną w łóżku i na sali porodowej. Kim, wobec tego, mogły okazać się ich dzieci?

– Lepiej być ruską niż nieukiem ze wsi – rzuca i tylko pierwszy raz jest jej przykro. – Lepiej być ruską suką niż ubecką świnią – woła kiedy indziej. – Lepiej mieć ojca ruskiego niż matkę kurwę – niczego mu nie oszczędzi. Potem zaczynają do siebie mówić, przedrzeźniając nie tyle siebie nawzajem, ile krewnych tego drugiego, mówią narzeczem krewnych za plecami tego drugiego, naśladują głosy, gesty. Bez wysiłku wchodzą w te role. Są nimi. Zestrojeni z tłem, dawno oddalonym, w łańcuszku genetycznym zamkniętym konturami ciała, zarysem podbródka, mimiką, gestem, powtarzanymi nagle, na zawołanie (bez zawołania, w

odruchu plemiennej pamięci, której nie trzeba artykułować, odgrywa się sama), przejmują kod wroga, zapoznanego przeciwnika, którego delegatka była do wczoraj ukochaną, a delegat najdroższym; teraz są, kim są. Pomiotami swoich plemion. I ta przynależność tłumaczy wszystko. Trzeba wtrącić wroga w tę przynależność, żeby potwierdzić, że się nie sprawdził przy eksterytorialnym stole barowym, gdzie pierogi mogą nazywać się ruskie, a kluski poznańskie. Teraz wyszarpują sobie z rąk talerze i każde będzie jeść już tylko swoje, regionalne potrawy. Chociaż odgrywają role najpierw bez przekonania.

Bo sami mówią neutralnym narzeczem ludzi stąd. Mieszkańców Szczecina. Narzeczem podręcznika do historii literatury, mimo że z literaturą nie mają nic wspólnego. Gazet redagowanych przez innych napływowych. Starających się bardziej niż ktokolwiek, gdziekolwiek, udowodnić czystość. Czystość i prawo pobytu tu, najpierw właśnie językiem. Ta gra imitacji udaje się świetnie. Trudno wyrokować, kiedy bardziej grają. Jedno i drugie – neutralizacja i wybuch pamięci o pochodzeniu – wymaga kostiumu. Ten nowszy leży świetnie, sprzyja ekspresji, otwiera pozamykane tamy. Mają odtąd swój domowy kabaret. Nawet nie mówią już szeptem: – Dziecko, dziecko słyszy – co do tej pory zamykało im usta. Dziecko wciska głowę pod poduszkę. Każda wymówiona przesadnie nosówka, każda przeciągnięta samogłoska uderza w głowę Magdusi. Magdusia nie rozumie. Rodziców stających na barykadach. Chłostania się słowami. Magdusia nic z tego nie rozumie. Przyciska misia, wkłada głowę pod poduszkę. Czasem jeszcze, jeśli to zobaczą, udaje im się opamiętać. Dziecko, dziecko. Co prawda duże i nie można się wiecznie poświęcać. Da sobie radę. Dostała od nich dużo, nie mogą żyć tylko dla niej. Mają prawo. Dziecko nie ma rozumieć. Inne dzieci przeżywają to samo. Dzieci, najnowszy wynalazek ludzkości. Kiedyś chowały się same. Nie można przesadzać z tym poświęceniem dla dzieci. Czy im kto kiedy? Coś dał? Czegoś oszczędził? W tym meczu zgadzają się chwilowo co do jednego. Nikt nie poświęcał się dla nich. Chociaż zaraz odstepują od stanowczych diagnoz przeszłości. Każde miało, oczywiście, najlepszych ojców, chociaż niekoniecznie to musiał być – no właśnie! – ojciec. Bycie bękartem, bycie najstarszą córką, w pierwszych zwierzeniach, w chwilach bliskości przemawiające na korzyść, zostaje użyte jako dowód w sprawie. Właśnie. Czego żądać? Od kogoś takiego.

To się słyszy u innych. Często. O sąsiadach. O szefowej w pracy. Ruska, niemra, poznaniak (też obelga), warszawiak (równie dotkliwy), wsiok, Ukrainiec, Cygan, żydowa, żydzisko, żydek. Te wszystkie nedorzeczne przypomnienia. To ciągle przywoływanie korzeni. Których być może nie mają, bo to przestało być proste. Czasem w głosie słychać coś jak sentyment. Wiadomo, to był stary Ukrainiec. Wiadomo, Żydowa miała paczki. Nie przygana. Nie sama zazdrość. Mówienie o swoich obcych. Jak o zwierzętach domowych. Normalna, towarzyska rozmowa. Szczeciński, codzienny dialog. Zupełnie zatarty, zasłonięty analizami integracji. Rzekomej. Obyczaju i języka. Więc kiedy dochodzą do tych epitetów. Sięgają po to, co najbardziej dostępne. Po to, czym najłatwiej się posłużyć. Dowalić. Przypieprzyć.

Janek sam nie wie, czemu tak robi. Co, kto mu te wszystkie okropieństwa dyktuje. Była taka piękna. Ten ukraiński, owszem, dodatek krwi. Ciemny koloryt, wyrazistość. Inna rasa, zdecydowanie atrakcyjniejsza od grubokościstych przybyszek z Poznańskiego i tych pozostawionych tam, na ojcowiznach. Może odrobinę niedokończone kształty. Może małe zniekształcenia wyrzeźbione przez biedę. Tylko troszeczkę, ale krzywiczne nogi. Dodające uroku, póki się kocha. I on, szatyn. Wydelikacony domieszką nieznaną krwi. Mocny w sobie, prosty. Szlachetność widoczna w budowie dłoni, stóp i kształcie uszu. Jej białe jak ser zęby. Jego niebieskie oczy. Jego krok poza prostacki blond i pochyloną od ciężkiej pracy prząsność. Babcia podsuwała lepsze kąski. Bała się: – Żebyś był mocny, żebyś mi nie zachorował. – Melanż ich obojga w dziecku. Jego kobiety. Tak mu jej, ich obu, żony i córki, wszyscy zazdrościli. On, popychadło (w myślach przyznaje: byłem popychadłem, nawet po zakupie

drugiego garnituru), znalazł dzięki niej w sobie tyle siły. Nie procesował się o spadek po dziadku. Honor. Poznał znaczenie słowa honor. Mężczyzna musi być honorowy. Ta matka, zapominająca o jego urodzinach. Ci krewni, nagle zabiegający o podtrzymanie więzi. Bo jest prawdziwym mężczyzną. W mieście. O, tu też im dobrze idzie. Jednak. Niech przyjedzie. Bo ma taką piękną żonę. Dziecko. Mieszkanie. Pracę. O pracy za dużo nie może mówić. Wziął ją dla niej i dziecka. Właśnie. Dla nich. To wszystko czyniło z niego prawdziwego mężczyznę. Takie byle co, a wyszedł na mężczyznę. Ich krew. Ich krewny. Wspomnienia przy posiłkach zupełnie inne. Jakby pamiętali jego inne dzieciństwo. Wspólne z nimi, wesołe, fajne. Używają chętnie słowa „fajne”. Ma fajny garnitur, oni mają fajna zbiory. Po wojnie było ciężko, ale fajnie: – Pamiętasz, Janie? – Dorosły mężczyzna na posadzie. Mówią, Janie. Młodszy nawet: – Pamiętacie, wujku Janie? – nowość, szacunek. Z czasem nauczyłyby się wystawiać do całowania rękę. Fajną ma pracę, gdybyście wiedzieli, pyry. Myśli w myślach, oddalony od nich, a zarazem w ich imieniu zaciekle wypominający jej ukraińskość, która przecież, wiedział przedtem o tym, oznacza zaledwie pochodzenie z tamtych stron, nie prawdziwą cudzoziemskość. Mój Boże. Co go obchodzi jakaś cudzoziemskość. A jednak właśnie ona, stygmat do natychmiastowego użycia, przychodzi mu sama z odsieczą.

Nie rozumiał, sam siebie mówiącego te okropne rzeczy nie rozumiał. Powroty przez knajpę. Spóźnienia do domu. Bawienie się z dzieckiem w śpiącego misia. Z dzieckiem coraz poważniejsze rozmowy. Pianino na raty. Coraz mniej rozmów, bo dziecko w swoim świecie. Usztywnia się, kiedy próbuje ją przytulać. Po powrocie z knajpy. Kiedy przesadził? Nie wiedział. Może chodziło istotnie o pracę. O te karty pracy. Decyzje, komu dać premię. Sama wydajność nie decydowała. Szersza charakterystyka. Najpierw to ciekawe. Władza. Niewielka. Jak kiedyś o nim w szkole, tak teraz on wszystko miał wiedzieć. Zaczęli stronić od niego. Unikać rozmów podczas drugiego śniadania. Nie musiał się tym przejmować. Potem awans, wątpliwości, wstąpienie do służby. Coraz lepiej i żadnych niechętnych spojrzeń, inny układ. Wzywani na rozmowę patrzyli na czubki własnych butów, bywali wręcz przymilni. Znajomi z zakładów raczej także, nikt nie okazywał niechęci. Bo z jakiego powodu? Było czego zazdrościć, a chłop swój, był i został. Jednak po drodze knajpa. Wyrastała przed nosem sama. Bez decyzji, żeby się do niej kierować. Stawiał, przysiadali się. Znow był w centrum. Znow nasycony koleżeństwem. Ona nie rozumiała. Kobiety tak mają. Nie chcą rozumieć. Jednak strasznie szkoda. Jej uśmiech. Jej lekkość w tańcu. On wszystko dla niej i dziecka. Oni tam, koledzy, mają go za kogoś. Im może powiedzieć, że sam do wszystkiego doszedł. Potakują. Do czego doszedł? To wie tylko on. Niby niewiele. Jednak. Gdyby żyła babunia. Nie ma komu opowiedzieć tego. Rzadkie wizyty na wsi mają na celu pokazywanie. Do czego się doszło. Tamci owszem, niby doceniają. Zaraz mu jednak rzucają w twarz morgami, zbiorami, dobudówkami. Żeby nie myślał. Czasem ma wrażenie, że nic się nie zmieniło. Nadal jest małym bękartem. Co gorsza, ona, jego kobieta, nic nie chce zrozumieć.

Nie wiadomo, jak takie coś się zaczyna. Z ilu dobrych chwil ile umiarkowanie złych dni prowadzi ku złym chwilom. Hipotetyczny pierwszy raz może nadejść znienacka.

To trochę trwa, utrwała się, ale potem, jednak. Jest nie do wytrzymania. Nic już nie ma, nic. Nic nie jest dość wspólne, poza dzieckiem, żeby to powstrzymać. Wymiata sentymenty. Dla dziecka tak będzie lepiej. Postanawia Marysia. Ma nadzieję, że w sądzie, że może on się jeszcze opamięta. Po pierwszej sprawie. Ale potem wpada w ten wir, rady adwokata. Dla dobra dziecko. Wszystko podzielone. On nie chce, nawet szłocha, nie-po-męsku. Cedzi ona. Nagle taki zrobił się uczuciowy. Ma nadzieję. Trzy miesiące zwłoki między rozprawami. Po miesiącu więcej pije.

I krzyczy: – Nie będziesz mi rozkazywać! – Nie chce, żeby znow go ktoś, żeby nim. Jest panem u siebie, krzyczy: – Rozumiesz, panem. Takiego jak ja nawet nie widziałas! Na wystawie takiego możesz sobie obejrzeć! – Potem śpi, chrapiąc głośno, i nic się nie da zapomnieć. Ona pamięta ojca goniącego matkę wokół stodoły. Słapstickowa komedia.

Stodoła z lekko zapadniętym dachem. Ona tak nie musi. Jak mama. Za to może się napić. Jak tata. Jest równość. Piękna siostra przyjmuje od pacjentów czekoladki i butelki wina.

– Magdusia tego nie może oglądać – on przynosi kwiaty, obiecuje. Przez tydzień dotrzymuje słowa. I wtedy ona przychodzi podchmielona. Z jakichś imienin po dyżurze, z pogawędki z lekarzem, z kawiarni. Więc piją coś razem, na zgodę i humor. Aż on znów coś powtarza. Aż ona znów chce mu wytknąć, że byłby bez niej nikim. Bo ona się na wsi nie urodziła:

– Tak, prostaku, żebyś wiedział, w mieście. – Bo ją rodzice kochali. – Tatuś, tatuś był kimś.

– Kim mianowicie? Może upowcem? – on zapyta. – Jasne, na pewno. To by co nieco tłumaczyło. Mogę wiedzieć o twojej rodzinie wszystko, kurwo.

Więc dalej jest już wszystko, nie wiadomo, kto pierwszy używa siły. Nie tylko w słowach. On postanawia walczyć. Z nią i o nią. Zmienne nastroje. Naprawdę przekonać sąd, że to nie jego wina. Żona pije i nie wywiązuje się z obowiązków. Jest skłonna do przemocy. Temu Wysoki Sąd nie daje wiary. Kobiety nie używają przemocy. Za to zdradzają i nie gotują.

– Nie prowadzi dość dobrze gospodarstwa. Odmawia gotowania. – Podpowiada adwokat.

Walczą o prawo do mieszkania i wysokość alimentów. Dla księżniczki, którą miała być Magda. W złości, z żalu. Chwyta ją za włosy. Ona krzyczy głośniej, niż ją boli. Nie, tak nie można. Ani chwili dłużej. Na kacu mają ochotę godzić się, szaleć, kochać. Przez chwilę.

Anna tego nie rozumie. Wcześniej trzeba było pilnować męża. Może, tego nie powie, on ma trochę racji? Pijąc? Na żonę i matkę Marysia jest za ładna. Nie zrezygnowała w porę z bycia za ładną. Za bardzo urodę eksponuje. Są też odrobinę niedobrani. Marysia, owszem, bez wyższego wykształcenia, za to bardzo bystra. On pozostał chłopkiem ze wsi. Tyle że karierę umożliwiła mu partia, czy nawet coś więcej niż karierę. Strach z takim żyć. Ludzie więcej wiedzą, niż mówią. Z delikatnego chłopaczka zrobił się prawdziwy tyran. Tak, właśnie. Tak myśli, nie mówi. Tyran, nie w domu, co usprawiedliwione. Podobno w pracy, ale dajmy spokój, takich rzeczy lepiej nie wywlekać z cienia. W każdym razie bliżej mu do zamkniętej kantyny niż do nich, do baru. A Marysia pozostała dziewczyną. Mądrą dziewczyną. On – zaledwie przyzakładowa szkoła, wieczorowe liceum. Anna zna takich, tacy najgorsi, przychodzą i do nich, rozmowy za zamkniętymi drzwiami. Więc chłopiek z wystękaną maturą, a pracuje jako umysłowy. Zostaje urzędnikiem, potem i więcej. Przywileje, specjalne sklepy, z których korzystała do pewnego czasu rodzina. Anna ma doświadczenie z pracy w biurze. Wie, tacy jak Janek dają się łatwo wciągnąć. W co? No w nic. Nic takiego. Po prostu. Zastanów się, jak krótko on pracował na produkcji. Nie bądź głupia! Rzykuje mówieniem rzeczy, które powinny pozostać w cieniu. Dla przyjaciółki, przez solidarność, przez pamięć chudych lat pięćdziesiątych.

Janek nie wie, co robić. Wszystko się wymknęło. Magda niechętnie siada mu na kolanach. Za duża. Za dużo widzi. Przynosi przestudzoną herbatę. W domu cisza. Tylko pójść w cholerę. Najważniej słuchają przygodni towarzysze broni w okolicznych barach i restauracjach. Barmanki, kelnerzy. Przez parę dni po wypłacie jest prawdziwym panem. W pewnym sensie incognito. Później, później stara się być dobry. Zabiera dziecko na spacer. Nie wolno mu się szlajać, przełożeni takie coś zawsze wypatrzą. Picie w knajpach tak, ale w określonym celu i pod kontrolą. Jak zachować kontrolę, tyle pijąc?

Rano ma zawsze kaca. Nawet w dni niepoprzedzone pijaństwem. Miasto nie jest na tyle duże, żeby nie spotykać znajomych. W kartotekach. Czasem ma pokusę. Żeby komuś powiedzieć, kogoś ostrzec: – Jesteś na widelcu, stary. – Jednak wie, że takie coś nie może się zdarzyć. Wkłada sporo wysiłku w nieformułowanie w myślach takich rozmów. Po prostu sam przed sobą zachowuje rodzaj dyskrecji. Nie informuje jednego poziomu umysłu o tym, co dzieje się na innym, gdy przekracza bramę przy Małopolskiej. Zachowuje daleko posuniętą dyskrecję. W wersji oficjalnej po prostu gromadzi dane osobowe. Każde miasto, a takie nowe,

pełne przybyszów, musi mieć nowe dane osobowe. Teraz, kiedy przybysze podskakują. Podżegani, być może, wskutek kontaktów z zagranicą. Nieszczęsne te granice, tu, tak pilnowane, ale dużo przenika. I tyle. Cicho sza. Wychodzi po szesnastej, nie myśli o obiegu papierów. Idzie na wódkę.

Zawsze mogą pójść do baru „Bambino”. Ula nakłada dziecku, wysokiej i chudej dziewczynce, porcję z cukrem. Jemu większą. Siada naprzeciw i zachęca, żeby wszystko zjedli.

– Spróbuj, ja nie mogę już jej namawiać – mówi do niego. – Musisz zrozumieć. To są wasze sprawy. Oboje jesteście dla mnie jak rodzina. Nie mogę patrzeć na to, co robicie. Może czasem trzeba dać spokój – on zgnębiony. Ma nadzieję na pośrednictwo. Nic innego nie może się udać. Obietnice, kwiaty. Wszystko już było. Chowa twarz w dłoniach. Spróbuje.

Próbuje, ale nie ma cierpliwości. Chociaż rozwód dla awansu niedobry. Bo czy na pewno nigdy niczego nie powiedział żonie?

Jednak. Są po rozwodzie. Mają papier na obcość. Dziecko pozostaje wspólnym interesem, najgłośniejszym deklaratywnym celem. Życia oraz razów, które wymierzają na oślepa.

I mieszkanie, podzielone mechanicznie. Gdyby tylko chciał, dostałby nowe. Woli mieć na oku, wiedzieć. Ona z dzieckiem w jednym, on w drugim pokoju. Połowa (jak to dzielić?) kuchni. Połowa łazienki. On nie musi już nic. Wraca, kładzie się w dziennej bieliźnie. Nie sprząta. Krzyczą do siebie przez zamknięte drzwi. Najczęściej używane słowa: bękart i ruska.

WIĘZI, nie na czasie

Oczywiście, ludzie bywają z sobą szczęśliwi. Bywają w związkach samotni. Przewyciężają to. Czemu nie oni? Chodzi o to, że nie mają wzorów. Chodzi o wspomnienia. Chodzi o wielką chęć zbudowania sobie życia, która potrafi wszystko zrujnować. Nic się nie sprawdza. Kompromis. Miłość. Nikt z nich nie ma zaplecza, nie ma do kogo się zwrócić, na kim zbudować. W dodatku świat im podpowiada, do czego mają prawo. W dodatku nie stać ich na szczerłość. Szczerłość jest starannie limitowana, w wielu przypadkach wzbroniona. Mówiąc szczerze, mają chorą zawartość. Z wierzchu całkiem udani. W środku mają ruiny. To, co ich spotkało na początku, owocuje terażniejszością. Obrazy drogi, wspomnienia; to, czego nie pamiętają. Niewypowiedane nigdy. Praca, zwłaszcza jego praca, o której nikt za wiele nie wie, a on woli nie myśleć. Oparta na instrukcjach tajności i ograniczeń dostępu. Także do samego siebie.

Ukruszanie dotyczy wszystkich. Są jak stare herbatniki trzymane w metalowym pudełku przez pierwszą opiekunkę Magdusi, panią porucznik. Nawet młodzi są tacy. Sfastrygowani przez krawca Helmuta. Wycieńczeni własną chęcią polepszania losu. Dysfunkcyjni. Analfabeci. Nie odczytują świata, chociaż pracowicie czytają. Każde ze swoją instrukcją obsługi, złożoną z beużytecznych mądrości życiowych, sentencji, mechanicznie powielanych głupot. To się nazywa tradycja i trzyma ich jak psy przy krzywych budach. W wersji oficjalnej są ekspansywni, silni, zdobywcy. Pokonali traumę i historię. Zapętlili własne biografie wokół tego pokonywania, osiedli w strefie milczenia, słuchali zastępczych bajek. Nie wiadomo, czy mogło być inaczej. Bo każde z nich zdaje się być na przegranej pozycji. Są na niej bez względu na strategię i starania.

Nawet przyklepując, uklepując jak Anna, rezygnując jak Ula, burząc jak Marysia i Janek. Nikt z tej czwórki nie wie, jak postępować, chociaż wydaje się im, że wybierają najlepsze drogi.

Oto dziedzictwo. Oto ich cena. Dzielność kończąca się w taki sposób. Utrata szans na szczęście na Ziemiach Odzyskanych. Przeciętne losy na tych ziemiach. I ich potomkowie, też w tym tkwiący. Dajmy pokój wielkim słowom. Jak inaczej nazwać ten dziedziczny stan? Nie wiedzą, nikt za nich nie wie.

ICH MAŁA DESTABILIZACJA, 1974

W barze remont ciągnie się przez sierpień i wrzesień. Otwarcie powinni zrobić z końcem wakacji, na pierwszego. Wprawdzie akurat dzieciaki nie są ich najlepszą klientelą. Dzieciaki mają w szkołach stołówki. Szkół wokół kilka, pierwszego przechodzą tędy i te mniejsze, w podkolanówkach, krótkich spodenkach, plisowanych spódniczkach, i większe, wyglądające w granatach jak w przebraniu, dziewczuchy niepasujące do niedorośliwych chłopaczków z klasy, ciągnących z tyłu, bez przekonania. Wszyscy dostają w szkole obiady, od pewnego czasu, na dużej przerwie, w podstawówkach, mleko pachnące ścierką, gorsze od tego w „Bambino”. Po prawdzie wszędzie teraz gorsze, szarawe, mniej smaczne. Mimo że dzieci nie są właściwie ich klientelą – za to pozostają troską narodu, stąd ta akcja z rzygliwym płynem w ofercie – wakacje wyznaczają pewne ramy. Dlatego remont także powinien kończyć się przed pierwszym. Walter umiał o takie rzeczy zadbać. Bielenie ścian za jego czasów nie trwało tak długo. A robili je często, stare maszynki, gary, okopcone, zawilgocone ściany. Podczas wakacji mieli mniej personelu na miejscu. Część, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, jechała do punktu w Międzyzdrojach. Tu zostawało ich mniej, dwie w kuchni, ktoś przy kasie i sam Walter, który krążył pomiędzy nadmorskim punktem a bazą. Teraz krąży swobodnie po mieście, do niej zagląda, do baru, do mieszkania, na szczęście nie znika, jak wielu innych, których dobija emerytura. Walter trzyma fason, ale nie należy tego przeceniać. Na pewno nie należy go prosić o interwencję, skoro przestał pracować i oddał jej swoje miejsce w kantorku.

Ula tak nie umie, przenikać wszystkiego organizującą myślą, przygotowuje bar, każe pochować, zabezpieczyć. Praktyczna, nie rozumie zaplecza, konieczności załatwiania spraw na zapleczu. Wynoszą niemal wszystko, przykrywają. Resztą zajmuje się ktoś inny. Przynajmniej teoretycznie. To w końcu nie jej prywatna sprawa. Zarząd spółdzielni przysłała ekipę. Uli nic do tego. Zagląda tylko, ma blisko, czy prace postępują. Na środku kuchni stoi drabina, porozrzucane pędzle. Spore zniszczenie. Zachlapanie maszynki gazowe, zaświnione szyby. Ula nie będzie rozmawiać z robotnikami. Podobno trzeba im coś dać, obiecać może, jakoś zagadać. Tak to się nigdy ten remont nie skończy, na pewno nie na pierwszego. Zamiast pertraktować, zachęcić (każdy jest człowiekiem), idzie do biur. W biurach powinni podjąć sprawę.

– Wymalowali w tym czasie trzy mieszkania w tej klatce, masz pojęcie – opowiada Annie, która już u nich w biurach nie pracuje, przeszła do firmy większej, znaczniejszej, gdzie dostała dobrą pracę ze swoimi studiami i jako żona marynarza. Zna przecież kobiety w biurach, zna kierownika, wie o kim z tym należy. Powinna zrozumieć, ten bar ją powinien obejść. Teraz malują elegancko, już nie białyją. Kolor, olejna. Istotnie, spora robota.

– Co ci mam powiedzieć? Nikt ich nie pogoni. Poza tym każdy chce mieć zrobione mieszkanie. Lepiej z nimi nie zadzieraj. Może i tobie fachowiec się przydać. I u Marysi przydałoby się odmalować, powinnyśmy jej teraz pomagać. Dziecko siedzi w brudnym, kurzem oddycha, bo matka nie ma czasu – wzdycha. – W końcu to nie twoja prywatna jadłodajnia. Po urloпах będziecie miały wolne.

Teoretycznie. Będą przychodzić i próbować sprzątać. Co też nie powinno być ich robotą. Zaraz jej któraś przyniesie zwolnienie. One teraz coraz chętniej siedzą na zwolnieniach, sama zachoruje albo dziecko. No i w ciąży, zaczyna się taka moda. Cięża i zaraz zwolnienie. Byle kto pracuje w barach, sama zbieranina. Nie szanują, nie lubią, nie potrafią gotować. W jadłospisach gotowizna, mrożonki, mniej roboty. Zupy przyprawia Ula, bo kucharka śmierdzi papierosami, próbuje prosto z kotła, w dodatku ma zepsute zęby. A książeczkę zdrowia przyniosła. Ulę to brzydzi. Teraz dla swoich stara się trzymać coś dobrego osobno, już nie

każe dokładać kucharce, pilnuje tego osobiście. Jak się wie, co w tym jest, lepiej nie robić sobie apetytu.

Tak. Mieszkanie Marysi wymaga remontu. Trzeba by ruszyć graty, może coś przestawić, wyrzucić. Te wysokie budy. Janek się wyprowadził na Pomorzany. Kogoś ma, mieszka z kimś. Szybko się uwinął. Sprawiedliwiej by było, gdyby to ona dostała nowe mieszkanie. Nie on, sam, bez dziecka. Takie można malować choćby ze stołka. W starym budownictwie od razu rewolucja. Drabiny, wiadra, fachowcy, skrobanie licznych warstw, rwanie tapet. Modne wzorki, robi się tak teraz, wałkiem. W nowych malują szlaczki na ścianie, spóźnione art deco. Tak, każdy prędzej czy później robi remont. Ona sama. Ostatnio. Po wyjeździe Stefana. Kiedy przyszedł pierwszy list, jednak wcale nie z Izraela. Ze Szwecji. Bliżej, bardzo blisko. Z Goteborga. Dziwne, okazało się, że tam sporo swoich. On znalazł. Nie, nie uczy w szkole. Znaleźli mu inną pracę. Pomaga w interesie. U szwagra. Nie lubił, szczerze powie, nigdy szkoły.

Niech sobie nie pomyśli. Żona nie jest żoną. Szwagier pomógł mu przez pamięć dawnych czasów. Zresztą nawet obcy by pomógł. I o tęsknocie, niejasne deklaracje, bardziej powściągliwe niż szczerze. Że mogłaby na pewno, mają tu dobrze rozwiniętą gastronomię. Ale nic konkretnego, żadnego zaproszenia, żadnego wspomnienia, wspólnego, którego mogłaby się chwycić jak malarz pędzla. No właśnie. Zrobiła remont. W takim kataklizmie utopiła własny kataklizm. Bo wciąż budziła się złana potem. Wczesne klimakterium? Rak, jednak? Tęsknota? Wolała tego nie nazywać tęsknotą. I gdzieś wtedy zacieśniła kontakty z Niemcami. Mieszkanie powinno wyglądać, gdyby zechciał ktoś. Z... rodziny. Więc było w miarę świeżo. Czyli na razie nie było co myśleć o malarzach. Zresztą jej remont zbiegł się z większym, kapitalnym trwającym też wiele miesięcy. Wystarczy na lata.

Taki Janek ma z nich najlepiej. Wpada, tak, z przyzwyczajenia. Nie potrzebuje ich jedzenia, ale wpada. Siada zawsze pod oknem, jak wtedy. Nie będą mu zazdrościć. Jako ojciec zachowuje się przyzwoicie. Rozwody nie są specjalną nowością dla nikogo, tu, w latach siedemdziesiątych.

Janek nie ma naprawdę nikogo. Najpierw zamieszkał z kimś z pracy, faktycznie. Dorodna, młodsza, córka oficera. Wydawało się, że przynajmniej rozumie. Nie mógł znieść jej... Jej... Właściwie nie umiał znieść niczego. Mieszkanie dostał, niemal nie zabiegając o to.

– Rozwód? Nie najlepiej. Skoro już, wyprowadź się od żony. Nie wiadomo, co jej przyjdzie do głowy. Masz mieć spokój.

Lata siedemdziesiąte z wierzchu są spokojne. Pod spodem mają '70, pod cienką warstewką. Wciąż się o tym szept. Kto zginął. Kto coś widział. Stocznie idą pełną parą. Przedsiębiorstwa morskie dają dobre zarobki. Miasto kupuje w Baltonie. Dla każdego znajduje się praca. Lepsze sklepy w centrum. Kilka nowych osiedli, wreszcie. Odpuszczono walący się rejon przyodrzański. Nowe, nowoczesne domy. Janek ma co robić, ta cieniutka warstewka w każdej chwili może pęknąć. Trzeba działać. Więc wyprowadza się, decyduje na to. Tak będzie lepiej dla dziecka.

A z koleżanką z pracy widziano go kilka razy, w różnych knajpach, nie chodzi się już do „Kameralnej”. Nie mogło nic wyjść z tego. Żeby było lepiej, musiał więcej pić. Inaczej przypominał sobie Marysię. Porównywał. Złościła go ta obca, nowa. Nie mógł udawać, że nie. Więc się złościł na Marysię. Opowiadał o niej tej nowej, obcej. Rano czuł niesmak. Jej oddech na plecach, bo spał odwrócony. Równie obcy jak cała reszta, jak jej całe ciężkie, nabite ciało. Byłaby mu obojętna, gdyby nie istniała tamta, Marysia, w marzeniach. Jeśli ma, jeśli to, co ma, nazywać można marzeniem.

Anna wie, co znaczy słowo „fachowiec”. Co „materiały”. Mąż na morzu, dobre linie, rzadko bywa w domu. Dosiła pieniądze. Ona odbiera całą pensję. Diety. Dodatki. Bony. Można za to kupić niezłe materiały budowlane, ale nie wszystko. Podstawa, cement, wapno, cegła, normalnie. Z normalnego przydziału. A stawiają dom od nowa. Anna nie chce w

starych murach. Grzyb, zgnilizna. Te domki poniemieckie bez podpiwniczenia. Nie chce. Nowa, elegancka willa, w zdrowym lesie. Projekt początkowo skromny, architekt dokłada coraz coś nowego. Kosztorys rośnie. Anna poradzi sobie i z tym. Z robotnikami, materiałami, kosztorysem. W razie czego, Adam, mąż na urlopie, wie, jak się przydać. Zwitki banknotów i monety. Świnki. Nie trzeba tłumaczyć skąd. Są i tyle. Adam chciałby pocieszyć się domem i rodziną na tej niedalekiej w końcu emeryturze. Ale nie trzeba nadużywać, niepokoić. Anna woli załatwić wszystko, zanim przybędzie. Na kolejnym urlopie powinien zobaczyć postępy. Może tak, może pojedą we dwoje na parę dni do Juraty. Bez dziecka, mężczyźnie należy się taki wyjazd, po długich miesiącach. Nie wystarcza mu to mówienie „panie kapitanie”, zamknięci na statku, tropiki, te interesy z Murzynami, ta pijąca mniej lub bardziej załoga. Jasne, zarabia jak nigdzie, nikt tak nie ma. Należy mu się. Młodszy umieją z tego korzystać. Szampan, szynka Krakus, okupowane przez pierwszy tydzień po powrocie hotelowe knajpy, kobiety, dziwki po prostu, z którymi czasem się żenią. Anna słyszała niejedno od żon innych marynarzy. Podczas noworocznych imprez dla dzieci. Tak, słyszała. Rozwody, rozpusta, jej, ich takie rzeczy się nie mają. Skoro tak postanowiła. Czasem Jurata, żeby zaznać luksusu.

– Moja droga, ja dla siebie nie potrzebuję naprawdę luksusu, ja potrzebuję domu – ale może lepiej z nim pojechać, żeby miał to co inni, wydał tam swoje. Anna zaciska zęby, każdy grosz przelicza na metry glazury, na godziny glazurnika.

Więc remonty. Ale co doradzić, co poradzić z „Bambino”? Wszystko idzie w prywatne. Mało im płacą, to tak pracują.

– Ty się ciesz, będziesz miała dłuższe wakacje.

Nie ma się z czego cieszyć. Niby są na pensjach, na państwowym, ale nie do końca. Procent od utargu, na tym polega spółdzielnia. Więc we wrześniu marne pensje. Zaraz któraś znajdzie lepszą pracę. Niby większość tych młodych ma szkołę, kończą gastronomikę. W pierwszej obsadzie poza kierownikiem nikt się nie znał na gastronomii. Nauczyły się od zera, w praktyce wszystkiego. Teraz taka przychodzi ze świadectwem, okazuje się, że ostatnia fleja. Do zmywaka najtrudniej znaleźć. W dodatku kradną. Zawsze jadło się w barze, zawsze częstowało, zawsze większe porcje dla sąsiadów. Jasne. Przy takim przerobie i tak grało. Teraz zaczynają po prostu wynosić. Ser, cukier, masło, kawę. Trzeba pilnować. A jak się przyłapie – nie wiadomo, co robić. Wniosek o zwolnienie? Może się okazać nieskuteczny. Nie wiadomo, kto jest kim, jakie ma plecy. Poza tym, gdzie gwarancja, że następna będzie lepsza?

Wieczorami, po sprawdzeniu rachunków, rozważa możliwość wyjazdu. Tak, jednak. Ma teraz adresy. Ale. W końcu remont rusza, w wysprzątanej jadalni stają nowe stoliki, znika kontuar, przy którym mieściło się więcej osób naraz. Ludzie wolą jeść przy stolikach. Nowa tablica na jadalnię. Kasa staje z boku. Plastikowe numerki na posiłki zastępują zużyte blaszki. Sztuczne kwiaty, nowość, dodają stolikom wykwintu. Jednak da się zacząć pracę, w połowie października. Październikowy chłód ogrzać pomidorową. Zwyczajnie, pracować.

Ula wychodzi z zaplecza, kiedy przychodzi Magdusia. Dziecko wciąż samo. Ojciec podobno jeździ teraz służbowym samochodem. Matka. Nie pytać jej o mamę. Bierze prywatne dyżury. Tak, bierze. Musi dorobić. Źle wygląda. Nikt nie musi mówić. Ula się domyśla. Marysia pije. Wcale nie rzuciła picia po rozwodzie. Obiecywała to sobie, dziecku śpiącemu w pokoju obok, przyjaciółce.

– Jesteś jak matka – mówi. – Moja mama umarła młodo.

Moja też, powtarza sobie w myślach Ula. Moja była młodsza. Sama nigdy nie chciała mieć dziecka. Istotnie, trochę matkowała sublokatorce, zwłaszcza na początku.

– Ona się po prostu stacza – mawia Anna, krojąc szarlotkę własnego wypieku. Sama nie obniżała poziomu ani o centymetr, o paznokieć. Nie było mowy o staczaniu się lub zataczaniu. Nie rozumiała, co oznacza gadanie o nieszczęściu. – Obowiązki, obowiązki trzymają kobietę w ryzach, moja kochana.

Postarzała się. Ula widzi w jej zadowoleniu także rozpad. Prawie koniec. Będzie miała swój dom. Okiełzna ostatecznie swojego syna, zanim mógłby zacząć być wolnym człowiekiem. Przytnie wszystko do odpowiednich rozmiarów. A w środku pozostanie krucha, zastawi sobie widok na tę grożącą katastrofą kruchość nowymi meblami, nowymi sukcesami syna. Zestarzeje się, już się starzeje, jak należy. Bez nałogów, w nic pozornie niewikłana.

Jednak Anna ma swoją małą tajemnicę. Znowu chodzi do kościoła. Nikt tego nie wie, bo nikt o takie rzeczy nie pyta. Przekonała się o tym. W kościele sporo ludzi. Różni. Część na pewno pracuje albo ma mężów na stanowiskach. Wcale się nie boją tego. Anna, owszem, ma wyrzuty sumienia. Nie ochrzciła Tomusia. Uważała, że lepiej nie, że jej nie wolno. Teraz się martwi.

Czeka ją mała niespodzianka. Tomuś odbierze jej tajemnicę, zabierze jej wyjątkowość wiary. Tomuś sam pójdzie do księdza, sam zapragnie Chrystusa. Nie będzie mogła akurat tego mu zabronić. Już nie, bo jak? Przez cały czas wierzyła w Boga, jak kazała mamusia, ale... Teraz syn zrobi coś, z czego zrezygnowała dla niego. Kościół okaże się takim samym miejscem jak każde, nie sprawą ważnego wyboru, nie poważną decyzją. Nie dość, że nikogo nie obchodzi jej wstępowanie do kościoła, syn będzie robił to samo, tylko bardziej. Zostanie ośmieszona w swojej ostrożności, odarta z macierzyńskiego autorytetu. W końcu zostanie też zupełnie sama. Jeszcze ma czas. Tomuś jest mały, mąż pływa, pieniądze zamieniają się w dom. Ma czas. Ma, co chciała.

LEKCJE MUZYKI, 1975

Zapisują ją na nieszczęsne lekcje w drugiej klasie. Jeszcze w przedszkolu zwraca uwagę jej muzykalność. Podczas lekcji rytmiki. Nie wówczas, gdy każą tańczyć. Ćwiczenia z wybijaniem rytmu, cymbałki, trójkąty, tamburyna. Przedszkole ma to wszystko. Miejskie, zasobne przedszkole. Trudno im znaleźć dobre wyjście. Najpierw Państwowe Ognisko Muzyczne przy Pocztovej. Niedaleko od nich, ale trzeba jednak dziecko odprowadzać. O szkole muzycznej nie myślą. Marysia uważa, że to za duże zobowiązanie.

– Niech ma zabawę, na razie. Nie musi być od razu nie wiadomo kim. – Musi, oboje myślą, że nie-wiadomo-kim zostanie w ich imieniu. Oni nie dali rady. Było za ciężko.

I tak dużo... Przyrodnia siostra Janka jest takim niespodziewanym dobrym antywzorem.

– Dziecko nie ma dzieciństwa w takiej szkole.

Ktoś im radzi, wszyscy mają na ten temat zdanie. Czy należy od razu dodać taki obowiązek. Są już inne zajęcia pozalekcyjne. Płatne. Magdusia ich nie lubi. Nie lubi angielskiego. Nauczyciel bezpośredni, nie pozwala się zastanawiać, zniecierpliwiony. Taka degrengolada. Zna języki, a musi uczyć dzieci w śródmiejskiej szkole. Wiadomo, jaki to element. Nauczyciel od początku nie przypadł do gustu Magdusi. Nie patrzy na dzieci, wydaje polecenia nieprzyjemnie wysokim głosem. Nie widzi jej, kiedy zadaje pytanie. Nie pozwala pomyśleć. W czerwonym swetrze wygląda jak kat z bajki. Przypomina sobie książkę, prezent od cioci Uli.

– W czerwonych swetrach nie chodzą normalni mężczyźni – bierze stronę córeczki Marysia. Więc z lekcjami muzyki lepiej ostrożnie. Nie zniechęcać. Swoją drogą, angielski nie może się przydać. Gdzie będzie nim mówiła?

Ciocia Ula może ją uczyć niemieckiego. Nie chce pieniędzy.

– Nie powinniśmy cię wykorzystywać.

– Nie wiem, czy niemiecki na coś się dziecku przyda – odpowiada Ula.

To ognisko też nie jest dobrym rozwiązaniem. Za późne lekcje. Odprowadza Ula, znajduje czas, ale tak nie można. Z czasem dziecko powinno być samodzielne. Nie pozwolą, żeby tam sama chodziła, wieczorem. Jesienią i zimą. Ulica jednak dość ponura. Po bramach stoi element. Znajdują wyjście. Prywatne lekcje. Bliżej domu, kamienica dosłownie przy tej samej ulicy, jedno przejście przez jezdnię.

Kiedy szła pierwszy raz sama do szkoły, Janek jej towarzyszył, chowając się za drzewami. Obserwował jej drogę, każdy krok, schylenie się do rozwiązanego bucika.

– Moim zdaniem zdała egzamin – relacjonował Marysi wyglądającej przez okno.

Nauczyciel sympatyczny. Od razu łapie kontakt z dzieckiem. Widać, że dzieci lubi. Ma stare pianino i obrotowy stołek do kompletu. Siada z boku, mówi miłym, miękkim głosem. Magdusia czasem czuje, jak ją ten głos usypia. Czuje tchnienie oddechu nauczyciela na karku, jego dotyk, kiedy kładzie jej dłoń na dłoni, żeby pokazać prawidłowe ustawienie. Sama nigdy go nie dotyka. Reguły proste, bez wyznaczania oczywiste. Stopniowo zaczyna na dotyk czekać. Wchodzi do jasnego pokoju zastawionego ciasno meblami (światła z ogromnych okien) zawsze z bijącym mocno sercem. Dużo ją to kosztuje. Schody, drugie piętro, dzwonek, kto otworzy. Długo prosi rodziców albo ciocię, żeby ją odprowadzili. Tak, blisko. Ale. Dzień dobry mówione żonie lub matce nauczyciela. Wchodzenie do jego pokoju. Czasem musi poczekać, aż skończy poprzednią lekcję. Zawsze jest na stanowisku, przy pianinie, w domu. Jest chory, nie wychodzi. Magdusia nie wie na co. Nikt przy niej o tym nie mówi. Myśli więc przed zaśnięciem – Czy ten miękki dotyk dłoni to od choroby? – Długo myśli, że łagodność jest chorobą. Nauczyciele nie bywają tacy. Najwyżej mama, tata, ciocia Ula. Nie zna innych takich ludzi. Dorośli popychają, strofują, krzyczą. Szczególnie nauczyciele.

Nauczyciel kładzie jej dłoń na ramieniu. Żeby siedziała prosto, mówi, ale nie tak jak inni. Inni nie wywołują tego, co ona czuje w żołądku. Owszem, strach też w żołądku, ale inaczej. Teraz znów coś miękkiego. Jak lody waniliowe. Lody otulone bitą śmietaną. Kupowane najchętniej przez ciocię Ulę.

– Dobrze. Że tak go polubiła, to dobrze – mówią dorośli między sobą. Spokojni. Początkowo przychodzą posłuchać lekcji pod koniec miesiąca. Płacą. Potem już tylko przychodzą zapłacić. Ona robi postępy.

– Kupmy nowe pianino, proszę cię, Janku – wieczorem rozmawiają o przyszłości dziecka. Sklep przy Wyzwolenia. Zastawiony instrumentami. Calisia na raty. – Nowe będzie lepsze. Mniejsze. Eleganckie. Podobno dźwięk ma przystosowany do nowych mieszkań – gdyby kiedyś takie nowe mieszkanie dostali. Nikt nie ma ochoty na te czarne, stare graty. Te pianina ze świecznikami na przedniej płycie. Może i kiedyś były dobre. Za grosze. W latach sześćdziesiątych powyrzucali większość staroci. W kamienicach powymieniali, gdzie się dało, stolarkę. Rzeźbione drzwi podmienione prostymi, eleganckimi, z paździerza. Resztki mebli, nawet te gdańskie, zawalidrogi w podzielonych na mniejsze mieszkaniach wyniesione do piwnic. Meblościanki. Fabryka Mebli Goleniów idzie pełną parą. W latach siedemdziesiątych już mają nowoczesnie. Zanim się rozstaną, urządzają nowoczesne mieszkanie. Nie chcą gratów. Biorą calisję na raty. Wybierają po wspólnych z nauczycielem oględzinach. Wiozą go taksówką do sklepu. Nie chce iść z nimi na obiad. Wybiera instrument. Dobry egzemplarz, dźwięk wyraźny, a cichy. Dziecko od razu je lubi, pianinko mówi tymczasem. Przez pewien czas. Bo potem.

– Ona za mało ćwiczy. Musi pani przypilnować – mówi nauczyciel. Tak, jasne. Pilnuje. Magdusia jakoś tego nie dotrzymuje. Lubi lekcje. Ćwiczenia w domu ją nudzą. Mama przestaje przychodzić z zapłatą. Wkłada pieniądze do białej koperty.

– Oddasz panu – mówi. Nigdy nie trzeba jej przypominać. Zna termin. Trzeba punktualnie płacić. Nie wolno się spóźniać z pieniędzmi. Na szczęście na dziecko nie brakuje. Potem też, po rozwodzie. Janek te rachunki związane z edukacją bierze na siebie. W kopercie elegancko. Dziecko nie może nosić pieniędzy dorosłym. Kto to widział? Dorośli wyświadczają łaskę. Pieniądze są między dorosłymi.

Pianino na wysoki połysk, orzechowe, gładkie. Klawiatura przykrywana specjalną serwetką. Jakoś się nawet takie coś nazywa. Bieżnik? Może. Kupione w cepelii. Pan od muzyki czegoś takiego nie ma. Pianino ciągle używane. Nie zdąży się zakurzyć. Magdusi odkurzone starannie, dwa razy w tygodniu podczas sprzątanía, narażone na wpływy środowiska. Dziecko mało ćwiczy. Nuty ułożone równiutko, wyglądają jak nowe. Nuty i pianino. Bez zdrobnień. Poważna sprawa.

Może chodzi o to, że to jest samotne zajęcie. Kiedy za plecami nie siedzi nauczyciel. Pokoje są nieco ponure, wysokie, pomalowane na zielono i oranż. Jeden taki, drugi taki. Ten z pianinem, rodziców, groszkowy. Dziecko jest w nim samo. Trochę się boi. Może woli, kiedy jest samo, czytać? Zaprasza koleżanki. Kiedy są rodzice, wydaje się jeszcze mniej mieć ochotę. Na przebieganie po klawiszach.

Mama leży na tapczanie. Czeką na powrót taty. Coś się miesza, kotłuje za plecami Magdusi. Czasem myśli, że jest złą córką. Nie umie zagrać na imieninach mamy. Boi się zagrać przy ludziach. Czasem myśli, że coś złego ją za to spotka. Na lekcji nauczyciel tłumaczy:

– Masz zdolności, słuch, dobrą dłoń. Musisz więcej ćwiczyć.

Ćwiczenie to samotność z dźwiękami w pokoju. Niezła, gdy trzeba coś zagłuszyć. Ale. Magda chce nasłuchiwać. Nauczyła się nasłuchiwać. Kroki na schodach. Kiedy wróci tata. Poznaje po krokach, czy wraca „w porządku”, jak mówi mama. Mama w kuchni. Dziecko próbuje usłyszeć, czy nalewa coś poza wodą do garnka. Słucha głosu mamy w rozmowie z

ciocią. Słucha pierwszych słów rodziców po powrocie taty z pracy. Skrzypienia podłogi. Mocnych, podniesionych głosów. Bez trudu obejmuje oktawę.

Magdusia kolekcjonuje dźwięki, rozpoznaje je, klasyfikuje. Żeby wiedzieć. Co robić. Przybiec do nich, prosić, żeby byli cicho. W nocy, że nie może usnąć. W dzień, że potrzebuje pomocy przy lekcjach.

Mama śpi po południu. Zanim wróci tata. Mama lepiej się poczuje. Przykryta kapą, bez koca czy pościeli. W ubraniu. Magda chodzi na palcach, delikatnie otwiera klapę pianina, ściąga makatkową osłonę. Dotyka klawiszy bez naciskania. Jest wirtuozką. Jednak nie może grać głośno, bo jest wojna. Jeśli ją usłyszą i odkryją, zabiorą całą rodzinę. Najlepsze zabawy w wojnę.

Dziecko powinno ćwiczyć, inaczej to nie ma sensu. Dobrze. Dziecko obiecuje poprawę. Dziecko jest harde. Mówi nauczycielowi:

– No i co?

On trochę się gniewa. Ale. Ma niewielu nowych uczniów. Choruje. Nie wiadomo na co, choruje.

– Będiesz do mnie zawsze przychodziła? – pyta. Szybko kiwa głową, gorliwie jak nad talerzem leniwych. Tak, tak, obiecuje. Te lekcje są zobowiązaniem.

– Może powinniście znaleźć jej kogoś innego? – mówi Ula. – On w ogóle już nie wychodzi z domu. Podobno dziwaczne. Może to niezdrowe dla dziecka? – Zniżają głos. Ale dają spokój. Nikt nie ma czasu. Zrobili swoje. Przygotowują co miesiąc kopertę. Na szczęście, Magdusia czuje, że nie może go opuścić. Obiecuje więcej ćwiczyć. Co roku zaczynają od tych samych wariacji dla początkujących. Zatrzymali się na wariacjach. Czasem on jej gra. Żeby zobaczyła. Przestał skarżyć mamie. Czeka na nią przy pianinie.

– Co tam w mieście? – pyta.

Magdusia nie wszystko wie. Zaczyna dla niego patrzeć. Przynosi mu zobaczone po drodze szczegóły. Jego choroba? Coś zbawiennego, potrzebuje jej oczu, jej chodzenia po mieście. Jest mu potrzebna. Jest duża. Rozumie. Rodzice. Ciocia Ula. Syn cioci Anny, ma się z nim bawić po cichu. Najchętniej wchodzi pod stół, namiot z serwety. Tak nie wolno. Mają być widoczni i cisi. On młodszy, ma więcej. Przedmiotów w domu i zajęć. Więcej mamy. Ojca jakby mniej, bo w morzu. Kiedy jest, jest go też więcej niż tatusia Janka. Tatuś się schował do środka. Magda nie jest mała. Rozumie. Ma wrażenie, że tatuś gdzieś się przed nią chowa. Pomaga synkowi cioci zjeść pierogi. On mało je. Nie lubi tych w domu. Wolałby w barze.

– Czy talerz czysty? – pyta Anna. – No wiesz, przecież tu pracowałaś!

Właśnie dlatego. Ten mały, Tomuś, Magdusią denerwuje. Robi tylko to, co mu każe ciocia. Jak automacik. Maleńki, na baterie. Ma takie zabawki. Automaciki od taty. Żal jej go, więc zjada za niego. No, nie jest o wiele młodszy. Ale nie wie nic o życiu. Poza tym, co mu powie ciocia Ania.

Ciocia Ania mówi mu, że ma być grzeczny. Jak tata. Kiedyś słyszy:

– Nie daj Boże, jak tata – tak mówi mama do Uli.

W każdym razie woli mieć swojego nauczyciela. Lekcje. Tamci wszyscy, ma wrażenie, trochę ją kłamią:

– Nie mów: „nie kłam mnie”, tak się nie mówi – strofuje mama.

Dbą o czystość języka. Jak ciocia Ania, która dba o czystość wszystkiego. Ula słucha i nawet powtarza takie zakazane słowa. Potem zamykają drzwi, zamykają się za drzwiami. Ma wrażenie, że naprawdę rozmawiają tylko wtedy. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Jakby było coś jeszcze do ukrycia. Poza krzykami rodziców. Poza słowem „rozwód”. Oznaczającym jeszcze późniejsze powroty rodziców. Więcej cukru na posypkę w barze.

Dzieci są takie. Samotne. Więcej jest takich dziewczynek w szkole. Chłopcy może też. Nie rozmawiają z chłopcami. Dziewczynki mają klucze. Nie zawsze wolno im przyjmować inne dzieci. Magdzie wolno. Bawią się w dom do powrotu mamy. Więcej jest takich ojców,

których mamy dłużej nie mogą znosić. Są też tacy, których nie znoszą dzieci. O czym nigdy nie mówią, mówiąc: „mamusia, tatuś”. Czasem nie wolno chodzić do koleżanek, mówić, brudzić. Czasem w dodatku trzeba wstawać na ranną mszę. Czasem szukają pociechy u Boga. Czasem bardzo go nie lubią. Jest kimś w rodzaju szefa taty. Szefa mamy. Można przez niego oberwać. Nawet przez Maryję.

Na tablicy przed kościołem słowo na „a”. Antykoncepcja. Zabronione. Nikt nie ośmieli się zapytać. Coś najstraszniejszego ze strasznych. Jakies pokręślone bazgroły. Magda może zapytać, mama nie odpowie, ale nie będzie krzyczeć.

– Powiem ci, jak będziesz duża. – Ma jej też kiedyś powiedzieć, jak skubać brwi i malować paznokcie. Gdyby nie miała czasu, jest ciocia Ula. Czy można zapytać o więcej? O to, czemu tata przestał być dla mamy jej tatą? Bo przestał. Ona wie, nikt jej dokładniej tego nie musiał objaśniać.

Nagle te lekcje są jak wtaczany pod górę kamień. Są jej, jej tajemnicą. Musi tam chodzić. Rodzice tylko płacą. Niewiele więcej mogą zrobić. Ich córka sama wchodzi po schodach, siada na czarnym stołku. Musi tam być. Nie dla muzyki. Nie dla rodziców. Nie dla przyszłości. Dla lekcji. Nagle te lekcje są najważniejsze. W całym życiu. W tym, co nazywa teraz „całym życiem”. Tylko tu ma je w całości, w jego dłoniach, miękkich od choroby, dających słodycz.

POSIŁKI, 1976 I WCZEŚNIEJ

Nie mieli czasu. Nie mieli za dużo czasu, a poza tym im nie zależało. Zanim przyszło na świat dziecko. Przez pewien czas obiady w domu. Bardzo chętnie, na spacerze, w dzień wolny, oczywiście bar „Bambino”. Nie można tak codziennie. Łatwo może się znudzić. Janek przyjmował z wdzięcznością ziemniaki z omastą. Sosy, ona nie bardzo lubi. I nie umie, inna tradycja. Ale najpierw się stara. Ziemniaki w domu Marysi z zasmażką, starannie przazona gęsta śmietana, łyżka masła. Na skraju płyty. Godzinami. Jedyny smak, którego nie da się podrobić. Miejska śmietana odporna na takie zabiegi, najwyżej się pali. Na te ziemniaki i barszcz z warzyw wrywanych w ogródku warto było jechać. Do rodziców. W Poznańskim karczmy, kluchy z lumpa i zrazy: – Babcia robiła lepsze, ale spróbuj, spróbuj. Tego nie znasz.

Ula nie kultywuje smaków. Leży z papierosem w dłoni. Herbatniki pod ręką. Ula pracuje całe życie przy jedzeniu. Czasem, dla kogoś. Coś tam w kuchni wyczaruje:

– Jedz, dziecko – do kogoś mówi. Do dzieci: – Jedz, urośniesz – z nieobecny uśmiechem. Chyba tak tylko, sama nie wierzy. Gryzie jabłka przechowywane zimą na szafie. Zapach w całym mieszkaniu. Stefanowi, owszem, piekła nawet strudel.

Anna. Dla siebie nie warto gotować. Odkąd ma dla kogo, tak, gotuje. Zdobywa lepszy surowiec, po pracy zamyka się w kuchni. Przyzwoita kobieta. Syn musi zjeść do czysta. Adam popuszcza pasa, nie ma ochoty wychodzić. Kładzie się z gazetą. Nie pójdzie, nie pójdzie. Zostanie. Takiego jedzenia, takiej kuchni, takiej żony. Nikt nie ma. Aż pochrapuje. Obudzi się na deser. Anna wyrabia świetne torty. Zaprasza znajomych z pracy na imieniny. Kinderbale, dzieci przy stole. Imieninki, urodzinki. Obie te tradycje. Jej dziecko nie wyciąga rąk, zanim mu powie.

W drodze z pracy. Zakąski. Janek tego najbardziej nie lubi. Przepisy.

– Powinien pan coś zjeść, panie Janeczku – zatroskane barmanki.

Dobrze, po wódce ma nawet apetyt. Nie wystarczy śledzik i jajko. Na ciepło. W domu, na początku, po ślubie, ziemniaki zawinięte w ręcznik, schowane w pościeli. Surówka w szklanej salaterce, kompot z owocami w środku. Jakiś kawałek mięsa do podgrzania. Zawsze smaczna zupa. Do czasu. Potem kantyna. Weźmie schabowego. Ziemniaki mają szarawy odcień, tłuszcz pachnie wielokrotnym używaniem. Zasmażana kapusta. W restauracjach pierwszej kategorii można by dostać coś lepszego. Codziennie? Kogo na to stać. Więc jednak Janek bierze to drugie w „Wiarusie”. Po drodze do domu. To jest coś. Pieniądze na to. Kto by pomyślał. Stać go. I jeszcze setka popijana oranżadą. I szacunek.

Magdusia nie nosi obiadów rodzinie. Co należy do obowiązków dzieci. Małych darmozjadów, w których cała nadzieja. Czasem chodzi do stołówki z Bożenką, koleżanką z ławki. Trzymają się razem od pierwszej klasy. Bożenka mało mówi. W jej domu prawdziwa dyscyplina. Wyjdzie dziecku na dobre. Złe stopnie kończą się życiem pasa. Bożenka stara się dobrze uczyć. Trojaczki, przedmiot codziennego użytku. Zawsze pachną wewnątrz poprzednią zawartością. I jeszcze poprzednią. Mają zapach obiadów abonamentowych. Ze zniżką dla pracowników. Bożenka niesie niklowane trojaczki. Na dnie kartofle i mięso, w środku buraki, na wierzchu zupa. Zupa przecieka na resztę, co nie ma znaczenia. I tak wszystko smakuje jednakowo. Pożywne obiady. Czasem zmiana konfiguracji: ziemniaki z mizerią, a w środkowym gulasz. Piątek bezmięsny. Dwie porcje na trzy osoby. Zupełnie wystarcza. Bożenka zna swoje obowiązki. Magdusia patrzy na trojaczki, przełykając ślinę. Przełyka nie z powodu pobudzonego apetytu. Przełyka, żeby nie zwymiotować. Wspomnienia przedszkolne. Funkcjonalna anoreksja (nikt tej choroby nie zna). Niejadek, Tadek-niejadek, tak się to nazywa. I zawstydzta dzieci. Bo wojna. Niedawno była. Imperialiści są gotowi na następną. Jedzmy, póki czas. Mizeria i buraczki zmieszane z ziemniaczaną paćką.

Nieograniczona fantazja kucharek w produkowaniu świństwa. Karmienie dziecka, futrowanie łyżką prosto do gardła.

Mama smaży Magdusi schab na maselku. Bez bułki. Żeby było widać, że nie ma tłuszczu. Musi być dobrze przysmażony. Surówka osobno. Równiutko pokrojone, domowe frytki. Mama w tym celuje, mistrzowskie frytki. Jabłko w cieście. Magdusia się zastanowi. Czy dzisiaj to zje. Nie może ciągle chodzić do baru „Bambino”. Nie może codziennie jeść leniwych. Mama niechętnie rozmawia z ciocią. Mama się cioci ostatnio chyba trochę boi.

– Jedz, dziecko, potem będą lody – ciocia nie dba o zasady, lody także zamiast.

Marysia mogłaby to, co w szpitalu. Ze wspólnego kotła. Nie zależy jej na gotowanym. Surowe warzywa i owoce. Grubo pokrojony boczek i cebula. Tego uczy i dziecko. Samo zdrowie. Małe kosteczki chleba z boczkiem i cebulą. Cebula na chlebie pokropionym przyprawą maggi (podróbką, grzybową przyprawą do zupy). Zmoczony chleb posypany cukrem, tego Magda nie lubi. To przysmak Bożenki. Przetwory u cioci Ani. Kandyzowane owoce według starych przepisów. Zamiast cukierków, dla dzieci. Domowe wino, dla dorosłych. Boczek może i zdrowy, ale się ciągnie. Mama umie tak pokroić, że daje się pogryźć.

Stołówki.

– Zapiszę cię do szkolnej stołówki – straszy mama.

Posiłki wydawane podczas długiej przerwy. Nie, zabiera większą kanapkę. Naprawdę, nie da rady jeść tak szybko. I tego, co tam nazywają obiadem. Akcja „szklanka mleka dla każdego ucznia”. Kozuchy. Zapach przypalonego białka. Życie ratują woreczki z kakao kupowane w sklepie na rogu. Nie unicestwią kozucha, ale przynajmniej zapach. Mama zgadza się nie płacić za to dobrodziejstwo. Magdusia obiecuje jeść twarożek.

– Obiady abonamentowe to jest wyjście – mówi mama. – Musisz zrozumieć, niedrogo i nie zabiera czasu – rozumie.

Nie może ich jeść. Przy stolikach przykrytych ceratą siedzą obcy ludzie. Siorbią, grzebią w talerzach. Patrzą na nią. Wypychają ją z kolejki. Zwracają uwagę. Patrzą jej w talerz. W domu przegryza chlebem. Przez pewien czas numerki na posiłki w „Bambino”. Tam lepiej. Stolik przy oknie, często kartka „służbowy”. Przy Magdusi przysiada ciocia, któraś kucharka. To jednak krótkotrwały eksperyment, słabo się w barach sprawdza. I tak mają kolejki i nie chcą poszerzać asortymentu o mięso. W końcu to bar mleczny.

Jest pewne wyjście. Kasyno wojskowe. O wiele lepsze jedzenie, ładniej podane. Janek dostaje przydział.

– Ciekawa jestem skąd? Ty, ty... Jasne, porządny człowiek nie dostanie. Taki jak ty ma wszystko – Marysia nie popuszcza, każda okazja jest dobra.

Uczciwie mówiąc, takie niewielkie przywileje nie tak znów bardzo należy ganić. Sam tam jada, jeszcze za małżeństwa, odkąd już zupełnie nie są w stanie się dogadać, tym bardziej po rozwodzie. Niech skorzysta i dziecko. Niech nie będzie takiej wielkiej różnicy pomiędzy ich i jego półką w lodówce, kupionym przez niego przedmiocie dumy. Kasyno dla wybranych na krótko, Marysia tam właściwie niczego nie zjada. Wszystkie te panie i dzieci, ci mężczyźni w mundurach albo po cywilnemu, ale sztywni. Białe obrusy, a jednak jest onieśmielona. Mniej zapachów z kuchni, a jednak i tak ma mdłości. Ci wszyscy dorośli nadal czują obowiązek. Zagadywania. Wciąż narzeka na bóle brzucha. Janek sobie chwali, ale przychodzi w ostatniej chwili, przed samym zamknięciem. Nie może umawiać się codziennie z córką. Umawiał się, spóźniał. Zakotwiczał po drodze w knajpie. Przepadały oba obiady. Magdusia czekała. Nie wolno narażać na to dziecka.

Tomeczek chodzi na obiady do Domu Rybaka. Dziecko musi mieć w południe ciepły posiłek. Nie jedyny. Anna gotuje wieczorami, wieczorami odgrzewa. Tomeczek jest trochę zbyt pulchny. Nie szkodzi. Rośnie. W Domu Rybaka karmią dobrze. Czasem mama tam zagląda na swój obiad.

Też potrzebuje ciepłego w południe. Dokupuje numerek dla siebie. Tomeczek wyrzuca do śmietnika pod szkołą kanapki. Musi być grzeczny i wszystko zjadać. Inne dzieci nie mają takich frykasów z Baltony. Takiej szyneczki. Inne dzieci byłyby wdzięczne. Pani z kuchni sprawdza, czy dzieciak zjada. Trzeba być człowiekiem i zwracać uwagę na cudze dzieci. Jej też są same, kiedy ona innym nakłada. Więc strofuje chłopca, który ma w sobie niezły automat. Do zjadania.

Pamiętają głód. Dzieciom trzeba dać wszystko, a najpierw jedzenie. Dzieci mają obowiązek zjadać. Zdrowe rzeczy. Wygotowaną w kotle marchewkę. Dzieci same, co jest dobre dla nich, nie będą wiedziały.

Ula nie dyskutuje, Ula ma dla dzieci słodycze. Nie stara się przekonywać. Nie jest matką.

– Moja droga, ty tego nie zrozumiesz – woli nie słuchać. Owszem. Nie jest.

W '76 można wykupić obiady w „Kaskadzie”. Nocny kombinat otwiera podwoje. Dla mieszkańców. Zdobywcze socjalizmu dotyczą także gastronomii. Dla każdego. Dostępność. Idzie o coś więcej niż bary, bufety i stołówki. Kantyny i kasyna. Idzie o wykwintne, a dostępne. O kulturę. Kartki na cukier w tym samym roku, słodycze coraz mniej przypominają prawdziwe. Dzieci nie rozpoznają, nie czują różnicy. Słodkie to słodkie. Poza tym między rodzinami krążą prawdziwe czekolady, z Baltony, Peweksu, przywożone. Poza tym ograniczenie spożycia cukru ma sens. Mniej będą z cukru robić samogonu, co się praktykuje pomimo groźby więzienia.

Magdusia, owszem, będzie chodzić. Bo Bożenka. Mama Bożenki po rozwodzie ma nowego męża. Nowy mąż każe dbać o prestiż. Z dywanów znikają foliowe zabezpieczenia. Wolno wchodzić do dużego pokoju. Bożenka i tak nie wchodzi. Pamięta, co za to grozi. Nawet kiedy już nie grozi. Pupa pamięta.

– Chodzę teraz codziennie do „Kaskady”. – Wiadomość dla nauczyciela muzyki, profesora. Mówi do niego teraz „profesorze”.

Profesor się ożywia:

– Do tej „Kaskady”? I co? Dużo ludzi?

– Dużo, panie profesorze, bardzo dużo. Najlepiej iść na początek, na pierwszą. Potem coraz więcej ludzi, nie ma wolnego stolika.

– I co, dobre jedzenie?

– Dobre. To samo, co w karcie, tylko nie można wybrać. To znaczy można, z trzech zestawów.

– I co dziś jadłś?

– Barszcz, kotlet górski, szarlotka, kompot.

To się prawie w całości udaje zjeść. Przy czystym stoliku. Kelnerzy mają lekko ironiczne miny, obsługując tych z abonamentu. Marysia spotyka tam ojca. Janek siedzi na pierwszym piętrze z kimś jeszcze. I przedstawia dziecko kelnerowi. Tak, ten kelner ją rozpoznaje, kłania się. Mówi:

– Co dziś dla panienki? – ostrożnie nalewa z blaszanego kubka do talerza gorącą zupę. Bez dotykania talerza. Traktuje ją jak dorosłą.

Marysia, nie wiadomo dlaczego, jest zła.

– Nie powinna cię tam spotykać – krzyczy do ojca. Dlaczego?

– Czy tata nie może zjeść obiadu? – pyta.

Matka nie odpowiada. Jeszcze się powstrzymuje.

– Dziecko ma go widywać z tymi jego... – przez uchylone drzwi słyhać, co mówi do Anny.

Marysia nie rozumie. Tata bywa z kimś, owszem. Co w tym złego? Tata bywa też podpity. Z mężczyznami i kobietami.

– Mogłabyś nie pić w dzień – mówi do matki na próbę, kiedy znów widzi.

– Co? Nastawił cię przeciwko mnie? – logika rozmowy z dzieckiem, wermuty z demoludów, kupowane w warzywniaku, naprawdę dobre. Ojciec przynosi jej puszki owoców w syropie, drogie. Marysia na takie coś musiałaby brać dwa razy tyle dyżurów. Jest zmęczona, ma prawo być zmęczona, ma prawo odpocząć. Z wermutem w szklance odpocząć. Ten s...yn ma na wszystko, ją pociesza groszowy trunek. Z dużą ilością cukru, Marysia tyje. Jak nie pasuje, niech idzie mieszkać z ojcem, krzyczy albo tylko bełkocze.

– Powiedz mamusi, że nigdy się nie wyprowadzisz, powiedz – płacze, kiedy mała przykrywa ją kocem.

Magdusia rezygnuje z obiadów państwowych. U Bożenki mają gosposię, nie jedzą na mieście. Samej nie chce się chodzić, jednak kawałek. Więc lepiej coś tam odgrzać. Nieważne. Ciepłe jedzenie. Dla siebie i Tomka, małego Tomusia, nowy pomysł matek. Mają po jednym dziecku, trzeba żeby je z sobą związać, te dzieci, jak rodzeństwo. Marysi mający myśl o tym, że dziewczynka, dziewczynka... Że dziewczynka może nie powinna odpowiadać za braciszka. Ale. Jest inaczej. Inne czasy. I boli ją głowa. Anna daje jej córce tyle serca, warto pamiętać o takich darach.

Magdusia chciałaby mieć możliwość wyboru. Wybrać z karty obiad z rodzicami. Niedzielnego kurczaka i zieloną sałatę. Karta jest pusta. Królowna, księżniczka coraz mniej je. Może dorosła?

DZIECI Z ADAPTEREM „BAMBINO”, 1977

Adapter został w domu Marysi i Magdy po Janku. Jedna z ich ostatnich, wspólnych inwestycji. W 1969 nowość, kupiony za premię, chyba nawet na urodziny Marysi. W 1977 są już o wiele nowocześniejsze, przystosowane do słuchania czegoś więcej niż dźwiękowe pocztówki, z których matka odtwarza Karin Stanek, Alibabki, Zdzisławę Sośnicką, Mieczysława Fogga. Od ojca dostaje Magda pierwszą, tylko dla niej, więc „dorosłą” płytę. Album, tak się to już nazywa, Budki Suflera. Zupełnie inna muzyka niż ta, wokół której krąży podczas lekcji z profesorem. Wsłuchuje się w słowa. O zejściu w dolinę. Tomuś skończy dopiero dziewięć lat, ale i tak mu pozwala siedzieć z sobą po turecku, w pokoju. Anna jakoś oddała jej Tomusia, postanowiła za nią, że taka przyjaźń z chłopcem najlepsza na rozterki okresu dojrzewania. I na kłopoty z organizacją życia kobiety-marynarzowej-urzędniczki-na poziomie. Tomuś jest małomówny, posłuszny, płaczliwy. Trochę denerwuje Annę, na szczęście łatwo daje się dyscyplinować. Działa na niego autorytet ojca. Wciąż działa. Ojciec przejdzie po tym rejsie na emeryturę, będzie miał czas dla syna.

Chłopiec nie drażni Magdy, lubi się z nim bawić. Jak z młodszym braciszkiem. Nie lubi patrzeć, jak go ciocia temperuje, czasem nawet się cioci, broniąc małego, stawia. Nie zna moresu, biedna dziewczyna z rozbitej rodziny, myśli Anna. W sumie może mieć zły wpływ na chłopca, to też Annie świta, ale co robić? Trzymać go z kluczem na szyi, za głupi jeszcze na to. Magda, z natury rzeczy, jak dziewczyna, opiekuńcza. Taki gen, mający zastosowanie w hodowli dzieci, więc i przyszywanego kuzynka może dostać pod kuratelę. W domu zasobnie, byłoby co ukraść, wpuszczenie piastunki do opieki nad dorastającym dzieckiem raczej nie wchodzi w grę. A praca wymaga wiele wysiłku, po pracy trzeba zajmować się dużym domem, zarządzać, a to mycie podłóg, a to okien. Dochodzące kobiety są okropne, myszkują po domu, mogą wyjść w nieodpowiednim momencie, mogą ukraść. Kiedy przyżywa mąż, trzeba dobrze nim się zająć. Dogodzić lepszym obiadem. Dbać o ciszę. Tomeczek bawi się po cichu, ale zawsze coś może mu wypaść z ręki, zakłócić harmonię. Magda od dawna samodzielna, sama otwiera i zamyka drzwi, sama wraca ze szkoły, robi zakupy. Odgrzewa jedzenie. Dobre wyjście. Odpowiadające też Marysi. Zajęta Tomkiem, Magda mniej zajmuje się matką. Nie udziela jej rad, nie mówi, co powinna. Przespać się. Iść do fryzjera. Nie palić. Ściszyć adapter, bo sąsiadów szlag trafia. Zaczynają gadać, jeszcze dla dziecka mają zrozumienie, dla kobiety nie. – Co się dziwić, że mąż taką zostawił? Mąż elegancki, droga pani. – Nie... O picciu nie pozwala jej z sobą rozmawiać. Anna nie wie, że Marysia przesypia pijana całe popołudnia. Gdyby wiedziała, nie pozwoliłaby tam siedzieć swojemu dziecku. Dobrze, może nawet trochę wie. Głośno się nie mówi. Szeptem czasem, w zaufaniu zaufanym. Jednak układ jest dobry. Lepszy od zabawy w salonie. Lepszy od łożenia dziecka po domu. Lepszy od łożenia po mieście. Co parę lat coś się zaostrza. W sumie dobrze, że mają Janka. Janek, mimo rozwodu, im mówi. Kiedy się nie pętać. Generalnie nigdy się nie pętać. One powtarzają Marysi, bo z nią nie rozmawia od dawna, wcale. Ani słowa. Jeśli chce coś powiedzieć, oznajmić, odwiedza Ulę, czasem Annę, najczęściej Ulę. Zatroskaną, puszczającą skutecznie w niepamięć tę (być może) nieco mroczną rolę, nieco tylko, jaką mógł odegrać w sprawie paszportu w jedną stronę odebranego przez jej, zapomnianego pomału, kochanka.

Jak się jest dzieckiem, bez względu na przecieki pochodzące z pewnego źródła, należy siedzieć pod opieką w domu. Matki nie mają czasu, zostawiają dzieciom kartki z poleceniami. Porządne matki. W porządnym domu. Pracujące matki. Inne, margines dobrego świata, niańczy dzieci w śródmiejskich suterrenach, owszem. Albo sprzątają klatki, ciągnąc bachora za sobą, przyuczając go do ściery i wiadra. Anna nie udaje należącego szacunku. Ula zawsze zatrzymuje się przy sprzątacze, pamięta z okazji podziału nadwyżek w barze o sprzątającej

kobiecie. Ula, w końcu, też fizyczna. Jak, nie ukrywajmy, Marysia. Tylko Anna wykształcona. Doszła do tego z niemałym trudem. Chce tego samego dla dziecka. Zajęcia pozalekcyjne, dyscyplina, higiena. Magda jak córka. Razem dzieci wydają się zabezpieczone. Bezpieczne, starsza umie obsługiwać świat taki, jaki spotykają po drodze. Między domem a szkołą. W rejonie śródmieścia, podupadającym społecznie. Gumieńce na szczęście nieodległe, nawet ta ich nowa część z łakami w tle, można przejechać te dwa przystanki autobusem. Tomeczek chodzi do szkoły w śródmieściu, żeby łatwiej było załatwić zajęcia pozalekcyjne, stołówkę, odprowadzanie. Czyli są komplikacje, na szczęście możliwe do przezwyciężenia. Sam fakt zapisania dziecka do szkoły poza rejonem świadczy o możliwościach. Tak, załatwił to Annie Janek. Kiedy mu powiedziała, że nie jest zadowolona ze szkoły na Gumieńcach i byłoby dobrze, gdyby dzieci mogły więcej czasu spędzać razem... Taka jej przyszła do głowy koncepcja... Nie tylko w niedziele. Jasne, trzeba chłopca umieścić bliżej matki, przyjaciół, centrum. Janek to natychmiast załatwia. Janek lubi załatwiać. W szkołach możliwości nieograniczone. Większość dyrektorów to swoi ludzie. Ten też, masywny czterdziestolatek, z czerwonym podbiciem cery, wskazującym na słabość do alkoholu. Przystojny, przez cały rok, poza sezonem upałów, noszący tweedowe marynarki, z ciężką ręką na chłopców, dla dziewczynek wyrozumiały, więcej trochę nawet. Ojcowski i trochę więcej. Uśmiechnięty na widok ładnej buzi, granatowego mini, przylegającego do ciała stylonu fartuszka. Trzymający w ryzach grono nauczycielskie. Porządny poza tym facet, ojciec rodziny, nie potrzebuje silnych bodźców, wie, że coś za coś. Przyjęcie dziecka pani kapitanowej przysłuży się całej szkole. Akcenty morskie w programie, pogadanki, akademie. Taki chłopiec ładnie wypadnie z okazji Dni Morza, Dnia Matki, Dni Książki, z każdej okazji. Z takim chłopcem ładnie wypadnie szkoła, dyrektorowi wczasy w dobrych warunkach, przydział mieszkania i samochodu, nie wspominając nawet o odznaczeniach, po prostu, bez gadania (ale dobrze, jeśli ktoś zagada) się należą.

Na początku zeszłego roku szkolnego Magda udawała, że Tomek jest jej braciszkiem. Przed sobą i koleżankami z klasy. Czekwała na niego pod szatnią, pomagała zbierać ubrania, worek, dodatkowe przybory, w drodze asekurowała jego ciało, żeby nie zaznał cierpkich wpływów ulicy, już obmyślając to, co nastąpi. Po Bożym Narodzeniu, kiedy byli w domu, że synkiem. Zapraszała Bożenkę, parę innych dziewczynek, żeby odegrać przed nimi taki teatr.

– Tomeczku, bądź grzeczny, mama nie ma sił! – krzyczała do niego, a on pozwalał kłaść się do łóżka, udawał niemowlę, popłakiwał, stawał w kącie. Żywa lala. Na niby, nie płakał prawdziwymi łzami, beczał jak owieczka pokazywana w „Teleranku”. Tylko że to było trochę nudne. Po wakacjach poczuła się dorosła, zaczęła odpowiadać za niego, za jego prawowitych opiekunów. Był z rodzicami w rejsie, dostał prezenty, dla niej też coś przywieźli, wisiorki z muszelek, kalkomanie, pisaki. – Mój kuzyn mi przywiózł – mówiła dziewczynkom w klasie. Odrabiali razem lekcje, próbowała nawet uczyć go grać na pianinie. Jeszcze jedno podejście: pani nauczycielka. Też dała sobie z tym spokój. Był bystry, można z nim było rozmawiać zupełnie normalnie, nie jak z małym dzieckiem. Nie miała wcale ochoty nim dyrygować. Dyrygowała, coraz częściej, matką, dbając o jej śniadanie, kawę, bluzki. Nie musiała więc dręczyć chłopca. Sporo wiedział z geografii. Ładnie pisał. Lubił rysować. Mógł godziny całe ślęczeć nad zadaniami. Zmieniał ostrożnie płyty w adapterze. Jadł, co kazała.

Kiedy przejęła na własność adapter „Bambino”, przeniosła go do swojego pokoju, zaczęły się ich milczące, wielogodzinne seanse, podróże. Leżeli na dywanie, zalegali godzinami, patrząc na obracającą się płytę. Czasem ona siadała do pianina, a on udawał dyrygenta. Grała na tle Budki Suflera. Kiedy indziej wybierał jakąś książkę z biblioteczki, stawiał ją na pulpicie, otwierał na przypadkowej stronie i prosił, żeby robiła akompaniament.

– Madzia, zrób akompaniament do tego – prosił poważnie. To były na przykład kupione przez samą Magdę wiersze Stanisława Lema, którego zaczęła mu czytać na głos, Solaris i Opowieści o pilocie Pirxsie przeczytali w całości, wystarczyły na jesień. Nikt się nie

interesował ich lekturą. Zaledwie jedna wpadka, kiedy próbowała wziąć ze szkolnej biblioteki Kamienne tablice Żukrowskiego. Wychowawczyni poprosiła matkę o zwrócenie uwagi na zbyt dorosłe córki zainteresowania. Matka nie widziała takiej potrzeby. Czyta? Dobrze, że lubi. Nie wdała się przynajmniej w ojca, nieuka, który podobno zaczął: – Ciekawe jakim cudem? – wieczorowe studia. Zacząć nic nie znaczy, skończyć to dopiero sztuka. Gdyby był nadal jej mężem, wiadomo. Pomogłaby. Snuje długie opowieści o tym, jak mu pomogła. Jak się nim zajęła. Jak był nikiem, najchętniej potem... Wiecie, kim został. Na tyle go stać. Pójść pracować w bezpieczeństwie. Mieć na wszystko, na dziwki, na wódkę. Ja z dzieckiem muszę liczyć każdą złotówkę.

– Ten ch... – Marysia używa przy Magdzie tego słowa. Nie przy Tomku, przynajmniej Anna nic o tym nie wie. Magda nie powie ciotce. Ciotka by jej zabrała Tomka. A nie liczy na braciszka. Ojciec nie ma niczego podobnego do rodziny. Jakieś panie, tak, chyba. Magda nie mówi do nich „ciociu”, mówi „proszę pani”, w razie spotkania z okazji rzadkich wizyt w mieszkaniu ojca. Ojciec woli spotykać się z nią gdzieś w mieście. Milej. Poza tym najbardziej lubi spełniać prośby, podejmować się specjalnych zadań. Ojciec od kawiarni, cyrku, załatwiania. Ojciec przepisujący małego Tomka blisko cioci i dla Magdusi, do szkoły, którą wybrał, nie przejmując się rejonizacją podstawówek.

Dzieci najchętniej bawią się w mieszkaniu. Nie lubią wychodzić. Tyle, ile trzeba, w drodze na lekcje, jej muzykę, jego angielski i drużynę zuchową. Krótkie spacer. Najprzyjemniej w domu, nawet jeśli matka zalega w sąsiednim pokoju. Nie przeszkadza im w nauce, czytaniu, zabawie. Po Tomeczka najpierw ciocia zachodzi w drodze z pracy. Potem Magda odprowadza go pod dom, przed siódmą wieczorem. Dwa przystanki autobusem, mały spacer. Niechętnie wypuszcza spocone paluszki z jej dłoni.

Stopniowo dostawała nowe płyty. Coraz więcej muzyki poważnej. Profesor pytał, czego słucha. W kółko, od nowa Budki Suflera, pierwszego albumu. Tego profesorowi nie mówi, nie jest pewna, czy zna tę muzykę, czy pochwaliby jej wybór, czy czegokolwiek poza Chopinem, Brahmssem, Mozartem słucha, uwięziony ostatecznie na drugim piętrze starej kamienicy, schowanej za frontowymi murami tak skutecznie, że bez uszczerbku przetrwała wojnę i teraz niszczy w podwójnym tempie, niezauważana przez administrację planującą remonty tam, gdzie są konieczne.

Czy śpiewy o pokonywaniu góry przyjałyby ze zrozumieniem?

– Zabrałaś mnie w góry? – pytał Tomeczek.

– Tak, oczywiście, ale to ty mnie zabierzesz – odpowiadała – jesteś mężczyzną, dorośniesz, będziesz silniejszy ode mnie – na razie ona jest silniejsza, lecz wszystko może się zmienić. Na razie ona wynosi z ognia swój przydział, tłumoczek z dzieckiem, bo w pewnym sensie mamy do czynienia z powtórką historii, której doznała, leżąca teraz pod kapą, Marysia. Tomuś zdobywa sprawności w zuchach, w pewnym sensie idąc śladami ojców – własnego, z dzieciństwem utopionym w mrokach międzywojnia, oraz Marysi, z dzieciństwem i kontynuacją wiadomą. Zdobywa sprawności. Niedługo nie będzie chciał spędzać tyle czasu z przyszywaną kuzynką.

Trzymają się za rękę, wchodzi do baru, do cioci Uli. Ula od razu ich przygarnia, przynosi smakołyki. Ciastka tortowe, nowość w barze, popularna w dobie kartek na cukier, utrudniających domowe wypiekanie ciasta. Trochę kręci głową nad nimi. Kto widział, zostawić dzieci same sobie? Tak chciały być, obie, matkami. Ona nigdy nie miała podobnych marzeń, a teraz ma ochotę zbesztać je za brak czasu dla dzieci.

– Czego chcesz? – nie rozumie Marysia. – Co jest złego w tym, że nasze dzieci trzymają się razem? Nie mają rodzeństwa, nie będą mieć rodzeństwa. To dobry układ. Anna kupuje więcej jedzenia, daje te rzeczy, których nam brakuje. Magda nie zaprasza obcych dzieci, nie łązi po podwórkach. Zobacz, jak oni do siebie pasują.

Co prawda, to prawda. Jak rodzeństwo. Podkręcają głos w adapterze. Magda uczy Tomka, że trzeba marzyć. Odpowiednio do wieku rozegzaltowana. Trzeba marzyć. O wysokich górach. Tomek postanawia zostać kimś takim. Kto zdobywa najwyższe szczyty. Tak, tego spodziewają się po chłopcu wszyscy. Mama, tata, teraz i Magda. I pan, zawodzący pod igłą adapteru „Bambino”, nieco niemęskim głosem.

SZNURECZKI

W tym czasie sytuację dokładnie można oszacować, każde z nich może. Mają do tego instrumenty. Skończone kursy, długoletnią praktykę zawodową, wyższe studia, sukcesy, upadki, plany, podróże. Z węzełków, rysujących się niewyraźnie na wstępie, robionych bez wprawy, z nadzieją zastępującą sztukę życia, zostają troczki, puszczone luźno wzdłuż ciała, jakim stali się, stawali, żyjąc w Szczecinie. Są teraz sznureczkami, niekiedy powtarzają trajektorie związków, na co dzień raczej tkwią w poluzowanych wcieleniach. Jak większość ludzi, jak sąsiedzi, mieszkający od lat lub od niedawna przy tej samej – starej lub nowej – ulicy. Jak każdy, komu przyglądamy się z oddalenia, bez głębszej wiedzy o całości, w chwilowych przybliżeniach, z grubsza. Cofając wzrok przed wszystkim, co przebija powłokę i zaczyna przypominać życie.

Nie ma ich winy w tym, że nie stworzyli rodzin idealnych. Anna obchodzi na palcach kanapę z pochrupującym mężem. Ula nie dostaje listów. Marysia przesypia każdą wolną chwilę. Janek przestał mieć wątpliwości, nie pozwala się wprowadzić kolejnej kobiecie do urządnego bez gustu mieszkania, rozrzucić po nim zarodków niechęci. Gdyby się sprężyli, naprężyli te luźne sznurki. Gdyby patrzeć na nich pod innym kątem. Dobrze by im poszło, gdyby się postarali, albo gdyby użyć w opisie różowych okularów.

Tak to tak. Mieli zamiar być szczęśliwi.

Zalążek klęski powstał po drodze, w przedhistoriach, w ich dochodzeniu do miasta, w którym żyją. W bagażu nieszczęścia, w utracie, na jakiej mieli budować. Nie dali rady, zagadany czymś innym smutek podszedł im pod gardło. Szmaty, graciarnia, odpadki wypęły spod łóżek. Powiewy wiatru, muśnięcia herbacianej pary, słodycz ciastek ulotniły się, nie zostawiając dość wyraźnego śladu.

Nie byłoby w tym niczego interesującego, gdyby nie fakt, że smutek wraz z kłamstwami na jego temat dostały w dziedzictwie dzieci. Przetoczony w ich krwiobieg, zamaskowany legendami o pięknie ziemi utraconej i pięknie zdobywania nowej, zatruwa kolejne pokolenie. Pocieszenia nie nazywane pocieszeniami są znieczuleniem dawkowanym przez wampira. Czym jest szary smutek?

OBIAD W BARZE, 1978

Marysia zachodzi do „Bambino” pierwszego dnia nowej szkoły Magdusi. Poczekaj na nią przy stoliku, przestawionym bliżej okna, tego samego, przy którym siedziała, jedząc pierwszy raz z Jankiem. Janek też tu ma zajrzeć, wyskoczyć z pracy, co nie sprawia mu trudności. Sam sobie jest, w takich sprawach, szefem. Nie musi się opowiadać. Skontaktował się z nią, składając taką propozycję. Żeby towarzyszyć córce na jej nowej drodze. Marysi drżą dłonie, nosi ciemne okulary, chciałyby właśnie dziś dobrze wyglądać. Rano starała się coś zrobić z twarzą, zamazać. Nie, w końcu wyszła jak zwykle, bez makijażu. Nie wytrzymała patrzenia z bliska w lustro.

Dla Uli chwila szczególna. Dziecko poszło do szkoły jej profesora, jej Stefana. Milczącego od długiego czasu. Szkoły, którą sama mija codziennie, chyba od samego urodzenia, nie pamiętając już na co dzień, co w niej było. Wracają wspomnienia, niebolesne. Wyleczona rana? Po tylu latach nie ma nawet blizny, coś jak zapach jesiennego sadu, zachód słońca, smużka ciepła.

Anna też zajrzy do baru: – Mój Boże – wzywa nadaremno – nie lepiej umówić się u kogoś w domu? Przygotować poczęstunek? Świątecznie? – Pamięta te pierwsze wrześnie ze swoich lat w barze. Patrzyły przez szybę, wychodziły przed lokal, żeby szacować, omówić sposoby przewycięzania szkolnej mody przez dziewczyny. Te fryzury, spinki, dodatki, odwracające uwagę od granatu i bieli. No już dobrze, dołożyć starań, nawet weźmie od południa wolne, przyjdzie z Tomkiem. Niech Magda przeciera szlaki, może Tomka do tego samego liceum zapiszą? Znow będą spędzać razem więcej czasu, zwalniając matki z obowiązku czujnego doglądania pociech. Nastolatki muszą same wiedzieć, co dla nich dobre, wystarczy wyznaczyć zasady.

Bar podupał, niestety. Nie da się wywietrzyć zapachu kapusty. Ma przed sobą jeszcze dziesięć lat, zanim będzie tu coś zupełnie innego, ale jedzenie w nim nie jest przyjemnością. Blade twarze kobiet zlewają się z kolorem ścian. Ludzie jedzą, patrząc w talerze. Dość tłoczno. Dość biednie. Dość nudno. Dość nieapetycznie. Dość, jak na to, co czeka takie miejsca wkrótce. Ostatni paroksyzm, chwila przed zamknięciem, wezmą się w kupę, zagotują pod kotłami, żeby nakarmić ludzi wydzierających uważnie z bloczka kartki na racjonowane tłuszcze, mięsa, węglowodany. Tu kartki nie zawitają w zasadzie nigdy, więc bar ma przed sobą wzlot przed zamknięciem na zawsze. Wzlot zapchajbrzucha.

Szkoła napełnia Magdę słusznym lękiem. Ponura, szara, gromadząca nad głowami uczniów chmurne spojrzenia nauczycieli, nad których głowami unoszą się chmurne spojrzenia kuratorów, którzy z kolei mają nad sobą chmurę systemu. Każdy z osobna, załóżmy, chce dobrze. Magda chce jak najlepiej wywiązać się z roli uczennicy, żeby odwrócić od siebie spojrzenia. Odebrać nauczycielom prawo do wywoływania po nazwisku. Do stawiania stopni. Sporządzania wykresów osiągnięć uczniów. Rankingów szkół, klas, uczniów w klasach. Klasyfikowania wszystkiego i wszystkich, bez pytania, czy uczennica Magda, na przykład, ma ochotę występować w tabeli pokazującej odległość, o jaką jest gorsza od pozostałych uczennic w skoku w dal, w rozwiązywaniu zadań z fizyki, w wypożyczaniu książek, w uczęszczaniu na kółka, w podlizywaniu się nauczycielom. Magda wieczorami zaczyna myśleć, że mogłaby się tym autorom i bohaterom statystyk nieźle przysłużyć, gdyby poprosiła o co nieco ojca, którego poza tym raczej nie prosi o nic. Wszystko to przed nimi. Teraz mamy pierwszy dzień w szkole, Magda nie wie, jak bardzo nie lubi tej nowej szkoły, zwłaszcza gabinetu do nauczania przedmiotów ścisłych (z wyłączeniem matematyki, z powodu przystojnej pani profesor, którą odwrotnie, bardzo nawet polubi), zmierza w kierunku przejścia dla pieszych, jednego z dwóch na tej drodze pomiędzy szkołą a barem, początkiem

romansu rodziców, początkiem paru innych romansów, które ostygły – nikt nie dokładał do tego, metafora stosowna w barze, pieca. Do tego gara stojącego na nowoczesnej maszynie gazowej, następczyni pieca.

Marysia od jakiegoś czasu nosi okulary. Chowa oczy za przyciemnionymi szklami Zeissa, kupionymi w Pasewalk przy pomocy Uli. Tego samego dnia buty i kurtka dla Magdy. Jadą ubrane w zakupy. Tak się robi. Wozi zakupy, często sztucznie pogniecione, na sobie. W tych okularach, w ogóle, wygląda starzej, niż wskazywałaby metryka. Wygląda jakby zrezygnowała. Nie ma w sobie nerwowości i gotowości samotnych matek, chociaż jak one kocha córkę nad życie. Ponieważ jednak nie uświadamia sobie tego zbyt wyraźnie, często nastrojona na pokonywanie kaca, nie daje córce w kość bezustannym wydawaniem poleceń, nie oskarża jej i nie prostuje, nie wywala jej ubrań z szafek, żeby nauczyła się porządku, nie wymyśla zadań na niedzielne poranki. Marysia jest sama dla Magdy zadaniem, poważnym, z każdym rokiem, wraz z dojrzewaniem Magdy do tego, potężniejącym niczym kamień, do którego podźwignięcia potrzeba nie lada dźwigni. Takiej, jaką miewają w rękach dziewczęta.

Magda kocha Marysię bezgranicznie, więc nie wie, że mogłaby nie być dla niej dźwignią, mogłaby zrezygnować z nadawania matce kształtu, wypychania jej poza dom, do pracy, porządkowania twarzy, udawania życia. Marysia kocha Magdę bezgranicznie, więc nie wie, że marnuje jej życie, że wyposaża ją w zestaw lęków, powtarza na jej użytek drogę, którą obie dziedziczą. Drogę niepokoju, na zawsze zasłaniającego żywe kolory oczom, aż trzeba zamawiać zagraniczne szkła do okularów. Magda nie ma z kim o tym rozmawiać. Marysia nie chce z kimkolwiek o tym rozmawiać. Poza rodziną, która umarła lub odsunęła się zupełnie; mężem, z którym wszystko jest było, ma przyjaciółki. Córka, naturalnie, zwycięża w plebiscycie na bliskość dostarczającą codziennej dawki bólu. Przyjaciółki cmokają, kręcą głowami, gestykują, wygładzają na niej sukienkę, dolewają herbaty, zabierają na spacer. Marysia nie lubi chodzić nigdzie, tylko tam, gdzie musi. Z siatką z żyłki, do spożywczego i warzywniaka. Kupić coś, ugotować córce. Zapala się do tego czasem. Odsypia dyżur, wstaje, próbuje przygotować córce ciepły obiad (sama niewiele je), czekać na jej przyjście ze szkoły. Nie kupować wina, nie szukać butelki zostawianej na wszelki wypadek w spiżarni. Dopilnować zupy, wstawić na czas ziemniaki. Raz odwrotnie niż zwykle, niż niczego nie ustalając, ustaliły. Ona jest matką, nie Magda, ona, Marysia. Lecz potem szybko, jak najszybciej, sprzątnąć talerze i dokądś tę dorosłą trzynastolatkę odprawić. Na lekcje muzyki, do pokoju z Tomkiem, do odrabiania zadań, tę czternastolatkę można wysłać po dziecko przyjaciółki do kościoła, chociaż się ociąga, nie rozumie, o co idzie z religią, Tomuś wymógł na rodzicach salkę katechetyczną, trzeba go odbierać (kto? Magda odbiera), więc ma co robić i niech nie patrzy takim wzrokiem, ma też ojca. Mówienie i ruchy dłoni przyspieszają na tej taśmie, jakby wcześniej wszystko było na wstrzymanym oddechu, zakupy, gotowanie, rozmowa, czekanie na dziecko. Piętnastoletnia Magda zajmuje się sobą, bo matka musi już, już wreszcie rozluźnić twarz, uspokoić ręce, napić się, żeby zdążyć odespać, wytrzeźwieć przed pobudką do pracy. Ktoś musi pracować.

Magda wobec tego nie lubi gotowania matki, boi się, że za każdy kęs, łyk, łyżkę z osobna, bardzo słono, zapłaci. Woli przygotować matce jedzenie i patrzeć na nią przeciągle, mocno – tak, żeby zjadła, żeby chociaż nie na pusty żołądek wlewała w siebie to, co i tak wieje, kiedy tylko córka da jej wreszcie spokój, przestanie skupiać na niej uwagę, odpuści bycie tym cholernym kapo.

– Wdałaś się, mówię ci, wdałaś się w ojca! W mojej rodzinie nie było szpiegów, podglądania ludzi. Masz to po ojcu. Może i dobrze? Takim w życiu łatwiej – krzyczy do córki odbierającej jej już trzecią z tym tygodniu butelkę wódki. Której zawartość nie zostanie wylana do zlewu. Magda boi się wylać, raczej chowa. Dyslokacja butelek, gra tymczasem w ciuciubabkę.

Tymczasem o wdawaniu się w ojca trudno coś konkretnego powiedzieć. Za rzadko się widać. Z niczyjej winy zresztą. Nikt ojcu kontaktów z córką nie zabrania. Janek ma mało czasu. Znow awansował. W cywilu tego nie widać, może poźółkłe od nikotyny zęby wskazują na intensywność zadań, może deficytowe wełny i tweedy, z których uszyte są jego garnitury? Janek wygląda na swój wiek, czyli dobrze. Jest w korzystnym dla mężczyzny wieku. Zmienia przyjaciółki, nadal mieszka w M-3 na Pomorzanach, nie ma samochodu. Wożą go służbowym fiatem, nie miałby na własne auto ochoty. Po co? Nie ma czasu za dużo myśleć o stanie posiadania, materialnym i rodzinnym. Jest dobrym pracownikiem, naprawdę bardzo dobrym. Ma porządek w dziale, kieruje sprawnie ludźmi. Podczas cotygodniowej odprawy twórczo kójarzy fakty. Czuwa nad miastem, które przyjęło go tak gościnnie. Właśnie. Bez reszty poświęca się pracy, pilnowaniu tego miasta, które niewiele wie o tym, co trzeba dla niego robić, ile wysiłku wymaga udrażnianie przepływów, przepychanie tej miejskiej kanalizacji złożonej z ludzkiej biomasy, mającej bezustannie ochotę na więcej, więcej, nie wiadomo czego. W tych latach sklepów z importowanymi towarami, przedświątecznych zaopatrywań delikatesów, niezłych pensji, budowy dróg, stadionów, cholernych sal widowiskowych, w tym czasie wyjazdów do NRD na dowód osobisty, czego chcą ci rozpuszczeni ludzie?

Janek w głębi duszy wie, czego. Jednak nie może popuścić, musi trzymać azymut. Poszedł do pracy, do tej pracy, dla rodziny, właśnie. Nie wie, kiedy, dlaczego, po co je stracił, rodzinę, te dwie kobiety, na które czeka w barze, rozpoznawalne nawet, gdy zamyka oczy, tak ma je głęboko w sobie. Jednak nigdy, nigdy ich nie odzyska. Nawet córki. Stara się być pomocny, dodawać tyle do jej życia, ile jest w stanie oddalony, wytarty z codzienności, jak nieprawomyślny napis na murze, ojciec, jedyny były kochanek i mąż trudnej matki. Jedynej kobiety, która była warta wszystkiego, jedynej tancerki z jego życiowego dansingu, jedynej, której opowiedział dzieciństwo. Jedynej, któremu nie wstydziła się wyznać, że polskie litery wydają dźwięk jak stłuczone szkło, po którym przejeżdżasz kołem jakiegoś ciężkiego pojazdu.

Ula tego wszystkiego nie chce tak zostawić. Wygląda lepiej od nich obojga, młodziej. Chciałoby się udzielić jej tej samej rady, którą szafuje, mówiąc do nich lub o nich: – Nie powinniście rezygnować z życia. – Ula wie, co to znaczy. Codziennie rano, od ponad trzydziestu lat, przygotowuje się w swoim pokoju do stawiania czoła życiu. Dosłownie, czoła. Zaczesała na nie włosy, przyciętą modnie grzywkę, dotyka pędzelkiem powiek, nadyma usta pokrywane szminką. Opuszcza zamknięty szczelnie azyl pokoju, w którym przechowuje nieżyjącą matkę i przebranego w kompletną obcość ojca; utraconych, co prawda nie do końca, lecz dość mocno braci, z których jeden żyje; jakieś majaki dzieciństwa, rozkurzonego do imentu, poza materialnym dowodem, śmiesznymi, przedwojennymi narzędziami stomatologicznymi, jeśli możemy wyobrazić sobie zabawę za ich pomocą i cel, w jakim je, okutane szmatką, chowa. I Stefana, rozwiewającego się już ostatecznie w parze z lokomotywą, która wyciągnęła go od niej, z tego mieszkania, zaciągnęła w miejsca, których ona ma prawo nie chcieć poznać. Bo nie lubi żadnych nowych przestrzeni. Bo gdyby pojechała za kimś – za ojcem, bratem, Stefanem – wszystko, całe życie, byłoby przystankiem przed taką decyzją.

Ula nie mogłaby znieść myśli, że żyła na przystanku. Wtedy, kiedy czekała na matkę zamkniętą w czymś, co nie było lagrem, w czymś co, owszem, było poniemieckim szpitalem. Wtedy, kiedy się nie doczekała. Wtedy, kiedy została jednak w mieście, żeby w końcu być panią Urszulą.

Anna miałaby ochotę udzielić im wszystkim rady, jednej z tych, których nie skąpiła jej samej mamusia. Anna od dawna ma już dosyć ich nieuporządkowania. Nieuporządkowanie. Nowe słowo, ewangeliczne. Katechetyczne. W każdym razie związane z kościołem, do którego chodzi, także po to, żeby mniej czasu spędzać w swoim wymarzonej domu, gdzie po pracy zastaje teraz męża, kapitana na emeryturze, zawadzającego, niestety, dość mocno. Anna

nie mówi o tym nikomu, ale wolałaby pozostawać żoną bez konieczności przebywania z mężem, postarzałym gwałtownie na tej emeryturze. Żeby nie słuchać jego pochrapywania, nie potykać się o jego kaptcie, odwiedza popołudniami liczne szczecińskie świątynie. Niezłe rozmawia się z Panem Bogiem, jak z mamusią. Jeszcze nie zapytasz, już odpowiada. Ze skomplikowanych fraz, którymi zwraca się za pośrednictwem kapłanów różnych szczebli do swojego ludu, wynika, że najbardziej na świecie nie podoba mu się nieuporządkowanie, w każdej zgoła sprawie. Ma rację. Anna zawsze była tego zdania, choć nie mogła za często aprobaty zanosić Bogu przed ołtarz. Prawdę mówiąc, dopiero od niedawna tak gorliwie odmawia różańce, przekonana, że nie ma to negatywnego wpływu na życie jako takie, zawodowe i rodzinne. Dyskretnie, tylko dyskretnie, zaraz po zebraniu POP, do katedry.

Tomuś wymógł na niej swoje uczęszczanie na religię. Była zdania, że dziecku nie ma po co komplikować życia. Dziecko powinno orientować się na to, co konieczne, pożyteczne, niezbędne, co daje zabezpieczenie. Mąż był tego samego zdania. Nie przyznała mu się, ile czasu sama spędza w kościołach, zmienianych nie tyle ze względu na różny styl wygłaszania kazań, czy też na walory architektoniczne, ile ze względów, jednak, bezpieczeństwa. Tak było lepiej, nie była niczyją parafianką, nikt nie mógł twierdzić, że widuje ją oddaną wstecznemu kultowi, co nadal stało w jawnej sprzeczności z logiką partii, której członkiem, dość wiernym, była. Tak myślała, prawdę zaś mówiąc, ani partii, ani nikogo te sprawy nie obchodziły. Adam zaś takich fanaberii by nie zrozumiał. Tym bardziej że sam, w mrokach swojej własnej młodości (czy w rozbłyskach, bo nie był to czas w jego ocenie aż tak, jak się mawia, specjalnie mroczny, ale dlaczego – cicho sza – nigdy nikomu nie mówił, rozmyślał o tym sporo za to na emeryturze, uśmiechnięty do wewnątrz) uczęszczał przez pewien czas do cerkwi, eksplorując w ten sposób, skoro nie miał wcześniej takiej okazji – z racji galicyjskiego od wieków miejsca osiedlenia rodziny – wschodnią kulturę. Do cerkwi, która trzymała się resztkami na syberyjskim posieleniu chyba dlatego, że nikt jakoś nie miał ochoty nawet jej zamykać i zamieniać, jak należało, na magazyny, tak to było piekielnie dawno i bez znaczenia. W każdym razie religia katolicka nie miała dla Adama żadnego smaku, cerkwi natomiast w Szczecinie nie było. Dewocyjnych zapędów u żony nawet się nie spodziewał, nie miała do takich zajęć wieku ani innych przesłanek, nie była ani ciemna, ani biedna. Do wychowywania syna natomiast nie wnosił zastrzeżeń, nie widząc, co prawda, sensu w żadnym tam Kościele – niejedno widział i niejednych wierzeń dotykał, przekonując się, że w końcu trzeba mieć fach i o wszystkim decyduje ekonomia – jednak skoro taka nastąpiła moda, żeby wachać kadzidło zamiast, dajmy na to, glebę podczas wykonywanego z należytym zaangażowaniem czynu społecznego, polegającego na sadzeniu wokół domu drzewek, co sam podczas urlopów robił – proszę bardzo, on się nie będzie mieszał. Jego tu nie było, chociaż był i jest ojcem. Adam pochrapuje, siedząc przed telewizorem.

Tomuś wyczuł w Kościele potencjał, z którego wolał się nie zwierzać nawet Marysi. Chodziło o to, że Ukrzyżowany dawał się wykorzystać przeciw matce. Matka traciła pewność siebie. Wydawałoby się, że Tomek nie musi z matką toczyć żadnej wojny o wpływy. Dała mu prawie spokój. Poza tym, że przy wspólnych posiłkach nie obywało się bez strofowania w sprawie wyprostowanej i ogólnozyciowej postawy, a pieniądze były dawkiwane jak krople wody na pustyni, żeby się nie rozpuścił, matka dała mu spokój. Zadowolona z postępów w nauce i zaangażowania pozalekcyjnego, z wkładu w nietatwe zadanie odkurzania dywanów (nigdy dość odkurzania!), w otwieranie dochodzącym paniom i zamykanie drzwi za nimi, w grzeczne odpowiadanie na pytania, Anna nie wymagała niczego specjalnego od syna. Skierowała całą życiową energię na utrzymanie odpowiednio prostej postawy, na dość absorbujące bycie kapitanową, żoną emerytowanego kapitana, z którym zaznała zaledwie kilku miesięcy namiętności, godząc się następnie na całą resztę nudnego, porządnego żyda, za co tenże ekskapitan dał jej zabezpieczenie i poziom odpowiedni dla kobiety z wyższym

wykształceniem i szacunkiem do siebie. Syn był pieczęcią jej kobiecego dostojęstwa, więc rzadko je nadużywała.

Mimo wszystko Tomasz czuł, że musi zawalczyć o niepodległość. Częściowo miał ją dzięki przybranemu kuzynostwu z Magdą. Felerem był udział w tym ich spokrewnieniu matki, obu matek. Poza tym Magda dojrzała zbyt szybko, coraz więcej milczała, coraz dłużej skupiała się na swoich zeszytach. Tomek chciał czegoś na wyłączność. Zauważył, że nigdzie nie jest tak daleko od poleceń matki jak w sali katechetycznej. Nigdzie tak nie wywraca na nice zasad głoszonych przez matkę jak podczas mszy porannej. Bo matka mówiła o powinności, ale nie o prawdzie. O zasadach, ale nie o miłości. O zobowiązaniach, ale nie o wybaczeniu. Być może ta druzgocąca różnica między katechizmem domowym a katechizmem Kościoła katolickiego nie uderzyłaby z taką siłą w chłopca, gdyby nie zauważył Anny wychodzącej z katedry, gdyby jej – Gdzie była? – nie zapytał i gdyby nie otrzymał kłamliwego zapewnienia, że z wizytą u cioci Uli. Ciocia Ula, na pewno, nie przyjmowała wizyt w kruchcie, ciocia kościół właśnie kruchtą nazywała, więc to było kłamstwo, w dodatku powtórzone kilkakrotnie. Chłopiec pewnego razu wszedł do katedry za matką, żeby przekonać się, co tam robi, i dobrze widział, że nie podnosi się z klęczek, aż ksiądz coś o pójściu do domu, na zakończenie, powiedział. Anna szła szybko, nie patrząc na boki, a na pytanie – Gdzie mama dziś była? – znów skłamała, tym razem, że dłużej w pracy.

Pomyślał, że przebije ją jawnym tam, gdzie ona ma skryte. Postanowił unieważnić jej tajemnicę. Potem go wciągnęło, ksiądz grał na gitarze, urządzał wesołe zabawy. Więcej pochwał niż w szkole. Uratowana dusza, rodzice nigdy księdza w domu nie przyjmowali.

Siadają przy dwóch złączonych stolikach, ale jedzą coś, co Ula przygotowała w domu. Ciasto i lody zamówiła wcześniej w „Pomorzance”. Mała ucztą, wypełnione usta usprawiedliwiają milczenie. Coraz trudniej rozmawiać, zwłaszcza przy najukochańszych, przy pociechach. Tak się często nazywa dzieci, a przecież nie jest pewne, kto kogo i jak pociesza. Co, dla kogo, ile znaczy to zobowiązanie nazywane radością z dzieci. I ile dzieci z tego dostają dla siebie.

SAMOTNY ŁOWCA, 1979

Wykręca kartkę z maszyny, dopina do leżących na biurku, domyka akta, wkłada do segregatora, odstawia do pancерnej kasy stojącej w rogu pokoju pomalowanego na brudnożółto, wraca na miejsce. Nie ma kogo wezwać w tej sprawie, chociaż pewnie trzeba podjąć kroki, tak się w takim przypadku mawia, więc i on musi tak formułować, wewnątrz – pokoju i siebie – przelewające się przez świadomość myśli. Coś się dzieje, jak zawsze, jakiś ferment, zawracanie głowy, rutynowe obowiązki, zacierające pytania o zasadność wyboru, wszystkich wyborów, o coś, co by mógł nazwać wątpliwościami. Znudzenie, mechaniczny charakter czynności, brak ekscytacji. Na kolejnych etapach, raz na parę lat – niewielki awans. W perspektywie może wyjazd stąd, z miasta, które obdarzył na początku taką dawką nadziei? Nie zabiega o wyjazd, jednak taka decyzja może mu się przydarzyć, jeśli zaproponują... Co tu zostawi? Ucieknie? Odwróci kartkę?

Teraz myśli o podgrzanej sytuacji, o jakichś kolejnych tak zwanych niepokojach. Za długo był spokój? Jeszcze ten polski papież, mobilizacja w całym kraju, nagle wszyscy gromadzą się w kościołach, trzeba skupić się na działalności salek katechetycznych – dobrze, że ta działka nie należy do niego. W końcu zawsze to uładzą, dadzą podwyżki, wstrzymają podwyżki, ogłoszą amnestię, rzucają do handlu. Kołowrotek nudy. Żadnych ekscytujących zdarzeń, nieodwracalnych. Przynajmniej w jego akurat dziale tak się składa, że małe knucie może zamknąć bezpiecznie w swojej szafie, nie wykazując się większymi sukcesami, ale nie biorąc też niczego poważnego na swoje sumienie. Dobra, to co ma, może poczekać do poniedziałkowej odprawy, niech zdecyduje naczałstwo, czy trzeba wzmocnić aktywność, bo jednak coś się po zakładach niewątpliwie znów zaczyna. Jakies przebąkiwanie o jakichś tam robotniczych związkach. Inspirowane, oczywista, przez tych popaprańców z KOR-u. Okazuje się, że bolesne dla niego swego czasu decyzje, wydalanie z Polski obcego elementu, nie były od rzeczy. Janek myśli frazami z wewnętrznych biuletynów, z zarządzeń, ustnych dyrektyw. Trzeba tę pokrywkę na czas przydusić, żeby czasem nie wykopiało, potem, z ulic, trudniej zbierać. Dla dobra ludzi, trzeba prewencji, przeciwdziałania. Naiwność ludzka nie zna granic. Wydaje im się, tym różnym samozwańczym inteligentom, że mają wpływ na bieg zdarzeń, że mogą coś przyspieszyć albo powstrzymać. Nie, nie mają. W gruncie rzeczy daje im się to, co można, czego granice są jasne. Lud tego, tych obecnych zawsze granic, ich siły, nie docenia.

– Szczególnie nie docenia tych, które mamy w Układzie Warszawskim – mawiał Heniek, zanim awansował i pojechał na placówkę. Otóż to, trzeba wiedzieć, w jakich realiach, na jakim świecie się żyje.

Jan, pan Jan, dla nikogo już nie Janek. U progu czterdziestki. Wkracza w ten wiek, który wydawał się starością w chwili, gdy opuszczał małą, wielkopolską wioskę, bo nie miał tam, między murowanym domem, drewnianą stodołą, dobrze utrzymanym sadem, przymą nawozu, która niegdyś zbliżyła się niebezpiecznie do zakopanej w ziemi pamiątki po wojnie; między wiejską szkołą a małomiasteczkowym urzędem, gdzie załatwiano sprawy niezbędne; między kościołem a cmentarzem – nie miał czego się spodziewać, czego szukać. Rekonstrukcja zdarzeń polega na szukaniu wyjaśnień tam, gdzie ich pierwotnie nie było. Wyjechał jak wielu. Przyjechał jak wielu. Układał, jak wielu, klocki życia.

Jest jakoś smutne, jakoś bolesne, że nikt nie mówi do niego, Janku. Kiedy czasem, nad pierwszym – drugim danego dnia kieliszkiem myśli o tym, zaczyna żałować. Rozwiedli się jednak dość łatwo, dość szybko, tyle par żyje, kleci los, ciągnie dzień po dniu. W małżeństwie bywa różnie. Janku, po babci, najładniej mówiła do niego ona, Marysia. W ustach innych kobiet to nie smakowało. Nic mu w ustach innych kobiet nie smakowało jak w jej. Ani słowa, ani pocałunki, ani oddech.

Te, do których dość się zbliżył później, z którymi bywał trzeźwy, budził się i zasypiał nie okazjonalnie, przypadkowo, po balandze, lecz na rozciągniętą do całych tygodni lub aż miesięcy chwilę, znały go jako mężczyznę w szarym garniturze, z lekko rysującym się pod jednokolorową koszulą brzuszkiem, z przerzedzonymi wcześniej na czole i skroniach włosami. Znały kogoś, kto bez problemu płacił rachunki, załatwiał drobne przysługi niedostępne szarej masie ludzkiej. Ten gatunek kobiet, budzących się rano na jego ramieniu, liczył na to, na przywileje. Drugi, koleżanki z pracy, urzędniczki o podpuchniętych oczach, szybko przemierzające długie korytarze na czółenkach marki Syrena; ten drugi, siostrzany, a właściwie braterski gatunek kobiet nie liczył na wiele – miały same to, co mogła ludziom ich pokroju dawkować ludowa ojczyzna. Odrobinę wyższe pensje, częstsze wyjazdy na Zachód, trochę dewiz, znajomości w każdej branży, kupowanie na zapleczu sklepów, łaskawy rabat u kelnerów, którzy im akurat nie dopisywali do rachunków. Więc może one szukały w jego M-3 tego, czego tam właśnie nie miał, co zostawił wraz z żoną i córką w śródmiejskiej kamienicy, gdzie ich pierwsze meble, lodówka, pralka, a nawet jakieś wiszące w szafach ubrania używały się stopniowo, jednak niespiesznie, bo kobiety obchodziły się z nimi ostrożnie, nie mając najlepszej perspektywy na dokonywanie większych zakupów.

Tam brzmiały zdrobnienia, mniej zużywające z ładunków imion, nazwisk, numerów w dowodach osobistych, przydzielonego każdemu depozytu identyfikacyjnego, mającego wystarczyć na doczesne, a może i wieczne, życie. Kto wie, jak go zawołają w godzinie śmierci? No jak? O tym lubią rozmawiać podczas męskich spotkań, przy wódce, drwiąc w ten sposób z wszelkich metafizycznych lęków. Przeciw temu wycelowaliby chętnie broń służbową, gdyby prawdziwe były opowieści o nocnych balangach, podczas których celowali w sufit z noszonych zawsze przy sobie pistoletów. W każdym razie on, Jan, pistoletu nie miał. Przeszkolenie przeszedł, pozwolenie dostał, broń wydawano mu wówczas, gdy następowała mobilizacja. Wiele wskazywało na to, że być może teraz znów ją dostanie. Będzie trzeba odbyć zajęcia na strzelnicy, odświeżyć pamięć w dłoni.

Tam, w trzypiętrowej kamienicy bywał Jankiem. Tam, na trasie zakłady-żłobek-park-bar-wypad na turzynieckie łąki, bywał Jankiem, chłopcem pasowanym na mężczyznę. Tam, gdzie miał dziecko, gdzie brał na siebie nowe obowiązki, gdzie został mężczyzną – miał przydział na zdrobnienia. A kiedy – ma poczucie krzywdy – spróbował mężczyzną zostać naprawdę, podjąć jedyną słuszną decyzję, zapracować na więcej, wszystko się zepsuło. Rozpamiętuje przeszłość w taki właśnie sposób. Taki spleta węzełek: żona nie doceniła jego decyzji. W ten sposób, tak myśląc o utraconej Marysi, chce przenieść grę wątpliwości, toczącą się w nim samym, gdy siedzi samotnie w urządzonym bez gustu pokoju (przywiezione wprost z fabryki w Goleniowie, na wysoki połysk, meble), na teren, gdzie rozgrywa turniej małżeński oznaczający całe życie. Chce opowiedzieć sobie swoje wątpliwości tak, jakby ona pytała go o zasadność decyzji, jakby musiał (w przeszłości, którą wciąż czuje) zapłacić, słono zapłacić, za zostanie funkcjonariuszem niższego szczebla w państwie, które (już to wszyscy wiedzą i nawet się przyzwyczaili) nie przestaje gnębić obywateli. Tak sobie to prosto opowiada – zdrajca ludu, sprzedawczyk, urzędnik bezpieczeństwa porzucony przez czystą kobietę, którą dostał w depozyt, zanim sprzedał ostatecznie duszę diabłu. Myśli też, że na decyzjach zaważyła sprawa Stefana, że jednak nie zrobił wszystkiego, co należało w tej sprawie. Usprawiedliwia nicnierobienie, nie dość robienie swoją ówczesną, podrzędną pozycją. Niewiele mógł, poza tym, że miał wiedzę. Proponował lepsze rozwiązanie. Nie miał takich wpływów, ale... Być może, dałoby się dokumenty Stefana schować głębiej, podbarwić, wyretuszować. Teraz, dziesięć lat później, bez problemu by to zrobił. Nie wówczas, zbyt młody i niedoświadczony w urzędowym fachu, co miał zrobić? Stefan właściwie wyglądał na kogoś, komu dobrze robi decyzja podjęta bez jego udziału. Jakby czekał na konieczność. Myśli też, że jest w porządku, a los rozdaje razy na oślepa, los jest ślepym głupcem, okrutnikiem. Nie zasłużył, myśli, prawie płacząc nad pustą butelką, na te razy, na zamilknięcie kobiecych głosów, dogasnięcie muśnięć

kobięcych dłoni – bezinteresownie nazywających i dotykających, rozrzutnie, odruchowo, ze szczęścia. Nie tych, które może mieć w każdej chwili, lecz tych, które na zawsze stracił. Których nie zastąpi mu nic, nie będzie ponawiał próby. Przynajmniej nie teraz, nie póki rozumie, że nowa kobieta na stałe wymagałaby rezygnacji. Że córka nie pogłaszcze go po głowie podczas zabawy w śpiącego misia, na pewno nie Magdusia. Innej córki nie chce mieć, nie ma ochoty zakłócić sam sobie spokoju. Za bardzo stwardniał.

Prawdopodobnie nie ma racji w tych samotnych rojeniach. Kiedy roztrząsa swoje życie jako pasmo pokutne, chce wyznaczyć sam sobie karę, przerwać bezpieczną rutynę biurowych czynności, buchalterii prowadzącej do osobistych dramatów, drobnych wykluczeń, szykan, nawet śmierci (nie może udawać, że nie wie) – w tych nierzadkich chwilach autorefleksji ma nadzieję, że rozpad małżeństwa, pustka, są wystarczająco wysoką ceną. Płonne nadzieje. Przyjdzie mu jeszcze więcej zapłacić, kiedy nie będzie miał nawet tyle sił, ile ma teraz, w roku 1979, na chwilę przed ostateczną klęską, po której już na pewno nie będzie powrotu do bycia Jankiem.

Bo odejście Marysi – jego odejście od Marysi także – odeszli w tym samym momencie, symetrycznie, jak pływacy (może mistrzowie świata?) w figurach podwodnego tańca symultanicznego, zawodnicy z ZSRR, we wszystkim najlepsi, albo jak odbicia w gabinecie luster; ich odejścia miały inny początek, wcale nie we wstąpieniu do służby. Najgorsze jest to, czego na szczęście większość ludzi nie wie, że załóżki rozstań poczynają się wraz z załóżkami uczuć, w najlepszych chwilach, wypełnionych radością i niepewnością. Więc on ją porzuca wówczas, gdy siada przy jej stoliku, gdy czekają, aż deszcz przestanie padać, gdy kupują nieczytane potem tomiki poezji podczas Dni Książki i Prasy, zbierając podpisy goszczących z tej okazji w mieście lub lokalnych wielkości. Gdy tańczą w modnych strojach na dansingu, zagryzając kotлетem i zapijając oranżadą wódkę, gdy zamawiają dla niej i dla niego marynarki u pana Helmuta. Jest także inna wersja, mniej uogólnione i nie tak łzawe wyjaśnienie. Wyjaśnienie, powiedzmy, historyczne. Początek ich końca razem przywożą z sobą. Marysia swój bieg z dzieckiem do lasu. Janek swoje bycie bękartem. Te obrazy próbują zasłonić sobie nawzajem, ale świat podsuwa im niezły sposób na ich oddalenie, na wywołanie sztucznej mgły w oczach. Jedyne rozwiązanie. Dobrą zabawę. Więc kiedy się bawią... A może to także nie jest dość pojemne uogólnienie. Janek nie myśli o przeszłości jako o czasie bezrefleksyjnym, czasie brania tego, co dawało szczęście. Jak inaczej można żyć? Wszyscy, w każdych czasach tak robią. Żyją, po prostu. Czasem przekraczając cienką granicę i opuszczając towarzyszy broni.

Tak o tym niekiedy myśli, zwłaszcza po rozmowach z Ulą, sugerującą, że Marysia ma się źle, coraz gorzej. Że nie umie już zawrócić z tej drogi, na którą, chcąc nie chcąc, wstąpili razem, traktując taniec i alkohol jako terapię, jako odtrutkę na to, czego nie umieli ponazywać. Bo, na Boga, nie miało nazwy coś, co dotknęło tylu ludzi. Inni mieli do przewyciężenia cięższe bagaże. Matka Janka uciekła do innego życia. Rodzice Marysi przedwcześnie umarli. Nie wspominając o innych ludziach, zaplątanych w przyległych przestrzeniach, ukrytych w segregatorach Janka.

– Ona nie ma właściwie, poza Magdą i nami, nikogo – mówiła mu dziesiątki razy Ula, kiedy jadł u niej w barze, bez przekonania, bo dawno jadał lepsze rzeczy, niż mogła mu zaoferować. Bez przekonania nawet u niej w domu, w jej pokoju z pozasłanianymi oknami, z tym przytłumionym światłem, w którym wyglądała na młodszą od niego.

I nie na samotną, jeszcze bardziej niż on czy Marysia.

– Czemu ty właściwie nie jedziesz do swoich? – zapytał, pytał raz po raz, otwarcie. On jedyny. Tylko się uśmiechała.

– Po co? Do kogo? Ojciec ma się dobrze, brat wyjechał z rodziną do Australii, przez Berlin Zachodni – tak zdecydowali nagle, nic o tym nie wiedziała, normalne, przedtem też niczego o nich nie wiedziała. Przedostali się do ojca, a potem taka dziwna decyzja, tak daleko.

– Prawdę mówiąc, nie byłam z nimi specjalnie związana. Inne zajęcia, w dzieciństwie. Inaczej spędzona wojna. Wieloletnia przerwa – mówi mu to szczerze, może pierwszy raz wszystko tak dokładnie nazywa. Jak na przesłuchaniu. Jakby wiedziała, że to jego fach, że zbiera takie dane. – Stefan... Janku, nie rób sobie żadnych wyrzutów w związku ze Stefanem. Miałeś dobre intencje. Widocznie nie było nam pisane – chce dokończyć za niego rachunek sumienia, dodać mu w ten sposób odwagi, zapewnić, że ma w niej, że ma gdzieś w ogóle oparcie.

Zdrobniął formę własnego imienia. Sumienia, sumienia. Uli nie zależy na pozbawianiu Janka gruntu. Przeciwnie, chce go skłonić do podjęcia jakichś kroków. Bo o intencjach nie wie niczego pewnego. Ani o działaniach.

– Nie powinniśmy zostawiać Magdy z tym samej – mówi łagodnie, strzepując popiół do pełnej popielniczki. – Nie jesteś mężem, ale ojcem pozostajesz. Twoja córka opiekuje się na co dzień matką, która stanowczo za dużo pije – wypowiedziane, tą staranną polszczyzną Uli, znaczy trochę mniej niż wówczas, gdy tylko na to patrzą. Łagodniej. Za dużo. Pije. Mniej niż dźwiga Magdusia. Wynosząc matkę spod obstrzału niemal codziennie, biegnąc z nią do lasu, żeby mogła wstać rano, pójść na dyżur, być normalna. Dla innych, dla ludzi.

– Co twoim zdaniem mam zrobić? Ona mnie nie posłucha, już próbowałem, bo rozmawia ze mną od pewnego czasu, ale na takie coś, gdybym nawet załatwił dobre leczenie, bo można. Nawet sobie nie wyobrażam! Może ty byś mogła? – Janek przez chwilę wie i o tym, że sam na pewno za dużo pije. Jednak taka specyfika. I sobie poradzi. Jest mężczyzną.

Nic nie wynika z tej rozmowy, z następnej rozmowy, z żadnej rozmowy. Sam w swoim mieszkaniu, Janek dopija zalane wrzątkiem kawowe fusy, sączy je przez zęby, rozgryzą te, które wpuścił do ust razem z rozwodnionym naparem. Ziarnina w ustach smakuje życiem. Jałowa i pociągająca. Postanawia załatwić Magdzie, a może i Marysi (jeśli się zgodzi) na zimę kożuszek. Stanowczo, załatwić trzeba jak najszybciej, pójść do sklepu, wybrać. Zapowiada się kolejna sroga zima.

W HOTELOWYM POKOJU, 1980

Hotel „Staromiejski” nie jest lokalem, w którym ktokolwiek chciałby spędzić romantyczny weekend. Podobnie „Staromiejska” – Bar Kawiarnia Restauracja, miga na neonie niczym aluzja (iluzja?) do bycia czymś innym niż prowincjonalna knajpa – z kawą po turecku, ginem lubuskim, pączkami i schabowym. Marysia niewiele bywała w hotelach, właściwie prawie nigdy. Spanie poza domem kojarzyła dotąd raczej z internatem, no, może z jakimiś salami gimnastycznymi, w których spędzała noce jako pionierka. Internat nie był wcale najgorszy, łagodził samotność, wymuszał wspólnotę wśród dziewczyn z różnych stron, z różnym stanem posiadania zamkniętym w biednych walizkach. Trudno było kapryścić, skoro nie miało się innego domu, fakt, większość z nich starała się usamodzielnąć, pójść na jakieś swoje. Nieliczne wynajmowały wspólnie pokój, bojąc się wysokości czynszu, a może chcąc przedłużyć czas niepełnej dorosłości we wspólnym mieszkaniu? Przede wszystkim spanie poza domem, to mogła być dyżurka, przysypianie w na w pół leżącej pozycji, czuwanie, w zapiętym fartuchu i czepku, z zsuniętymi ze stóp klapkami. Utrwalany latami nawyk. – Spisz jak mysz pod miotłą – mawiała rodzina i znajomi. Tak, z różnych powodów, bardziej niż sądzili, niż było widać na zewnątrz. Była bezustannie przyczojona.

Odwiedza groby rodziców, jedzie rozklekotanym PKS-em do wsi, gdzie gospodarują bracia, ale nocuje w miasteczku, w „Staromiejskim” właśnie. Postanawia nie oszczędzać, zrobić raz, jak należy. Nie ma ochoty na pachnące pleśnią pokoje u bratowych. Nie ma ochoty na powrót. Nie ma ochoty na udawanie rodziny z nimi tutaj. Odpieranie zaczepki. Picie z nimi wódki. Przypominanie sobie imion bratanic i bratanków. Na przerwanie córce wieczoru w pustym domu. Wchodzenie w córki samotność, rozłożoną po pokojach w poczuciu bezpieczeństwa. Coś postanawia, jakoś metodycznie zmierza tam, w kierunku, którego nie wybierała, pojawiającym się na horyzoncie nagle, nie bez ostrzeżenia, nie bez zapowiedzi, jednak właśnie nagle, gwałtownie, jako najlepsza droga i jedyne wyjście. Prawie upragnione. Tak upragnione, że się spieszy, przypominając sobie pospieszne pokonywanie odległości, gdy umawiała się z Jankiem, chodzenie w górę ulicy, gdy czekała na dziecko, wskakiwanie do tramwaju, żeby być jak najprędzej z nimi, z mężem i córką, po nocnym dyżurze. Czy mała płakała w nocy? Znowu ma się do czego wyrwać. Wchodzi po schodach pokrytych burą wykładziną, oczekując u ich szczytu nagrody.

Nie powinna narzekać, mimo niskiej pensji, prawdę mówiąc: dzięki pomocy Janka, dobrze sobie radziły. Janek czuł się zobowiązany, dbał o córkę, płacił za lekcje, kupował. Towary deficytowe, miała je w tym sensie, że miała je jej córka. Poza, oczywistymi, alimentami. Nie było więc tak, jak u innych, licznych, rozwiedzionych rodzin, u kobiet, które musiały pracować tak dużo, że zapomniały po co. Co nie znaczy, że mogła żyć rozrzutnie. O nie, żyła skromniej niż przed rozwodem. Bez dodatkowych zakupów, robionych wspólnie, przedtem, kiedy on mówił: – Kup sobie coś ładnego – wchodząc z nią do sklepu, czasem dając w domu zwitek banknotów. Zwitek. Premię. Nie potrzebowała, zresztą, żadnych ładnych rzeczy. Niczego nie chciała. Na niczym jej nie zależało. Tylko na Magdusi. Więc teraz ma przez parę sekund wątpliwości, nie wie, czy dobrze robi, kiedy płaci w recepcji za pokój, a mogłaby spokojnie zdążyć na pociąg powrotny. Jednak postanowiła. Tak właśnie zrobić. Spieszy się do tego, żeby nie słyszeć dźwięczących bólem w głowie pytań. Ma przy sobie co trzeba, ale dopiero po południu, stawiając ostatnią świeczkę na grobie mamy, postanowiła. Rodzice leżą obok siebie, nie mają wspólnego pomnika. Gdyby siostra nie umarła tak szybko, tego by dopilnowała – zespolenia ich kwater, pośmiertnego złączenia rodzicielskiego ciała. Sama odeszła, a bracia nie mieli poczucia stosowności tak silnego, jakie miewają kobiety, które dobrze wiedzą, że groby są wystawą życia rodzinnego, ważniejszą nawet niż nowe komplety

mebli w nowych mieszkaniach. Ich żony są stąd, nie wiadomo skąd, nie znają obyczaju kierującego decyzjami o kolejnych pożyczkach, przeznaczonych na pomniki rodzinne. Więc zapalając świeczkę, postanowiła wynająć sobie pokój w oddalonym zaledwie o trzy kilometry od cmentarza zakolu rzeki.

W rozmowach – nawet Janek próbował takie z nią prowadzić – hardo trzymała się swego. Że to nie ich sprawa, że nieprawda, że szkalują samotną kobietę, bo najłatwiej napaść na słabą, samotną matkę. Magda, Magda się zacięła. Przestała rozmawiać z matką, przechodziła obok niej, odwracając głowę. Czego mogli chcieć, oni wszyscy? Chodziła do pracy, była wszędzie na czas, wywiązywała się. Czego chcieli? Dla jej dobra? Rzekomego dobra? Gdzie było dobro? Dlaczego oni je znali, umieli wyartykułować, przyszpilić? Czego jej samej brakowało do pokonania podobnej drogi? Do uwierzenia w przydział dobra, w nienaruszalny kapitał? W coś, cokolwiek? Silniejszego od zniechęcenia? Porażającego obietnicą? Przynajmniej: zabezpieczającego przed codzienną dawką bólu.

Najgorsze bywały jednak poranki. Wstawała bardzo wcześnie, jesienią i zimą przed świtem. Nawet nie czuła kaca, organizm miała po ojcu silny, trawiący wódkę, wyćwiczony. Dopiero lustro mówiło jej, że nie jest dobrze. Zamazane kontury twarzy, zmętniałe oczy, octowy oddech zostawiający ślad na lustrzanej tafli. Myła się pospiesznie, nie robiła makijażu, czesała włosy rzadko dotykane przez fryzjera, najwyżej farbowane i podcinane przez Ulę, zapaloną amatorkę w tym fachu. Papieros i kawa pomagały dojść do siebie. Jeszcze kanapki dla małej, zawsze. Tymi kanapkami dawała córce znak, że się troszczy, żeby nie myślała, żeby... Tak była matką. Jej nigdy nikt kanapek w dzieciństwie nie robił. Nie zostawiał znaków troski na kuchennym stole. No, na przykład zupy mlecznej, zacierek, bo kanapka nie należała do form żywności znanych z dzieciństwa. Czyli symbolicznie, ale cokolwiek, żeby pokazać troskę. Przeciwnie. Jej mówili, że ma się o innych zatroszczyć. Dlatego zostawia córce takie przesłanie, list w butelce wypływający z nocy ku porankowi. Dwie sznytki obłożone żółtym serem, na małym talerzyku, a obok nakryta spodeczkiem szklanka herbaty, stygnąca spokojnie w ciepłej kuchni, do której dziecko, duże dziecko, przyjdzie dopiero za dwie godziny. I nie będzie mogło udawać, że nie czuje miłości matki, nie dostaje bezustannie miłości dowodów. Nawet gdyby wołała sama sobie mdłymi od snu rękami coś przygotować, może pospać o pięć minut dłużej, przesłanie matki będzie czekać. Fakt, że posiada matkę. Że matka ją przytula swą macierzyńską troską, swym poświęceniem. Że matka wstała o kwadrans wcześniej specjalnie dla niej. – Tylko o jedno mnie nie prosz, mała – tak do niej, bezgłośnie, każdego ranka, przy każdej kanapce mówiła.

Potem, w ciągu dnia, wraca Marysia humor, rumieniec od krążącej pracowicie, przyspieszającej krwi. Wykonuje konieczne w danym dniu czynności (tak nudne, jakby nie były staraniem o chore ciała, pomagającym im wyzdrowieć lub umrzeć), myśląc o tym, że niedługo będzie w domu. Przecież wszystko gra, jest dobrze. Magda rośnie, dobrze się uczy. Że trochę dziwna? Samotna? Lubi swoje granie, lekcje muzyki. Nie chce szkoły muzycznej, poprzestaje na prywatnych lekcjach, może postępy nie są wielkie, ale kulturalnie, na poziomie, z pożytkiem spędza dwa popołudnia w tygodniu. Opiekuńcza, wciąż sporo czasu z Tomkiem, odrabianie lekcji, spacer, rozmowy. O wierze też, tu on próbuje ją przekonać, dziewczyna nie jest skora, nie chodzi do kościoła, przestała zaraz po przystąpieniu do komunii. Tak się plecie: umiarkowane wychowanie religijne wychowuje ateistkę, zakaz i „aj waj” wokół przygotowują do życia małego fanatyka. Magda lubi Tomka, nie chce go przekonać, pozwala gadać. Nie okazuje wyższości, idealna starsza siostra dla dziecka rodziców będących w wieku dziadków. Magda jest taka dorosła. Pochwały na wywiadówkach. Dodatkowe prace na rzecz szkoły. Kółko recytatorskie. Chór szkolny. Marysia jest z niej dumna.

W drodze do domu, nie wie nawet kiedy i dlaczego, zbacza do któregoś ze sklepów, gdzie można coś kupić. Słoneczny brzeg, istrę, pliskę, ciociosan, tokaj Aszu. Skoro ma tak dobry

nastrój, warto go podtrzymać. Jednym kieliszkiem po obiedzie. Pitym w samotności, ludzie nie rozumieją jej trybu życia. Wraca z pracy wcześniej niż inni, chyba że ma dyżur. Pracuje w nocy. Potrzebuje napędu.

Potem, po pierwszym kieliszku. Nie tłumaczy nikomu ani samej sobie. Ciepło rozlewające się w ciele, wypełniony po brzegi dzień, bez konieczności prowadzenia analizy, podejmowania działań. Bo jakie? Mycie, pucowanie, porządkowanie? Po co? Najlepiej tak, z samą sobą, pod kocem, odpoczywać. Nie starać się, nie pokonywać przeszkód, nie udowadniać. Nie patrzeć w oczy córce, lepiej zasnąć. Nie umawiać się z przyjaciółkami, które mają zawsze w kredensach wino, ale jej nalewają z jakimś komentarzem, nie do pełna, chowając zaraz butelkę za sztucznymi kwiatami. Nie słuchać Uli, która stara się ciągle ją aktywizować, wypytuje o jakieś sprawy dotyczące Magdusi. Okazuje się nawet, że więcej wie o jej córce niż ona sama. Niech tam. Siedzi w tej swojej fortecy, w tych pokojach zawalonych starymi meblami, nie starzeje się, pewnie dzięki dewizom podsyłanym przez rodzinę – za niemieckie marki można sobie młodość kupić, chodzić do kosmetyczki, jeść owoce. Kto wie, co jeszcze? Zastrzyki? W razie czego, w razie choroby, stosowne zastrzyki. Na Zachodzie ludzie tak robią, sztuczne kuracje, wiadomo. Czasem tak sama do siebie mówi, zwykłe brednie, wstyd jej też przed samą sobą, jeśli pamięta. W każdym razie Uli się wiedzie. Annie też, zdewociała, odsunęła się od dawnych znajomych, zrobiła się ważna, z Marysią utrzymuje kontakty, bo przecież ma korzyść z podrzucania Tomusia, od lat praktykowanego. Synka, który też już zaczął chodzić własnymi drogami i nazywany bywa przez rodziców raczej „Tomasz”: powinien uczyć się być mężczyzną. Czasem rozmawiają jak matka z matką o kłopotach, które sprawiają dobre dzieci. Nieczęsto, zaraz przerzucają się na opowieści o prawdziwych kłopotach, jakie mają inne kobiety ze swoimi dziećmi bandytami.

Poza tym, tak, pustka. Marysia żyje rozpamiętywaniem.

Próbuje pisać listy na Ukrainę, postanawia napisać, zaczyna. Za daleko, jeszcze tam raz jedzie, dużo płacze z Nastią, która żyje innymi, jakimiś swoimi, sprawami, odległymi niczym obca galaktyka – została babcią, na którą od dawna wygląda. Przeglądanie się w jej twarzy i życiu nie daje satysfakcji, zasmuca. Ten drugi wyjazd nieudany, nie ma z kim o czym od serca, poza tą płaczącą Nastią, rozmawiać. Kuzynostwo powściągliwie. Jakieś insynuacje wokół Janka. Ciotka nie żyje. Mimo to – olśnienie. Twierdzi, ta wiedza spływa na nią niespodziewanie, że prawdziwe życie miała tam i tam by chciała być nadal. Na miejscu Nastii? W głosie Anny, której opowiada o przyjaciółce z dzieciństwa i o marzeniach, drwina. Nie pamięta, nie chce tego, jaką przebyła drogę. Wymazuje stację kolejową, picie ojca, pożyczanie od Janka na dach, który nigdy nie został naprawiony. Zmarli rodzice pojawiają się po drugiej stronie stołu niczym święta rodzina, piękni i pełni poświęcenia. A jej droga, a ona? Mogła, miała mieć więcej, wszystko. Gdyby nie ten cholerny idiota, ten wieśniak i ubek, którego głupio pokochała. Ta Świnia, która jeszcze próbuje się wtrącać, a potem paraduje z odstawionymi w drogie ciuchy kobietami, przesiaduje z nimi w knajpach, wydaje na nie pieniądze, które należą się dziecku. Z tej jego świńskiej pracy – bełkocze sama do siebie Marysia, a jednocześnie, pod skórą, czuje, jak za nim tęskni, jak by chciała być na miejscu kobiet, którym kupuje za dewizy nowe bluzki i perfumy. To, co jej zabrał, bo głupia była, za szybko wypuściła go, zamiast żądać, żeby się zmienił. Żądać swego. Urodziła mu dziecko – która to jeszcze potrafi? Więc się jej powinno należeć. Cóż. Honor ma, miała, po ojcu. Wykopała wrednego dziada. I ma, czego chciała.

Po wieczorach złości następują duszne noce. Marysia we śnie wciąż ucieka, za plecami łuna pożaru, wystrzały, tak, z katuszy, po latach przypomina sobie, że to musiały być katusze. Pojedyncze serie z karabinów. Wpadający do kuchni partyzanci. Lęk matki, idącej w kolejkę do urzędu. Matka wprost z tej ich kuchni, palącej się, idzie do urzędu, a ojciec śpiewa. Marysia bierze z łóżka tłumoczek, ucieka, biegnie. Dziecko w zawiniątku nie płacze. Zagląda, odchyła szmatki. Tak, tak, tam leży Magdusia, ale pod lasem – widzi – stoi Janek, czeka.

Kiedy jest blisko, nagle, celuje do nich z karabinu. Potem wszystko wokół zaczyna falować, pożar obejmuje las, ją, jego, innych ludzi. I tak w kółko, na okrągło, każdej nocy. Chyba że nie pamięta.

Nie wie czemu od paru lat, od dwóch na pewno, coraz mniej chce udawać, nawet przed sobą, że się czegoś od życia spodziewa. Coraz trudniej czekać na popołudnie. Wstawać rano. Wkłuwać się w żyły pacjentów. Coraz mniej jest pewna tego, że córka ma z nią dobrze. Kanapki, robione nadal, pozostają często nietknięte. Po jakimś wieczorze, którego Marysia nie pamięta. Po jakimś ciemnym, pełnym przesuwających się przed oczami kolorowych kształtów, uciętym tabletkami relanium wstępie do nocy głębokiej jak studnia, w której nie można złapać oddechu. Kanapki stają się probierzem. Jeśli Magda je zjada – wieczór musiał być dość spokojny, zwykły. Jeśli nie – być może wykrzykiwała rzeczy, których nie pamięta, przewracała się, próbowała wychodzić z domu. Na szczęście wczoraj, dzień przed wyjazdem, mała wszystko zjadła. Na szczęście.

Zamyka pokój od wewnątrz, kładzie na burej kapie torebkę, przysiadła. Wstaje, zasłania okna, wyłącza widok na mętną rzeczkę, podobną do tej z dzieciństwa, może mniej brudną, bo przepłukiwaną częstymi w tych stronach deszczami. Sprawdza zamek. Przynosi na stolik obok łóżka szklankę z plastikowej półki zamontowanej dużymi, pordzewiałymi śrubami nad żółtawą umywalką zakończoną plastikowym kolankiem, najwidoczniej służącą za pisuar. Wyjmuje butelkę Soplipy. Szkoda, nie było w sklepie nic innego. Po soplipy miewa kaca. Trudno. Najpierw chce się rozebrać, bo mała patrzy na nią z wyrzutem, przechodząc przez pokój, jeśli zdarzy się jej usnąć w ubraniu. Magdusia nie lubi takiego niechlujstwa, odstawia na miejsce szklanki i talerze, składa starannie rzeczy, wrzuca do kupionej niedawno na raty automatycznej pralki, ściera kurze, przykrywa pianino łowicką makatką. Mój Boże, Marysia łka krótko, podcięta myślą o krzątactwie Magdusi, od pierwszych lat życia, ustawianie równo butów tatusia, wyrównywanie serwetek. Krótki paroksyzm, zaraz się odpręża, dolewa herbacianego płynu, wypija na raz pół szklanki, nie mogąc opanować odruchu obrzydzenia, prawie wymiotnego odruchu wywołanego smakiem i zapachem Soplipy. Dobrze. Ciepło. Ale więcej nie, bo nie da rady. Nie rozczulać się. Sprawdza, czy ma w torebce listy. Do Magdy i Uli. Byłoby niedobrze, gdyby zapomnieć o listach. Nie będzie ich teraz czytać zdanie po zdaniu, czy sobie każdego przecinka przypominać. Píše ładne listy, ładnym charakterem pisma. Pokonała obcość alfabetu i składni. Píše idealnie, nauczyciele stamtąd byliby z niej dumni. Listy są krótkie. Zawierają propozycję. Ula i Magda mogłyby mieszkać przez pewien czas razem, zanim Magda pojedzie na studia. Jak kiedyś Marysia, Magda może znaleźć u Uli tak potrzebny młodej dziewczynie azyl. Marysia nie może już dłużej czekać, ma nadzieję, że nie będą się martwić jej odjazdem dłużej niż należy. Przeprasza. Jednak nie da rady. Muszą to zrozumieć. Poza porankami jest jeszcze kwestia bólu. Nie rozwodzi się na ten temat. Nie będzie się rozwodzić. Ale niech jej uwierzą. To czołganie się pod lasem, żeby uciec... Całe życie tak biegnie, niczego więcej już nie pragnie. Zatrzymać się. Zatrzymać. Bardzo je kocha, córkę najbardziej na świecie. Nawet dla niej nie chce. Potem byłoby gorzej, trudniej. Niech jej uwierzą. I jeszcze krótko, do byłego męża – wiem, że się nią zajmiesz, przynajmniej materialnie umożliwisz studia. Jej niezrealizowany zamiar. Studia.

Ból mógłby zostać pominięty, należy do spraw życia. Marysia umie patrzeć na ból innych ludzi, potrafi uśmierzać lęki rodziny i obcych. Skoro tak, skoro nie wytrzymuje własnych odczuć, nie chce ich pokonywać nadal, trzeba uwierzyć. Ten ból w kościach, głowie, sercu, oczach – przekroczył granice. Krótko, sobie i adresatkom listu, wspomina o tym. Spokojnie, ładnym stylem.

Raz jeszcze i ponownie, przebiega w myślach te listy, a potem kładzie się jak do snu, w sukience i butach. Połyka tabletkę po tabletkę, popija resztką z butelki. Wystarczy. Myśli. Na pewno zadziała.

Trudno odtworzyć te ostatnie chwile Marysi, Marii. Czy są inne od samotnych wieczorów w domu? O tyle, że nie odwraca twarzy w kierunku ściany, słysząc kroki dziecka, nie oddycha pod poduszkę, żeby dziecko nie czuło. Poza tym wszystko – trwanie ciężaru w ciele, ciepło, mdłości, wirowanie przestrzeni, rozczulenie, smutek – wszystko przypomina wiele innych wieczorów, z których wydobywał ją dźwięk dzwonka i myśl, że trzeba żyć dla szczęścia dziecka, skoro własne przepadło. Z tego wieczoru nie ma wyjścia, zostaje w nim na zawsze, przekonana, że tak trzeba.

Nikt nie uwierzy, że taki miała zamiar. Będą mówić, że to był wypadek.

DZIECI I POZOSTALI, 1981

– Wybrała sobie naprawdę fatalny moment, ta mama Magdy – mówi księdzu Tomek, bo potrzebuje porozmawiać od serca, poza spowiedzią, po spowiedzi. – Teraz mogłaby znaleźć dla siebie miejsce, miałyby cel – poważnie kręci głową, pragnąc pociechy, potwierdzenia. Młody kapłan mógłby mu powiedzieć, podprowadzić ku ostatecznej i powszechnej prawdzie jego sposób myślenia: wszystko wokół teraz ciekawsze, ludzie się mobilizują, można się przyłączyć, służąc zarazem Panu Bogu. Mama Tomka nie pozwala w domu używać słowa „solidarność”. W żadnym razie, w żadnej gramatycznej formie. Mama widziała nie takie rzeczy. Mama musiała płakać po śmierci Stalina. Mama musiała przeżyć Hitlera. Mama straciła swego tatusia przez jego mieszanie się w sprawy Hitlera. – Jeszcze zobaczysz – mówiła do męża – zrobią porządek, w każdej chwili. Rach-ciach i po sprawie. Niebezpiecznie jest myśleć, co dopiero rozmawiać. Przez telefon na pewno w żadnym razie. Żadnych idiotyzmów! Zabraniam wybryków! Nie wolno. Tomku, nie wolno. Masz być w domu o ósmej! – Ruskie jednostki w środku miasta, blisko granica. – Na co ludzie liczą? – Mama nawet w kościele udaje, że nie modli się za Ojczyznę, nie śpiewa: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, panie”, przynajmniej nie rusza ustami. Ten upolityczniony Kościół wcale jej nie odpowiada. Na spotkanie z papieżem też się nie pchała. Rozmawia o tym wszystkim tylko z mężem, syna jak zwykle strofuje: – Ja ci powtarzam, wyprostuj się, teraz jemy, nie będziemy rozmawiać o tych sprawach. – Rozmawiają, że nie będą rozmawiać. Dobre i to. Dzięki temu coś zostaje powiedziane. Nie tak jak z Magdą, milczącą, zaczytaną, smutną. Magdą, której to nie dotyczy, która jest w tym jeszcze bardziej osamotniona, bo wszyscy zajęci są czym innym. Koleżanki, sąsiadki, nauczycielki. Na krótko przyciąga ich uwagę. Osobiste tragedie powinny wybierać nudne czasy, dając szanse swoim bohaterom.

Więc Tomek rozumie, że są najważniejsze w świecie: sprawy, o których mówi się, że nie mówi. Szkoda, jest wciąż za mały, niczego nie robi. Czasem myśli, że choć mały, jest mądrzejszy od matki i ojca. Matka każe milczeć, ojciec milczy. Matka strofuje, ojciec przysypia. Zamykają drzwi sypialni, ojciec wreszcie odzywa się stanowczo, matka milknie. Ojciec ma na nią sposoby. Na nią trzeba sposobu. Chłopiec ma jeden: podkradanie wiary.

Tomek chce dowiedzieć się od księdza, czemu Magda została bez mamy. Ma nadzieję, że ksiądz mu podpowie, jak pocieszyć przyjaciółkę. Zalecenie modlitwy nie wydaje mu się wyjściem wystarczającym. Chce znaleźć furtkę prowadzącą w przeszłość, do godzin spędzanych po dwu stronach adapteru „Bambino”. Do stanu zero, dość dobrego i dość niedobrego, rozumie, dla Magdy. Zanim opuściła ją mama, a więc ona przez to jego opuściła.

Nie tylko Tomka. Także innych. Magda postanawia zaprzestać pobierania lekcji muzyki. Nauczyciel od dwóch lat nie wstaje z wózka, nawet nie kieruje jej dłonią. Ma wrażenie, że odtwarza dla niego melodie Chopina, że nie uczy się od niego, jest jego żywym odtwarzaczem. Od dawna miała takie wrażenie, teraz zdobywa się na odwagę, odchodzi. Profesor śni jej się, przychodzi do niej, czeka. We śnie Magda pokonuje biegiem schody, siada do instrumentu i dopiero po chwili widzi, że w fotelu pod oknem siedzi mama. Jakby zamieszkali w tym pokoju razem; tam, gdzie ona nie może na jawie dotrzeć. Nie lubi tego snu, ma wyrzuty sumienia, myśli o profesorze. Częściej niż o mamie, o której nie może nie myśleć; o której nie może nie myśleć nawet w nocy, przez sen, na chwilę.

Wokół, w szkole – ferment. W wyższej, maturalnej klasie. Niektórzy podobno coś robią w kościele, śmieiej śpiewają religijne pieśni. Jakieś wyczuwalne nawet dla Magdy ożywienie panuje podczas akademii szkolnych. Na lekcjach: nagle zaczynają im mówić o Katyniu. Magda słucha, owszem. Pyta o niektóre sprawy Ulę, o to, jak było w mieście po wojnie, jak z nią, Ulą, było? – Bo – pyta – masz rodzinę w RFN? Czyli ty jesteś z pochodzenia Niemką? –

o pochodzenie matki nie ma kogo pytać. O zawód ojca. O to, czemu ojciec czeka w tamtym śnie matki pod lasem i strzela, kiedy matka się zbliża. Ani o to, czemu w jej śnie nauczyciel i matka mieszkają w smutnym pokoju nauczyciela, a ojciec nie pojawia się wcale. O majaki, unoszące się nad nią samą.

Z pochodzenia, myśli Ula. Jakieś nowe, przyniesione z nowoczesnej szkoły słowo, chyba. Ula nie wie, co odpowiedzieć, kim jest z pochodzenia. Coraz częściej używa się w rozmowach formy „oni”. Wszędzie jacyś „oni”. A jej rodzina? Też „oni”? Kim są „my”? Takie myśli niewczesne nachodzą Ulę. Woli roztrząsanie ich z Magdą od Magdy milczenia. Boi się milczenia dziewczyny. Jak własnego. Draży nieważne wcześniej sprawy „onych” i polityki. Gładko po nich pomyka, żeby nie dotknąć tego, co się wydarzyło im samym w ciągu paru ostatnich miesięcy. Kiedyś opowiada Magdzie o narzędziach znalezionych w gabinecie dentysty, na tyłach ich, teraz, wspólnego domu. I jakiś sen, dziwnie podobny do snów dziewczyny. I o śmierci własnej mamy, czego Magda nie chce słuchać.

– Ja straciłam matkę mniej więcej w tym wieku – przypomina Annie – ale jednak to była śmierć po chorobie... – Podobnie tragiczna, dodaje sama sobie do tego rachunku sumienia. Mama była ofiarą. Kim była Marysia? Anna modli się za jej duszę, chociaż nie ma pewności, czy można coś wyjednać dla matki, która porzuca kilkunastoletnią córkę. Magda wydaje się dorosła. Przeniosły jej rzeczy do Uli, resztę zostawiając Jankowi. Zatrzymanie mieszkania. Żeby nie stracić. Porządkowanie, nie, tego nie robią. Sukienki i kosmetyki pozostają wciąż na miejscu. Tapczan, poduszka, kapa. Magda nie mogłaby tam wrócić. Nie zabiera również pianina. Po co? Ula do niczego nie namawia, nie wie, do czego. Przesuwa się nieco, ścieśnia własne terytorium, oddaje pokój dziewczynie. Musi o tym rozmawiać, musi. Janek ucieka od jakiegokolwiek rozmowy. Decyduje się na wyjazd. Oddelegowany. Woli być gdzie indziej – w Warszawie? – za wielu znajomych, za dużo nazwisk, nitek. Wie, że będzie trzeba wkrótce łeb temu ukreć. Lepiej poza własnym miastem. Córka? Córce i tak nie może patrzeć w oczy. Gdyby chciała w Warszawie, to tylko rok, podjąć studia... Wyjeżdża, też nie likwidując mieszkania. Do rozmów pozostaje Uli Anna, więc jak za dawnych czasów rozmawiają nad ciastkami i herbatą.

W barze smutno, Ula nieczęsto zagląda do sali dla konsumentów. Podlicza słupki oznaczające użyte produkty i pobrane opłaty. Zaciąga się papierosem. Gdyby Magda została z nią dłużej... Nie liczy na wiele, spodziewa się, że dziewczyna po maturze zdecyduje się ją opuścić. Przychodzi tu, na pierogi, żeby nie robić kłopotu. Prościej zjeść w barze niż robić zakupy. Próbuje nie zajmować nikomu miejsca. W życiu, przy stoliku. Trzyma talerz na brzeżku stołu. Mówi cicho – Dziękuję – i wychodzi.

Ula ma nadzieję, że może dziewczynę ocali miasto, budzące się do czegoś. Ma nadzieję, bo jeśli nie – po co to wszystko? Ich, jej trwanie tu, przy tej samej ulicy. Ich trudne podróże, ich zimne, osvajane stopniowo mieszkania. Jej zasłanianie okien, poranki przy pracy, nocne czuwanie nad tym, co pozostało w kątach pokoju? Ula jest sentymentalna, kiedy próbuje dokonać skrótu zdarzeń, patrząc z bolesnym skurczem w gardle na drobną dziewczynę podobną pół na pół do matki i ojca, którzy ją opuścili.

Potem zajrzy Tomuś, w drodze z kościoła, ze zbiórki harcerskiej, ze szkoły. Zawsze ma po drodze, zawsze nadłoży w tym celu drogi. Zapyta, czy Magda jest w domu. Nieustraszony trzynastolatek. Postanowił nigdy jej nie opuścić, z Bożą pomocą, a gdyby Bóg był za słaby, całym sobą. Trochę się boi, dlatego po drodze pyta Ulę o pozwolenie na wizytę.

– Czy mogę odwiedzić Magdę, ciociu? – pyta.

Ula czuje ulgę. Najważniejsze, że ktoś o kogoś tak uparcie pyta.

– Idź do niej – mówi. I dodaje, miękko i szybko: – Idź, kochanie.